

Victoria Holt

Tajemnica starej farmy

The Captive

Przełożyła Anna Bańkowska

Dom w Bloomsbury

Miałam zaledwie siedemnaście lat, kiedy dane mi było przeżyć najbardziej nieprawdopodobną przygodę, jaka mogła spotkać młodą kobietę. Przy tej okazji uchylił się przede mną rąbek świata tak diametralnie różnego niż ten, do którego przywykłam i w którym mnie wychowano, że odtąd moje życie uległo całkowitej przemianie.

Zawsze odnosiłam wrażenie, że swoje poczęcie zawdzięczam roztargnieniu rodziców. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić ich konsternację i wręcz przerażenie, kiedy oznaki mojego nieuchronnego przybycia na ten świat stały się oczywiste. Pamiętam, jak będąc jeszcze bardzo małym dzieckiem, kiedy przypadkiem wymknęłam się spod oka piastunki, spotykałam na schodach ojca. Zwykle widywaliśmy się rzadko, więc przy takich okazjach patrzyliśmy na siebie jak na obcych. Ojciec zwykle nosił okulary odsunięte na czoło, a wtedy opuszczał je niżej, chcąc przyjrzeć się z bliska dziwnemu stworzeniu, które zabłąkało się do jego świata. Zupełnie jakby próbował sobie przypomnieć, kto to taki. Potem pojawiała się matka. Ta najwyraźniej rozpoznawała mnie od razu, bo wykrzykiwała: „O, dziecko! A gdzie opiekunka?”

Znajome ręce chwytaly mnie i szybko uprowadzały z powrotem. Już poza zasięgiem ich uszu słyszałam burczenie pod nosem: „Co za ludzie! Nie martw się, kruszynko, masz swoją starą nianię, ona cię kocha”.

I naprawdę to mi wystarczało. Zwłaszcza że poza ukochaną nianią miałam jeszcze pana Dollanda, kamerdynera, panią Harlow, kucharkę, pokojówki Dot i Meg oraz pomywaczkę Emily. A później — pannę Felicity Wills.

W naszym domu obowiązywał podział na dwie strefy i dobrze wiedziałam, do której przynależę.

Był to wysoki budynek usytuowany przy londyńskim skwerze w dzielnicy Bloomsbury. Został wybrany przez rodziców z powodu bliskości British Museum, o którym na dole mówiono niemal z nabożeństwem. Kiedy wreszcie uznano mnie za dostatecznie dużą, bym mogła przekroczyć jego progi, myślałam, że zaraz rozlegnie się głos z nieba i nakaże mi zdjąć buty, gdyż ziemia ta jest święta.

Moim ojcem był profesor Cranleigh, uznany autorytet w dziedzinie starożytnego Egiptu, a szczególnie hieroglifów. Matka bynajmniej nie pozostawała w cieniu; brała udział w pracach męża, towarzyszyła mu w licznych podróżach na wykłady, była też autorką pokaźnego tomu pod tytułem „Znaczenie kamienia z Rosetty”^{*}. Stał on na honorowym miejscu ramię w ramię z sześcioma dziełami ojca w pokoju obok jego gabinetu, zwanym przez rodziców biblioteką.

Uhonorowali mnie imieniem Rosetta. Ponieważ wiązało się z ich pracą, przypuszczałam, że w swoim czasie okażą mi nieco zainteresowania. Kiedy panna Felicity Wills zabrała mnie do British Museum, chciałam przede wszystkim zobaczyć ów starożytny kamień. Wpatrywałam się w niego, słuchając w niemym podziwie opowieści o znakach, które okazały się kluczem do rozszyfrowania pisma starożytnych Egipcjan. Długo nie mogłam oderwać oczu od tak ważnej dla moich rodziców bazaltowej płyty. Dla mnie jednak najbardziej liczył się fakt, że nosiła to samo imię, co ja.

^{*} Kamień z Rosetty — płyta odnaleziona w r. 1799, podczas wyprawy Napoleona do Egiptu. Wyryto na niej identyczne napisy w języku egipskim i greckim, co umożliwiło Champollionowi odczytanie hieroglifów. Po klęsce Napoleona płyta trafiła do British Museum.

Miałam około pięciu lat, kiedy rodzice wreszcie mnie dostrzegli. Był to wiek, w którym powinnam rozpocząć edukację, ale perspektywa pojawienia się w domu guwernantki wywołała w naszej strefie pewien popłoch.

— Śmieszne stworzenia z tych guwernantek — oznajmiła pani Harlow, kiedy zebraliśmy się przy kuchennym stole w suterenie. — Takie... ni pies, ni wydra.

— Nieprawda — wtrąciłam się. — To damy.

— Kto je tam wie. Są zbyt wielkie jak dla nas, a nie dość dobre dla Nich — wskazała na sufit, mając na myśli górne strefy. — Szarogęsi się taka, rzuca o byle co... a na górze? Łagodna jak baranek! Taak, śmieszne stworzenia!

— Podobno ma to być bratanica jakiegoś profesora — odezwał się pan Dolland.

Pan Dolland w lot wyłapywał wszystkie nowiny. Według pani Harlow, był „cwany jak stado małą”. Dot, która podawała do stołu, miała własne źródła.

— To ten profesor Wills — oświadczyła. — Był z naszym państwem na uniwersytecie, tylko potem poszedł w inną stronę... nauki przyrodnicze czy coś. No, ale ma bratanicę i szuka dla niej miejsca. To prawie pewne, że nam ją tu wpakują.

— A czy będzie mądra? — spytałam trwożnie.

— Aż za mądra, gdyby mnie kto pytał — prychnęła pani Harlow.

— Nie będzie mi się pętała po dziecięcym piętze — oświadczyła niania Pollock.

— O, będzie na to za wielka! Posiłki na tacy... Dot albo Meg mają latanie po schodach jak w banku.

— Nie chcę jej tutaj — oznajmiłam. — Mogę uczyć się od was. To ich rozśmieszyło.

— Gadaj zdrowa, kochaneczko — odrzekła pani Harlow. — My nie jesteśmy, jak to się mówi... wykształtowani. No, może z wyjątkiem pana Dollanda.

Popatrzyliśmy na niego z podziwem i czułością. Nie tylko podtrzymywał godność naszej strefy, ale też nas zabawiał, a czasem dawał się namówić na występ. Znał na pamięć wiele ról, co nikogo nie dziwiło, ponieważ kiedyś był aktorem. Widziałam, jak przygotowywał się do wyjścia na górę — w przepisowym stroju, jak przystało na szacownego kamerdynera — kiedy indziej zaś w zielonym fartuchu, okręconym wokół dość wydatnego brzucha czyścił srebra i nagle zaczynał coś śpiewać. Wtedy wszyscy cichutko podchodziliśmy bliżej, by wspólnie cieszyć się tym jednym z wielu jego talentów.

— Nawiasem mówiąc — tłumaczył skromnie — śpiew nie jest moją specjalnością. Nigdy nie nadawałem się do sal koncertowych. Zawsze wołałem zwykły teatr, po prostu mam go we krwi.

Najmilej z tamtych dni wspominam chwile, kiedy siadywaliśmy przy dużym kuchennym stole. Pamiętam owe wieczory... pewnie zimowe, gdyż było ciemno i pani Harlow stawiała pośrodku parafinową lampę. W kuchennym piecu buzował ogień i pod nieobecność rodziców, którzy wyjeżdżali często z jakimiś wykładami, ogarniało nas błogie poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Pan Dolland opowiadał wówczas o swej młodości, kiedy był na drodze do kariery. Nie poszło mu tak, jak sobie zaplanował, bo inaczej nie siedziałby z nami. Powinniśmy być za to wdzięczni losowi, chociaż z drugiej strony żalowaliśmy pana Dollanda. Występował kilka razy jako statysta, a kiedyś nawet grał ducha w „Hamlecie”; należał zresztą do tej samej kompanii co Henry Irving. Śledził potem karierę tego wielkiego aktora, a kilka lat temu widział go w gorąco oklaskiwanej roli Mathiasa w „Dzwonach”^{*}.

Czasem czarował nas scenami z tej sztuki. Siedząc w głębokiej ciszy przy niani Pollock, trzymałam ją kurczowo za rękę, by mieć pewność, że jest blisko. Na największy efekt można było liczyć, kiedy za oknami wył wicher i deszcz bębnił o szyby.

^{*} „The Bells”, sztuka George’a MacFarrena.

„W taką to właśnie noc jak ta zamordowano polskiego Żyda...” — deklamował głucho pan Dolland, przypominając, jak Mathias doprowadził do śmierci Żyda i jak odtąd prześladował go dźwięk dzwonów. Słuchaliśmy z biciem serca, a potem, kiedy już leżałam w łóżku, przyglądałam się ze strachem cieniom w pokoju, zastanawiając się, czy czasem nie uformują się w postać mordercy.

Pan Dolland bezsprzecznie cieszył się wielkim szacunkiem domowników, a talent do rozbawiania towarzystwa zyskał mu także naszą miłość. Może w świecie teatru go nie doceniono, nie można jednak było tego powiedzieć o naszym domu w Bloomsbury.

Tak, miło powspominać lata, kiedy moja rodzina i ja czuliśmy się bezpieczni i szczęśliwi...

W tamtych czasach bywałam w jadalni wyłącznie pod opiekuńczymi skrzydłami Dot, kiedy ta nakrywała do stołu. Zwykle podawałam jej sztućce, które układała równiutko, i patrzyłam z podziwem, jak jednym zręcznym ruchem nadaje wymyślne kształty serwetkom.

— Śliczne, co? — mawiała, przyglądając się efektom swej pracy. — Ale oni i tak nie zauważą. Gadają tylko bez końca, a ty, człowieku, nie masz zielonego pojęcia o czym. Niektórzy tak się nadymają... myślałby kto, że zaraz popruną w górę w kłębach dymu. I nic tylko o jakiejś zamierzchłej przeszłości, miejscach i ludziach, o których nigdy nie słyszałaś... A jak się nieraz wściekają!

Potem udawałam się w obchód z Meg. Ścieliłyśmy razem łóżka. Ona zdejmowała pościel, a ja skakałam po piernatach i materacach; uwielbiałam, kiedy nogi zapadały mi się w puch.

Lubiłam jej pomagać.

— „Najpierw nogi, potem głowę i już łóżko jest gotowe” — wyśpiewywałyśmy.

— Zobacz — mówiła Meg. — Trzeba tu bardziej naciągnąć, nie chcesz chyba, żeby im nogi wystawały? Będą takie zimne, jak ten kamień, od którego cię nazwali.

Tak, dobrze mi się żyło; absolutnie nie czułam, się pokrzywdzona z powodu braku rodzicielskiego zainteresowania. Mogłam być tylko wdzięczna tym wszystkim egipskim królom i królowym, którzy tak bardzo pochłaniali ich uwagę, że dla mnie już jej nie starczało. Szczęśliwe dni, spędzane na ścieleniu łóżek, nakrywaniu do stołu, asystowaniu pani Harlow przy siekaniu mięsa, ucieraniu puddingów (czasem skapnął mi przy tym jakiś kasek), wysłuchiowaniu dramatycznych scen z życia niedocenionego pana Dollanda... A kiedy potrzebowałam pociechy, zawsze mogłam ją znaleźć w kochających ramionach niani Pollock.

Słowem — miałam szczęśliwe dzieciństwo i doskonale obywałam się bez rodziców.

Potem nadszedł dzień przyjazdu panny Felicity Wills, bratanicy profesora Willsa. Miała objąć posadę guwernantki i na początek — póki nie zostaną podjęte dalsze decyzje — zatroszczyć się o podstawy mojej edukacji.

Niania Pollock, pani Harlow, Dot, Meg i Emily stały ze mną w oknie dziecinnego pokoju. Wreszcie przed dom zajechała dorożka, z której wysiadła panna Wills.

Woźnica zaniósł jej bagaże do drzwi. Wyglądała młodo, bezradnie i na pewno nie było w niej nic przerażającego.

— Ale chuch erko... — zauważyła niania.

— Poczekajcie — odezwała się złowieszczo pani Harlow, zdecydowana trwać przy swym pesymizmie. — Wciąż wam powtarzam, że wygląd o niczym nie świadczy.

Nareszcie wezwano mnie do salonu. Niania włożyła mi czystą sukienkę i starannie mnie uczesała.

— Pamiętaj, że masz wyraźnie odpowiadać. I nic się nie bój. Wszystko będzie dobrze, a niania cię kocha.

Ucałowałam ją gorąco i zesłam do salonu, gdzie czekali na mnie rodzice z panną Wills.

— O, Rosetta — rzekła moja matka, rozpoznając mnie zapewne dlatego, że mnie oczekiwała.
— To jest twoja guwernantka, panna Felicity Wills. Panno Wills, oto nasza córka, Rosetta.

Panna Wills podeszła do mnie i chyba w tej samej chwili ją pokochałam. Była tak delikatna i śliczna jak postać z obrazka, który gdzieś widziałam. Ujęła mnie za ręce i uśmiechnęła się miło, a ja odwzajemniłam ten uśmiech.

— Obawiam się, panno Wills, że czeka panią orka na ugorze — uprzedziła ją matka. — Rosetta jest bardzo zaniedbana, nie miała dotąd żadnych lekcji.

— Ach, na pewno i tak sporo już umie!

— Może Rosetta zaprowadzi panią do pokoju szkolnego — zaproponował ojciec.

— Świetny pomysł! — podchwyciła panna Wills, nie przestając się do mnie uśmiechać.

— To jest pod samym dachem — uprzedziłam ją.

— No tak, szkolne pokoje przeważnie są na najwyższym piętrze. Pewnie dlatego, żeby nikt nie przeszkadzał dzieciom w nauce. Mam nadzieję, że się polubimy. Więc jestem twoją pierwszą guwernantką?

Skinęłam głową.

— Wiesz, co ci powiem? — ciągnęła. — Ty też jesteś moją pierwszą uczennicą. Czyli obie dopiero zaczynamy...

W ten sposób natychmiast nawiązałyśmy kontakt. Poczułam się znacznie lepiej niż rano, kiedy zaraz po obudzeniu myślałam o jej przyjeździe. Wyobraziłam ją sobie jako energiczną starszą panią — a tu proszę, młoda, ładna dziewczyna! Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat, no i sama przyznała, że nigdy dotąd nie uczyła.

To naprawdę miła niespodzianka. Wiedziałam, że wszystko będzie w porządku.

* * *

Życie nabrało nowego wymiaru. Z wielką radością odkryłam, że wcale nie jestem taka głupia, jak się obawiałam.

Już wcześniej zdołałam nauczyć się czytać z pomocą pana Dollanda. Oglądałam obrazki w Biblii i uwielbiałam historie, które opowiadał mi przy tym z dramatyczną emfazą. Ilustracje te mnie fascynowały: Rachel przy studni; Adam i Ewa, po wyrzuceniu z raju, oglądający się przez ramię na anioła z ognistym mieczem; Jan Chrzciciel, stojący w wodzie i głoszący nauki. Poza tym oczywiście słuchałam mowy Henryka V pod Harfleur w wykonaniu pana Dollanda i sama potrafiłam ją wyrecytować, podobnie jak urywki z monologu „Być albo nie być”. Pan Dolland uważał się za znakomitego Hamleta.

Panna Wills była mną zachwycona i od samego początku zostałyśmy przyjaciółkami.

Owszem, moi kuchenni przyjaciele z początku patrzyli na nią wilkiem, ale Felicity (bo tak ją wkrótce zaczęłam nazywać, kiedy byłyśmy same) okazała się bardzo miła i pozbawiona wszelkiej arogancji, toteż bariera między kuchnią a tymi, którzy — jak mawiała pani Harlow — „mieli się za lepiej skrojonych”, szybko została przełamana. Wkrótce ustało noszenie posiłków na tacy i moja guwernantka zasiadła razem z nami w suterenie przy kuchennym stole.

Oczywiście taki stan rzeczy byłby nie do zaakceptowania dla dobrze ułożonego personelu, ale posiadanie rodziców, którzy — zatopieni w nauce — trzymali się z dala od przyziemnych, domowych spraw, miało tę zaletę, że dawało nam swobodę. Jak myśmy się nią rozkoszowali! Kiedy spoglądam wstecz, na moje niby to zaniedbane dzieciństwo, mogę tylko przeżywać je na nowo, ponieważ było najcudowniejsze i najmilsze, jakie można sobie wymarzyć. Ale oczywiście, dopiero po latach widać to z całą wyrazistością, dziecko nie zdaje sobie sprawy, jak mu dobrze...

Nauka z Felicity okazała się czystą przyjemnością. Lekcje odbywały się każdego ranka; tak je prowadziła, że wszystko mnie interesowało. Właściwie miałam wrażenie, że wspólnie odkrywamy różne rzeczy. Nigdy nie udawała, że coś wie. Kiedy zadawałam pytanie, odpowiadała szczerze: „Muszę to sprawdzić”. Opowiadała mi też o sobie. Kilka lat temu zmarł jej ojciec i rodzina (Felicity miała jeszcze dwie młodsze siostry) i żyła w wielkiej biedzie. Na szczęście pomagał im brat ojca, profesor Wills. To on znalazł Felicity tę posadę.

Przyznała, że z początku była przerażona. Spodziewała się podopiecznej, która będzie wiedziała więcej niż ona sama.

Uśmieliśmy się z tego obie.

— No cóż — powiedziała. — Córka profesora Cranleigha... To wielki uczony, bardzo szanowany w akademickich sferach.

Nie byłam pewna, co to są owe „akademickie sfery”, ale mimo to zrobiło mi się ciepło na sercu. W końcu to mój ojciec, miło wiedzieć, że cieszy się takim uznaniem.

— On i twoja matka są wprost rozchwytywani — ciągnęła Felicity.

Kolejna dobra nowina: przynajmniej nie będą nam wchodzić w drogę.

— Myślałam, że będę pod ścisłym nadzorem, że zechcą mną sterować i tak dalej, a tymczasem jest znacznie lepiej, niż oczekiwałam.

— Myślałam, że będziesz okropna... ni pies, ni wydra.

Znów parsknęliśmy śmiechem. Zresztą śmiałyśmy się bez przerwy, mimo to uczyłam się szybko. Historia była o ludziach — czasem bardzo dziwnych, nie tylko same nazwiska i szereg dat. Geografia przypominała ekscytującą podróż dookoła świata. Miałyśmy wielki globus, którym kręciłyśmy w kółko; wybierałyśmy ciekawe miejsca i wyobrażałyśmy sobie, że tam jesteśmy.

Nie sądziłam, by moim rodzicom podobał się ten sposób nauczania, ale rezultaty okazały się całkiem dobre. Nigdy w życiu nie zatrudniliby nikogo, kto wyglądałby jak Felicity i przyznawał otwarcie, że nie ma kwalifikacji ani nigdy nie uczył, gdyby nie chodziło o bratanicę profesora Willsa.

Miałyśmy więc za co być wdzięczne losowi i wiedziałyśmy o tym dobrze.

A jeszcze te nasze spacerunki! Okazało się, że Bloomsbury jest nadzwyczaj ciekawym miejscem, i postanowiłyśmy prześledzić, jak się rozwijało. Traktowałyśmy to jako rodzaj gry. Ogromnie nas poruszyło odkrycie, że sto lat temu była tu odcięta od świata wioska o nazwie Loomsbury, a między kościołem St Pancras a British Museum rozciągały się otwarte pola! Kiedyś odnalazłyśmy dom, w którym dawno temu mieszkał malarz — sir Godfrey Kneller. W skupiska zapuszczonych ruder nie mogłyśmy się zapuszczać; w poplątanych uliczkach mieszkali tam obok siebie różni biedacy i przestępcy. Ci ostatni mogli czuć się bezpiecznie, gdyż nikt nie śmiał tamtędy chodzić.

Pan Dolland, który urodził się i wychował w Bloomsbury, uwielbiał opowiadać o dawnych czasach i jak należało się spodziewać, miał spory zasób wiedzy na ten temat, toteż podczas posiłków toczyło się wiele interesujących rozmów.

W zimowe wieczory siadywaliśmy w kręgu lampy nad resztkami pasztecików i puddingów pani Harlow. Opróżniając salaterki, słuchaliśmy opowieści pana Dollanda o jego młodości w Bloomsbury.

Urodził się przy Gray's Inn Road, a że już w chłopięcych latach zwiedził najbliższe okolice, miał o nich dużo do powiedzenia.

Dobrze pamiętam każdy szczegół z tych dni. Pan Dolland naprawdę odznaczał się talentem dramatycznym i jak większość aktorów, potrafił oczarować publiczność. Nie znalazłby przychylniejszej od nas, chociaż pewnie wolałby liczniejsze grono.

— Zamknijcie oczy i pomyślcie — mawiał. — Różnica dotyczy budynków. Myślcie o tym miejscu... jak o wiosce. Nigdy nie przepadałem za wsią.

— Pan jest taki jak ja — ucieszyła się pani Harlow. — Lubi pan trochę życia.

— A my to nie? — spytała Dot.

— No nie wiem — zawahała się niania Pollock. — Wieś też ma swych zagorzałych zwolenników.

— Ja jestem ze wsi — pisnęła podkuchenna.

— Mnie tam podoba się tutaj — powiedziałam. — Lubię być z wami wszystkimi.

Niania poparła moje słowa skinieniem głowy. Pan Dolland wyraźnie był w nastroju do popisów. Zastanawiałam się, czy nie poprosić go o „Raz jeszcze w wyłom...”^{*} albo o „Dzwony”.

— Ach — westchnął. — Ileż tu się działo! Gdybyście tylko mogli zajrzeć w przeszłość...

— Szkoda, że musimy przestać na opowiadaniach — zauważyła Felicity. — Jakież to byłoby fascynujące, gdyby tak posłuchać ówczesnych ludzi...

— Nawiasem mówiąc — odezwał się pan Dolland — chociaż nie mogę sam cofnąć się w czasie, wiele słyszałem od mojej babki. Żyła tu, zanim wzniesiono te wszystkie budynki. Często opowiadała o farmie, która znajdowała się na końcu dzisiejszej Russell Street, i jej mieszkankach, pannach Cappers.

Poprawiłam się na krześle, spodziewając się opowieści o pannach Cappers. Widząc to, pan Dolland spytał z uśmiechem:

— Chce panienka posłuchać? Kiwnęłam głową.

— Były to dwie stare panny. Jedna przeżyła zawód miłosny, a druga nigdy nawet się nie zakochała. Dlatego obie miały pewien uraz do mężczyzn. Dobrze im się powodziło, miały tę farmę po ojcu i same gospodarowały, bez żadnego parobka, tylko z dwiema dziewczkami do pomocy w mleczarni. Wszystko przez tę niechęć do przeciwnej płci.

— Bo jedna się nieszczęśliwie kochała — powtórzyła Emily.

— A druga wcale — dodałam.

— Ciii — upomniała nas niania. — Dajcie panu Dollandowi mówić.

— Dziwne to były kobiety. Jeździły na starych myszatyh klaczach i chociaż nie lubiły płci męskiej, ubierały się tak, jakby do niej należały: nosiły cylindry i bryczesy. Wyglądały jak wiedźmy i wszyscy nazywali je „szalonymi Capperkami”.

Uznałam to za świetny dowcip i wybuchłam serdecznym śmiechem, ale niania znów pokręciła głową z niezadowoleniem. Powinam wiedzieć: nie wolno przerywać panu Dollandowi, kiedy już się rozkręci.

— Nie robiły nic naprawdę złego, po prostu od czasu do czasu lubiły ludziom dokuczyć. Był taki placyk, gdzie chłopcy zwykle puszczały latawce. Obie podjeżdżały na koniach i podcinały linki, a dzieciaki stały potem ze sznurkami w rękach i patrzyły, jak ich latawce lecą do Królestwa Niebieskiego.

— Powinny się wstydzić! Biedni malcy! — oburzyła się Felicity.

— To całe panny Cappers. Był tam także strumyk, w którym chłopcy zażywali kąpieli. W upalny dzień nic nie mogło im sprawić większej frajdy, więc zostawiali ubranie za krzakami i pędzili zanurzyć się w chłodnej wodzie. Jedna z Capperek ich obserwowała, a potem zabierała te rzeczy.

— Co za wredna baba! — wykrzyknęła Dot.

— Mówiła potem, że chłopcy wtargnęli na jej grunt i zasłużyli na karę.

— A nie wystarczyłoby ich uprzedzić? — spytała Felicity.

— O nie, to nie w stylu panien Cappers. Ludzie plotkowali trochę na ich temat. Szkoda, że urodziłam się za późno, żeby je poznać.

^{*} Monolog króla Henryka z III aktu sztuki Szekspira „Król Henryk V” w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

— Na pewno nie pozwolilby pan odciąć swojego latawca i wysłać go do Królestwa Niebieskiego — powiedziałam z przekonaniem.

— Złośliwe jędze i tyle. Oczywiście była też jeszcze sprawa czterdziestu kroków...

Znów oparliśmy się wygodnie, żeby wysłuchać historii czterdziestu kroków.

— To jest o duchach? — zapytałam ciekawie. — Tak jakby.

— Może posłuchalibyśmy tego rano? — zaproponowała niania, zerkając na mnie. — Panienska za mocno przeżywa takie historie i potem pół nocy nie śpi, bo wyobraża sobie, że coś słyszy...

— Ależ panie Dolland! — wykrzyknęłam błagalnie. — Proszę opowiedzieć teraz, nie mogę czekać do rana! Muszę usłyszeć o tych czterdziestu krokach!

— Nic jej nie będzie — poparła mnie z uśmiechem Felicity, zaciekawiona tak samo jak ja.

Pan Dolland, zaostrzywszy nasze apetyty, uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak kontynuować opowieść.

Niania wyglądała na niezadowoloną. Nie lubiła Felicity tak bardzo jak reszta domowników. Podejrzywałam, że widząc, jak jestem przywiązana do guwernantki, bała się utraty mojego uczucia. Nie musiała jednak się martwić, bo kochałam obie.

Pan Dolland odkaszlnął i przywołał na twarz wyraz, który zapewne przybierał, kiedy czekał za kulisami na wejście.

— Było sobie dwóch braci. Działo się to dawno temu, kiedy na tronie zasiadał król Karol. Kiedy umarł, jego syn, diuk Monmouth, uznał, że lepiej się nadaje na króla niż brat Karola, Jakub, i rozpętała się między nimi walka. Jeden z braci był za Monmouthem, a drugi za Jakubem, więc znaleźli się po przeciwnych stronach. I co ważniejsze, obaj darzyli uwielbieniem tę samą młodą damę. Tak, dwóch braci kochało jedną kobietę i doszło do tego, że postanowili stoczyć o nią walkę. A jako piękność Bloomsbury, miała o sobie bardzo wysokie mniemanie i była dumna, że chcą się o nią bić. Mieli walczyć na miecze, jak to w owych czasach. Nazywało się to „pojedynek”. W pobliżu farmy Cappersów znajdował się skrawek nieuprawnego gruntu, który zawsze miał złą reputację jako gniazdo rozbójników. Nikt rozsądny nie zapuszczał się tam po zmroku, więc miejsce w sam raz pasowało na pojedynek.

Pan Dolland wziął ze stołu duży nóż i wywijał nim zgrabnie w przód i w tył, jakby zadając ciosy niewidzialnemu przeciwnikowi. Robił to z wdziękiem, a zarazem tak realistycznie, że niemal widziałam walczących z sobą mężczyzn.

Przerwał na chwilę i wskazując kuchenny piec, powiedział:

— Tam, na ławce... rozkoszując się każdą minutą, siedziała dama będąca przyczyną waśni i patrzyła, jak dwaj młodzieńcy próbują się pozabijać z jej powodu.

Kuchenny piec stał się ławką. Siedziała na niej dziewczyna, nieco podobna do Felicity... tylko że Felicity była dobra i nie chciałyby, żeby ktoś ginął z jej powodu. Wydawało się, że wszystko to dzieje się naprawdę, zresztą jak zawsze podczas popisów pana Dollanda.

Wreszcie zadał straszliwy cios i uderzył w głuche tony:

— Nagle jeden z braci ugodził drugiego w szyję, przecinając żyłę, i w tej samej chwili sam padł, trafiony w serce. I tak obaj zginęli na Long Pields, którym później zmieniono nazwę na Southampton Fields.

— Pomyśleć, czego to ludzie nie robią z miłości — westchnęła pani Harlow.

— A który ją potem straszyl? — zapytałam.

— Ty i te twoje duchy! — prychnęła niania. — Ona zawsze tylko o jednym.

— Posłuchajcie dalej — ciągnął pan Dolland. — Kiedy tak machali mieczami, skacząc w przód i w tył — tu zilustrował swe słowa jeszcze jedną wymianą ciosów — zrobili czterdzieści kroków. I tam, gdzie stąpnęli, nic już nigdy nie chciało wyrosnąć. Ludzie chadzali potem oglądać to miejsce,

a według mojej babci, widywali wyraźne ślady i czerwoną od krwi ziemię. Nikt nigdy nie zapuszcza się tam po zmierzchu.

— Przedtem także — przypomniałam.

— Potem nawet rozbójnicy się nie ważyli... I w ogóle nikt.

— A ktoś coś widział? — spytała Dot.

— Nie. Ludzie mieli tylko takie dziwne wrażenie, że dzieje się coś nienaturalnego. Mówią, że kiedy pada deszcz, wciąż można zobaczyć czerwone ślady. Sadzono tam jakieś rośliny, ale nigdy nic nie wyrosło. A ślady zostały.

— Co się stało z tą dziewczyną? — spytała Felicity.

— O tym historia milczy.

— Mam nadzieję, że ją straszą — powiedziałam.

— Nie powinni być aż tak głupi — odparła niania. — Nie mam cierpliwości do głupców i nigdy nie będę miała.

— To smutne, że obaj zginęli — zauważyłam. — Wolałabym, żeby jeden przeżył i miał potem wyrzuty sumienia... a dziewczyna i tak nie była warta zachodu.

— Musisz się z tym pogodzić — odrzekła Felicity. — Nie zmienisz życia dlatego, żeby mieć zgrabne zakończenie.

— Napisano o tym sztukę — ciągnął pan Dolland. — Ma tytuł „Pole Czterdziestu Kroków”.

— Grał pan w niej? — spytała Dot.

— Nie. Jeszcze wtedy w ogóle nie występowałem. Ale słyszałem o niej i dlatego zainteresowałem się historią braci. Sztukę napisał niejaki Mayhew do spółki ze swym bratem... taki miły akcent: bracia o braciach, że tak powiem. Grano ją w teatrze przy Tottenham Street, szła przez jakiś czas.

— Dziwne, że to wszystko wydarzyło się właśnie w tej okolicy — powiedziała Emily.

— Cóż, nigdy nie wiadomo, co nas w życiu spotka — zauważyła z powagą Felicity.

* * *

Czas mijał, tygodnie przechodziły w miesiące, a miesiące w lata. Szczęśliwe, pogodne dni, kiedy nic nie zakłócało naszego spokoju. Zbliżały się moje dwunaste urodziny, Felicity miała już pewnie około dwudziestu czterech lat. Pan Dolland posiwił na skroniach, co naszym zdaniem dodało mu dystynkcji, a jego popisom splendoru. Niania coraz bardziej skarżyła się na reumatyzm, Dot zaś wyszła za mąż. Tęskniłyśmy za nią, ale Meg zajęła jej miejsce, by ustąpić swego Emily, i okazało się, że nie potrzebujemy już żadnej podkuchennej. W swoim czasie Dot urodziła tłustego bobasa, którego z dumą przywiozła nam do obejrzenia.

Mam wiele szczęśliwych wspomnień z tamtych czasów, ale powinnam wiedzieć, że nic nie trwa wiecznie.

Kończyło się moje dzieciństwo, a Felicity stawała się piękną młodą kobietą.

Zmiana nadciąga czasem w najbardziej podstępny sposób.

Odkąd Felicity pojawiła się w naszym domu, zdarzało się, że rodzice zapraszali ją na swoje wieczorne przyjęcia. Oczywiście — jak mi tłumaczyła — potrzebowali po prostu dodatkowej osoby płci żeńskiej dla zrównoważenia liczby gości rodzaju męskiego, Felicity zaś — choć tylko guwernantka — pasowała do towarzystwa; była przecież bratanicą profesora Willsa. Nie wyczekiwała specjalnie takich okazji. Pamiętam jej jedyną wieczorową suknię z czarnej koronki. Bardzo ładnie w niej wyglądała, ale suknia wisiała w szafie niczym smętna pamiątka po owych przyjęciach, które stanowiły jedyną okazję do jej włożenia. Felicity zawsze cieszyła się, kiedy rodzice wychodzili wieczorem, bo wiedziała, że wtedy nie grozi jej zaproszenie na górę. W

przeciwным wypadku nigdy nie miała pewności, gdyż decyzję podejmowano zwykle w ostatniej chwili. Mówiła o sobie, że jest „zapchajdziurą”, i z wielką niechęcią podejmowała się tej roli.

W miarę jak robiłam się starsza, widywałam rodziców coraz częściej. Czasem spotykaliśmy się na popołudniowej herbacie. Czulałam wtedy, że są bardziej skrupowani niż ja, ale starali się być mili; zadawali mi mnóstwo pytań o to, czego się uczę, a ponieważ miałam zdolność zapamiętywania faktów i zamiłowanie do literatury, mogłam składać wyczerpujące sprawozdania. Tak więc, chociaż moje postępy nie wprawiały ich w szczególny zachwyt, nie mieli też powodu do niezadowolenia, czego raczej można by się spodziewać.

Potem pojawiły się pierwsze oznaki zmian, choć wówczas ich nie rozpoznałam.

Miało się u nas odbyć przyjęcie i Felicity została poproszona o wzięcie w nim udziału.

— W tej czerni zawsze wyglądam na zmęczoną i ponurą — narzekała.

— Ależ skąd, bardzo ci ładnie — zapewniłam ją gorąco.

— Czuję się taka... obca. Wszyscy wiedzą, że jestem guwernantką, zaproszoną tylko po to, żeby się liczba zgadzała.

— I tak jesteś najmiłsza i najbardziej interesująca. To ją rozśmieszyło.

— Ci wszyscy poważni profesorowie uważają mnie za lekkomyślną, pustogłową idiotkę.

— ‘Sami są idiotami!’

Asystowałam jej przy ubieraniu. Upięła wysoko śliczne włosy, a ze zdenerwowania poróżnowiały jej policzki.

— Wyglądasz pięknie — powiedziałam. — Wszyscy ci będą zazdrościć.

Znowu się roześmiała, ja zaś cieszyłam się, że mogłam poprawić jej humor.

Nagle przeszył mnie lęk: niedługo ja także będę musiała chodzić na te nudne przyjęcia...

O jedenastej wieczorem Felicity weszła do mojego pokoju. Nigdy jeszcze nie widziałam jej takiej pięknej. Usiadłam na łóżku.

— Ach, Rosetto — odezwała się ze śmiechem. — Muszę ci opowiedzieć...

— Ciii — przerwałam jej. — Niania Pollock usłyszy. Potem powie, że nie powinnaś zakłócać mi snu.

Zachichotałyśmy. Felicity usiadła na krawędzi łóżka.

— To takie... zabawne!

— Co zabawne? Kolacja ze starymi profesorami?!

— Nie wszyscy byli starzy. Jeden...

— No?

— Jeden wydał mi się całkiem interesujący. Po kolacji...

— Wiem. Po kolacji panie zostawiają panów przy porto, żeby mogli omówić sprawy zbyt poważne albo zbyt nieprzyzwoite dla damskich uszu.

Znów wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Powiedz mi coś więcej o tym niestarym profesorze. Nie miałam pojęcia, że ktoś taki istnieje. Myślałam, że oni już rodzą się starzy.

— Nauka nie wszystkim ciąży.

Blask od niej bił... dopiero wtedy to zauważyłam.

— Nigdy nie sądziłam, że zobaczę cię taką rozbawioną. Dajesz mi nadzieję, bo właśnie pomyślałam, że kiedyś ja też będę musiała uczestniczyć w tych przyjęciach.

— Wszystko zależy od tego, kto tam jest — odrzekła, uśmiechając się do siebie.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze nic o tym młodym człowieku.

— Chyba ma około trzydziestki.

— Och, to już nie taki młody.

— Jak na profesora, dość młody.

- A czym się zajmuje?
- Egiptem.
- To raczej dość popularna dziedzina.
- Twoi rodzice obracają się w tym akurat kręgu.
- Powiedziałaś mu, że nazwali mnie na cześć kamienia z Rosetty?
- Owszem.
- Mam nadzieję, że wywarło to odpowiednie wrażenie?

I tak toczyła się dalej ta beztraska rozmowa, mnie zaś nie wpadło na myśl, że fakt, iż Felicity dobrze się bawiła na jednym z przyjęć, oznacza początek zmian.

Następnego dnia zawarłam znajomość z Jamesem Graftonem. Wybrałyśmy się z Felicity na poranną przechadzkę; po wysłuchaniu historii o czterdziestu krokach odnalazłyśmy ów zakątek i często chodziłyśmy w tamtą stronę. Rzeczywiście rosły tam tylko pojedyncze źdźbła trawy, a miejsce wyglądało dostatecznie ponuro i odludnie, by można uwierzyć w prawdziwość opowiadania.

Nieopodal stała ławeczka. Lubiłam na niej siadywać, bo pan Dolland tak żywo przedstawił przebieg wypadków, że z łatwością wyobrażałam sobie ów fatalny braterski pojedynek.

Niemal siłą przyzwyczajenia podażyłyśmy w stronę ławeczki i usiadłyśmy. Krótco potem pojawił się jakiś pan. Zdjął kapelusz i się uklonił. Stał przez chwilę z uśmiechem, a Felicity spłonęła rumieńcem.

— Ależ to naprawdę panna Wills! — wykrzyknął. Moja przyjaciółka uśmiechnęła się i skinęła głową.

— O, dzień dobry, panie Grafton. To jest panna Rosetta Cranleigh.

Uklonił mi się uprzejmie.

— Jak się pani miewa? Mogę usiąść na chwilę?

— Proszę bardzo — odrzekła Felicity.

Instykt podpowiedział mi, że to ten sam młody profesor, którego poznała wczoraj na przyjęciu, a dzisiejsze spotkanie zostało zaplanowane.

Potoczyła się grzecznościowa rozmowa o pogodzie.

— Więc to ulubione miejsce pań — zauważył, a ja odniosłam wrażenie, że stara się, by i mnie włączyć do rozmowy.

— Owszem, często tu przychodzimy — odrzekłam.

— Zaintrygowała nas historia o czterdziestu krokach — dodała Felicity.

— Zna ją pan? — spytałam.

Nie znał, więc mu opowiedziałam.

— Kiedy tu siedzę, wszystko to stoi mi przed oczami — wyznałam.

— Rosetta jest sentymentalna — zauważyła Felicity.

— Jak większość z nas w głębi duszy — uśmiechnął się ciepło. Podobno szedł tędy do muzeum. Odkryto jakieś papirusy i profesor Cranleigh pozwolił mu rzucić na nie okiem.

— To takie fascynujące, kiedy znajdujemy coś, co może wzbogacić naszą wiedzę! — dodał. — Profesor Cranleigh opowiadał nam wczoraj o ostatnich niezwykłych odkryciach.

Rozwodził się o nich jakiś czas, a Felicity słuchała, nie przerywając.

Nagle uświadomiłam sobie, że dzieje się coś doniosłego. Wymykała mi się, tak, wymykała, choć sama ta myśl wydała mi się śmieszna. Felicity była przecież dobra i troskliwa jak zawsze, a jednak nieco roztargniona, jakby mówiąc do mnie, myślała o czymś innym.

Podczas owego pierwszego spotkania z przystojnym profesorem nie docierało jeszcze do mnie, że Felicity jest zakochana.

Widywałyśmy go później kilkakrotnie, chociaż żadne z tych spotkań nie było przypadkowe. Pojawiał się u nas na kolacji i zawsze przy tych okazjach Felicity zapraszano do stołu. A więc i moi rodzice znali sekret.

Felicity kupiła sobie nową wieczorową suknię. Poszłyśmy razem do sklepu; wybrała wprawdzie nie tę, która najbardziej jej się spodobała, ale też bardzo gustowną, za to w umiarkowanej cenie. Odkąd poznała Jamesa Graftona, wyraźnie wyładniała, a w nowej kreacji — niebieskiej jak jej oczy — wyglądała naprawdę prześlicznie.

Pan Dolland i pani Harlow szybko się w tym wszystkim połapali.

— Dobrze trafiła — orzekła ta ostatnia. — Niewesoły jest los guwernantki... Przywiązują się i w ogóle... a potem, kiedy już nie są potrzebne, muszą iść precz, do innego domu, i tak w kółko, póki się nie zestarzeją, a potem co? To takie ładne stworzenie, czas, żeby jakiś mężczyzna nią się zaopiekował.

Muszę przyznać, że się przeraziłam. Jeśli Felicity poślubi pana Graftona, to ją stracę! Próbowałam sobie wyobrazić życie bez mojej przyjaciółki, ale jakoś nie potrafiłam.

Bardzo się interesowała starożytnym Egiptem, więc często odwiedzałyśmy British Museum. Wyzbyłam się już obaw z dzieciństwa i teraz, dzięki opowieściom Felicity, uległam urokowi Sali Egipskiej niemal tak samo jak ona.

Szczególnie pociągały mnie mumie... i to w jakiś niemal chorobliwy sposób. Miałam wrażenie, że jeśli zostanę z nimi sama, ożyją.

Często spotykałyśmy tam Jamesa Graftona. Odchodziłam wtedy na bok, żeby mógł szeptać z Felicity, sama zaś wpatrywałam się w twarze posągów Ozyrysa i Izydy, tak samo jak ci, którzy przed wiekami oddawali im boską cześć.

Pewnego dnia zastał nas tam mój ojciec. Po chwili zakłopotania zaświtała mu myśl, że oto w tym poświęconym przybytku znalazł się oko w oko z własną córką.

Kiedy wszedł, stałam właśnie przy trumnie w kształcie mumii, należącej do króla Menkary — jednej z najstarszych w kolekcji. Dostrzegłam w jego oczach błysk radości.

— Rosetto, cieszę się, że cię tu widzę.

— Przyszłam z panną Wills.

Obrócił się wolno w stronę Felicity i Jamesa.

— Rozumiem... — Na jego twarzy pojawił się wyraz, który u innych ludzi można by określić jako figlarny, ale u mojego ojca oznaczał po prostu wyrozumiałą domyślność. — Widzę, że pociągają cię mumie. .

— Tak. To wprost niewiarygodne... szczątki tych ludzi tutaj, po tak wielu latach...

— Bardzo mnie cieszy twoje zainteresowanie. Chodź ze mną. Podeszłam z nim do Felicity i Jamesa.

— Zabieram Rosettę do mojego gabinetu. Może przyjdziecie tam później... powiedzmy, za godzinę?

— Och, dziękuję panu! — zawołał James.

Wiedziałam, o co chodziło ojcu. Po prostu podarował im trochę czasu, żeby mogli pobyć sam na sam. Jakie to zabawne — profesor Cranleigh w roli Kupidyna.

Zaprowadził mnie do swego pokoju, którego nigdy dotąd nie widziałam. Ściany od góry do dołu były obstawione książkami, w kilku szklanych gablotkach leżały pokryte hieroglifami kamienie, płaskorzeźby i inne tego rodzaju przedmioty.

— Pierwszy raz masz okazję zobaczyć, gdzie pracuję — zauważył.

— Tak, ojczu.

— To dobrze, że się interesujesz starożytnością. Robimy tu wspaniałe rzeczy. Gdybyś była chłopcem, chciałbym, żebyś poszła w moje ślady.

Czułam, że powinnam go przeprosić za moją pleć, ale też stanąć w jej obronie.

— A przecież mama... — zaczęłam, ale mi przerwał.

— To wyjątkowa kobieta.

Tak, oczywiście. Ja nie dorastałam jej do pięt, nie byłam wyjątkowa. Spędziłam szczęśliwe dzieciństwo z ludźmi „z dołu”, którzy mnie zabawiali, kochali i nauczyli cieszyć się życiem.

Ponieważ zakłopotanie, które zawsze towarzyszyło naszym rozmowom, zdawało się narastać, ojciec zmienił temat i zaczął mi opisywać proces balsamowania. Słuchałam tego jak w transie, nie mogąc się nacieszyć, że jestem w British Museum i rozmawiam z ojcem.

Potem przyłączyli się do nas Felicity i James. To był naprawdę niezwykły poranek, ale tym razem zrozumiałam, że zmiana już się zbliża.

* * *

Wkrótce Felicity zaręczyła się z Jamesem Graftonem. Ucieszyło mnie to, a zarazem przeraziło. Przyjemnie było widzieć moją przyjaciółkę szczęśliwą, a zarazem dowiedzieć się, że — jak zauważyła pani Harlow — czekają bezpieczna przyszłość.

Oczywiście powstało pytanie, co będzie ze mną.

Rodzice bardziej się mną teraz interesowali, co samo w sobie okazało się kłopotliwe. Ojciec „odkrył mnie”, gdy z ciekawością oglądałam eksponaty w Sali Egipskiej. Podczas krótkiej rozmowy w jego gabinecie wcale nie okazałam się aż taką ignorantką, za jaką mnie wcześniej uważał. Wprawdzie mój mózg przez całe lata pozostawał w uśpieniu, ale może po osiągnięciu dojrzałości stanę się godna swych rodziców.

Ślub wyznaczono na marzec przyszłego roku, a tymczasem ja skończyłam trzynaście lat. Felicity miała z nami pozostać prawie do samej ceremonii, dopiero na tydzień przedtem postanowiła przenieść się do domu profesora Willsa, dzięki któremu do nas trafiła. Jak należało się spodziewać, państwo młodzi zamierzali zamieszkać w Oksfordzie, gdyż James był związany z tamtejszym uniwersytetem. Ale jak miała się teraz potoczyć moja edukacja?

Felicity otrzymała od swego stryja pewną sumę pieniędzy i mogła sobie pozwolić na uzupełnienie skromnej garderoby. Pomagałam jej w tym z wielkim entuzjazmem, chociaż nie opuszczała mnie ani na chwilę myśl o przyszłości i perspektywie pustego życia po wyjeździe przyjaciółki.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie. Felicity stała się częścią mego życia, była mi bliższa niż ktokolwiek inny. Czy dostanę nową guwernantkę, z tych bardziej tradycyjnych, która nie będzie umiała porozumieć się z panią Harlow i resztą domowników? Istniała tylko jedna Felicity na świecie i na swoje szczęście przez kilka lat miałam ją przy sobie, ale rozpamiętywanie tego, co minęło, to słaba pociecha wobec niepewnie rysującej się przyszłości.

Do dnia ślubu brakowało może trzech tygodni, kiedy rodzice wezwali mnie do salonu.

Od czasu spotkania z ojcem w British Museum w naszych stosunkach zaszła subtelna zmiana. Na pewno rodzice bardziej się mną interesowali, a mnie — chociaż zawsze powtarzałam, że dobrze mi bez ich troski — sprawiało to nawet przyjemność.

— Rosetto — powiedziała matka — twój ojciec i ja zdecydowaliśmy, że czas, abyś wyjechała do szkoły.

Tego się bynajmniej nie spodziewałam, chociaż Felicity napomykała mi wcześniej o takiej możliwości:

— Naprawdę tak będzie najlepiej — przekonywała mnie. — Guwernantki są dobre, ale powinnaś mieć koleżanki w twoim wieku. Na pewno cię to ucieszy.

Nie wierzyłam, że coś mogłoby cieszyć mnie bardziej niż towarzystwo Felicity, i wyznałam jej to bez ogródek. W odpowiedzi moja przyjaciółka uściskała mnie mocno.

— Zawsze możesz do nas przyjechać. Są przecież wakacje. Przypomniałam sobie o tym, kiedy rodzice oznajmili mi swą decyzję.

— Gresham to znakomita szkoła — oświadczył ojciec. — Ma doskonałą opinię i uważam, że w sam raz nadaje się dla ciebie.

— Wyjedziesz we wrześniu — dodała matka. — Wtedy zaczyna się rok szkolny. Trzeba poczynić przygotowania. No i oczywiście jest jeszcze kwestia niani Pollock.

Niania Pollock! A więc i ją miałam utracić. Zrobiło mi się ogromnie smutno. Pamiętałam jej kochające ręce... czułe szepty, pocięchę, jaką zawsze dla mnie miała.

— Damy jej dobre referencje — zapewniała mnie matka.

— Była wspaniała — dodał ojciec.

Zmiany... nic tylko zmiany. I tylko dla Felicity oznaczało to szczęśliwsze życie. Cóż, we wszystkim można się dopatrzeć czegoś dobrego, jak mawia pan Dolland.

Ale ja nie cierpiałam zmian.

* * *

Tygodnie mijały zbyt szybko. Każdego ranka budziłam się z przykrym uciskiem w żołądku. Przyszłość majaczyła przede mną jako coś nieznanego, a więc pełnego grozy. Widać za długo żyłam w krainie niezmaconego spokoju.

Niania Pollock była bardzo smutna.

— Zawsze tak samo — mówiła. — Pisklęta nigdy nie pozostają w gnieździe. Troszczysz się o nie jak o własne... i nagle przychodzi ten dzień. Dorastają, nie są już dziećmi.

— Ach, nianiu, nigdy cię nie zapomnę!

— Ani ja ciebie, kochaneczko. Miałam już swoje pieszczoszki, ale ci z góry... przez nich jesteś mi bliska jak moja własna. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Rozumiem, nianiu.

— Nie są okrutni czy bez serca... Co to, to nie. Po prostu nie mają głowy do niczego, bo tak ich pochłaniają te starożytne bazgroły, ci wszyscy królowie i królowe tkwiący przez całe wieki w swych trumnach i inne tego rodzaju sprawy. To wręcz chorobliwe, ciągle to powtarzam. Dziecko jest ważniejsze niż cała banda martwych królów i tych znaków, które stawiali, bo nie umieli normalnie pisać.

Parsknęłam śmiechem, a i niania poweselała nieco, widząc mnie rozchmurzoną.

— Dam sobie radę — powiedziała. — Mam kuzynkę w Somerset. Hoduje kury, a ja zawsze lubiłam na śniadanie świeżutkie jajka. Może do niej pojedę, bo raczej nie mam ochoty na kolejne dzieci... choć kto wie? W każdym razie nie ma powodu do zmartwienia. Twoja mama powiedziała, że nie muszę się śpieszyć, mogę tu zostać, póki sobie czegoś nie znajdę.

W końcu Felicity wyszła za mąż. Pojechaliśmy z rodzicami na jej ślub do domu profesora Willsa w Oksfordzie. Wypiliśmy zdrowie młodej pary, a potem Felicity przebrała się w truskawkowy kostium podróżny, który widziałam już przedtem, a nawet pomagałam jej go wybrać. Wyglądała olśniewająco, więc tłumaczyłam sobie, że muszę cieszyć się ze względu na nią, nawet jeśli mi ciężko na duszy.

Kiedy wróciłam do Londynu, oczywiście wszyscy mnie wypytywali o ślub.

— Musiała być śliczną panną młodą — mówiła pani Harlow. — Mam nadzieję, że jest szczęśliwa. Niech Bóg ją błogosławi, zasłużyła sobie na to. Chociaż z tymi profesorami nigdy nic nie wiadomo. Śmieszne z nich stworzenia.

— Jak guwernantki — przypomniałam jej.

— No... Ona była dość nietypowa.

Pan Dolland zaproponował, żebyśmy wypili za zdrowie młodej pary. Uczyniliśmy to bez wahania.

Mimo to rozmowa nie była zbyt wesoła. Niania Pollock prawie zdecydowała już, że na pewien czas wyjedzie do kuzynki w Somer — set. Wypiła za dużo wina i trochę się rozrzewniła.

— Guwernantki... nianie... Taki ich los, powinny o tym wiedzieć. Nie przywiązywałyby się tak do cudzych dzieci.

— Ale przecież my wcale nie zamierzamy utracić się nawzajem — przypomniałam jej.

— Pewnie, że nie. Przyjedziesz do mnie, prawda?

— Oczywiście.

— Tylko że to już nie to samo. Będziesz młodą damą... Te szkoły... one cię odmienia.

— Po to są, żeby kształcić.

— To nie to samo — upierała się, kręcąc głową.

— Wiem, co niania czuje — powiedział pan Dolland. — Panna Feli — city odeszła i to był początek. Ze zmianami tak zawsze: trochę tego, trochę owego i nagle wszystko jest inaczej.

— Nim zdążysz mrugnąć okiem, okazuje się, że to już inna para kaloszy — dodała pani Harlow.

— No cóż, życie nie może stać w miejscu — zauważył filozoficznie pan Dolland.

— Ale ja nie chcę żadnych zmian! — zawołałam. — Najlepiej, żebyśmy wszyscy żyli jak dotychczas. Nie chciałam, żeby Felicity wychodziła za męża, niechby tu z nami została!

Pan Dolland odchrząknął i wyrecytował uroczyście:

— „*Ruchomy Palec pisze; potem*

Sunie dalej — ni cała wasza Litość, ni cały wasz Rozum

Nie skuszą go, by wymazał choćby pół Linijki,

Tak jak wszystkie Łzy wasze nie zmyją ni Słowa”*

Odchylił się do tyłu i splótł dłonie na piersi. Zapadła cisza. Z właściwą sobie emfazą stwierdził, że takie jest życie, a jeśli czegoś nie da się zmienić, to trzeba to polubić.

* Edward Fitzgerald: „Rubajjaty Omara Chajjama”.

Burza na morzu

Kiedy nadszedł czas, wyjechałam do szkoły. Z początku czułam się okropnie, ale wkrótce przywykłam. Okazało się, że przebywanie w grupie zupełnie mi odpowiada. Ludzie zawsze mnie interesowali, więc szybko zaprzyjaźniłam się z koleżankami i zaczęłam brać czynny udział w życiu szkolnym.

Felicity całkiem nieźle mnie wyedukowała; nie byłam ani przesadnie genialna, ani tępa, ot, taka jak większość dziewcząt, co tylko wyszło mi na dobre. Nikt nie zazdrościł mi erudycji, nikt też nie wyśmiewał moich braków, po prostu wsiąkłam w tłum i zostałam zwykłą, przeciętną uczennicą.

Dni szybko mijały. Szkolne radości, dramaty, triumfy stały się częścią mego życia, chociaż często wspominałam posiłki w naszej kuchni, a zwłaszcza popisy pana Dollanda. W szkole odbywały się zajęcia z dramatu, a do stałych rozrywek należało wystawianie sztuk. Jako Bassanio w „Kupcu weneckim” odniosłam nawet skromny sukces, który w moim przekonaniu zawdzięczałam dawnym technicznym wskazówkom pana Dollanda.

Potem nadeszły wakacje. Niania Pollock w końcu wyjechała do Somerset i wraz ze swą kuzynką zaprosiła mnie na tydzień. Pogodziła się już z życiem na wsi, a w rok po wyjeździe z Bloomsbury śmierć dalekiej krewnej odmieniła całkowicie jej los.

Zmarła młoda kobieta zostawiła dwuletnią córeczkę. Rodzina zastanawiała się, jak rozwiązać problem opieki nad sierotką, i okazało się, że jest to okazja jak z nieba zesłana dla niani: nareszcie mogła wychowywać czyjeś dziecko jak swoje i nie obawiać się przymusowego rozstania, jak z tymi cudzymi!

Po moim przyjeździe do domu rodzice uznali, że powinnam jadać z nimi obiady. Wprawdzie nasze wzajemne stosunki znacznie się zmieniły, mimo to jednak tęskniłam za posiłkami w kuchni i kiedy rodzice wyjeżdżali z Londynu na badania albo wykłady, wracałam do starych zwyczajów.

Brakowało nam oczywiście Felicity i niani Pollock, za to pan Dolland brylował jak zawsze, a komentarze pani Harlow też zachowały posmak dawnych czasów.

Pozostawała mi jeszcze Felicity, która zawsze witała mnie z radością.

Miała teraz malutkiego synka Jamesa i była bardzo szczęśliwa. Całym sercem oddana obowiązkom dobrej żony i matki, okazała się też świetną gospodynią. Pozycja jej męża wymagała przyjmowania w domu gości, więc Felicity musiała się tego nauczyć. Ja także — jako dorastająca panna — uczestniczyłam w owych przyjęciach i nawet mi się to podobało.

Właśnie na jednym z takich wieczorów poznałam Lucasa Lori — mera. Felicity już wcześniej mi o nim wspomniała:

— Wiesz, Rosetto, będzie dziś u nas Lucas Lorimer. Polubisz go, jak zresztą wszyscy. Jest uroczy, przystojny... no, dość przystojny i umie sprawić, że dosłownie każdy czuje się przy nim jak ktoś niezwykle. Zachowuje się tak wobec wszystkich. To raczej niespokojny duch... przez pewien czas służył w wojsku, ale zrezygnował. Jego starszy brat Carleton odziedziczył właśnie sporą rodzową posiadłość w Kornwalii. Ojciec zmarł parę miesięcy temu i Lucas, jako młodszy syn, nie bardzo wie, co teraz robić. Oczywiście w majątku jest mnóstwo pracy, ale wolałby rządzić. Kilka lat temu znalazł w ogrodach Trecorn Manor — tak nazywa się posiadłość — bardzo stary kamienny medal. Było z tego powodu trochę zamieszania, bo znalezisko pochodziło z Egiptu i wszyscy zastanawiali się, skąd się tam wzięło. Twój ojciec także miał z tym zabytkiem do czynienia.

— Pewnie owa rzecz musiała być pokryta hieroglifami.

— I po tym poznano, skąd pochodzi. Lucas napisał książkę, rozumiesz, bo zainteresował się tym przedmiotem bliżej i nawet porobił pewne badania. Odkrył, że jest to medal za jakieś zasługi dla wojska, co doprowadziło go do poznania zwyczajów starożytnego Egiptu. O kilku z nich nigdy dotąd nie słyszano. Książka zainteresowała kilka osób z kręgu twego ojca. Tak czy inaczej poznasz dziś Lorimera, więc sama go ocenisz.

I rzeczywiście tak się stało.

Był wysoki, szczupły i gibki; od razu wyczuwało się jego witalność.

— Panna Rosetta Cranleigh — przedstawiła mnie Felicity.

— Jakże mi miło — powiedział, ujmując mnie za obie ręce.

Miała rację: naprawdę potrafił sprawić, że człowiek czuł się kimś ważnym, jakby banalne słowa powitania nie były tylko formalnością. Mimo ostrzeżeń Felicity od razu mu uwierzyłam.

— Córka profesora Cranleigha — ciągnęła moja przyjaciółka — i moja dawna uczennica. Właściwie jedyna, jaką miałam.

— Naprawdę? Poznałem kiedyś pani ojca, to genialny człowiek.

Felicity zostawiła nas, żebyśmy mogli porozmawiać. Właściwie głównie to on mówił — jak bardzo jest wdzięczny memu ojcu, za to że profesor, nie szcędząc swego cennego czasu, tak bardzo mu pomógł. Potem chciał się dowiedzieć czegoś o mnie. Wyznałam, że jestem jeszcze w szkole i do jej ukończenia brakuje mi paru semestrów, tu zaś przebywam na wakacjach.

— A co zamierza pani robić później? Uniosłam bezradnie ramiona.

— Śmiem przypuszczać, że szybko wyjdzie pani za mąż — zauważył, dając mi do zrozumienia, że admirał moich wdzięków będą się pchali drzwiami i oknami.

— Nigdy nie wiadomo, co nam się przydarzy.

— O tak, to wielka prawda — przyznał, jakby zdawkowa uwaga uczyniła ze mnie mędrca.

Tak jak mówiła Felicity, koniecznie chciał sprawiać wszystkim przyjemność. Jeśli ktoś był o tym uprzedzony, widział to bardzo wyraźnie, niemniej czuł się mile wyróżniony.

Przy kolacji okazało się, że siedzimy obok siebie. Bardzo łatwo się z nim rozmawiało. Opowiedział mi o swym znalezisku i o tym, jak w rezultacie zmieniło się jego życie.

— Rodzina zawsze była związana z wojskiem, a ja tę tradycję złamałem. Wuj pułkownik pełnił służbę w regimencie zwykle poza granicami Anglii, gdzieś na rubieżach Imperium. Przekonałem się, że mnie takie życie nie odpowiada, więc wystąpiłem z armii.

— Odnalezienie tego kamienia musiało być dla pana wielkim przeżyciem.

— Istotnie. Jeszcze służąc w wojsku, spędziłem jakiś czas w Egipcie, więc szczególnie mnie to zainteresowało. Po prostu sobie leżał, cały pokryty hieroglifami... Ziemia była wilgotna, ogrodnicy sadzili akurat jakieś rośliny.

— Przydałby się kamień z Rosetty.

Wybuchnął śmiechem.

— Ach, tu nie było aż tyle niejasności. Pani ojciec przetłumaczył mi napisy.

— Miło mi to słyszeć. Wie pan, nazwano mnie Rosettą od tamtego kamienia.

— Tak, słyszałem, Felicity mi powiedziała. Musi pani być bardzo dumna.

— Owszem. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam go w muzeum, nie mogłam oderwać oczu z podziwu.

— Imię to ważna rzecz — zauważył z uśmiechem. — Nigdy by pani nie zgadła, jak dano mi na pierwsze.

— Proszę mi zdradzić.

— Hadrian! Wyobraża pani sobie, co to za obciążenie? Ciągle wszyscy pytają o mur. Hadrian Edward Lucas Lorimer. Pierwsze nie wchodzi w rachubę z wyżej wymienionych przyczyn,

drugie... no cóż, Edwardów mamy całe mrowie. Lucasów rzadziej się spotyka, no więc zostałem Lucasem. Ale zauważyła pani, jakie słowo tworzą moje inicjały? To dość niezwykle: HELL*.

— I zupełnie nieodpowiednie — powiedziałam ze śmiechem.

— Ach, bo pani mnie jeszcze nie zna! A pani ma drugie imię?

— Nie, jestem po prostu Rosetta Cranleigh.

— Czyli RC.

— Ani trochę nie tak zabawnie jak u pana.

— Pani inicjały sugerują kogoś bardzo pobożnego*, natomiast ja mógłbym być diabłem. To znamienne, nie sądzi pani? Takie przeciwstawne sfery... Jestem pewien, że to zwiastun przyszłej przyjaźni. Powinna pani zawrócić mnie ze złej drogi i wyrzucić dobry wpływ na moje życie. Podoba mi się ta myśl.

Roześmiałam się i oboje umilkliśmy na chwilę.

— Przypuszczam, że interesuje się pani starożytnym Egiptem — podjął po chwili. — Córka takich rodziców...

— Do pewnego stopnia. Wie pan, w szkole nie ma wiele czasu na takie sprawy. Za bardzo nas pochłania czas teraźniejszy,

— Chciałbym się dowiedzieć, co naprawdę oznacza napis na moim kamieniu.

— Jak to? Mówił pan, że ojciec go przetłumaczył?

— Owszem... na swój sposób. Wszystkie te inskrypcje są takie zagadkowe... Znaczenie zaszyfrowane jest w słowach, które nie są zbyt jasne.

— Czemu ludzie muszą tak wszystko utrudniać?

— Bo lubią tajemnice, nie sądzi pani? Tak jest ciekawiej. To samo dotyczy i nas: kiedy stopniowo odkrywamy niuanse czyjegoś charakteru, coraz bardziej interesujemy się samym człowiekiem. — Uśmiechnął się do mnie, przekazując oczami coś, czego nie zrozumiałam. — Niedługo się pani przekona, że mam rację.

— Jak będę starsza, tak?

— Chyba nie lubi pani, gdy ktoś nawiązuje do jej wieku.

— Cóż... Tacy ludzie zwykle uważają, że niewiele jeszcze rozumiem.

— Ależ powinna pani upajać się swą młodością! Poeci twierdzą, że tak szybko przemija... „Rwijcie róż pąki, póki młode...”*

Uśmiechał się do mnie łagodnie, niemal czule.

Dał mi tym trochę do myślenia i chyba zdawał sobie z tego sprawę.

Po kolacji wyszłam razem z innymi paniami, a kiedy panowie przyłączyli się do nas, już z nim nie rozmawiałam.

Felicity zapytała mnie później, jak mi się podobał.

— Widziałam, że przypadliście sobie do gustu.

— On jest z tych, co to z każdym miło porozmawiają... ślizgając się po powierzchni.

Zawahała się przez chwilę.

— Tak... Masz rację.

To znamienne, że z całej tej wizyty najbardziej zapadło mi w pamięć spotkanie z Hadrianem Edwardem Lucasem Lorimerem.

* Czyli „piekło”.

* Skróty RC oznacza m.in. *roman catholic* — rzymski katolik.

* Robert Herrick: „Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły”, tłum. Stanisław Barańczak.

* * *

Kiedy przyjechałam do domu na Boże Narodzenie, rodzice wydali mi się bardziej ożywieni niż zwykle... wręcz podnieceni. A jedyną rzeczą, która moim zdaniem mogła wywołać taki stan, była jakaś nowo pozyskana wiedza. Może nastąpił przełom w ich dotychczasowych badaniach? Może odkryto inny kamień podobny do tego z Rosetty?

Nic z tych rzeczy.

Zaraz po moim przyjeździe wezwali mnie na rozmowę.

— Zdarzyło się coś interesującego — oznajmiła matka. Ojciec uśmiechał się łaskawie.

— I dotyczy to ciebie — dodał. Wpadłam w popłoch.

— Pozwól nam wyjaśnić — ciągnęła matka. — Zaproszono nas na bardzo ciekawy cykl wykładów. Zaczniemy od Kapsztadu, a następnie udamy się do Baltimore i Nowego Jorku.

— Ach, tak? To długo was nie będzie.

— Twoja matka uważa, że miło połączyć wakacje i pracę.

— Ojciec ostatnio za ciężko pracuje — wyjaśniła. — Oczywiście nie zostawi wszystkiego. Ale może wszędzie pracować nad nową książką.

— Oczywiście — mruknęłam.

— Do Kapsztadu popłyniemy statkiem... to długa morska podróż. Zostaniemy tam kilka dni, póki ojciec nie skończy wykładów. Statek w tym czasie odwiedzi Durban, ale wróci. W Baltimore opuścimy go na kolejny wykład, potem drogą lądową pojedziemy do Nowego Jorku, skąd innym statkiem wrócimy do domu.

— Bardzo interesujące.

Zapadło krótkie milczenie, wreszcie ojciec zerknął na matkę i powiedział:

— Zdecydowaliśmy, że tym razem będziesz nam towarzyszyć. Byłam zbyt zdumiona, by się odezwać.

— Wy... naprawdę tego chcecie? — wyjąkałam po chwili.

— Dobrze ci zrobi, jeśli zobaczysz trochę świata. — A kiedy... kiedy...

— Wyjedziemy w końcu kwietnia. Czeka nas sporo przygotowań.

— Będę jeszcze w szkole.

— I tak wróciłabyś do domu po zakończeniu letniego semestru. Uznaliśmy, że wiele nie stracisz, jeśli go trochę skrócimy. W końcu będziesz już miała prawie osiemnaście lat, to niemal dorosłość.

— Mam nadzieję, że jesteś zadowolona? — spytał ojciec.

— Ja... tak mnie to zaskoczyło... Uśmiechnęli się do mnie oboje.

— Ty też będziesz musiała się przygotować. Możesz się poradzić Felicity Wills... czy raczej Grafton. Odkąd wyszła za mąż, stała się światową kobietą, będzie wiedziała, czego ci trzeba. Może ze trzy wieczorowe suknie i w ogóle... jakieś przyzwoite rzeczy.

— Och tak... tak.

Po przemyśleniu sprawy nie byłam już taka pewna, czy się cieszę czy nie. Owszem, pociągała mnie podróż, podziwianie nowych widoków... Z drugiej strony jednak, w towarzystwie ludzi o takiej wiedzy jak moi rodzice zawsze będę się czuła jak gąska.

Z przyjemnością myślałam o zakupach. Nie mogłam się doczekać porad Felicity.

Opisałam jej cały projekt. Odpowiedź nadeszła odwrotną pocztą:

Co za ekscytująca historia! James w marcu wyjeżdża na kilka dni na północ. Mam cudowną piastunkę, która uwielbia Jamiego, a on ją, będę więc mogła wyrwać się na kilka dni do Londynu i urządzimy sobie prawdziwą orgię zakupową.

W miarę upływu czasu perspektywa podróży za granicę fascynowała mnie coraz bardziej i niebawem zapominałam o jej ujemnych stronach.

W swoim czasie Felicity przyjechała do Londynu i tak jak się spodziewałam, całym sercem oddała się misji zaopatrzenia mnie we właściwe stroje. Teraz, kiedy skończyłam szkołę, patrzyła na mnie zupełnie innymi oczami.

— Masz wprost olśniewające włosy — zauważyła. — To twój największy atut i przy zakupach musimy o tym pamiętać.

— Włosy? — Nigdy się nad nimi nie zastanawiałam, chociaż widziałam, że są wyjątkowo jasne, a poza tym długie i gęste.

— Mają kolor zboża i naprawdę zwracają uwagę. O takich mówi się „złote”. Możesz z nimi zrobić, co tylko ci się zamarzy: nosić upięte, kiedy zechcesz wyglądać dystyngowanie, albo po prostu związać z tyłu wstążką czy nawet zapleść w warkocz, jak przystało na skromną, stateczną pannę. To świetna zabawa... Skoncentrujemy się też na niebieskim kolorze, żeby podkreślić barwę twoich oczu.

Ponieważ rodzice wyjechali do Oksfordu, wróciliśmy do starych zwyczajów i jadałyśmy posiłki w kuchni. Czuliśmy się jak za dawnych czasów, skłoniłyśmy nawet pana Dollanda, żeby na to konto odegrał nam Hamleta albo Henryka V i wygłosił kilka porywających fragmentów z „Dzwonów”.

Do kompletu brakowało tylko niani Pollock, ale opowiedziałam jej w liście, co się u nas dzieje. Była teraz bardzo szczęśliwa, gdyż mała Evelyn — niezłe ziółko — zawładnęła nią całkowicie, przypominając jej mnie w tym samym wieku.

Paradowałam po kuchni w moich nowych strojach, wywołując ochy i achy Meg i Emily oraz kostyczne komentarze pani Harlow, która burczała pod nosem coś na temat obecnej mody.

Spędziłam ten czas naprawdę miło i nawet niekiedy przychodziło mi na myśl, że przygotowania do podróży mogą okazać się przyjemniejsze niż ona sama.

Z żalem pożegnałam Felicity, która wróciła do Oksfordu. Dzień wyjazdu do Tilbury, gdzie mieliśmy wsiąść na pokład „Gwiazdy Atlantyku”, zbliżał się wielkimi krokami.

W kuchni trwały niekończące się rozmowy na temat podróży. Nikt z domowników nie był jeszcze za granicą, nawet pan Dolland, chociaż ten o mały włos nie wyjechał kiedyś do Irlandii. Ale to — jak mawiała pani Harlow — już inna para kaloszy: ja miałam zobaczyć naprawdę dalekie kraje, co mogło się wiązać z pewnym ryzykiem.

Z cudzoziemcami, zdaniem pani Harlow, nigdy nic nie wiadomo, a ja będę miała z nimi sporo do czynienia. Ona sama w życiu by nie wyjechała, nawet gdyby kto jej dawał sto funtów.

A na to Meg:

— Cóż, pani H., na razie nikt pani nie daje stu funtów, więc nic pani nie grozi.

Pani Harlow łypnęła na nią spod oka. Zawsze uważała, że Meg ma się za Bóg wie kogo.

Wkrótce jednak te ciągłe pogwarki o pozytywnych i negatywnych stronach podróży ustały, a na ich miejsce pojawił się temat morderstwa.

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o sprawie od chłopców sprzedających gazety na ulicach.

— Potworna zbrodnia! — wykrzykiwali. — Mężczyzna z przestrzeloną głową na starej farmie!

Czym prędzej wysłano Emily po gazetę. Pan Dolland zasiadł przy stole, włożył okulary i przeczytał głośno wiadomość wszystkim zgromadzonym.

Było to w owym czasie najważniejsze wydarzenie, poza tym nic specjalnego się nie działo. Na tak zwane Morderstwo w Bindon Boys rzuciła się skwapliwie cała prasa. Wszyscy śledzili przebieg wypadków, zastanawiając się, co będzie dalej.

Pan Dolland snuł własne teorie, a zdaniem pani Harlow, znał się na tych sprawach nie gorzej od policji, bo przecież w sztukach teatralnych morderstwa są na porządku dziennym.

— Powinni wezwać go na pomoc — oznajmiła. — Już on by ich porozstawiał po kątach.

Ale tymczasem pan Dolland, grzejąc się w blasku ogólnego podziwu, głosił swe poglądy wyłącznie przy kuchennym stole:

— To na pewno ten młody człowiek. Wszystko na niego wskazuje. Niby należał do rodziny, ale tak naprawdę był obcy. Chytra z niego sztuka, o tak, chytra sztuka...

— Dlaczego akurat on? — zapytałam.

— Adoptowany syn, ot co. Musiał być zazdrosny o tego drugiego. Z zazdrości człowiek naprawdę może zrobić wszystko.

— Nie znoszę opuszczonych domostw — rzekła pani Harlow. — W takich miejscach zawsze ciarki mi chodzą po krzyżu.

— Oczywiście mówi się, że poszedł na tę opuszczoną farmę, Bindon Boys, jak ją nazywają, i tam go zastrzelił — ciągnął pan Dolland. — Bo widzicie, ten Cosmo był najstarszym synem i to właśnie nie dawało spokoju temu drugiemu. No i jeszcze ta wdowa... Mirabel. Chciał ją dla siebie, a tymczasem dostał ją Cosmo. I macie gotowy motyw. Zwabił Cosma do opuszczonej chałupy i tam zastrzelił.

— Pewnie udałoby mu się uciec — wtrąciłam — gdyby nie młodszy brat... Tristan, tak? Zjawił się w porę i złapał mordercę na gorącym uczynku.

Podsumowałam całą historię. Sir Edward Perrivale miał dwóch rodzonych synów — Cosma i Tristana. Oprócz nich wychowywał jeszcze adoptowanego Simona, którego przywiózł do domu jako pięcioletniego chłopca. Simon, choć edukowany na równi ze swymi przybranymi braćmi, cały czas był świadom, że stoi nieco z boku.

Schorowany sir Edward umarł akurat w czasie, kiedy popełniono morderstwo, i prawdopodobnie nawet o nim nie wiedział. Bindon Boys — pierwotnie Bindon Bois, ze względu na pobliski zagajnik*, jak głosiła prasa — to zrujnowana, opuszczona chałupa na terenie posiadłości Perrivale'ów, jednej z większych na wybrzeżu Kornwalii. Zarządem majątku zajmowali się wszyscy trzej bracia. Podejrzewano, że Simon zwabił Cosma do owej chałupy i tam z zimną krwią zastrzelił. Prawdopodobnie miał plan pozbycia się ciała, ale zjawił się Tristan i zaskoczył go ze strzelbą w rękę. Zazdrość adoptowanego syna o przybranych braci wydawała się dostatecznym motywem, lecz istniał jeszcze jeden: otóż Simon kochał wdowę, z którą zaręczył się Cosmo.

Cała służba śledziła tę sprawę z wielkim zainteresowaniem i przyznając, że ja także dałam się wciągnąć.

Być może obawiałam się trochę podróży i po prostu skorzystałam z okazji, by zająć myśli czymś innym. Podniecona jak wszyscy w suterenie, zasiadałam przy kuchennym stole i słuchałam, jak pan Dolland wiesza psy na Scotland Yardzie.

— U nich to się nazywa „zamknięty przypadek”.

— Byłaby z tego niezła sztuka — zauważyła pani Harlow.

— Sam nie wiem... Rozumiecie, tu od początku wiadomo, kto jest mordercą. W sztuce musi być najpierw mnóstwo przesłuchań, śladów i tak dalej, a potem zaskakujące zakończenie.

— Może to nie takie proste, jak by się wydawało? — zasugerowałam. — Wszystko wskazuje na Simona, ale on sam twierdzi, że jest niewinny.

— A co ma mówić? — zapytała retorycznie pani Harlow. — Każdy próbuje ratować własną skórę i zwała winę na kogo innego.

* Bois (franc.) — lasek.

Pan Dolland złożył dłonie i zapatrzył się w sufit.

— Spójrzcie na fakty — odezwał się po chwili. — Ów człowiek sprowadza do domu obce dziecko i wychowuje je jak własne. Pozostali synowie jednak traktują przybyłego jak intruza, a chłopiec nie może się z tym pogodzić. Uraza narasta w nim przez całe lata, do domu wkrada się nienawiść. I jeszcze sprawa tej wdowy: Cosmo chce się z nią żenić, więc Simon, który zawsze widział w nim wroga, zabija go... ale nagle zjawia się Tristan i łapie go na gorącym uczynku.

— Co za fantastyczne imiona — zauważyła Meg i zachichotała, zasłaniając usta dłonią. — Zawsze miałam słabość do takich...

Pominęliśmy tę uwagę milczeniem, czekając, co jeszcze powie pan Dolland.

— No właśnie, wdowa. To była ostatnia kropla goryczy. Cosmo dostanie wszystko, a Simon? Niewiele więcej niż służący... Nagromadzona złość bucha płomieniem i... oto macie morderstwo z premedytacją. Ach, zanim Simon zdołał pozbyć się ciała, na scenę wkracza Tristan i psuje mu szyki. Morderstwo w utworze literackim nie ma prawa się udać. Zawsze tak jest, inaczej to żaden dramat... Sztuki muszą być zaczerpnięte z życia.

Wszyscy uczepiliśmy się kurczowo tych słów. Emily wyznała jednak:

— Nic nie poradzę, żal mi tego Simona...

— Żal jej mordercy! — oburzyła się pani Harlow. — Straciłaś rozum, dziewczyno? Może chcesz, żeby tu przyszedł i przestrzelił ci ten pusty łeb?

— Przecież ja nie jestem Cosmo.

— To dziękuj swej szczęśliwej gwiazdzie i siedź cicho. Nie przerywaj panu Dollandowi.

— Możemy tylko czekać — oświadczył nasz mędrzec.

Nie musieliśmy czekać zbyt długo. Znowu na ulicach rozkrzyczeli się gazeciarze:

— Dramatyczny zwrot w sprawie Bindon Boys! Kupujcie i czytajcie!

Czytaliśmy więc... i to chciwie. Wydawało się, że policja lada chwila aresztuje Simona Perrivale'a. Czemu z tym zwlekano — tej tajemnicy nie rozgryzł nawet pan Dolland. A teraz Simon zniknął.

„GDZIE JEST SIMON PERRIVALE?” — krzyczały nagłówki. „KTO WIDZIAŁ TEGO CZŁOWIEKA?”, a potem: „POLICJA NA TROPIE!” i „ARESztOWANIE NASTĄPI LADA CHWILA!”.

— No i proszę — obwieścił pan Dolland. — Uciekł! Nie mógł jaśniej powiedzieć: „Jestem winien”. Znajdą go, nie ma obawy.

— Miejmy nadzieję — westchnęła pani Harlow. — Człowiek we własnym łóżku nie czuje się bezpiecznie, skoro mordercy biegają wolno.

— On nic do pani nie ma — zauważyła przytomnie Meg.

— Ja bym mu nie ufała — burknęła tamta.

— Na pewno szybko go znajdą — uspokajał je pan Dolland. — Kazali go wszędzie szukać.

Dni jednak mijały, a w gazetach nie było ani słowa o pojmaniu zbiega.

Po pewnym czasie ten temat odszedł z dalszego planu. Zbliżał się złoty jubileusz królowej i zabrakło miejsca dla plugawego morderstwa, tym bardziej że główny podejrzany opuścił scenę. Niewątpliwie po jego ujęciu nastąpi nowy wybuch zainteresowania, lecz na razie sprawę Bindon Boys zesłano na dalsze strony.

Trzy dni przed wyjazdem odwiedził nas pewien gość.

Siedziałam w swoim pokoju, kiedy przysłali po mnie rodzice. Miałam natychmiast zejść do salonu. Czekala tam na mnie niespodzianka: na moje powitanie z krzesła podniósł się Lucas Lorimer.

— Pan Lorimer powiada, że spotkaliście się u państwa Graftonów — odezwała się matka.

— No... tak — odrzekłam, naiwnie nie kryjąc radości. Ujął mnie za rękę i patrzył prosto w oczy z uśmiechem.

— To wielka przyjemność poznać córkę profesora Cranleigha — oświadczył, komplementując zarówno ojca, jak mnie.

Rodzice uśmiechali się łaskawie.

— Mamy dobre nowiny — powiedział ojciec.

Patrzyli na mnie jak na dziecko, które zaraz się dowie o ukrytej niespodziance.

— Pan Lorimer płynie razem z nami na „Gwieździe Atlantyku”.

— Naprawdę?! — wyrwał mi się radosny okrzyk.

Lucas Lorimer przytaknął.

— To dla mnie wielka niespodzianka i wielki zaszczyt. Zaproponowano mi odczyt na temat mojego odkrycia. Ma się odbyć akurat w tym samym czasie, co wykład profesora Cranleigha.

Zatrzęsłam się w duchu ze śmiechu. Rozbawiło mnie owo subtelne podkreślenie różnicy między odczytem a wykładem. Nie mogłam wprost uwierzyć, że nasz gość naprawdę jest aż tak skromny. Wyraz jego oczu jakoś tego nie potwierdzał.

— A więc — ciągnął ojciec — czeka nas wspólna podróż.

— Będzie mi bardzo miło — zapewniłam, zgodnie z prawdą.

— Nie mogę wprost wyrazić, jak się cieszę — wyznał Lorimer. — Często sobie myślę, że znalazłem ten kamień w moim szczęśliwym dniu.

Ojciec zauważył z uśmiechem, że odcyfrowanie napisu sprawiło mu nieco trudności. Nie, nie chodzi o hieroglify, rzecz jasna, tylko o znaczenie... dokładne znaczenie. To typowe dla mentalności starożytnych — zawsze musieli wszystko obwarować zagadkami.

— I dlatego to takie ciekawe — odrzekł Lorimer.

— Dobrze, że zawiadomił nas pan o tym zaproszeniu i o tym, że je pan przyjął.

— Ależ profesorze, jak mógłbym się nie zgodzić na zaszczyt dzielenia z panem mównicy... no, może nie tyle dzielenia, ile — że się tak wyrażę — chodzenia po pańskich śladach.

Rodzice byli wyraźnie zachwyceni, co świadczyło o tym, że potrafią wychynąć z intelektualnej otoczki, aby dla odmiany pogrzać się w blasku drobnego pochlebstwa.

Lucas Lorimer został zaproszony na lunch, podczas którego omawialiśmy naszą podróż, a ojciec, zachęcany przez matkę, zapoznał nas z tematem swych wykładów w Afryce i w Stanach.

W głowie kołatało mi tylko jedno: on tam będzie! I na statku, i w zagranicznych miastach. Sama myśl o tym napęłała mnie podnieceniem, głuszając na swój sposób lęk.

Obecność Lucasa Lorimera z pewnością doda pikanterii mojej przygodzie.

* * *

Pierwsze w życiu wejście na pokład statku bardzo poprawiło mi humor. Do Tilbury jechałam z rodzicami. Całą drogę siedziałam cicho, słuchając ich rozmowy, która dotyczyła głównie wykładów ojca. Byłam z tego dość zadowolona, gdyż przynajmniej czułam się zwolniona od zabierania głosu i związanych z tym napięć. Ojciec mówił też o Lorimerze i zastanawiał się, jak zostanie przyjęty jego odczyt.

— Oczywiście dysponuje tylko powierzchowną wiedzą, ale podobno umieją przekazywać w lekki sposób. Nie jest to właściwe podejście, choć odrobina lekkości czasem bywa zupełnie do przyjęcia.

— Mam nadzieję, że będzie mówił do pracowników nauki — powiedziała matka.

— O, tak. — Ojciec obrócił się do mnie z uśmiechem. — Jeśli będziesz chciała o coś zapytać, Rosetto, to się nie krępuj.

— Właśnie — dodała matka. — Jeśli mało wiesz, tym więcej skorzystasz z wykładów.

Podziękowałam grzecznie, odnosząc wrażenie, że jednak nie są ze mnie tak całkiem niezadowoleni.

Nasze kabiny sąsiadowały ze sobą. Moją współtowarzyszką była dziewczyna, która jechała do Afryki Południowej, gdzie jej rodzice gospodarowali na farmie. Skończyła niedawno szkołę i była nieco ode mnie starsza. Nazywała się Mary Kelpin, okazała się dosyć miła.

Wybrała dolną koję, co nie robiło mi najmniejszej różnicy, miałam nawet wrażenie, że na dole może być duszno. Naszą wspólną szafę skrupulatnie podzieliła na dwie części; pomyślałam, że w czasie podróży jakoś z sobą wytrzymamy.

Wczesnym wieczorem odbiliśmy od brzegu, ale jeszcze przedtem odnalazł nas Lucas Lorimer — usłyszałam jego głos w kabinie rodziców. Nie przyłączyłam się jednak do nich; postanowiłam zwiedzić statek. Obejrzałam salony dla pasażerów, po czym wyszłam na pokład, żeby po raz ostatni rzucić okiem na dok. Wychylona za reling, przyglądałam się właśnie ruchowi na dole, kiedy obok odezwał się głos:

— Wiedziałem, że zechce pani popatrzeć, jak wychodzimy w morze.

— Rzeczywiście.

— Czy to nie zabawne, że razem podróżujemy?

— Zabawne?

— Na pewno tak będzie. Co za cudowny zbieg okoliczności!

— Wszystko wynikło w dość naturalny sposób. Według pana to zbieg okoliczności?

— Widzę, że trzyma się pani ściśle reguł językowych. Musi pani pomóc mi przy układaniu odczytu.

— Jeszcze pan go nie przygotował? Ojciec pracuje nad swoim od wieków.

— Bo jest profesjonalistą. Ja to co innego. Zamierzam mówić o mistycyzmie Wschodu. Coś ze smaczków „Arabskich nocy”...

— Tylko proszę nie zapominać, że będzie pan mówił do specjalistów.

— Och, mam nadzieję na szersze audytorium... ludzi z wyobraźnią, romantyków i tak dalej.

— Na pewno ich nie zabraknie.

— Tak się cieszę, że razem płyniemy! Teraz, kiedy już nie jest pani uczennicą... Sama podróż musi być ekscytująca, nieprawdaż?

— Tak sędzę.

— Ledwie u progu życia — i już taka przygoda! Powietrze przeszył dźwięk syreny.

— To chyba znaczy, że ruszamy. Tak, rzeczywiście. Zegnaj, Anglio, witajcie nowe lądy... nowe widoki, nowe przygody!

Mówił to ze śmiechem. Ja także poweselałam, zadowolona, że jest z nami.

Potem również ten nastrój mnie nie opuszczał. Kapitan i niektórzy pasażerowie odnosili się do moich rodziców z wielką rewerencją. Wiadomość, że udają się na wykłady do Kapsztadu i Ameryki Północnej, szybko rozeszła się po statku i spoglądano na nich niemal z nabożeństwem. Lucas szybko zyskał sobie popularność i był dosłownie rozrywany. Wiedziałam dlaczego. Należał do ludzi bardzo bezpośrednich — gdziekolwiek się pojawiał, zaraz rozlegały się śmiechy i następowało ogólne ożywienie.

Dla mnie był wręcz czarujący, ale dla wszystkich innych także. Szedł przez życie gładko, bez oporów i odnosiłam wrażenie, że dzięki swemu rzadkiemu darowi zawsze uzyskiwał to, czego chciał.

Moją kabinową towarzyszkę zawojował całkowicie.

— Co za uroczy mężczyzna! — zachwycała się Mary. — Pomyśleć, że znałaś go jeszcze przed podróżą... Szczęściara!

— Cóż... widzieliśmy się krótko na pewnym przyjęciu, a potem przyszedł nas zawiadomić, że płynie tym samym statkiem.

— Pewnie to ze względu na twego ojca.

— Co ze względu na ojca?

— Jest dla ciebie taki miły.

— Dla wszystkich jest taki.

— I do tego jeszcze przystojny... aż za bardzo przystojny — dodała złowieszczo, przyglądając mi się z namysłem.

Miała skłonność do traktowania mnie jak naiwną gąskę, bo całkiem głupio wygadałam się, że z powodu podróży nie dokończyłam semestru. Ona skończyła szkołę zeszłego lata, więc musiała być mniej więcej o rok starsza.

Przyszło mi do głowy, że Mary chce mnie ostrzec przed Lucasem. Już miałam jej odpowiedzieć ze złością, że nie ma takiej potrzeby, ale nagle przestraszyłam się własnej gwałtowności. Pod jednym względem miała rację: że nie znam się na światowych obyczajach.

A czas spędzony z Lucasem był na pewno przyjemny.

Jednego z pierwszych dni znaleźliśmy na pokładzie osłonięte miejsce; morze było wówczas nieco wzburzone i dał silny wiatr. Rodzice spędzali większość czasu u siebie, więc mogłam bez przeszkód wędrować po statku.

Oddawałam się temu z wielkim zainteresowaniem i wkrótce nabrałam własnych zwyczajów. Staralam się jak najmniej przebywać w ciasnej kabinie, zwłaszcza że musiałam ją dzielić z dość gadatliwą i protekcyjną Mary. Na górnej koi było mi trochę duszno, więc budziłam się wcześniej i leżałam cicho, wyczekując, aż nadejdzie czas wstawania.

Potem odkryłam, że potrafię zejść po drabince, nie budząc mojej towarzyszk. Wystarczyło narzucić na siebie parę rzeczy i wymknąć się na pokład. Wczesnym rankiem było takie cudowne światło! Siadywałam w naszym osłoniętym zakątku i patrzyłam na wschód słońca. Zachwyciło mnie poranne niebo — czasem delikatnie perłowe, kiedy indziej krwiste czerwone. Wyobrażałam sobie figury utworzone z płynących po niebie chmur, słuchałam fal pluszczących o burty statku. Potem, w ciągu dnia, nigdy już nie było tak spokojnie jak o poranku.

Za każdym razem, kiedy tam siedziałam, widywałam mężczyznę w niebieskim kombinezonie, zajętego zmywaniem pokładu. Zawarłam z nim nawet znajomość, jeśli można tak to określić. Przechodził obok ze swą szczotką i kubłem, wylewał trochę wody i szorował deski. O tej porze na pokładzie oprócz nas nie było nikogo. Kiedyś, gdy podszedł bliżej, zagadnęłam go:

— Dzień dobry! Wysłałam odetchnąć świeżym powietrzem. W kabinie jest strasznie duszno.

— O, tak — odrzekł, nie przerywając pracy.

— Nie przeszkadzam panu?

— Ach, nie. Wszystko w porządku. Mogę ten kawałek umyć później.

Mówił jak kulturalny człowiek, bez akcentu... Przyjrzałam mu się uważnie: dość wysoki szatyn o smutnych oczach.

— Chyba mało kto przesiaduje tu o tej porze?

— Owszem.

— Pewnie pan myśli, że jestem wariatką.

— Nie... nie. Rozumiem, że chce pani zaczerpnąć świeżego powietrza. A to najlepsza pora dnia.

— Całkowicie się zgadzam.

Uparłam się jednak, że wstanę. Odsunął moje krzesło i zaczął zmywać podłogę.

Zobaczyłam go wtedy po raz pierwszy, a następnego ranka był tam znowu. Na trzeci dzień ubrdałam sobie, że mnie szuka. Wprawdzie nie umawialiśmy się, ale te spotkania stały się czymś w

rodzaju codziennego rytuału. Wymienialiśmy kilka słów: „dzień dobry”, „ładny dziś dzień” i tym podobne. Zawsze miał opuszczoną głowę i wyglądało na to, że praca całkowicie go pochłaniała.

— Lubi pani morze, prawda? — zapytał czwartego dnia.

Odpowiedziałam, że tak mi się wydaje. Nie byłam pewna, bo po raz pierwszy oglądałam je ze statku.

— Ono trzyma człowieka w swej władzy. Jest fascynujące, tak szybko potrafi się zmieniać...

— Jak życie — zauważyłam, mając na myśli własne. Nie odpowiedział, tylko zadał pytanie:

— Pewnie wiele pani doświadczyła?

I potrząsnąwszy głową, odszedł.

Podczas posiłków zawsze działo się coś ciekawego. Lucas Lorimer, jako nasz przyjaciel, siedział razem z nami, kapitan Graysom zaś zwykł przysiądać się do każdego stolika po kolei, chcąc poznać jak najwięcej pasażerów. Miał w zanadrzu mnóstwo morskich opowieści i dzięki temu miłemu zwyczajowi wszyscy mieli okazję ich posłuchać.

— To dla niego chleb z masłem — mówił Lucas. — Ma swój żelazny repertuar i po prostu przy każdym stole powtarza ten sam spektakl. Zauważyła pani? On nawet wie, w którym miejscu zrobić pauzę na śmiech albo dla lepszego efektu dramatycznego.

— Pan również — odparłam przekornie. — Och, nie chciałam powiedzieć, że się pan powtarza, ale też pan wie, jak rozmieścić pauzy.

— Widzę, że zna mnie pani za dobrze, bym mógł czuć się bezpiecznie.

— W takim razie muszę pana pocieszyć: uważam zdolność rozśmieszania za jeden z największych ludzkich darów.

Sięgnął po moją rękę i pocałował ją.

Rodzice, którzy przysłuchiwali się temu dialogowi, lekko się spłoszyli. Myślę, że uświadomili sobie wtedy, że stoją się dorosła.

Spacerowaliśmy właśnie z Lucasem po pokładzie, kiedy natknęliśmy się na kapitana. Miał zwyczaj obchodzić codziennie statek, przypuszczalnie po to, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Zadowoleni? — zapytał.

— I to bardzo — odparł Lucas.

— Umiecie już chodzić po marynarstwu? Nie zawsze łapie się to od razu. Cóż, jak dotąd, pogoda raczej nam sprzyja.

— A może się zmienić? — zapytałam.

— Trzeba większego mędrca niż ja, żeby na to odpowiedzieć, panno Cranleigh. My możemy tylko prognozować... ale nigdy z całkowitą pewnością. Pogoda jest nieprzewidywalna. Czasem wszystkie znaki wyglądają dobrze, aż nagle na horyzoncie pokazuje się coś niespodziewanego i wszystkie przewidywania biorą w łeb.

— Inaczej byłoby nudno — zauważył Lucas. — Niespodzianki zawsze mają w sobie coś pociągającego.

— Nie jestem pewien, czy to się odnosi do pogody. Niedługo przybijamy do Madery. Wyjdą państwo na ląd?

— O, tak! — wykrzyknęłam. — Nie mogę się już doczekać.

— Szkoda, że to tylko jeden dzień — westchnął Lucas.

— Wystarczy, by obejść sklepy. Spodoba się państwu ta wyspa. Trzeba koniecznie spróbować wina, jest całkiem niezłe.

I odszedł.

— Ma pani jakieś plany na Maderę?

— Rodzice nic jeszcze nie mówili.

- Chciałbym panią oprowadzić.
- Och, dziękuję. Był pan tam już kiedy?
- Tak. Będzie pani przy mnie bezpieczna.

* * *

Jakie to radosne uczucie, kiedy człowiek budzi się rano i widzi ład! Wysłałam wcześniej na pokład, aby przyjrzeć się, jak dobijamy do brzegu. Ujrzałam zieloną wyspę wynurzającą się z akwamarynowego morza. Świeciło słońce, a na powierzchni wody nie było ani jednej zmarszczki.

Ojciec, który wcześniej przeziębiał się lekko, zamierzał razem z matką zostać na pokładzie. Uznali to za świetny pomysł, abym zeszła na ląd z panem Lorimerem, skoro tak uprzejmie zaproponował mi swoje towarzystwo.

Pomyślałam, nie bez poczucia winy, że doskonale się składa, bo bez nich będzie znacznie przyjemniej. Lucas wprawdzie nic nie mówił, ale na pewno podzielał mój pogląd.

- Ponieważ jestem tu nie pierwszy raz, wiem to i owo o Maderze. A to, czego nie wiem...
- ...co jest absolutnie nieprawdopodobne... — wpadłam mu w słowo.
- ...odkryjemy razem — dokończył.

No i wyruszyliśmy.

Wdychałam głębokimi haustami powietrze przesycone aromatem kwiatów, które kwitły dosłownie wszędzie. Ze straganów wylewały się kolorowe bukiety, na równi z koszykami, haftowanymi torbami, szalami, obrusami i matami.

Słońce, nawoływania przekupni zachwalających swój towar w obcym języku — zapewne portugalskim, radość z przebywania w nieznanym kraju w towarzystwie Lucasa Lorimera — wszystko to sprawiało, że bawiłam się jak nigdy dotąd.

Był to naprawdę godny zapamiętania dzień, a Lucas okazał się znakomitym przewodnikiem. Gdziekolwiek się pojawił, podbijał wszystkich uśmiechem, toteż szybko uznałam go za najmilszego ze znanych mi ludzi.

Rzeczywiście sporo wiedział o wyspie.

- Jest całkiem nieduża. Spędziłem tu tydzień i zwiedziłem w tym czasie niemal każdy zakątek.

Wynajął wózek zaprzężony w muły i ruszyliśmy na objazd miasta... Jechaliśmy koło katedry, gdzie zatrzymaliśmy się na zwiedzanie, koło targu pełnego kwiatów, koszyków oraz wyplatanych stolików i krzeseł.

Czasem mignęła nam przed oczami sylwetka „Gwiazdy Atlantyku”, zakotwiczonej w pewnym oddaleniu od brzegu, do którego ciągle kursowały szalupy z pasażerami.

Lucas uznał, że musimy spróbować wina, więc udaliśmy się do jednej z piwnic, gdzie zasiedliśmy przy okrągłym stoliku. Po chwili przyniesiono nam kieliszki z kilkoma gatunkami tutejszego wina, jak sądzę, w nadziei że nam zasmakuje i kupimy go więcej.

Piwniczny mrok kontrastował ze słonecznym blaskiem na zewnątrz. Siedząc na stołkach, przyglądaliśmy się sobie uważnie. Lucas podniósł kieliszek.

- Za ciebie... za nas... za wiele dni takich jak ten.
- Następny postój przypada dopiero w Kapsztadzie?
- Cóż, może będziemy mieli szansę powtórzyć tam tę przyjemność.
- Będiesz pewnie przygotowywał się do wykładu.
- Proszę, nie nazywaj tego wykładem. To określenie pasuje do poważniejszych wystąpień.

Brzmi tak surowo... kojarzy się z... reprimendą*. Tymczasem poproszono mnie o coś w rodzaju

* Angielskie słowo *lecture* oznacza zarówno wykład, jak i nauczkę, reprimendę.

pogadanki, dla lekkiego kontrastu z wystąpieniem profesora. Poczułem się zaszczycony... zresztą patrz, do czego to doprowadziło. Więc pozostajmy przy „pogadance”, tak jest bardziej swojsko. Zresztą nie wiem, czy twoi rodzice nie będą zaszokowani tak makabrycznym tematem jak kłątwy i rabusie grobów.

— Może słuchacze będą woleli to niż...

— Nie zamierzam przejmować się ich gustami. Jak im się nie spodoba, to nie. I dlatego... nie pozwolę, aby przygotowania zaćmiły mi przyjemność naszej wspólnej podróży. Nie mogło mnie spotkać większe szczęście.

— Mnie też jest bardzo przyjemnie.

— Zaczynamy się roztkliwiać. To pewnie sprawka tego wina, jest dobre, nieprawdaż? Trzeba będzie kupić kilka butelek, żeby pokazać, że doceniamy poczęstunek.

— Myślę, że wszystkie próbki są tego warte.

— Na pewno, inaczej nie trwaliby przy starym zwyczaju. Zresztą bardzo miło jest tak siedzieć w mrocznym wnętrzu, na niewygodnych stołkach i saczyć pyszną maderę...

Do piwnicy weszło kilku pasażerów z naszego statku. Wymieniliśmy pozdrowienia — wyglądali na zadowolonych, na pewno i oni świetnie dziś się bawili.

Koło naszego stolika przeszedł jakiś młody człowiek.

— Dzień dobry — powitał go Lucas.

Tamten przystanął.

— O... — speszył się Lucas. — Zdawało mi się, że pana znam.

Mężczyzna popatrzył na niego obojętnym wzrokiem i nagle go rozpoznałam. Przedtem nie mogłam, ponieważ nie miał na sobie kombinezonu, w którym zawsze go widywałam. Był to ów majtek zmywający pokład.

— Nie — odrzekł. — Nie sądzę.

— Przepraszam. Przez chwilę myślałem, że gdzieś już pana spotkałem.

— Pewnie na pokładzie — zauważyłam z uśmiechem.

Marynarz zeszytniał i patrzył na Lucasa, zdradzając lekki niepokój.

— A rzeczywiście — przyznał mój towarzysz.

Młody człowiek odszedł i usiadł w ciemnym kącie.

— To majtek z naszego statku — wyjaśniłam Lucasowi szeptem.

— Wygląda, że go znasz.

— Widziałam go kilka razy. Kiedy wychodziłam obejrzeć wschód słońca, zmywał akurat pokład.

— Nie wygląda na zwykłego majtka.

— Bo nie jest w kombinezonie.

— No cóż, dziękuję, że mnie oświeciłaś. Biedak sprawiał wrażenie speszonego. Mam nadzieję, że wino smakuje mu tak jak mnie. Chodźmy już, kupimy na drogę butelkę... a jeszcze lepiej dwie. Napijemy się przy kolacji.

Kupiliśmy wino i wyszliśmy na słońce.

Niespiesznym krokiem kierowaliśmy się w stronę łodzi. Na nabrzeżu przystanęliśmy przy straganie i Lucas kupił mi torbę. Była gęsto haftowana w czerwone i niebieskie kwiaty.

— Na pamiątkę miłego dnia — rzekł, wręczając mi podarunek. — W podziękowaniu za to, że pozwoliłaś mi go z sobą spędzić.

Jakież to czarujący człowiek! Przecież właśnie on sprawił, że ten dzień był tak miły...

— Będę go wspominać, ilekroć spojrzę na tę torbę — zapewniłam go gorąco. — Kwiaty, wózek z wołami, wino... wszystko!

— I jeszcze pokładowego majtka.

— Zapamiętam każdą minutę.

* * *

Wspólna podróż statkiem sprzyja zacieśnianiu przyjaźni.

Wyłynawszy z Madery, trafiliśmy na okres ładnej pogody i gładkiego morza. Od czasu tamtego dnia na ładzie Lucas i ja staliśmy się niemal nierozłączni. Nie musieliśmy się umawiać, po prostu siadywał obok mnie na pokładzie i razem patrzyliśmy na spokojne morze, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

Sporo mi o sobie opowiadał. Jako pierwszy wyłamał się z rodzinnej tradycji, która dla jednego z synów przewidywała karierę wojskową. Zupełnie nie miał na nią ochoty, a zarazem sam nie wiedział, co z sobą zrobić. Nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, toteż dużo podróżował, zwykle w towarzystwie Dicka Duvane'a, swego dawnego ordynansa i przyjaciela. Dick wystąpił z wojska razem z nim i odtąd się nie rozstawali. Teraz przebywał w Kornwalii, wykonując różne prace na terenie posiadłości. Lucas przypuszczał, że i jego to czeka niebawem.

— W tej chwili trudno mi coś postanowić. W majątku jest dość roboty i dla mojego brata, i dla mnie. Przypuszczam, że jako główny spadkobierca czułbym się całkiem inaczej... chociaż mój brat Carleton idealnie nadaje się na dziedzica, ja nigdy bym mu nie dorównał. Jest najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale nie lubię grać drugich skrzypiec, to wbrew mojej krnąbrnej naturze. Więc... odkąd wystąpiłem z wojska, dryfuję... sporo jeżdżę po świecie. Egipt zawsze mnie fascynował i kiedy znalazłem w ogrodzie ten kamień, wydało mi się, że to zrządzenie losu. I rzeczywiście, gdyż jestem na tym statku, podróżuję ze znakomitościami w rodzaju twoich rodziców... i oczywiście ich uroczej córki, a wszystko przez jeden kamień. Ale ja tu gadam i gadam cały czas, a co z tobą? Jakie masz plany?

— Nie mam żadnych. Nie dokończyłam szkoły, żeby móc wyjechać w tę podróż. Kto wie, co przyniesie przyszłość?

— Tego nikt nie może być pewny, choć czasem ma się okazję nadać jej odpowiedni kształt.

— Ty to zrobiłeś?

— Powiedzmy, że jestem w trakcie.

— Posiadłość twego brata znajduje się w Kornwalii?

— Tak. Ściśle biorąc, niedaleko od miejsca, o którym ostatnio rozpisywały się gazety.

— Ach... A gdzie konkretnie?

— Czytałeś o młodym człowieku, który popełnił morderstwo, a potem zniknął?

— O, tak, pamiętam. Simon... bodajże Perrivale?

— Tak, to ten. Nosi nazwisko człowieka, który go adoptował. Perrivale Court leży zaledwie kilka mil od naszej posiadłości. To piękny, stary dwór, kiedyś tam byłem... dawno temu. Mój ojciec zaangażował się w pewną sąsiedzką sprawę, którą interesował się też sir Edward, i pojechaliśmy tam razem. Kiedy przeczytałem w gazecie o tej zbrodni, wszystko sobie przypomniałem: dwaj rodzeni bracia i jeden adoptowany. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. W końcu człowiek nie spodziewa się czegoś takiego wśród znajomych... nawet dalekich.

— Jakie to ciekawe! U nas w domu dużo się o tym mówiło... oczywiście tylko między służbą.

W tym momencie przeszedł koło nas ów znajomy majtek. Pchał przed sobą wózek z butelkami piwa.

— Dzień dobry! — zawołałam.

Kiwnął mi głową, lecz się nie zatrzymał.

— Jakiś twój znajomy? — spytał Lucas.

— To ten, co zmywa pokład. Pamiętasz? Spotkaliśmy go w winiarni.

- Ach, tak. Raczej gburowaty, co?
- Jest dość powściągliwy. Być może, nie wolno im rozmawiać z pasażerami.
- Wydaje się inny niż reszta załogi.
- Owszem, ja też to zauważyłam. Mówi tylko „dzień dobry”, ewentualnie parę słów o pogodzie.

Po chwili zmieniliśmy temat. Lucas rozwodził się o posiadłości rodzinnej w Kornwalii i paru tamtejszych ekscentrykach, ja zrewanżowałam się opowieścią o naszym domu i występach pana Dollanda. Rozśmieszyły go opisy naszego kuchennego życia.

- Chyba doskonale się bawiłaś.
- Och, miałam trochę szczęścia.
- Rodzice o tym wiedzieli?
- W gruncie rzeczy nie interesuje ich nic, co działo się po narodzinach Chrystusa. Tak wyglądały nasze pogawędki.

* * *

Wzięliśmy kurs na Kapsztad. Wiatr wzmagał się przez cały dzień, rodzice przeważnie siedzieli w kabinie i prawie ich nie widywałam. Ojciec szlifował swój wykład, pracował także nad książką, a matka mu pomagała. Spotykałam się z nimi przy posiłkach, kiedy to patrzyli na mnie z łaskawą wyrozumiałością, myślami błądząc gdzie indziej, do czego zaczynałam się przyzwyczajać. Ojciec pytał, czy mam jakieś zajęcie. W razie czego zawsze mogę przyjść do ich kabiny, to dadzą mi coś do czytania. Zapewniłam go, że bardzo mi się podoba życie na statku i że zaprzyjaźniłam się z panem Lorimerem. Po tych słowach na ich twarzach odbiła się wyraźna ulga i oboje wrócili do swej pracy.

Kapitan, który czasem jadał z nami obiady, mówił, że na tych wodach zawsze szaleją najgorsze sztormy. Podobno nawet starzy marynarze ich nie lekceważyli. W każdym razie nie powinniśmy spodziewać się tak spokojnego morza, jak dotychczas. Trzeba jednak robić dobrą minę do złej gry. Z pewnością sobie poradzimy.

Rodzice siedzieli w kabinie, ja jednak potrzebowałam powietrza i wyszłam na otwarty pokład.

Nie spodziewałam się aż tak rozszalałego żywiołu. Statkiem rzucało na wszystkie strony, zupełnie jakby był z korka. Wznosił się i opadał na fali tak gwałtownie, że myślałam, iż zaraz się przewróci. Fale wysokie jak góry przelewały się przez pokład, zmywając wszystko, co napotkały na swej drodze. Wiatr szarpał mi włosy i ubranie, rozwścieczone morze próbowało zwalić mnie z nóg i wyrzucić za burtę.

Poczułam wielką trwozę, a jednocześnie pulsowała we mnie jakaś dziwna radość.

Byłam kompletnie mokra i nie mogłam ustać na nogach. Resztką sił dotarłam do relingu i uczepiłam się go kurczowo.

Zastanawiałam się, czy mądrze postąpiłam, przechodząc przez śliski pokład i wystawiając się na bezpośrednie poddmuchy, kiedy nagle zobaczyłam mojego majtka. Brnął ku mnie w mokrym ubraniu, z twarzą ociekającą morską wodą. Czarne włosy przylegały mu do głowy niczym czepek.

- Nic się pani nie stało? — przekrzykiwał huk wiatru.
 - Nie!
 - Nie trzeba było wychodzić. Musi pani zejść pod pokład.
 - Tak...
 - Dalej! Pomogę pani!
- Tak chwiał się na nogach, że aż się na mnie zatoczył.
- Tu zawsze tak jest? — spytałam.

— Nie wiem. Pierwszy raz znalazłem się na morzu.

Ujął mnie pod ramię i potykając się jak pijani, ruszyliśmy z powrotem. Wreszcie otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

— No! — sapnął z ulgą. — Proszę więcej nie wychodzić w taki szkwał.

Zanim zdążyłam mu podziękować, zniknął.

Z trudem dotarłam do kabiny. Mary Kelpin leżała na swojej koi i widać było, że czuje się niedobrze.

Postanowiłam zajrzeć do rodziców. Oni też wyglądali na zdruzgotanych, więc wróciłam do siebie. Wzięłam książkę i wdrapałam się na górę, ale czytanie mi nie szło.

Przez całe popołudnie bezskutecznie czekaliśmy, aż sztorm zelżeje. Statek parł naprzód swą wyboistą drogą, trzeszcząc przeraźliwie i jęcząc jakby z bólu.

Dopiero wieczorem wiatr nieco ucichł. Udało mi się zejść do jadalni. Na stołach podniesiono boczne listwy, żeby ochronić zastawę. Tylko nieliczni pasażerowie byli obecni, ale niebawem zobaczyłam Lucasa.

— Ach! — powiedział. — Niewielu śmiazków odważyło się stawić czoło jadalni.

— Widziałeś kiedy taki sztorm?

— Tak, jak wracałem z Egiptu. Minęliśmy właśnie Gibraltar i podchodziliśmy do zatoki. Już myślałem, że to moja ostatnia godzina.

— Ja tak myślałam dzisiaj.

— Statek przetrwa sztorm. Zobaczysz, jutro morze będzie gładkie jak jezioro, a my będziemy się dziwili, po co to całe zamieszanie. Gdzie twój rodzice?

— W kabinie. Nie mieli ochoty wychodzić.

— Podobnie jak wielu innych.

Opowiedziałam mu o mojej wyprawie na pokład i reprimendzie, jakiej udzielił mi majtek.

— Miał zupełną rację. To musiało być bardzo niebezpieczne. Fala mogła cię zmyć za burtę. Według mnie to niemal huragan.

— Teraz widać, jakie nieprzewidywalne jest morze.

— Rzeczywiście. Nie powinno się lekko podchodzić do takich rzeczy. Morze podobnie jak ogień to dobry przyjaciel, ale straszliwy wróg.

— Ciekawe, jak to jest, kiedy trzeba opuścić statek.

— Koszmarnie.

— Dryfuje się na otwartej łodzi...

— To mniej przyjemne, niż się zdaje.

— Tak myślę. Ale chyba sztorm już słabnie.

— Ja bym w to nie wierzył. Musimy być przygotowani na każdą pogodę. Może dostaliśmy właśnie lekcję przetrwania.

— Ludzie nie zawsze zapamiętują lekcje.

— Przecież dopiero co mieli przykład, jakie zdradzieckie potrafi być morze: w jednej chwili uśmiechnięte, a w następnej rozszalałe i groźne.

— Mam nadzieję, że nie napotkamy już więcej huraganów.

Dopiero po dziesiątej dotarłam z powrotem do kabiny. Mary leżała w koi. Poszłam do rodziców, żeby powiedzieć im dobranoc; ojciec leżał, matka czytała gazety. Poinformowałam ich, że jadłam kolację z Lucasem, a teraz idę spać.

— Może do rana statek przestanie się kołysać — powiedziała matka. — To ciągłe bujanie zakłóca twemu ojcu tok myśli, a wciąż jeszcze pracuje nad wykładem.

Spałam niespokojnie i obudziłam się nad ranem. Wiatr się znowu wzmaczał i statkiem rzucało jeszcze bardziej niż wczoraj. Groziło mi wypadnięcie z koi; dalszy sen był niemożliwy. Leżałam cicho, słuchając wycia wiatru i huku bijących o burty fal.

Wtem rozległ się dźwięk dzwonu. Od razu domyśliłam się, co oznacza, gdyż jeszcze pierwszego dnia urządzono nam odpowiednie ćwiczenia. Zapowiedziano, że w razie alarmu mamy się ciepło ubrać, włożyć kamizelki ratunkowe, które znajdują się w szafce w kabinie, po czym udać się na wyznaczone miejsce zbiórki. Zeskoczyłam na dół. Mary Kelpin już się ubierała.

— No i mamy. Najpierw ten koszmarny wiatr, a teraz... — narzekała, dzwoniąc zębami.

Niełatwo było ubierać się jednocześnie na ograniczonej przestrzeni. Mary skończyła pierwsza, ja nadal walczyłam z guzikami. Wreszcie uporałam się z kamizelką i pobiegłam do rodziców.

Dzwon nadal bił na alarm. Rodzice wyglądali na półprzytomnych, ojciec gorączkowo zgarniał jakieś papiery.

— Nie ma na to czasu! — zawołałam. — Wkładajcie ciepłe rzeczy i chodźcie! Gdzie wasze kamizelki?

Byli załośnię potulni; oddali się całkowicie w moje ręce i niebawem mogliśmy opuścić kabinę. To wyjątkowe doświadczenie nauczyło mnie, że odrobina zdrowego rozsądku liczy się bardziej niż erudycja.

Na korytarzu nikogo nie było. Ojciec nagle przystanął i z rąk wypadły mu jakieś papiery. Szybko schyliłam się, by je pozbierać.

— Ach! — wykrzyknął ze strachem. — Zostawiłem wczorajsze notatki!

— Nie szkodzi. Życie jest ważniejsze od notatek.

Nie ruszał się z miejsca.

— Nie mogę... Muszę je zabrać...

— Twój ojciec musi je mieć — poparła go matka.

Zobaczyłam na ich twarzach upór.

— Pójdę po nie — zdecydowałam pośpiesznie. — Idźcie na górny pokład, tam macie miejsce zbiórki. Gdzie są te notatki?

— W górnej szufladzie.

Popchnęłam ich lekko w stronę schodów i zawróciłam. Notatek w górnej szufladzie nie było. Szukałam dalej, aż znalazłam je w dolnej. Chwyciłam czym prędzej plik kartek i wypadłam na korytarz. Kamizelka mocno utrudniała mi ruchy.

Dzwony umilkły. Z trudem utrzymywałam się na nogach, gdyż statek był przechylony i omal nie spałam ze schodów. Nigdzie nie widziałam rodziców... Pewnie przyłączyli się już do innych pasażerów i czekają na pokładzie, aż zostaną przygotowane szalupy.

Sztorm nasilał się coraz bardziej. Zataczając się i ślizgając, dobrnęłam do przegrody. Mimo oszołomienia, wciąż rozglądałam się za rodzicami. Gdzie mogli się podziać w tak krótkim czasie? Trzymając kurczowo notatki, próbowałam wydostać się na pokład. Zobaczyłam istne pandemonium. Ludzie napierali na reling i na próżno wypatrywałam wśród nich moich rodziców. Poczulałam się nagle straszliwie samotna wśród tego rozkołysanego, wrzeszczącego tłumu.

To był koszmar. Wiatr zdawał się znajdować jakąś upiorną przyjemność w dręczeniu nas. Włosy wymknęły mi się spod szpilek i fruwały wokół głowy, przesłaniając oczy. Gwałtowny podmuch wyrwał mi z rąk notatki. Przez parę sekund widziałam, jak tańczą, łopocząc mi dziko nad głową, by wreszcie opaść w rozhukane masy wody.

Powinniśmy zostać razem, kołatała mi myśl. I nagle pojawiła się druga: właściwie dlaczego? Nigdy naprawdę nie byliśmy razem... No tak, ale teraz to co innego. Grozi nam niebezpieczeństwo, śmierć zagłada w oczy... Czy te notatki były aż tyle ważne, żeby z ich powodu się rozdzielać?

Niektórzy pasażerowie wsiadali już do szalup. Zdałam sobie sprawę, że długo przyjdzie mi czekać na moją kolej... A kiedy zobaczyłam, jak marynarze spuszczały kruche łodzie na rozszalałe morze, nie byłam wcale taka pewna, czy chcę powierzyć swoje życie jednej z nich.

Nagle statek zadygotał gwałtownie, wydając okropny jęk, jakby nie mógł już dłużej wytrzymać. Wydawało się, że obracamy się do góry dnem. Stałam już w wodzie. Zobaczyłam, że jedna ze spuszcanych łodzi się przewraca. Rozległy się przeraźliwe krzyki pasażerów, których bez wyjątku pochłonięło żarłoczne morze.

Przyglądałam się temu w oszołomieniu, a jednocześnie z pewną rezerwą. Śmierć wydawała się niemal pewna. Miałam zakończyć życie, zanim je na dobre rozpoczęłam. Zaczęłam wspominać przeszłość, podobno zawsze tak się dzieje, kiedy człowiek tonie. Ale ja nie tonęłam... na razie. Tkwiłam na przeciekającym, kruchym statku oko w oko z rozwścieczonymi żywiołami, świadoma, że lada chwila zostanę zmyta z owego względnie bezpiecznego miejsca do zielonej otchłani, w której nikt nie może mieć nadziei na przetrwanie. W ogłuszającym huku rozlegały się krzyki i modlitwy ludzi błagających Boga o ratunek... Wycie wiatru, szalejąca burza, spiętrzone fale, wszystko to przywodziło na myśl „Piekło” Dantego.

I nic nie można było zrobić. Przypuszczam, że ludzie w obliczu śmierci myślą przede wszystkim o tym, żeby się uratować. Być może w młodym wieku śmierć wydaje się tak odległa, że nie bierze się jej na serio. Umierają inni — starzy. Człowiek nie potrafi sobie wyobrazić świata bez siebie, czuje się nieśmiertelny. Wiedziałam, że tej nocy wielu spocznie na wieki w wodnym grobie, a jednak nie bardzo wierzyłam, iż mogę się znaleźć wśród nich.

Stałam jak ogłupiała, wyczekując i starając się za wszelką cenę wypatrzeć rodziców. Myślałam też o Lucasie. Gdzie jest? Szkoda, że go tu nie ma. Prawdopodobnie nadal zachowuje spokój i to lekko cyniczne spojrzenie... Ciekawe, czy o śmierci mówi z taką samą nonszalancją, jak o życiu?

Nagle zobaczyłam wywróconą łódź. Fale popychały ją w moją stronę. W pewnej chwili odwróciła się znów do normalnej pozycji i podskakiwała na wodzie poniżej miejsca, gdzie stałam.

Ktoś chwycił mnie brutalnie za ramię.

— Zaraz zmyje panią za burtę! Nie może pani tu zostać!

Odwróciłam się i ujrzałam znajomego majtka.

— Koniec! Ten statek tonie! — wołał.

Stał przy mnie z twarzą zlaną morską wodą i patrzył na łódź, którą gwałtowne podmuchy pchały coraz bliżej burty. Gigantyczna fala uniosła ją na chwilę niemal do naszego poziomu.

— To szansa! Dalej, skacz!

Ku swemu zdumieniu, usłuchałam. Wciąż trzymał moje ramię w żelaznym uścisku. Wydało mi się to nierealne. Szybowałam w powietrzu i nagle wpadłam prosto do wzburzonego morza.

Znaleźliśmy się tuż obok łodzi.

— Złap się! — przekrzykiwał huk.

Znów instynktownie go usłuchałam. Był bardzo blisko. Po paru sekundach, które wydawały się całymi minutami, udało mu się wdrapać do środka. Ja wciąż trzymałam się burty, ale poczułam, że mnie chwyta i wciąga do szalupy.

— Trzymaj się... trzymaj... tu chodzi o życie! Stał się cud — byliśmy w łodzi!

Zabrakło mi tchu.

— Trzymaj się! Trzymaj! — powtarzał w kółko.

Nie jestem pewna, co wydarzyło się podczas następnych minut. Wiedziałam tylko, że jestem strasznie poobijana, a gwałtowność wiatru zapiera mi dech. Resztką świadomości zarejestrowałam potworny huk, kiedy „Gwiazda Atlantyku” wbiła się nagle w górę, a potem przewróciła do góry dnem. Morze mnie oślepiało, dławilo, miałam pełne usta wody. W jednej chwili byliśmy na grzbiecie fali, w następnej opadaliśmy w głąb oceanu.

Uciekłam z tonącego statku na małą łódeczkę, która nie zdoła dłużej się utrzymać na tak wzburzonym morzu.

To musiał być koniec.

Straciłam rachubę czasu. Nie miałam pojęcia jak długo zaciskałam ręce na burtach, myśląc tylko o jednym: wytrwać.

Wiedziałam, że ten człowiek jest blisko. Wśród wycia wichru dobiegał mnie jego głos:

— Wciąż jeszcze płyniemy. Jak długo...

Dalej nie usłyszałam.

W oddali zamajaczyła sylwetka statku. Wciąż trzymał się na wodzie, chociaż pod niezwykłym kątem. Dziób zniknął już zupełnie pod wodą i stało się jasne, że raczej nikt już tam nie ocalał.

Kontynuowaliśmy naszą drogę przez mękę, oczekując każdej następnej fali ze świadomością, że może oznaczać kres naszego życia. Wokół nas morze burzyło się i ryczało... wątpiła łupinka przeciw rozszalałej bestii. Zastanawiałam się, jaki los by mnie spotkał, gdyby ów człowiek nie zmusił mnie do skoku. To istny cud! Ledwie wierzyłam, że się wydarzył. Ale co z rodzicami? Czy udało im się uciec?

Nagle wydało mi się, że sztorm stracił nieco na sile. Czy to moja wyobraźnia, czy może zawieszenie wyroku? Ale jeżeli nawet, to na krótko... W pobliżu przepływała właśnie jedna z szalup. Przyglądałam się nerwowo pasażerom w nadziei, że zobaczę rodziców. Ale blade, napięte twarze były zupełnie obce. Gwałtowna fala podrzuciła łódź w górę. Przez ułamek sekundy szalupa zdawała się wisieć w powietrzu, zaraz jednak pochłonięta ją całkowicie następna fala. Usłyszałam krzyki; po chwili okazało się, że łódź nadal jest na powierzchni, lecz znów wyrzuciło ją w górę; tym razem stanęła niemal pionowo i ludzie powpadali do wody, a sama szalupa przewróciła się do góry dnem. Potem morze zaczęło nią miotać na wszystkie strony niczym rozzłoszczone dziecko, kiedy zabawka je znudzi.

Przez niekończące się minuty patrzyłam na balansujące na wodzie głowy, póki i one nie zniknęły.

Wtem usłyszałam krzyk mojego wybawcy:

— Patrz! Ktoś dryfuje w naszą stronę!

Głowa mężczyzny wynurzyła się z wody tuż przy naszej łodzi.

— Do środka z nim! Szybko, bo inaczej utonie i nas za sobą pociągnie!

Wychyliłam się posłusznie, nieprzytomna z emocji. Niedoszłym topielcem okazał się Lucas Lorimer! Długo trwało, zanim nasze wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Lucas leżał na dnie łodzi, nieprzytomny, twarzą do dołu. Chciałam krzyknąć do niego, że jest już bezpieczny, lecz zaraz ugryzłam się w język: nie bardziej bezpieczny niż my.

Odwróciliśmy go na plecy. Mój towarzysz wstrzymał oddech.

— Źle z nim!

— Co możemy zrobić?

— Jeszcze żyje, więc jest nadzieja.

Pochylił się nad Lucasem i starał się usunąć mu wodę z płuc. Ratował mu życie, ale zastanawiałam się, jak długo sam wytrzyma.

Dobrze mu zrobiło, że miał się czym zająć. Lucas wyglądał nieco lepiej, chociaż zauważyłam, że coś niedobrego dzieje się z jego lewą nogą. Od czasu do czasu bezwiednie dotykał jej ręką; wprawdzie wciąż nie odzyskiwał świadomości, wyraźnie jednak wiedział, że coś jest nie tak.

— Już nie mogę — mruknął wreszcie marynarz.

— Przeżyje? — spytałam.

Uniósł tylko ramiona.

* * *

Mniej więcej po dwóch godzinach wiatr zaczął słabnąć. Gwałtowne porywy zdarzały się rzadziej, my zaś wciąż utrzymywaliśmy się na powierzchni.

Lucas nadal nie otwierał oczu. Mój drugi towarzysz majstrował coś przy łodzi. Nie wiedziałam dokładnie, co robi, ale wydawało się, że coś ważnego. Już sam fakt, że udało mu się utrzymać szalupę na wodzie, świadczył, że zna się na rzeczy.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że go obserwuję.

— Proszę się przespać — powiedział. — Jest pani wycieńczona.

— Pan też.

— Och... ja mam dość roboty.

— Jest lepiej, prawda? Mamy jakąś szansę?

— Że nas odnajdą? Może. Na razie szczęście nam sprzyja: w wodoszczelnym schowku pod siedzeniem znalazłem pojemnik z wodą i puszkę sucharów. To żelazne racje, pomogą nam jakiś czas przetrwać. Najważniejsza jest woda.

— A on? — wskazałam na Lucasa.

— Jest w złej formie, ale oddycha. I ma chyba złamaną nogę.

— Możemy coś zrobić?

Pokręcił głową.

— Nic. Nie mamy żadnych środków medycznych; będzie musiał poczekać. Trzeba wypatrywać statku. Nic mu pani nie pomoże, więc najlepiej się przespać. Dobrze to pani zrobi.

— A pan?

— Może później. Musimy płynąć z wiatrem, nie mogę sterować. Przy odrobinie szczęścia znieś nas na handlowy szlak. Inaczej... — Wzruszył ramionami, a potem dodał łagodnie: — Naprawdę proszę się przespać. Sen czyni cuda.

Zamknęłam oczy i jak później stwierdziłam z rozbawieniem — znów poszłam za jego radą.

* * *

Kiedy się obudziłam, słońce już wzeszło, czyli nastał nowy dzień. Rozejrzałam się dookoła. Od czerwonego nieba odbijały się na wodzie różowe refleksy. Wciąż wiała silna bryza, zdobiąc fale w białe grzebienie. Znaczyło to, że płyniemy w szybkim tempie. Dokąd — to już inna sprawa. Byliśmy zdani na łaskę wiatru.

Lucas wciąż leżał na dnie łodzi. Nasz wybawca obserwował mnie czujnym wzrokiem.

— Spała pani?

— Tak, chyba nawet dość długo.

— Potrzebowała pani tego. Lepiej teraz? Kiwnęłam głową.

— Co się działo?

— Sama pani widzi. Wyłynęliśmy na spokojniejsze wody.

— Sztorm ucichł.

— Proszę trzymać kciuki. Na jakiś czas dał nam spokój, choć lada chwila może znów zaatakować. Niemniej jednak mamy drugą szansę.

— Jest nadzieja, że ktoś nas zobaczy?

— Pół na pół.

— A jeśli nie?

— Wody na długo nie wystarczy.

- Mówił pan coś o sucharkach.
- Najważniejsza jest woda. Będziemy musieli ją racjonować.
- A co z nim? — wskazałam na Lucasa.
- Zna go pani.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak. Zaprzyjaźniliśmy się na statku.
- Widziałem, jak pani z nim rozmawiała.
- Czy jest poważnie ranny?
- Nie wiem. I tak nic nie możemy zrobić.
- Co z jego nogą?
- Trzeba ją nastawić, jak sędzę. Nie mamy tu nic...
- Szkoda, że...

— Proszę nie wymagać zbyt wiele. Los mógłby uznać, że jest pani zbyt zachłanna. Dane nam było przeżyć jedno z najbardziej cudownych ocalań.

- Wiem. Dzięki panu. Uśmiechnął się chytrze.
- Nadal więc musimy wierzyć w cuda.
- Tak bym chciała jakoś mu pomóc...

Pokręcił głową.

— Trzeba bardzo uważać. Możemy się wywrócić w ułamku sekundy. On ma takie same szanse jak my.

Przytaknęłam.

- Moi rodzice... — zaczęłam po chwili.
- Mogą być na którejś z szalup.
- Widziałam, jak jedna się przewróciła... i zatoneła.
- Dla nikogo nie ma zbyt wiele nadziei.
- Zadziwiająco, że ta nasza się utrzymała. Jeśli przeżyjemy, będzie to wyłącznie pańska zasługa.

Zapadło milczenie. Po paru minutach wyjął pojemnik z wodą i każde z nas wypilo po łyku. Zakręcił go potem dokładnie.

- Musimy bardzo ją oszczędzać. Proszę pamiętać, że to życiodajny płyn.
- Pokiwałam głową.

* * *

Mijały godziny. Lucas otworzył oczy i utkwiał je we mnie.

- Rosetta?
- Tak, Lucasie?
- Gdzie... — Nie potrafił wydobyć następnego słowa.
- Jesteśmy w szalupie ratunkowej. Statek zatonął, ale się uratowałeś. Jesteś ze mną i...

To absurdalne, ale nie znałam nazwiska naszego towarzysza. Przedtem był wprawdzie tylko majtkiem, lecz teraz został naszym wybawcą, człowiekiem, który odegrał główną rolę w cudownym ocaleniu.

Lucas bardzo źle słyszał i nie okazał zaskoczenia, tylko zamknął oczy. Powiedział coś, ale musiałam się nad nim nachylić, żeby zrozumieć.

- Moja noga...

Trzeba było coś z nią zrobić, tylko co? Nie mieliśmy żadnych środków medycznych, a po łodzi musieliśmy się poruszać bardzo ostrożnie. Nawet teraz, na spokojnym morzu strasznie nami rzucało i lada chwila ktoś mógł wypaść za burzę.

Słońce wstało i dokuczał nam upał. Na szczęście bryza — choć lekka — wiała cały czas, a żadne z nas nie miało pojęcia, dokąd nas znosi.

— Łatwiej coś rozpoznamy, kiedy pokażą się gwiazdy — rzekł nasz wybawca.

Podobno nazywał się John Player. Zdawało mi się, że wyznał to z pewną niechęcią.

— Mogłabym nazywać cię Johnem? — spytałam.

— W takim razie ja będę cię nazywał Rosetą. Jesteśmy teraz na równych prawach... nie ma już pasażerki i majtka. Strach przed śmiercią świetnie znosi tego rodzaju różnice.

— Nie muszę bać się śmierci, żeby ci mówić po imieniu. Istotnie, trudno krzyknąć: „Panie Player, tonę, proszę mnie ratować!”

— Rzeczywiście to czysty absurd. Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

— Potrafisz sterować według gwiazd?

Wzruszył ramionami.

— Nie szkolono mnie na nawigatora, liznąłem jednak trochę wiedzy o morzu. Przy czystym niebie mógłbym przynajmniej z grubsza określić, dokąd nas znosi. Ale jeśli będzie tak pochmurno, jak wczoraj, to nic z tego.

— Kierunek może się zmieniać. W końcu sam mówiłeś, że wszystko zależy od wiatru.

— No niestety, płyniemy tam, dokąd nas popycha. Człowiek w takich chwilach ma poczucie całkowitej bezradności.

— Tak samo jest, kiedy w istotnych sprawach zależy się od innych. Myślisz, że pan Lorimer umrze?

— Wygląda na silnego. Największy problem to noga. Musiał porządnie oberwać, kiedy łódź się wywróciła.

— Szkoda, że nic nie możemy zrobić.

— Najlepiej po prostu mieć oczy szeroko otwarte. Jeśli zobaczymy choćby najmniejszy znak na horyzoncie, musimy za wszelką cenę ściągnąć na siebie uwagę. Wywiesić flagę...

— Skąd ją wziąć?

— Przyczepimy do kija twoją halkę... albo coś w tym rodzaju.

— Bardzo jesteś pomysłowy.

— Możliwe, ale w tej chwili potrzebujemy jeszcze jednego łutu szczęścia.

— Może wyczerpaliśmy już swój przydział przy opuszczaniu statku.

— Teraz potrzebujemy go trochę więcej. Musimy zrobić, co w naszej mocy. Miej oczy otwarte. Najmniejszy punkcik na horyzoncie i wysyłamy sygnał.

Ranek powoli przeszedł w popołudnie, a my nadal dryfowaliśmy. Lucas czasem otwierał oczy i coś mówił, choć widać było, że nie uświadamia sobie w pełni naszej sytuacji.

Słońce skryło się chwilowo za chmurami, dzięki czemu dawało się jakoś wytrzymać. Już nie wiedziałam, co gorsze: deszcz, który może oznaczać nadciągający sztorm, czy ten żar. John Player niespodziewanie zapadł w sen z wyczerpania. Wyglądał na takiego młodego... Aby oderwać myśli od naszej rozpaczliwej sytuacji, zaczęłam snuć różne rozważania. Dlaczego został marynarzem? Na pewno w jego przeszłości kryło się coś niejasnego. Jest taki tajemniczy, jakby przestraszony... wyraźnie ma się na baczności, chociaż w ciągu ostatnich godzin koncentrował się tylko na ratowaniu naszego życia. Wytworzyła się wtedy między nami pewna więź... to zupełnie naturalne.

Nie przestawałam myśleć o rodzicach. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wychodzą na pokład, oszołomieni, niemal jak dzieci. Zawsze tak się zachowywali, kiedy musieli zmierzyć się ze

światem spoza kręgu muzealnego. Zupełnie nie znali się na praktycznej stronie życia i nigdy nie zaprzętała sobie nią głowy. Od tego mieli innych, sami zajmowali się wyłącznie swymi studiami.

Pograżona w rozpacz, zastanawiałam się, gdzie są teraz.

Może tłoczą się z innymi w szalupie ratunkowej... Ojciec pewnie wciąż boleje nad stratą swych notatek bardziej niż nad utratą córki.

A może się mylę? Może zależało im na mnie bardziej, niż przypuszczałam? Przecież nazwali mnie Rosettą na cześć owego cennego kamienia...

Nie odrywałam wzroku od horyzontu. Nie wolno mi zapomnieć, że jestem na warcie. Lada chwila może pojawić się jakiś statek. Już wcześniej zdjęłam halkę, która czekała w pogotowiu, uwiązana do kawałka drewna. Jeśli cokolwiek wypatrzę, mam obudzić Johna i natychmiast zacząć machać zaimprovizowaną flagą.

Dzień powoli się kończył, a wokół nas nie było nic, tylko szeroka przestrzeń wody, ciągnąca się aż po horyzont. Jak okiem sięgnąć, wszędzie pusto.

Zapadła ciemność. John się obudził, zawstydzony, że tak długo spał.

— Potrzebowałeś snu — przekonywałam go. — Byłeś kompletnie wyczerpany.

— Trzymałaś wartę?

— Przysięgam, że nie zauważyłam ani śladu żadnego statku.

— Minęło sporo czasu.

Zjedliśmy po sucharku i popiliśmy wodą.

— Co z panem Lorimerem? — zapytałam.

— Jak się obudzi, to mu damy.

— Czy nie powinien już odzyskać przytomności?

— Powinien, ale jakoś nie odzyskuje. Może to i lepiej, inaczej noga by go bolała.

— Szkoda, że nic nie można zrobić.

Pokręcił głową.

— Ano nie. Dobrze, że chociaż wciągnęliśmy go do łodzi.

— No i zrobiłeś mu sztuczne oddychanie.

— Najlepiej, jak potrafiłem. W niczym więcej już nie pomożemy.

— Ach, żeby przyplłynął jakiś statek...

— Popieram z całego serca.

Nadeszła noc... już druga. Zdrzemnęłam się trochę i śniło mi się, że jestem w kuchni w Bloomsbury. „W taką to właśnie noc, jak ta, zamordowano polskiego Żyda...”

W taką noc, jak ta! Kiedy się obudziłam, łódź niemal stała w miejscu, a w mroku majaczyła sylwetka Johna Playera, zapatrzonego w przestrzeń.

* * *

Zaczynał się drugi dzień. Morze było spokojne, a mnie na nowo poraziła nasza samotność wśród ogromu wody. Zdawało się, że z całego świata została tylko nasza łódź.

Jeszcze przed południem Lucas odzyskał przytomność.

— Co z moją nogą? — zapytał.

— Chyba jest złamana — odrzekłam. — Na razie nic nie możemy zrobić, ale niedługo znajdzie nas jakiś statek... tak uważa John.

— John?

— John Player. Wspaniały człowiek, uratował nam życie.

Lucas pokiwał głową.

— Kto jeszcze tu jest?

— Nikt, tylko my troje. Siedzimy w szalupie, mieliśmy zadziwiające szczęście.

— Cieszę się, że tu jesteś, Rosetto.

Podziękowałam mu uśmiechem.

Daliśmy mu wody.

— To było dobre — powiedział. — Czuję się taki bezradny!

— My także. Teraz wszystko zależy od statku.

Po południu John wypatrzył coś, co wyglądało na ląd. Zawołał mnie zaraz i w wielkim podnieceniu wskazał na horyzont. Zobaczyłam coś w rodzaju ciemnego garbu. Czy to czasem nie miraż? Może tak bardzo tęskniliśmy do tego widoku, że nasza udreńczona wyobraźnia wyczarowała go dla nas? Dryfowaliśmy zaledwie dwa dni i dwie noce, ale nam wydawało się, że to trwało całą wieczność. Nie odrywałam wzroku od horyzontu.

Łódź prawie się nie poruszała. Tkwiłszy na środku spokojnego morza i jeśli nawet w pobliżu był ląd, mogliśmy wcale do niego nie dotrzeć.

Przed wieczorem ląd zniknął, a my popadliśmy w przygnębienie.

— Cała nadzieja w statku — powtarzał John. — Bóg raczy wiedzieć, czy to w ogóle możliwe. Nie wiem, jak daleko jesteśmy od handlowych szlaków.

Powiała lekka bryza, dzięki czemu posunęliśmy się nieco do przodu. Po pewnym czasie znów wypatrzyłam ląd — teraz był całkiem blisko.

Zawołałam Johna.

— To chyba wyspa — orzekł. — Żeby tylko wiatr nie zmienił kierunku...

Minęło kilka godzin. Ląd to się przybliżał, to odsuwał... Coraz silniejszy wiatr przypędził w końcu zza horyzontu ciemne chmury. Nagle oboje wydaliśmy okrzyk radości.

— Dopływamy! O Boże, pomóż! Ten wiatr, ten błogosławiony wiatr... on nas tam dopcha!

Ogarnęło mnie nerwowe podniecenie. Lucas otworzył oczy.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Zbliżamy się do lądu! Ach, żeby tylko...

— Miałem rację, to wyspa — powiedział John. — Patrz, dobijamy!

— Och, John! Czyżby nasze modlitwy zostały wysłuchane?

Obrócił się do mnie raptownie i ucałował mnie w policzek. Uśmiechnęłam się, a on ścisnął mnie mocno za rękę. Z emocji nie mogliśmy wykrztusić ani słowa więcej.

Wpłynęliśmy na płyciznę i łódź szorowała już o dno. John wyskoczył pierwszy, ja za nim. W poczuciu ogromnego triumfu staliśmy razem w wodzie sięgającej nieco powyżej kostek.

Długo trwało, zanim udało się nam wyciągnąć łódź na brzeg.

Wyspa okazała się bardzo mała, niewiele większa od sterczącej z morza skały. Rosło na niej kilka karłowatych palm i rzadko rozrzuconych krzewów. Wznosiła się stromo z plaży i pewnie dlatego nie pochłonęło jej morze. John przede wszystkim dokonał szczegółowych oględzin łodzi. Ku swej radości znalazł drugi schowek, a w nim suchary, następny pojemnik z wodą, apteczkę z bandażami oraz linę. Mogliśmy uwiązać łódź do drzewa, co dało nam cudowne poczucie bezpieczeństwa.

Najbardziej ucieszył się z wody.

— Dzięki niej utrzymamy się przy życiu jeszcze kilka dni dłużej.

Moja pierwsza myśl dotyczyła nogi Lucasa. Pamiętałam, że kiedy Dot złamała rękę, pan Dolland nastawił ją jeszcze przed przybyciem lekarza, który pochwalił go za sprawne działanie. Opowiadano mi o tym szczegółowo i teraz próbowałam sobie przypomnieć, na czym to polegało.

Z pomocą Johna zrobiłam, co w mojej mocy. Odsłoniliśmy złamaną kość, poskładaliśmy ją jako tako, po czym bandażem przywiązaliśmy nogę do kawałka drewna, który posłużył za łupek. Lucas

poczuł się lepiej, ale obawiałam się, że nasze starania niewiele dały, zresztą i tak okazały się mocno spóźnione.

Z pewnym zażenowaniem patrzyłam na tak sprawnego dotąd mężczyznę, który teraz był całkowicie od nas uzależniony.

John stał się naszym naturalnym przywódcą. Powiedział, że na „Gwieździe Atlantyku” podlegał rygorom, które obowiązywały całą załogę, nauczył się też zasad postępowania w wypadku zagrożenia, co teraz bardzo mu się przydało. Żałował tylko, że bardziej nie uważał na szkoleniu, ale i tak coś niecoś zostało mu w pamięci.

Z niecierpliwością penetrowaliśmy wyspę. Znaleźliśmy kilka orzechów kokosowych. Kiedy John nimi potrząsnął, usłyszeliśmy chlupot mleka.

Wzniósł oczy ku niebu.

— Ktoś tam naprawdę się o nas troszczy!

* * *

Te dni na wyspie tak mocno wryły mi się w pamięć, że nigdy nie miałam ich zapomnieć. John okazał się wręcz genialny — to jego pomysłowość i praktyczne podejście do życia pomogły nam przetrwać.

Na wstępie zarządził prowadzenie rachuby czasu. Każdy dzień mieliśmy zaznaczać kreską na specjalnym kiju. Na morzu spędziliśmy trzy noce, więc początek był zrobiony. Lucas, który odzyskał już pełną świadomość, szalał ze złości, że nie może się poruszać, ale według mnie najbardziej dokuczała mu własna bezużyteczność.

Próbowaliśmy go zapewniać, że i on ma ważne zadanie do spełnienia; przecież ktoś przez cały czas musi obserwować morze. Kiedy my z Johnem wyruszyliśmy w głąb wyspy w poszukiwaniu czegoś do jedzenia czy też wykonywaliśmy inne niezbędne czynności, on miał pozostawać w łodzi i nie spuszczać z oka horyzontu, a w razie czego wezwać nas gwizdkiem, który każdy na statku otrzymał razem z kamizelką ratunkową.

Dziwne, jak bardzo ludzie zbliżają się do siebie w takich sytuacjach. Tak właśnie stało się ze mną i z Johnem. Lucas to co innego, zaprzyjaźniliśmy się jeszcze przed katastrofą, a John był mi dotąd niemal obcy.

W cztery oczy zdobywał się na większą szczerą niż przy Lorimerze. Widziałam, jaki jest dobry; rozumiał Lucasa, umiał wczuć się w jego położenie, nigdy też nie wspominał przy nim o swych obawach co do wyczerpywania się zapasu wody. Wobec mnie jednak przyznawał to otwarcie i niebawem wprowadził system racjonowania: wodę dostawaliśmy teraz trzy razy dziennie — o wschodzie, w południe i wieczorem.

— To nasz największy skarb. Bez wody jesteśmy skazani na śmierć. Zdrowy człowiek może przez miesiąc obyć się bez jedzenia, ale musi mieć wodę, a nam zostało jej bardzo niewiele. Pij powoli, przetrzymuj w ustach każdy łyk, żeby ją jak najlepiej wykorzystać. Dopóki się nie odwodnimy, jest nadzieja, że przetrwamy. Jeśli zacznie padać, może uda jej się trochę zaoszczędzić.

Czułam się przy nim spokojna. Darzyłam go ogromnym zaufaniem, a John zdawał sobie z tego sprawę. Jestem pewna, że to właśnie moja wiara dawała mu siłę do przezwyciężania trudności i porywania się na to, co wydawało się niemożliwe.

Przeszukiwaliśmy razem wyspę, podczas gdy Lucas obserwował morze. Czasem wędrowaliśmy w milczeniu, kiedy indziej prowadziliśmy długie rozmowy.

Któregoś dnia odeszliśmy dobrą milę od brzegu i wspięliśmy się na szczyt zbocza. Widać stąd było nie tylko całą wyspę, ale i horyzont wokół niej. Nagle poczułam się ogromnie samotna i przypuszczam, że Johnowi także udzieliło się to wrażenie.

— Usiądź na chwilę, Rosetto. Chyba każę ci zbyt ciężko pracować.

Roześmiałam się tylko.

— Jeśli ktoś tu naprawdę ciężko pracuje, to tylko ty. Bez ciebie nigdy byśmy nie przeżyli.

— Czasem mi się wydaje, że nigdy nie wydostaniemy się z tej wyspy.

— Oczywiście, że się wydostaniemy. Przecież jesteśmy tu dopiero kilka dni. Popatrz, udało się nam znaleźć łąd! Kto by w to uwierzył! Tak samo będzie ze statkiem, zobaczysz.

— A jeśli nawet... — urwał i zapatrzył się w dal, marszcząc brwi. Czekałam, aż dokończy zdanie, ale zmienił temat.

— Myślę, że to jednak nie jest regularny szlak.

— Dlaczego? Trzeba tylko poczekać.

— Spójrzmy prawdzie w oczy: woda się kończy.

— Zacznie padać deszcz i zdobędziemy nowy zapas.

— Trzeba poszukać jakiegoś jedzenia. Suchary się kończą.

— Czemu mówisz w ten sposób? To do ciebie niepodobne.

— Skąd wiesz? Przecież nie znasz mnie zbyt dobrze, prawda?

— Znam cię tak samo, jak ty mnie. W takich sytuacjach ludzie szybko się poznają. Nie trzeba przestrzegać tych wszystkich konwenansów, nie ma też wielkich przerw między spotkaniami, jest się ze sobą cały czas, w dzień i w nocy. Przeżyliśmy razem straszne niebezpieczeństwo, to bardzo zbliża.

— Opowiedz mi o sobie.

— A co chciałbyś wiedzieć? Pewnie widziałeś moich rodziców na statku. Ciągle się zastanawiam, co się z nimi stało. Czy trafili do którejś z łodzi? Są tacy roztargnieni, wątpię, czy zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Myślami tkwili głęboko w przeszłości i zdarzało im się zapominać nawet o moim istnieniu, jeśli akurat na mnie nie patrzyli. Bardziej bym ich interesowała, gdybym była kamieniem pokrytym hieroglifami. Zresztą nazwali mnie Rosettą właśnie na pamiątkę kamienia.

Uśmiechał się, a ja opowiadałam o moim szczęśliwym dzieciństwie spędzonym głównie w suterenie, o pokojówkach, które dotrzymywały mi towarzystwa, o posiłkach w kuchni, pani Harlow, niani Pollock i popisach pana Dollanda.

— Widzę, że nie muszę ci współczuć.

— Absolutnie. Często myślę, co też oni teraz robią. Na pewno słyszeli o katastrofie... Boże, jak muszą się martwić! I co się stanie z domem? A z nimi? Mam nadzieję, że rodzice się uratowali, bo jeśli nie...

— Może nigdy się tego nie dowiesz.

— Znów zaczynasz! No to teraz twoja kolej. Słucham.

Milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się cicho:

— Przykro mi, Rosetto.

— W porządku, nie chcesz, to nie mów.

— Chcę. Nawet czuję pewien przymus, bo chyba powinnaś to wiedzieć. Widzisz... ja nie nazywam się John Player.

— Nie? Tak też myślałam.

— Jestem Simon Perrivale.

Milczałam. Wspomnienia cisnęły mi się do głowy. Kuchenny stół... Pan Dolland wkłada okulary i czyta głośno gazetę...

— Chyba nie...

Pokiwał wolno głową.

— Ach... — westchnęłam.

— Przestraszyłaś się... Oczywiście. Bardzo cię przepraszam, może jednak nie powinienem ci mówić. Możesz mi nie uwierzyć...

— Ależ wierzę — zapewniłam go szczerze.

— Dziękuję. Teraz wiesz, kim jestem: zbiegiem.

— Więc zamustrowałaś się na statek jako...

— Jako zwykły majtek. Miałem szczęście. Wiedziałem, że grozi mi aresztowanie. Byłem pewien, że uznają mnie za winnego, nie miałem żadnej szansy. Wszystko świadczyło przeciwko mnie. Ale jestem niewinny, Rosetto, przysięgam. Musiałem natychmiast uciekać, żeby później... znaleźć jakiś sposób udowodnienia mej niewinności.

— Może lepiej byłoby zostać i stawić temu czoło.

— Może tak, a może nie. On był już martwy, kiedy tam wszedłem. Broń leżała obok, podniosłem ją... wyglądało to, jakbym był zabójcą.

— Mogłeś udowodnić swoją niewinność.

— Nie wtedy. Okoliczności sprzysięgły się przeciwko mnie. Prasa uznała mnie za mordercę, więc wszyscy uwierzyli. Czuję, że nie mam szans, by się temu przeciwstawić. Postanowiłem wyjechać z kraju i jakoś przedostałem się do Tilbury. Spotkało mnie tam zadziwiające szczęście. Rozmawiałem w tawernie z pewnym marynarzem. Okropnie się spił, bo nie miał ochoty wracać na morze. Jego żona spodziewała się dziecka, nie chciał zostawiać jej samej i wyglądał na kompletnie załamanego. Wykorzystałem fakt, że był pijany. Nie powinienem tego robić, ale byłem zdesperowany. Musiałem wydostać się z kraju, dać sobie jakąś szansę... Nagle pojąłem, że mógłbym zająć jego miejsce, i zrobiłem to. Nazywał się John Player i pływał jako prosty marynarz na „Gwieździe Atlantyku”. Statek wychodził w morze jeszcze tego samego dnia i zmierzał do Afryki Południowej. Pomyślałem, że mógłbym rozpocząć tam nowe życie, a gdyby kiedyś prawda wyszła na jaw, ewentualnie wrócić. Rosetto, zrozum, byłem w rozpacz. Plan wydawał się szalony, ale się powiódł. Żyłem w ciągłym strachu, że ktoś coś odkryje, nic takiego jednak nie nastąpiło. A potem wydarzyła się katastrofa...

— Od razu odgadłam, że coś z tobą jest nie tak. Po prostu nie pasowałeś do tej roli.

— Podczas naszych porannych spotkań?

— Tak.

— Czyżby aż tak rzucało się to w oczy?

— Trochę.

— Obawiałem się Lorimera.

— Rozumiem. Kiedyś mi powiedział, że ich rodzinna posiadłość leży niedaleko domu Perrivale'ów.

— Właśnie. Nawet przyjechał tam kiedyś. Miałem z siedemnaście lat. Byłem akurat w stajni, kiedy się zjawił. Krótko go widziałem, a człowiek zmienia się z wiekiem. Raczej by mnie nie rozpoznał, a mimo to się bałem.

— A teraz? Co teraz?

— Wygląda, że to już koniec historii.

— Co wydarzyło się tamtego dnia? Jesteś w stanie o tym mówić?

— Chyba mogę ci opowiedzieć. Człowiek czuje potrzebę rozmowy, a ja... no, cóż, w końcu jesteśmy przyjaciółmi... prawdziwymi przyjaciółmi. Ufamy sobie nawzajem, zresztą nawet gdybyś chciała mnie zdradzić, niewiele możesz tu zdziałać. Bo komu byś mnie wydała?

— W ogóle ani mi to w głowie! Przecież powiedziałaś, że jesteś niewinny!

— Nigdy nie czułem się Perrivale'em. To smutne, jak na dziecko... Miałem mgliste wspomnienia czegoś, co w myśli nazywałem Przedtem. Żyło mi się wówczas dobrze i bezpiecznie. Była przy mnie osoba, którą nazywałem Aniołem — taka pulchna, swojska, pachnąca lawendą. I jeszcze druga — ciotka Ada. Ta nie mieszkała z nami, ale często przyjeżdżała. W takie dni zwykłem chować się pod stołem, nakrytym czerwoną aksamitną serwetą. Pachniała lekko kulkami na mole. Dotąd jeszcze czuję pod palcami gładkość aksamitu i słyszę pełen wyrzutu głos ciotki: „Alice, czemu ty nigdy...”. Alice — to było imię mojego lawendowego Anioła.

Kiedyś jechałem z Aniołem pociągiem. Wybraliśmy się do ciotki Ady, do Witches' Home** Wierzyłem, że ona naprawdę jest czarownicą, musi być, skoro mieszka w takim miejscu, więc trzymałem się kurczowo ręki Anioła. Był to nieduży domek z oknami o małych szybkach oprawionych w ołów. Panował tam ciągły mrok, ale wewnątrz po prostu lśniło czystością. Przez cały czas naszego pobytu ciotka Ada mówiła Aniołowi, co ma robić. Mnie wysyłano do ogrodu... pamiętam, że na tyłach była woda. Bałem się wychodzić sam, bo myślałem, że ciotka Ada każe Aniołowi mnie zostawić, i pamiętam swoją wielką radość, kiedy znów znaleźliśmy się razem w pociągu. Prosiłem: „Aniele, nie jedźmy już nigdy więcej do Witches' Home”.

No i nie pojechaliśmy, za to ciotka Ada zjawiała się u nas. Wciąż mam w uszach jej głos: „Powinnaś to...”, „Powinnaś tamto...”, a Anioł odpowiadał: „Wiesz, Ado, jest tak i tak...”. Rozmawiały o „chłopcu”, czyli, jak rozumiałem, o mnie. Ciotka Ada była przekonana, że jeśli nie weźmie się mnie w karby, wyrosnę na kryminalistę. Można powiedzieć, że miała rację... ale Rosetto, ja naprawdę jestem niewinny.

— Wierzę ci.

Milczał przez chwilę. Pewnie myślałmi tkwił w przeszłości, bo w jego oczach pojawił się marzycielski wyraz. Niebawem znów podjął opowieść:

— W naszym domu regularnie pojawiał się pewien mężczyzna. Z czasem dowiedziałem się jego nazwiska: sir Edward Perrivale. Przywoził nam podarunki i zawsze wyglądał na zadowolonego, więc i ja się cieszyłem z tych wizyt. Brał mnie na kolana i powtarzał ze śmiechem: „Co za zuch! Świetny chłopak!”. Tylko tyle, mnie jednak to się podobało; zawsze miła odmiana po ciotce Adzie.

Pewnego dnia bawiłem się w ogrodzie, a po powrocie do domu zobaczyłem, że Anioł siedzi przy stole i trzyma się za serce. Była bardzo blada i z trudem łąpała powietrze. Zacząłem krzyżeć: „Aniele, Aniele! Jestem tutaj!”. Przeraziłem się, bo w ogóle na mnie nie patrzyła. Nagle zamknęła oczy i... to już wcale nie był mój Anioł. Wołałem ją i wołałem, lecz osunęła się na stół, więc podniosłem taki wrzask, że w końcu przyszli jacyś ludzie. Zabrali mnie stamtąd i wiedziałem już, że stało się coś okropnego. Przyjechała ciotka Ada i nic nie pomogło chowanie się pod stołem, bo mnie znalazła i powiedziała, że jestem złym chłopcem. Niewiele mnie to obeszło, chciałem tylko, żeby wrócił Anioł.

Ale Anioł zmarł. Potem żyłem w jakimś dziwnym oszołomieniu i mało co pamiętam poza tym, że do domu wciąż napływali jacyś ludzie i że to już nie było to samo miejsce. W salonie zaciągnięto story i ustawiono trumnę z Aniołem. Ciotka Ada zabrała mnie tam na „ostatnie pożegnanie”. Kazała mi ucałować zimną twarz, ale wrzasnąłem i próbowałem uciec. Tam nie leżał Anioł, jakiego znałem, tylko jakaś obca, obojętna istota, której nie obchodziłem już ani ja, ani moje potrzeby. Ale po co ja ci to opowiadam i to tak, jakbym był ciągle dzieckiem? Przecież wystarczyłoby po prostu powiedzieć, że zmarła i tyle.

— Opowiadasz tak, jak powinieneś. Zależy ci, żebym patrzyła na to twoimi oczami i ja także tego chcę.

* Nazwa Witches' Home znaczy „Dom Czarownicy”.

— Wciąż rozbrzmiewa mi w uszach dźwięk dzwonu pogrzebowego. Wciąż mam przed oczami te wszystkie postacie w czerni i ciotkę Adę niczym jakiegoś straszliwego zwiastuna katastrofy, który nie spuszcza ze mnie groźnego wzroku.

Na pogrzeb przyjechał sir Edward, po czym odbyła się wielka narada dotycząca „chłopca”. Wiedziałem, że waży się moja przyszłość, i bardzo się bałem.

Zapytałem panią Stubbs, która przychodziła do szorowania podłóg, gdzie jest teraz Anioł. Odpowiedziała, żebym nie zaprzętał sobie tym główki, bo Anioł jest już bezpieczny w niebie z aniołami. Potem usłyszałem, jak ktoś mówił: „Oczywiście chłopak pojedzie do Ady”.

Nie wyobrażałem sobie gorszego losu, chociaż trochę podejrzewałem, że tak się stanie. Ada była siostrą Anioła, a ponieważ Anioł poszedł do nieba, ktoś musiał zająć się „chłopcem”. Wiedziałem, że pozostaje mi tylko jedno — muszę odnaleźć Anioła. Wyruszyłem więc do nieba; tam ją zobaczę i przekonam, że musi albo wrócić, albo zatrzymać mnie przy sobie.

Nie uszedłem daleko. Spotkałem na drodze furę z sianem, którą powoził jeden z robotników z farmy. Zatrzymał mnie i spytał: „Dokąd to, młodzieńcze?”. Odpowiedziałem, że idę do nieba, a on na to: „To długa droga. Sam idziesz?”. „Tak — odparłem. — Bo tam jest Anioł”. „Ty jesteś Simon, prawda? Słyszałem o tobie. Wskakuj, to cię podwiozę”. „A jedzie pan do nieba?”. „Mam nadzieję, że jeszcze nie, ale znam drogę”. Podniósł mnie, posadził obok siebie i oczywiście zawiózł mnie prosto do domu. Na spotkanie wyszedł sir Edward. Człowiek, który mnie zdradził, dotknął czoła i rzekł: „Najmocniej przepraszam, ale ten mały chyba jest stąd. Znalazłem go na drodze, powiedział, że idzie do nieba. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak go tu odwiozę”.

Sir Edward miał dziwną minę. Dał woźnicy jakieś pieniądze, podziękował mu, po czym zwrócił się do mnie: „Chyba musimy pogadać, co?”. Zabrał mnie do salonu, gdzie wciąż pachniało liliami, ale trumny już nie było. Serce ścisnęło mi się od straszliwej samotności; teraz wiedziałem, że Anioł już tu nie wróci.

Sir Edward posadził mnie na kolanach. Spodziewałem się, że powie: „Zuch chłopak!”, ale usłyszałem co innego: „Więc chciałeś znaleźć drogę do nieba, tak?”. Kiwnąłem głową. „Tam nie można się dostać”. Obserwowałem ruchy jego ust. Nad górną wargą miał kreskę zarostu, a niżej spiczastą bródkę jak Van Dyck. „Dlaczego tam poszedłeś?” — spytał. Nie potrafiłem wyrazić tego jasno. Wykrztusiłem tylko: „Ciotka Ada...” i chyba zrozumiał. „Nie chcesz do niej jechać. Ale to twoja ciotka...”. Kręciłem zawzięcie głową. „Nie, nie, nie!”. „Nie lubisz jej?”. Przytaknąłem. „No dobrze. Zobaczmy, co się da zrobić”. Wydawał się bardzo zamyślony. Chyba właśnie wtedy musiał podjąć decyzję, bo następnego dnia usłyszałem, że mam jechać do jakiegoś dużego domu. Sir Edward zabierał mnie do swojej posiadłości.

— Możesz wyciągnąć z tego własne wnioski, Rosetto — dodał Simon z uśmiechem. — Na pewno będą prawidłowe. Byłem jego synem... nieślubnym, choć kiedy go lepiej poznałem, z trudem w to mogłem uwierzyć. Na pewno kochał moją matkę — Anioła. Każdy musiał ją kochać. Wyczuwałem to, gdy na nich patrzyłem. Oczywiście nie mógł się z nią ożenić, bo do niego nie pasowała. Pewnie zakochał się w niej, osadził ją w tym domku i od czasu do czasu odwiedzał. Sam nigdy mi o tym nie powiedział, zresztą nie zrobił tego nikt inny. To był tylko domysł, chociaż akceptowany przez wszystkich. Bo inaczej czemu miałyby mnie przyjmować do rodziny i kształcić razem z pozostałymi synami?

— I w ten sposób znalazłeś się w Perrivale Court.

— Tak. Byłem o dwa lata starszy od Cosma i trzy od Tristana. To sprzyjająca okoliczność, inaczej czekałby mnie ciężki los. Te dwa lata dały mi przewagę, której bardzo potrzebowałem, gdyż sir Edward po zainstalowaniu mnie w dziecięcej części domu przestał się mną interesować. Czasem tylko widziałem, że ukradkiem mnie obserwuje. Natomiast służba mnie nie lubiła i gdyby

nie niania, byłoby mi tak samo źle jak u ciotki Ady. Niania jedna mi współczuła, kochała mnie i chroniła. Zawsze będę pamiętał, ile zawdzięczam tej poczciwej kobiecie.

Miałem siedem lat, kiedy sprowadzono nam guwernera, pana Wellinga. Dobrze się do mnie odnosił i choć z pewnością słyszał plotki na mój temat, wcale się nimi nie przejmował. Byłem zresztą poważniejszy od moich przybranych braci, no i miałem te dwa lata przewagi.

Pozostawała jeszcze lady Perrivale. To przerażająca osoba i cieszyłem się, że nie przyjmuje do wiadomości mojego istnienia. Odzywała się do mnie niezwykle rzadko i miałem wrażenie, że w ogóle mnie nie widzi. Była potężnie zbudowana i poza sir Edwardem wszyscy się jej bali. Każdy w domu wiedział, że to jej pieniądze uratowały Perrivale Court i że jest jedyną córką milionera — właściciela kopalń węgla czy żelaza, dokładnie nie wiadomo. Ojciec chciał dla niej tytułu i gotów był w tym celu wesprzeć dach i ściany Perrivale Court ogromną sumą wyciśniętych z węgla (albo żelaza) pieniędzy. Sir Edwardowi wyraźnie odpowiadał ten układ. Poza tym, że utrzymał nad głową dach rodowej siedziby, zyskał jeszcze dwóch synów. Co do mnie, to miałem tylko jedno życzenie: trzymać się od niej z daleka. Oto obraz domu, w jakim się wychowałem.

— A potem wyjechałeś do szkoły?

— Co okazało się dla mnie zdecydowanie lepsze. Tam przynajmniej miałem równe z innymi prawa. Byłem dobrym uczniem, radziłem sobie w sporcie i w ogóle nieźle mi się wiodło. Straciłem tam nieco agresji, którą hodowałem w sobie w pierwszych latach, gotów się bronić, zanim zaistniała taka potrzeba. Wyszukiwałem sobie różne urojone powody do urazy... Szkoła naprawdę wyszła mi na dobre.

Niestety, szybko się skończyła. Wyrośliśmy z chłopięcego wieku, a w posiadłości było dość pracy, abyśmy wszyscy mieli co robić. Pracowaliśmy mniej więcej jednakowo i w końcu staliśmy się dorośli.

Miałem około dwudziestu czterech lat, kiedy w sąsiedztwie pojawił się major Durrell, a wraz z nim jego córka — wdowa z małą córeczką, niezwykła rudowłosa piękność o zielonych oczach. Zafascynowała nas wszystkich, szczególnie Cosma i Tristana, ale ostatecznie wybrała Cosma. Niebawem ogłoszono ich zaręczyny.

Patrzyłam na niego uważnie. Czy rzeczywiście zależało mu na tej kobiecie, jak sugerowano? Czy perspektywa jej małżeństwa z innym wzbudziła w nim gniew, rozpacz, zazdrość? Czy pragnął jej dla siebie? Nie. Naprawdę mu wierzyłam — mówił z taką szczerością. Udało mu się wykreować przed moimi oczami obraz dziecięcej części domu z wszechwładną dobrą nianią, a potem przyjazd uroczej wdówki — Mirabel.

— Tak — ciągnął. — Wybrała Cosma i lady Perrivale nie posiadała się z zachwytu. Chciała jak najprędzej pożenić swych synów, doczekać się wnuków, a Mirabel uznała za idealną narzeczoną dla Cosma. Podobno matka Mirabel była jej najlepszą szkolną przyjaciółką. Wprawdzie już nie żyła, ale lady Perrivale serdecznie powitała jej owdowiałego męża majora, którego poznała na ich ślubie, oraz córkę. Major napisał do niej wcześniej, że właśnie przeszedł w stan spoczynku i chce się gdzieś osiedlić. Może w Kornwalii? Lady Perrivale zachwyciła się tym pomysłem i znalazła dla ojca z córką mały domek — Seashell Cottage. No a potem szybko nastąpiły zaręczyny z Cosmem. Teraz już wiesz, jak przedstawiała się scena.

— Zaczynam widzieć ją bardzo wyraźnie.

— Wszyscy pracowaliśmy w majątku. W skład posiadłości wchodziła też stara farma Bindon Boys. Człowiek, który tam mieszkał i pracował, umarł trzy lata wcześniej. Ziemia została okresowo puszczona w dzierżawę pewnemu farmerowi, ale domu nikt nie chciał — był w kiepskim stanie i wymagał kosztownego remontu.

— Tak, gazety rozpisywały się szeroko o Bindon Boys.

— Sprawowaliśmy stały nadzór nad tym gospodarstwem i decydowaliśmy, co trzeba zrobić.

Pokiwałam głową. Przed oczami miałam czarne nagłówki: „Przypadek Bindon Boys. Policja niebawem spodziewa się aresztowania”. W jakże innym świetle widziałam je wówczas, przy kuchennym stole, kiedy razem z panem Dollandem próbowaliśmy wydedukować prawdę...

— Zachodziliśmy tam ładnych kilka razy. Było sporo do zrobienia. Tamten dzień pamiętam bardzo wyraźnie. Miałem spotkać się z Co — smem w domku, żeby omówić na miejscu jakiś projekt, ale kiedy wszedłem do środka, znalazłem go martwego... obok leżała strzelba. Nie mogłem w to uwierzyć. Ukląkłem i zobaczyłem na płaszczu krew... jego krew. Podniosłem broń — i w tym momencie zastał mnie Tristan. Zapamiętałem jego słowa: „Dobry Boże! Zabiłeś go.”. Odpowiedziałem, że dopiero co wszedłem... że znalazłem go martwego, ale Tristan patrzył na strzelbę w moich dłoniach i dobrze wiedziałem, co myśli.

Urwał i przymknął oczy, jakby próbował odciąć się od wspomnień. Położyłam mu rękę na ramieniu.

— Wiesz, że jesteś niewinny, Simonie. Kiedyś to udowodnisz.

— Jeśli nie wydostaniemy się z tej wyspy, nikt już nie pozna prawdy.

— Na pewno się wydostaniemy. Czuję to.

— To jedynie nadzieja.

— Nadzieja to dobra rzecz.

— Ale jeśli jest bezpodstawna, tylko łamie ci serce.

— W tym wypadku tak nie jest. Statek przybędzie, ja to wiem. A wtedy...

— Tak, co wtedy? Będę musiał się ukrywać. Nigdy nie wrócę do kraju. Jeśli to zrobię, złapią mnie i uznają, że ucieczka świadczy przeciwko mnie.

— Co się naprawdę wydarzyło? Masz jakieś podejrzenia?

— Myślę, że to mógł być ewentualnie stary Harry Tench. Nienawidził Cosma. Parę lat temu wydzierżawił jedną z farm, za dużo jednak pił i gospodarstwo popadło w ruinę. Cosmo go wyrzucił i przyjął na jego miejsce kogoś innego. Tench wyjechał wtedy, ale wrócił. Włączył się po drogach, wynajmował do różnych napraw, drutował garnki. Ludzie gadali, że zaprzysiągł Cosmowi zemstę. Przez parę tygodni nikt go nie widział w okolicy, lecz oczywiście, jeśli zaplanował zabójstwo, musiał się pilnować. W śledztwie wspominano jego nazwisko, ostatecznie jednak uwolniono go od zarzutów. Ja bardziej się nadawałem na zabójcę. Ułożyli cały dramat na temat rzekomej wrogości między Cosmem a mną, okoliczni mieszkańcy opowiadali o różnych jej przejawach, z których nawet nie zdawałem sobie sprawy. Rozdmuchali całą historię Mirabel i jej zaręczyn z Cosmem.

— Wiem. Crime passionel, zabójstwo w afekcie... Czy... czy byłeś zakochany w Mirabel?

— Ach, nie. Trochę zafascynowany, jak my wszyscy, lecz nic poza tym.

— A kiedy ogłoszono jej zaręczyny z Cosmem, czułeś się zawiedziony?

— Razem z Tristanem mówiliśmy pewnie, jakim szczęściarzem jest Cosmo i jak to niby mu zazdrościmy, choć nie braliśmy tego na serio.

Zapadła cisza. Po jakimś czasie Simon odezwał się pierwszy:

— Więc teraz już wiesz. Cieszę się, zupełnie jakby mi ktoś zdjął ciężar z pleców. Powiedz, czy to dla ciebie wielki szok, że przebywałeś w towarzystwie człowieka podejrzanego o morderstwo?

— Potrafię myśleć tylko o tym, że ów podejrzany uratował mi życie. I Lucasowi także.

— A przy okazji sobie.

— Cóż, gdybyś ty się nie uratował, nie byłoby nas tutaj. To dobrze, że mi wszystko opowiedziałeś. Tak bym chciała, żeby coś się dało zrobić... wyjaśnić... żebyś mógł wrócić do domu. Może kiedyś to nastąpi.

— Jesteś optymistką. Myślisz, że wyrwiemy się z tej przeklętej wyspy... Wierzysz w cuda.

— Przecież już wydarzyło się ich parę.

Ścisnęła mnie za rękę.

— Masz rację, niewdzięcznik ze mnie. Kiedyś nas tu odnajdą. Pewnego dnia wrócę do Perrivale Court i wszyscy poznają prawdę.

— Jestem o tym przekonana — odparłam, wstając. — Strasznie długo już rozmawiamy. Lucas może się niepokoić.

* * *

Minęły kolejne dwa dni. Zapas wody się kończył, zjedliśmy też wszystkie kokosy. Simon wyszukał gruby kij, z którego Lucas zrobił sobie kulę. Noga nieco mniej go bolała, chociaż nie wierzyłam, że zdołaliśmy prawidłowo ją nastawić. Mógł jednak z trudem zrobić kilka kroków, co znacznie poprawiło mu humor.

Kiedy znów nadarzyła się sposobność rozmowy w cztery oczy, Simon opowiedział mi o dalszych wypadkach ze swego życia, dzięki czemu zyskałam jaśniejszy obraz mego wybawcy. Zafascynowało mnie to wszystko, marzyłam, żeby pomóc w wykryciu prawdy i udowodnieniu jego niewinności. Chciałam usłyszeć coś więcej o Harrym Tenchu, bo to jego wytypowałam na mordercę. Simon uważał, że Cosmo nie powinien traktować biedaka aż tak bezwzględnie. Owszem, farma musiała być utrzymywana w należyтым stanie, ale mógł Tenchowi dać jeszcze jedną szansę, oczywiście w granicach rozsądku. Tymczasem Cosmo upierał się, że ten człowiek jest leniwy i zuchwały, co według niego przesądzało sprawę.

Zastanawialiśmy się wspólnie, czy rzeczywiście Tench mógł popełnić tę zbrodnię. Nie miał stałego domu, sypiał w szopach, czasem — jak sam przyznał — w Bindon Boys. Może był tam przed nadejściem Cosma i skorzystał z okazji? Ale co ze strzelbą? To wymagało wyjaśnienia. Wykryto, że broń pochodziła z Perrivale Court, więc jak trafiła do rąk Tencha? I tak dalej, i tak dalej... Jestem pewna, że możliwość szczerzej rozmowy przynosiła Simonowi wielką ulgę.

Piątego dnia od rana wędrowaliśmy razem po wyspie. Znaleźliśmy jakieś jagody i zastanawialiśmy się, czy zaryzykować próbę ich zjedzenia, gdy nagle usłyszeliśmy krzyk, a w chwilę później dźwięk gwizdka.

Pośpieszyliśmy czym prędzej do Lucasa, który drżąc z emocji, wskazywał palcem horyzont. Czyżby to nasza wyobraźnia podsuwała nam ten tak gorąco upragniony obraz?

W ciszy, z zapartym tchem obserwowaliśmy punkt, który wkrótce zaczął nabierać kształtu.

— Jest! Jest! — wrzasnął wreszcie Simon.

W seraju

Ocierając się tak długo o śmierć, myślałam, że cokolwiek teraz nastąpi, musi być zmianą na lepsze. A jednak groza następnych tygodni przekroczyła granice mojej wyobraźni.

Jakże często powtarzałam sobie wtedy, że wolałabym pójść na dno z „Gwiazdą Atlantyku” albo zginąć w roztrzaskanej przez sztorm szalupie...

Wspominam teraz naszą radość na widok majaczącego na horyzoncie statku... Radość, która szybko ustąpiła miejsca przekonaniu, że lepiej by nam było nadal tkwić na wyspie, próżno wyglądając ratunku. Kto wie, może znaleźlibyśmy jakieś środki przetrwania, a poza tym byłibyśmy razem, ciesząc się względnym spokojem i bezpieczeństwem.

Od momentu, kiedy ci smagli mężczyźni w czerwonych czapkach i z kordami u boku zaczęli się zbliżać do brzegu, moja początkowa euforia zmieniła się w strach. Nie rozumieliśmy ich języka — przypuszczałam, że mówią po arabsku. Sam statek bynajmniej nie przypominał „Gwiazdy Atlantyku”, raczej starożytną galerę. Nie przyszło mi dotąd do głowy, że na morzach wciąż grasują piraci, chociaż kapitan opowiadał nam kiedyś o podejrzanych interesach, jakie prowadzi się na statkach w „pewnych rejonach”. Teraz mi się to przypomniało i od razu nabrałam przekonania, że wpadliśmy w ręce tego rodzaju opryszków.

Nie podobał mi się ani ten statek, ani ci ludzie. Simon i Lucas najwyraźniej podzielali moje obawy.

Staliśmy blisko siebie, jakbyśmy chcieli osłonić się nawzajem przed przybyszami, których było około dziesięciu. Mamrotali coś do siebie i przyglądali się nam badawczo. Jeden podszedł i wziął do ręki pukiel moich włosów, pozostali otoczyli nas ciasno, wykrzykując coś z podnieceniem. Moje włosy pod wpływem słońca jeszcze bardziej pojaśniały i prawdopodobnie ten nieznaną kolor, tak różny od włosów przybyszów, budził w nich takie zdumienie.

Wyczułam niepokój moich towarzyszy; przysunęli się bliżej. Wiedziałam, że każdy z nich gotów był walczyć o mnie na śmierć, i ta myśl dodała mi nieco otuchy.

Uwaga obcych skupiła się teraz na Lucasie, który stał wsparty na kiju, blady i wyraźnie w złym stanie.

Gadali coś głośno, kręcąc głowami, a potem skierowali wzrok na mnie i na Simona. Śmiali się przy tym i przytakiwali sobie, ja zaś poczułam przyptyw okropnego strachu, że zamierzają nas zabrać, a Lucasa zostawić.

— Trzymajmy się razem — powiedziałam.

— Tak — mruknął Simon. — Nie podoba mi się ich wygląd.

— Niedobrze, że nas znaleźli — szepnął Lucas. — Lepiej...

— Jak myślicie, kim oni są? — zapytałam.

Simon pokręcił głową, a ja zdrewniałam ze strachu. Przerażali mnie ci ludzie, ich warkliwe głosy, chytre spojrzenia z ukosa, podejrzane zamiary.

Nagle jakby podjęli decyzję. Ten, którego uważałam za przywódcę, dał znak swym ludziom. Czterech podeszło do naszej łodzi, obejrzało ją dokładnie, po czym skinęło z aprobatą głowami. Najwyraźniej zamierzali zabrać ją na statek.

Simon postąpił krok naprzód, ale zagroził mu drogę mężczyzna z nożem.

— Daj spokój — syknęłam. — Niech biorą.

Teraz przyszła kolej na nas. Na znak przywódcy dwóch mężczyzn z nożami ustawiło się za naszymi plecami. Popchnęli nas lekko i wtedy zrozumieliśmy, że mamy iść na galerę. Lucas kuśtykał między nami; na szczęście nas nie rozdzielono.

— I tak nie przetrwalibyśmy długo na tej wyspie — mruknął Simon.

Mieliśmy kłopoty z wciągnięciem Lucasa na pokład. Nikt nam nie pomógł. Musieliśmy wspinać się po sznurkowej drabince, co dla niego okazało się niemożliwe. Ostatecznie Simon niemal go wniósł.

Na pokładzie otoczyli nas zaciekawieni mężczyźni. Wszyscy gapili się na mnie, niektórzy dotykali moich włosów. Rechocząc głośno, ciągnęli je i okręcali sobie wokół palców.

Nagle zapadła cisza. Pojawił się ktoś nowy, chyba kapitan — wyższy od innych, o żywych czarnych oczach z iskierkami humoru. W zdecydowanych rysach jego twarzy kryła się pewna inteligencja, co na krótko rozbudziło we mnie nadzieję.

Krzyknął coś i pozostali natychmiast się cofnęli. Potem popatrzył na nas i pochylił głowę w geście powitania.

— Anglicy? — spytał.

— Tak! Tak!

Pokiwał głową. Na tym wyraźnie kończyła się jego znajomość naszego języka, ale owa kurtuazja nieco nas pocieszyła. Odwrócił się do swych ludzi i przemówił dość groźnym tonem, co spotkało się z uległością. Następnie znów spojrzął na nas.

— Chodźcie!

Zaprowadził nas do małej kabiny, gdzie usiedliśmy na jedynej koi. Podniósł rękę i rzekł:

— Jeść.

Potem wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

— Co to ma znaczyć? — spytałam.

Lucas sądził, że zatrzymają nas dla okupu.

— To dochodowy interes, jestem pewien, że o to właśnie im chodzi.

— Chcesz powiedzieć, że przemierzają morza w poszukiwaniu rozbitków?

— Ach, nie, zajmują się innego rodzaju handlem. Przemyt... Może nawet porywają statki jak dawni piraci. Imają się wszystkiego, co daje jakiś zysk. Pewnie zakładają, że mamy gdzieś rodziny, no i jesteśmy Anglikami. Dla nich każdy Anglik to milioner.

— Jak to dobrze, że nas nie rozdzielili!

— Tak, ale chyba się zastanawiają, czy jestem wart zachodu.

— Co robimy? — spytał Simon, wbijając we mnie wzrok. — Musimy dołożyć wszelkich starań, by pozostać razem.

— Będę się o to modlić.

Przyniesiono nam jedzenie — gorące i mocno przyprawione. W normalnych warunkach nie wzięłabym tego do ust, ale byliśmy bliscy śmierci głodowej i pochłonęlibyśmy dosłownie wszystko. Lucas doradzał jednak zachowanie umiaru.

Posiłek dobrze mi zrobił. Zastanawiałam się, w jaki sposób tamci będą domagać się okupu. Do kogo się zwrócą? Mój ojciec miał siostrę, z którą nie kontaktował się od dziesięciu lat. Czy zgodziłaby się zapłacić okup za bratanicę? A może rodzice dotarli jakoś do domu... ale przecież nie byli przesadnie bogaci.

A Simon? Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, byłoby wyjawienie własnej tożsamości. Co do Lucasa, to chyba znajdował się w najlepszej sytuacji, gdyż pochodził z bogatej rodziny.

— Szkoda, że nie wiem, gdzie jesteśmy — westchnął Simon. — To mogłoby nam pomóc...

Zastanawiałam się, czy ma plan ucieczki. Był taki pomysłowy, zresztą pokazał już, co potrafi, uciekając z Anglii. Skoro raz mu się udało, to może i teraz...

Siedzieliśmy, pogrążeni w zadumie, i przysięgłabym, że wszyscy chcieliśmy znaleźć się z powrotem na wyspie. Mogło być krucho z jedzeniem, mogliśmy nie mieć nadziei na przetrwanie, ale przynajmniej zachowalibyśmy wolność.

* * *

Pierwszej nocy przeżyłam nieprzyjemną przygodę. Próbowaliśmy zasnąć, kiedy nagle usłyszałam, że do drzwi ktoś się skrada. Po chwili w zamku obrócił się klucz.

Poderwałam się raptownie. Drzwi cicho się otworzyły i weszło dwóch drabów. Przypuszczałam, że to ci sami, którzy zabrali nas z wyspy, ale nie miałam pewności, bo wszyscy wyglądali podobnie.

Przyszli po mnie, pochwycili mnie... Mój krzyk natychmiast obudził Simona i Lucasa.

Tamci wlekli mnie już do drzwi. Zamiary mieli wypisane na twarzach.

— Puszczajcie! — krzyczałam.

Simon uderzył jednego z napastników, ale drugi odepchnął go na koniec kabiny. Lucas złapał swój kij i walił nim obu.

Krzyki przyciągnęły do drzwi ich kompanów, podniósł się harmider, wszyscy się śmiali i gadali jeden przez drugiego. Simon wstał i zasłonił mnie własnym ciałem. Widziałam, że ręka mu krwawi.

Ogarnął mnie potworny strach. Wiedziałam, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie.

Nie śmiałam sobie wyobrazić, co by się ze mną stało, gdyby nie pojawił się kapitan. Wydał krótki rozkaz i tamci od razu spotulnieli, a ja ukryłam się za plecami moich towarzyszy.

Simon całą swą postawą zdawał się świadczyć, że gdyby spotkała mnie jakaś krzywda, stanąłby w mojej obronie. Wyglądał naprawdę groźnie. Lucas zachowywał się równie opiekuńczo, ale jako kaleka nie miał wielkich szans.

Kapitan wyraźnie zorientował się w sytuacji. Zdawał sobie sprawę z motywów swych podwładnych: wyróżniałam się, miałam długie, jasne włosy, jakich dotąd nigdy nie widzieli. Przede wszystkim zaś byłam kobietą i to im wystarczało.

Kapitan skłonił się przede mną, dając do zrozumienia, że przeprasza mnie tym gestem za brutalność swych ludzi.

Potem pokazał, że mam za nim pójść.

Simon postąpił krok naprzód, ale tamten pokręcił głową.

— Pilnować... bezpiecznie... tylko ja, kapitan.

Dziwne, lecz mu zaufałam. Mimo że dowodził statkiem uwikłanym w nielegalne interesy, wierzyłam, iż chce mi pomóc. Zresztą opór nie na wiele by się zdał. Byliśmy w rękach tego człowieka. Mimo groźnych gestów Simon i Lucas nie mogliby mnie długo chronić. Musiałam zaufać kapitanowi.

Szłam za nim przez tłum tamtych mężczyzn. Niektórzy wyciągali ręce ku moim włosom, żaden jednak nie ważył się ich dotknąć. Widziałam, że czują respekt wobec kapitana, ten zaś wyraźnie nakazał im trzymać łapy przy sobie.

Zabrał mnie do małej kajuty, przylegającej do jego własnej. Otworzył przede mną drzwi i zaczekał z boku, aż wejść. Była wygodniejsza od poprzedniej, na koi przypominającej tapczan leżały narzuty i poduszki, za zasłoną dostrzegłam miednicę i dzbanek — mogłam się umyć!

Kapitan rozłożył ręce.

— Bezpieczna tutaj. Ja pilnować.

— Dziękuję.

Nie wiem, czy zrozumiał, ale starałam się wyrazić wdzięczność chociaż tonem.

Uklonił się raz jeszcze i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Rzuciłam się na posłanie. Na samą myśl o tym, od czego mnie uratował, dostałam gwałtownych dreszczy i długo nie mogłam się uspokoić.

Zastanawiałam się nad intencjami mego wybawcy. Może Lucas miał rację... Na pewno chodziło o okup, a skoro tak, powinniśmy wrócić do rodzin w nienaruszonym stanie.

Odsunęłam zasłonę i wreszcie pozwoliłam sobie na luksus mycia. Potem wróciłam na posłanie. Byłam kompletnie wyczerpana — fizycznie, umysłowo, a także emocjonalnie. Na pewien czas zapomniałam o wszystkich zagrożeniach i zasnęłam.

* * *

Staram się wyrzucić z pamięci te dni ustawicznego strachu. Za każdym razem, kiedy słyszałam pod drzwiami kroki, kiedy otwierały się drzwi, ogarniała mnie fala niesamowitego lęku. W takich sytuacjach największym wrogiem człowieka jest własna wyobraźnia.

Posiłki przynoszono regularnie i to pozwalało mi na chwilę wytchnienia od ciągłego napięcia, chociaż dobrze wiedziałam, że niebezpieczeństwo czai się gdzieś w pobliżu. Nie znałam planów moich prześladowców, ale z pewnością je mieli. Kapitan chronił mnie przed określonym losem i powinnam być mu za to wdzięczną. Ufałam mu... nie dlatego, że wierzyłam w jego rycerskość, ale jego postawa gwarantowała mi bezpieczeństwo właśnie ze względu na owe tajemnicze plany co do mojej osoby.

Okazało się, że mogę jeść, chociaż raczej niewiele. Zadbano też o inne wygody — najbardziej cieszyła mnie możliwość umycia się od czasu do czasu. Szkoda tylko, że nie wiedziałam, dokąd płyniemy i co się dzieje z Simonem i Lucasem.

Raz w mojej kabinie pojawił się kapitan. Umyłam właśnie włosy i suszyłam je, kiedy zapukał. Nie odrywał wzroku od mojej głowy, ale zachowywał się uprzejmie. Widziałam, że zależy mu na rozmowie, choć jego nieznaną angielskiego stanowiła istotną przeszkodę.

— Ty płynąć... statek... Anglia?

— Tak. Ale nasz statek się rozbił.

— Z Anglii... sama? Nie?

— Podróżowałam z rodzicami.

To było beznadziejne. Pewnie próbował się dowiedzieć, z jakiej rodziny pochodzę. Czy mają pieniądze? Ile mogę być dla nich warta?

Przestał mnie wypytywać, widząc, że nic nie osiągnie, ale ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, domyślałam się, że jest zadowolony.

Nagle budząc się pewnego ranka, zauważyłam, że statek stoi w miejscu. Słońce już weszło, a kiedy wyjrzałam przez bulaj, mignęły mi przed oczami jakieś białe budynki.

Na statku panowały hałas i ożywienie, ludzie na siebie pokrzykiwali, zewsząd dobiegały podniecone głosy. Jedno było pewne: dobiliśmy do celu podróży i wkrótce rozstrzygnie się mój los.

W miarę upływu czasu zaświtało mi, co mnie może czekać, i ogarnęła mnie groza. Zadałam sobie pytanie, czy nie wolałabym nigdy nie doświadczyć cudu ocalenia.

Kapitan przyniósł mi czarny obszerny płaszcz, jaszmak* i siatkę na włosy. Dał mi do zrozumienia, że mam to wszystko włożyć. Z włosami upchniętymi pod siatkę i ubrana w te wszystkie rzeczy wyglądałam jak Arabka, jakich pełno na suku w miastach Wschodu.

Zabrano mnie na brzeg, gdzie ku mej wielkiej radości zobaczyłam z daleka Simona. Ale zaraz poczułam niepokój, bo nigdzie nie było ani śladu Lucasa.

Simon rozpoznał mnie mimo przebrania i widziałam, że się o mnie boi. Próbowaliśmy podejść do siebie bliżej, lecz brutalnie nas powstrzymano.

* Zasłona na twarz.

Żar lał się z nieba i pod warstwą ubrań okropnie się pocilałam. Simon szedł między dwoma mężczyznami, mnie eskortował kapitan.

Nigdy nie zapomnę tego marszu przez wąskie i kręte brukowane uliczki nieznanego egzotycznego miasta. Wokół nas tłoczyli się mężczyźni w długich szatach i kobiety ubrane tak jak ja, biegały kozy i wygłodzone psy, obwąchujące nas z nadzieją, raz kątem oka dostrzegłam szczura, pożywiającego się jakimiś odpadkami. Wzdłuż ulic ciągnęły się małe, nie większe od jaskiń sklepiki ze straganami pełnymi wisiorków, mosiężnych ozdób, galanterii ze skóry oraz egzotycznego, mocno przyprawionego jedzenia — dla mnie zupełnie nie — apetycznego, o zapachu wywołującym mdłości.

Niektórzy przekupnie pozdrawiali głośno kapitana i resztę załogi. Wyglądało to tak, jakby wszyscy zdawali sobie sprawę z celu naszej wędrowki, co mnie przejmowało coraz większym przerażeniem. Zastanawiałam się, ile innych młodych kobiet przemierzało już z nimi te zaułki. Ach, żeby tylko móc dostać się do Simona! I co się stało z Lucasem?

Wreszcie wyszliśmy na szerszą ulicę. Rosły tu drzewa — przeważnie przykurzone palmy, a domy były większe. Skreśliśmy w bramę, za którą znajdował się obszerny dziedziniec z fontanną. Siedziało przy niej w kucki kilku ludzi — zapewne służących, gdyż na nasz widok się poderwali i zaczęli coś mówić z ożywieniem.

Jeden z nich podszedł bliżej i skłonił się przed kapitanem, który skinął głową i zamachał rękami. Wprowadzono nas do wielkiego holu. W oknach wisiały ciężkie, fałdzone zasłony, mające zapewne chronić wnętrze przed upałem.

Mężczyzna we wspaniałej szacie skłonił się nisko kapitanowi, pragnąc wyraźnie okazać mu najwyższy szacunek, po czym poprowadził nas do sali, gdzie na podwyższeniu, w bogato zdobionym fotelu siedział drobny staruszek.

Musiał być bardzo stary. W zasuszonej twarzy tylko czarne — podobne do małpich — oczy paliły się żywym blaskiem. On także miał na sobie kosztowne szaty, ale przy jego niepozornym wzroście nadmiar ozdób podkreślał tylko wiek.

Po wymianie ukłonów kapitan odprawił swych ludzi i popchnął mnie lekko naprzód, pozwalając płaszczowi zsunąć się na podłogę. Ściągnął mi też jaszmak i siatkę. Kiedy moje włosy opadły na ramiona, czarne oczka pana domu rozszerzyły się ze zdumienia. Starzec wymamrotał kilka słów, które wyraźnie ucieszyły kapitana. Wciąż nie mógł oderwać wzroku od moich włosów. Jaka szkoda, że nic nie rozumiałam z ich rozmowy...

Potem kapitan wysunął naprzód Simona. Stary zmierzył go od góry do dołu swymi chytrymi oczkami. Wydało mi się, że wysoki wzrost i krzepka budowa mego towarzysza wywarły tak samo dobre wrażenie, jak moje włosy.

Staruszek skinął głową — jak zrozumiałam — na znak aprobaty. Kapitan przysunął się do niego bliżej i obaj pograżyli się w rozmowie, dzięki czemu udało mi się podejść do Simona.

- Gdzie Lucas? — szepnęłam.
- Nie wiem. Zabrali mnie tutaj samego.
- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Gdzie my jesteśmy?
- Przypuszczam, że na północnym wybrzeżu Afryki.
- Co oni z nami zrobią? O czym rozmawiają?
- Pewnie się targują.
- Targują?!
- Wygląda na to, że nas sprzedano.
- Jak niewolników!
- Chyba tak.
- I co teraz będzie?

— Nie wiem. Poczekamy na jakąś okazję. Na razie jesteśmy bezsilni, ale w odpowiednim momencie... może uciekniemy.

— A będziemy razem?

— Nie wiem.

— Och, Simonie! Oby nas tylko nie rozdzielili!

— Módlmy się o to.

— Bardzo się boję.

— Ja też.

— Ten staruszek... Kim on może być?

— Pewnie handlarzem.

— Handlarzem żywym towarem?

— Między innymi. Prawdopodobnie handluje wszystkim, co ma jakąś wartość, włączając w to ludzi.

— Musimy jakoś uciec.

— Jak?

— Po prostu zaczniemy biec... przed siebie.

— I myślisz, że daleko dobiegniemy? Nie, lepiej poczekać. Jeśli będziemy trzymać się razem, to może się uda. Kto wie, jaka okazja się nadarzy?

Przypominam sobie spojrzenie, jakie wymieniliśmy wtedy. Przywoływałam je w pamięci w najczarniejszych, najbardziej przerażających momentach, których wiele czekało mnie w ciągu następnych tygodni.

* * *

Są sprawy, o których nie chce się pamiętać. Człowiek marzy, aby się od nich odciąć i udawać, że nigdy się nie zdarzyły. Niekiedy z pomocą przychodzi sam umysł i z czasem owe wypadki stają się tylko mglistym wspomnieniem. Mnie także to spotkało.

Pamiętam pobyt w domu handlarza — chyba tylko przez jedną noc — i moje straszliwe przerażenie, obrazy podsuwane przez okrutną wyobraźnię, która nieustannie ukazywała mi upiorne wizje mego ewentualnego losu. Staruszek wydawał się jakimś koszmarnym ludojadem, a jedyną pociechę stanowił fakt, że pod tym samym dachem przebywał też Simon. Transakcja obejmowała bowiem nas oboje.

Kapitan wyjechał zaraz po dobieciu targu i nigdy go już nie spotkałam.

Następnego dnia znów spowito mnie w szaty, w których tu przybyłam, a włosy całkowicie schowano. Potem poprowadzono mnie razem z Simonem przez gwarne ulice do portu, gdzie czekał na nas statek. Staruszek, który sprawował tu władzę, nie zwracał na nas uwagi — odniosłam wrażenie, że jest tu tylko po to, by zadbać o swą własność, którą teraz stanowiliśmy.

Nie mieliśmy pojęcia, dokąd nas wiozą, ale już na pokładzie parę razy zdarzyła nam się okazja do rozmowy. Głównym tematem był Lucas.

Simon powiedział mi, że wcześniej odbyli dwa spotkania z kapitanem. Nie traktowano ich źle. Podobno piraci bardzo się zainteresowali Lucasem, ale później ich rozdzielono i nie mogli już z sobą rozmawiać. Mimo to Lucas nie wydawał się specjalnie przerażony, przeciwnie, raczej pełen nadziei.

— Chociaż chyba kiedyś przyszło mu do głowy, że mogą go wyrzucić za burtę jako niezdatnego do pracy. Po mnie spodziewali się znacznie więcej.

Milczałam, bojąc się snuć przypuszczenia co do mojego losu. Simon uważał, że krajem, który właśnie opuszczaliśmy, była Algieria.

— Za dawnych czasów zawsze chronili się tu piraci. Cieszyli się poparciem tureckiego rządu, może nadal tak jest. Każdy z tutejszych portów to idealne miejsce dla wszystkich nielegalnych interesów, mało kto ryzykowałby podróż w te strony.

Prawdopodobnie miał rację.

Popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża do Syrii i dalej ku Dardanelom. Potem wzięliśmy kurs do portu przeznaczenia, czyli Stambułu.

* * *

Niedługo przed Bosforem w mojej kajucie pojawiła się jakaś kobieta z młodą dziewczyną. Ta druga niosła — jak mi się zdawało — stertę przezroczystych tkanin, zaraz jednak okazało się, że to sztuki gotowej garderoby. Rozłożyły je na koi, po czym zwróciły się ku mnie. Widziałam obie na statku już wcześniej i zastanawiałam się, na czym polegają ich obowiązki. Niebawem zrozumiałam, że przyszły pomóc mi się ubrać w te wszystkie wspaniałości.

Były tam długie szarawary z powiewnej jedwabistej tkaniny, bufiaste i ściągnięte w kostkach. Na wierzch zaś piękna przezroczysta suknia, usiana połyskliwymi jak gwiazdy cekinami. Kobiety rozpuściły mi włosy na ramiona i czesały je, zerkając przy tym na siebie i chichocząc.

Kiedy skończyły, cofnęły się o krok i klasnęły w ręce.

— Chcę moje zwykłe ubranie — powiedziałam.

Nie zrozumiały mnie, ale wciąż chichotały, poszturchując się nawzajem łokciami. Głaskały mnie po głowie i uśmiechały się do mnie.

Potem do kabiny wszedł tamten staruszek. Przyjrzał mi się i zatarł z zadowoleniem ręce.

Bałam się bardziej niż kiedykolwiek. Wiedziałam, że domysły Simona są słuszne: chcą nas sprzedać — jego jako silnego mężczyznę do pracy, natomiast mnie do znacznie bardziej podejrzanych celów.

Wyczuwałam, że Simon bardziej niepokoi się o mój los niż o własny.

Przyniesiono mi płaszcz, jaszmak i siatkę, które ponownie skryły te wszystkie piękne stroje. Razem z Simonem wyprowadzono nas ze statku do powozu, po czym w towarzystwie staruszka i jego młodszego pomocnika powieziono ulicami Stambułu.

Skoncentrowana przede wszystkim na moim okropnym losie, nie zwracałam specjalnej uwagi na otoczenie. Później dowiedziałam się, że miasto podzielone jest na dwie części — chrześcijańską i turecką. Łączą je dwa mosty o dość niezgrabnej konstrukcji, ale dobrze służące swemu przeznaczeniu. Kątem oka zerkalam na meczety i minarety, uświadamiając sobie z żalem, jak daleko jestem od domu.

Wieźli nas do części tureckiej.

Czułam się zagubiona i bardzo przerażona. Wciąż spoglądałam na Simona, jakbym chciała się upewnić, że nie zniknął po drodze.

Zdawało mi się, że jedziemy już bardzo długo. Był to zupełnie inny świat — wąskie, nieprawdopodobnie brudne ulice, piękne budynki, oślepiająco białe strzeliste wieże, sięgające błękitu nieba, meczety, bazyliki, drewniane domki nie większe od zwykłych bud. Wszędzie panował hałas i tłoczyli się ludzie, pierzchający przed nadjeżdżającym powozem. Wciąż mi się zdawało, że zaraz kogoś przejedziemy, ale zawsze jakimś cudem uskakiwali spod końskich kopyt.

Wreszcie skręciliśmy w cichą aleję, gdzie drzewa i krzewy mieniły się kolorowymi kwiatami. Zatrzymaliśmy się przed wysokim białym budynkiem, stojącym w pewnej odległości od drogi.

Kiedy wysiedliśmy z powozu, powitał nas mężczyzna w białej szacie. Nasz staruszek skłonił mu się dość uniżenie, na co tamten odpowiedział raczej protekcyjnie. Wprowadzono nas do pokoju, który po oślepiającym blasku słonecznym wydał nam się mroczny, z oknami głęboko

osadzonymi w grubych murach i zawieszonymi ciężkimi draperiami, tak jak to widywaliśmy już wcześniej.

Wyszedł do nas wysoki mężczyzna w długiej białej szacie i turbanie ozdobionym klejnotem. Zasiadł na ozdobnym krześle przypominającym tron i zauważyłam, że staruszek płaszczył się przed nim bardziej niż przed kimkolwiek dotychczas.

Czyżby to miał być mój nowy właściciel?

Zdjęto mi płaszcz i rozpuszczono włosy, co wyraźnie zrobiło na nim wrażenie. Nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzona. Potem przyjrzał się Simonowi i skinął głową.

Przy drzwiach stało dwóch strażników. Jeden klasnął w ręce i wtedy weszła kobieta — w średnim wieku, dość tęga, ubrana w rzeczy podobne do tych, które miałam na sobie.

Przyjrzała mi się uważnie, wzięła do ręki kosmyk moich włosów i uśmiechnęła się lekko. Potem podwinęła mi rękawy i obmacała ramię. Niezbyt zadowolona, skrzywiła się i wydała kilka dźwięków — zapewne dezaprobaty.

Staruszek zaczął szybko coś mówić — ten drugi z nim dyskutował. Kobieta wypowiedziała parę słów i pokiwała głową. Okropnie mnie złościło, że nic z tego nie rozumiem. Wiedziałam tyle, że rozmawiają o mnie i nie są aż tak zadowoleni, jak spodziewał się handlarz.

Mimo to wkrótce doszli do porozumienia. Staruszek klaskał w ręce, jego rozmówca potakiwał, kobieta także skinęła głową i zaczęła im coś tłumaczyć. Mężczyzna słuchał jej uważnie, gdy o czymś go zapewniała.

W końcu pokazała mi gestem, że mam za nią pójść.

Simon został. Rzuciłam mu rozdzierające spojrzenie, więc ruszył za mną, ale natychmiast zagroził mu drogę strażnik, który położył dłoń na rękojeści miecza.

Zdążyłam tylko zobaczyć bezradny wyraz twarzy Simona, po czym kobieta ujęła mnie mocno za ramię i wyprowadziła.

* * *

Później miałam się dowiedzieć, że trafiłam do seraju jednego z największych dygnitarzy tureckich. Wszyscy mężczyźni, z którymi się dotąd stykałam, byli tylko drobnymi płótkami.

Harem to domena kobiet i żadnemu mężczyźnie nie wolno tam wchodzić. Wyjątek stanowią eunuchowie — tacy jak ów ważny dżentelmen, targujący się z handlarzem. Ten — jak odkryłam później — sprawował nadzór nad innymi eunuchami. Od czasu do czasu go widywałam.

Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że właściwie powinnam się cieszyć ze swych dotychczasowych cierpień, gdyż tylko dzięki godnej pożałowania kondycji przez następnych kilka tygodni pozostawiono mnie w spokoju. Jasne włosy i niebieskie oczy tak bardzo wyróżniały mnie wśród ciemnowłosych i ciemnookich mieszkanek haremu, że byłam traktowana jak szczególnie cenny nabytek.

Osoby odpowiedzialne za dostarczanie wciąż nowej pożywki przytępionym zmysłom paszy uznały, że mogę mu szczególnie przypaść do gustu. Później zorientowałam się, że moja odmienność nie wiąże się tylko z urodą. Tutejsze kobiety były uległe z natury; wmawiano im od dzieciństwa, że ziemskie posłannictwo płci słabszej polega na zaspokajaniu męskiego pożądania, natomiast mnie otaczała aura niezależności. Pochodziłam z kręgu innej kultury, co wyróżniało mnie niemal tak samo, jak kolor włosów i oczu.

Lecz kiedy mnie rozebrano i poddano pachnącej kąpieli, bystremu oku naszej nadzorczyńni nie umknęła niezwykła białość i miękkość mej skóry w miejscach, gdzie nie docierało słońce. Uznała zatem, że zanim zostaną postawiona przed obliczem pana i władcy, należy przywrócić biały odcień całemu mojemu ciału. Poza tym z powodu złego odżywiania wyglądałam dość mizernie, a pasza

nie lubił chudych kobiet. Widziała więc we mnie potencjał, nad którym należało popracować, a to musiało potrwać.

Jak bardzo byłam wdzięczna! Miałam czas, żeby się przystosować, nauczyć życia w haremie i może nawet zbadać, co się dzieje z Simonem. Kto wie? Jeśli szczęście nadal będzie mi sprzyjać, to zanim osiągnę stan godny mego właściciela, znajdzie się może okazja do ucieczki?

Ledwie dowiedziałam się, że nic mi na razie nie zagraża, natychmiast odzyskałam ducha. Poczułam ogromny przypływ nadziei. Chciałam teraz dowiedzieć się jak najwięcej o moim nowym otoczeniu i oczywiście bardzo dużo uwagi poświęcałam swoim towarzyszkom.

Najważniejszą osobą w haremie była Rani, owa kobieta w średnim wieku, która po wnikliwszej lustracji uznała mnie za niegodną łoża paszy. Gdybyśmy tylko znalazły wspólny język, mogłabym się od niej sporo nauczyć. Pozostałe kobiety odnosiły się do niej z respektem i lękiem, schlebając jej i wyraźnie się podlizując, gdyż to ona wybierała te, które miały być danego dnia zaprezentowane paszy. Kiedy nadchodził czas wyboru, Rani zwykle długo się namyślała. Zabawne, jak bardzo wszystkie starały się przyciągnąć jej uwagę, a to, przed czym tak drżałam, innym wydawało się czymś najbardziej upragnionym.

Wśród mieszkanek haremu znajdowały się zarówno dojrzałe kobiety pod trzydziestkę, jak i najwyżej dziesięcioletnie dziewczynki. Co za dziwne życie dla tak młodych istot! Jak dowiedziałam się później, niektóre z nich od najwcześniejszego dzieciństwa uczono sztuki dawania przyjemności bogatym mężczyznom.

W ciągu dnia właściwie nie miały nic do roboty. Ja musiałam brać codziennie kąpiele i pozwalać, by nacierano mnie różnymi olejkami. Cały ten świat wydawał mi się daleki od rzeczywistości. W powietrzu unosił się ciężki zapach piżma, drzewa sandałowego, paczuli i granatu. Dziewczeta siadywały przy fontannie, gawędząc leniwie, niekiedy dobiegało mnie pobrzękiwanie jakiegoś instrumentu. Niektóre zbierały kwiaty, potem wplatały je we włosy i przyglądały się swym twarzom w ręcznych lusterkach albo w wodzie sadzawki, czasem grały w jakąś grę, plotkowały, chichotały i wróżyły sobie.

Sypiały na niskich tapczanach w wielkim, przewiewnym pomieszczeniu, nosiły piękne stroje. W swoim niezwykłym życiu myślały tylko o własnej urodzie i o tym, by po leniwym dniu zostać wybraną do spędzenia nocy z paszą.

Szybko się zorientowałam, jak bardzo rywalizują z sobą o ten zaszczyt. Ponieważ mocno się od nich różniłam, przyciągałam też wiele uwagi. Obawiałam się, że kiedy już okażę się godna, zostanę wybrana choćby ze względu na ową różnicę.

Na razie jednak dokładano wszelkich starań, by usunąć z mego ciała wszelkie skutki ciężkich przejść. Czułam się jak gęś tuczona na Boże Narodzenie. Nie mogłam się przyzwyczaić do ostro przyprawionego jedzenia i jeśli tylko Rani nie patrzyła, próbowałam się go pozbyć, traktując to jako swego rodzaju grę.

Pewnego dnia dokonałam niezwykłego odkrycia: okazało się, że jedna z kobiet — tych nieco starszych — jest Francuzką. Na imię miała Nicole. Od razu zauważyłam, że różni się od innych mieszkanek haremu. Ona także wydała mi się ważna, oczywiście nie tak jak Rani.

Siedziałam właśnie przy fontannie, kiedy do mnie podeszła i zapytała po francusku, czy znam ten język.

Wreszcie jakaś możliwość porozumienia! Prawdziwy cud! Mój francuski nie był zbyt biegły, ale mogłam rozmawiać.

— Jesteś Angielką? — spytała.

Przytaknęłam.

— Jak tu trafiłaś?

Jakając się nieco, opowiedziałam jej o katastrofie i o tym, jak nas odnaleziono.

Nicole przebywała w haremie od siedmiu lat. Była Kreolką, pochodziła z Martyniki. Właśnie płynęła do szkoły we Francji, kiedy jej statek także się rozbił, a ją uprowadzili korsarze, po czym — tak samo jak mnie — sprzedali do seraju.

— Byłaś tu przez te wszystkie lata? Jak ty to wytrzymałaś?

Wzruszyła ramionami.

— Z początku jest wielki strach, ale potem... Miałam tylko szesnaście lat i nie cierpiałam klasztornej szkoły. Tu było przyjemnie. Podobały mi się stroje, leniwe życie... Poza tym... byłam inna, tak jak ty. Pasza mnie polubił.

— Stałaś się jego faworytą, prawda?

Skinęła głową.

— Bo urodziłam Samira.

Widziałam już Samira — ślicznego czteroletniego chłopczyka, najstarsze dziecko w haremie. Wychowywały go głównie kobiety. Był jeszcze drugi — o rok młodszy, Feisal, też bardzo ładny. Widywałam go z kobietą prawdopodobnie o parę lat młodszą od Nicole. Na imię miała Fatima.

Fatima była zmysłową pięknoscią, z masą czarnych włosów i wilgotnymi ciemnymi oczami. Zapatrzona w siebie, próżna i rozleniwiona, godzinami wysiadywała przy sadzawce, opychając się słodyczami i karmiąc nimi małe spanielki, z którymi się nie rozstawała. Troszczyła się namiętnie tylko o cztery stworzenia: siebie, Feisala i owe dwa pieski.

Obu chłopców zabierano czasem matkom i starannie przygotowywano do spotkania z paszą. Oprócz nich było jeszcze dwóch, w wieku niemowlęcym, nie widziałam natomiast ani jednej dziewczynki. Z początku dziwiłam się, że pasza miał samych synów.

Nicole okazała się świetnym źródłem informacji. Dowiedziałam się, że jeśli któraś z kobiet urodziła dziecko płci żeńskiej, odsyłano ją z powrotem do rodziny. Paszy nie interesowały córki, tylko synowie, i jeśli rodził się chłopczyk — zwłaszcza tak śliczny i inteligentny jak Samir — jego matka cieszyła się wielkimi względami.

Samir, jako najstarszy, miał zostać następcą ojca. Dlatego właśnie kobiety tak bardzo zazdrościły Nicole. Z początku jej uprzywilejowana pozycja wynikała z tego, że Kreolka po prostu przypadła paszy do gustu, co mogło się okazać przejściowe. Kiedy jednak urodziła Samira, pasza przy każdym spojrzeniu na dziecko utwierdzał się w przekonaniu, że jest zdolny spłodzić udanych synów, stąd też szczególne względy dla kobiety, która w tym miała udział.

Nicole zwierzyła mi się, że od dawna po kryjomu uczyła Samira francuskiego. Kiedy pasza to odkrył, okropnie się przestraszyła ewentualnej kary. Ale główny eunuch powiedział jej wkrótce, że pasza jest zadowolony; chłopiec powinien się uczyć, ile tylko może.

Nie spodziewałam się, że kobieta z zachodniego świata potrafiła tak bardzo się przystosować do życia w haremie; Nicole czuła się wręcz dumna ze swej pozycji i serdecznie nienawidziła każdego, kto próbował ją pozbawić przywilejów.

Cieszyłam się jednak, mając z kim rozmawiać i dowiedzieć się czegoś o innych mieszkankach.

Zorientowałam się, jak potężna rywalizacja istnieje między nią a Fatimą, która miała wielkie ambicje w stosunku do Feisala.

— Bo widzisz — mówiła Nicole — gdyby nie Samir, to Feisal zostałby dziedzicem paszy, ona zaś byłaby pierwszą damą. Niczego tak nie pragnie, jak zająć moje miejsce.

— To się nigdy nie stanie. Jesteś znacznie piękniejsza i bardziej inteligentna, a Samir to wspaniały chłopak.

— Feisal też jest mądry — przyznała. — A gdybym umarła...

— Czemu miałybyś umrzeć?

Wzruszyła ramionami.

— Fatima jest bardzo zazdrosna. Kiedyś, dawno temu, jedna z kobiet otruła rywalkę. To nietrudne.

— Nie odważy się!

— Tamta się odważyła.

— Ale ją wykryto.

— To było dawno temu, jeszcze przed rządami obecnego paszy, wciąż się jednak o tym mówi. Zabrano ją do ogrodu i zakopano po szyję w ziemi. Potem zostawiono na słońcu., żeby umarła.

Zadrżałam.

— Chciałabym tego samego dla Fatimy, jeśli skrzywdzi mojego syna.

— Musisz pilnować, by się jej nie udało.

— To właśnie robię.

Teraz, kiedy nawiązałam kontakt z Nicole, życie stało się łatwiejsze.

Miałyśmy piękne stroje, perfumy, wonne maści, słodczyce, dni mijały nam na błogim lenistwie — żyłyśmy jak rajskie ptaki w klatkach. Po tym, co wycierpiałam po katastrofie, czułam się tu dość dziwnie.

Zastanawiałam się, jak długo to potrwa.

* * *

Nadeszła radosna dla mnie nowina: pasza wyjechał.

Harem pograżył się w apatii. Kobiety wylegiwały się na tapczanach, sennie kontemplując swą urodę w lusterkach, które nosiły w kieszeniach bufiastych szarawarów, skubały łakocie, śpiewały albo grały na instrumentach, czasem się kłóciły.

Jedna z takich kłótni skończyła się bójką. Przeciwniczki tarzały się po mozaikowej posadzce, szarpiąc się za włosy i kopiąc zaciekłe. W końcu zjawiła się Rani, zbiła obie dziewczyny i odesłała je w niełasce, zapowiadając, że przez następne trzy miesiące nie mogą liczyć na spotkanie z paszą. Dopiero to je otrzeźwiło.

Potem pasza wrócił i wybuchło wielkie podniecenie. Wszystkie kobiety stały się nagle potulne i słodkie, starając się na wszelkie sposoby prezentować swe wdzięki, chociaż poza współtowarzyszkami i przypadkowo zabłąkanym eunuchem nikt ich nie mógł zobaczyć.

Rani wybrała sześć kandydatek. Czułam na sobie jej taksujące spojrzenie, ale mój strach szybko zamienił się w ulgę, gdyż nie uznała mnie jeszcze za godną tego zaszczytu.

Wśród sześciu wybranek były dwie, które już wcześniej cieszyły się szczególnymi łaskami, i cztery nowicjuszeki.

Wszystkie patrzyłyśmy, jak się przygotowują. Najpierw je wykąpano, następnie namaszczone im ciała i uperfumowano włosy. Podeszwy stóp i wewnętrzną stronę dłoni pomalowano henną, oczy powiększono węgielkiem, wargi nabłyszczono pszczelim woskiem. We włosy wpięto im kwiaty, nadgarstki i kostki stóp ozdobiono bransoletami, na koniec odziano w usiane cekinami stroje.

Czekałyśmy w napięciu, które zostaną odesłane.

Tym razem wybranką została jedna z najmłodszych.

— Ale będzie zadzierać nosa! — powiedziała do mnie Nicole. — Zawsze tak jest... szczególnie z tymi smarkulami. Myślałam, że nadeszła twoja kolej.

Musiałam zmienić się na twarzy, bo zapytała:

— Co, może nie chcesz?

— Z całego serca pragnę stąd uciec.

— Jeśli cię zobaczy, masz szansę zostać pierwszą faworytą.

— Ja... nie, nie...
— Zobaczysz, że tak będzie. Może już niedługo...
— Zrobię wszystko... wszystko, żeby stąd uciec.
Popadła w zadumę.

* * *

Nicole mi powiedziała, że jeśli ktoś chce zyskać wszystkie drobne przywileje, tak charakterystyczne dla życia w haremie, musi pozostawać w dobrych stosunkach z dwiema osobami. Jedną z nich była, oczywiście, Rani, drugą — główny eunuch.

— On jest tu naprawdę ważny, to taki haremowy władca. Udało mi się zdobyć jego przyjaźń.
— Widzę, że jesteś bardzo mądra.
— Tak długo już tu przebywam... To mój jedyny dom.
— I pogodziłaś się z tym wszystkim? Że jesteś jedną z wielu?
— Takie są tutejsze zwyczaje. Mam Samira... kiedyś on tu będzie panem. A matka paszy to bardzo zaszczytny tytuł.
— I nie pociąga cię normalne małżeństwo? Mąż, dzieci... Po co zastanawiać się ciągle, czy ktoś nie zajmie twego miejsca...
— Zawsze o tym wiedziałam. I one wszystkie — zatoczyła krąg ręką — także. Nie myślą o niczym innym, każda chce być faworytą, mieć syna, który zostanie wywyższony i zdobędzie dla swej matki pozycję nie do podważenia.
— Może tak być?
— Pewnie.
— I nie masz innych ambicji?
— Moja ambicja to Samir. A twoja?
— Wyrwać się stąd. Wrócić do domu... do swoich. Odnaleźć tych, którzy byli przy mnie po katastrofie.
— To pewne, że zostaniesz wybrana dla paszy. Kiedy Rani uzna, że jesteś gotowa, wyśle cię do niego, a wtedy... Spodobasz mu się, bo jesteś inna, nowa. Musi być już znudzony tymi ciemnoskórymi pięknosciami. Jeśli urodzisz syna, masz zapewnioną przyszłość..
— Zrobiłabym wszystko, żeby tego uniknąć. Nicole, ja się boję. Nie chcę tego... Inaczej mnie wychowano, czuję się nieczysta, poniżona... taka niewolnica bez własnej woli i własnego życia.
— Dziwnie mówisz, a jednak cię rozumiem. Ja także nie zaczynałam jako jedna z nich.
— Ale zaakceptowałaś ten sposób życia.
— Byłam za młoda, aby myśleć o innym, a teraz mam Samira. Pewnego dnia musi zostać paszą, niczego bardziej nie pragnę.
— I osiągniesz to. W końcu on jest najstarszy.
— Czasem boję się Fatimy. Idąc do paszy, zabiera z sobą jakiś napar. Wiem, że sama go przygotowuje. Podobno istnieją sposoby na rozpalenie w mężczyźnie żądzę. Dużo się o tym mówiło. Bierze się pokruszone rubiny, kości pawia, jądra barana, miesza to wszystko i dodaje do wina. Przypuszczam, że ona tak robi.
— A skąd bierze składniki?
— Rani ma sekretną szafkę, w której trzyma wiele dziwnych rzeczy. Ziola, różne mikstury... Zna się na tych rzeczach. Może przechowuje tam i ten środek między pachnidłami i olejkami.
— Mówiłaś, że to sekretna szafka.
— Rani zamykają na klucz, ale są sposoby. Znam Fatimę, już ona sobie poradzi. Zrobiłaby wszystko... dosłownie wszystko. Dlatego się boję.

— A kiedy ona widuje się z paszą?

— Jesteśmy obie matkami jego ulubionych synów. Posyła czasem po nas... To takie kurtuazyjne wizyty, żeby porozmawiać o dzieciach i spędzić razem noc. Ach, boję się tej kobiety, bo dla Feisala jest gotowa na wszystko. Pasza go lubi, wiem to od głównego eunucha, który z kolei nie znosi Fatimy. To dla niej niedobrze. Jest czasem bardzo głupia, a głupie kobiety potrafią przeszarżować. Kiedy była w łaskach, okropnie zadzierała nosa. Uznała, że już jest pierwszą faworytą, i odezwała się pogardliwie do głównego eunucha. Teraz ma w nim wroga! Gdyby tylko mogła, skrzywdziłaby Samira, a przy okazji i mnie.

— Samir jest najstarszy. I taki inteligentny!

— Wiem, ale wszystko w rękach paszy. Teraz lubi i wyróżnia Samira, jest z niego dumny. Na razie wszystko się dobrze układa, lecz to pasza zadecyduje, a przecież może mieć jeszcze wielu synów. Jeśli Fatima zrobi Samirowi coś złego, to koniec ze mną.

— Nie wierzę, by się ośmieliła.

— Przecież już raz to się zdarzyło. W tym haremie.

— I na pewno, się nie powtórzy. Wszyscy wiedzą, jak to się skończyło. To wystarczy, by ją powstrzymać.

— Nie wiem. Fatima jest bardzo zdeterminowana. Muszę bardzo uważać.

— Ja też będę uważała.

— Teraz jeszcze ty... Na pewno także urodzisz syna. On może być całkiem inny... podobny do ciebie. Między Samirem a Feisalem jest pewne podobieństwo, natomiast twój syn będzie inny.

Aż się cofnęłam ze zgrozy na samą myśl o takiej możliwości.

— Mówię prawdę — przekonywała mnie Nicole. — I ty na serio tego nie chcesz?

— Niemal żałuję, że w ogóle uratowałam się z tego statku! Ach, czemu nie zostałam na wyspie! Gdybym tylko mogła uciec... och, Nicole, zrobiłabym wszystko!

Patrzyła przed siebie, pogrążona w myślach.

* * *

Parę dni później odnalazła mnie przy fontannie.

— Mam coś dla ciebie — powiedziała.

— Dla mnie? — spytałam ze zdumieniem.

— Chyba się ucieszysz. Główny eunuch dał mi to od człowieka, z którym cię przywieziono.

— Naprawdę? Och, Nicole, gdzie to masz?

— Ostrożnie, mogą nas obserwować. Fatima ma oko na wszystko. Połóż rękę obok siebie... Za chwilę wsunę pod nią karteczkę.

— Nikt nie patrzy.

— Skąd wiesz? Tu wszędzie ktoś patrzy. Te kobiety, poza snuciem intryg, nie mają nic do roboty. Nudzą się po całych dniach, więc szukają jakiejś podniety, a jeśli nic nie znajdują, to zaczynają spiskować. Chcesz dostać tę karteczkę, to mnie słuchaj.

— Och, chcę, bardzo chcę.

— Więc musisz uważać. Główny eunuch mówi, że to bardzo ważne, może kosztować go życie. Zrobił to dla mnie... bo go poprosiłam.

Położyłam rękę na ławce obok siebie, ona swoją także. Trzymała ją tak przez kilka sekund, a potem wsunęła mi pod dłoń zmięty świstek.

— Nie oglądaj teraz... Schowaj.

Schowałam posłusznie kartkę do kieszeni szarawarów. Ledwie mogłam usiedzieć, ale Nicole powiedziała, że niemądrze byłoby zrywać się i odchodzić zbyt spiesźnie. Ktoś mógłby coś podejrzewać, a to oznaczało straszne konsekwencje dla nas wszystkich.

Wiedziałam, że dla mężczyzny próba nawiązania kontaktu z kobietą z haremu musiałaby się skończyć okrutną i powolną śmiercią. To samo czekało zresztą i ową kobietę. Ta ustanowiona przed wiekami zasada nadal obowiązywała w miejscu, które dotąd tkwiło w czasach z poprzedniej epoki.

Musiałam więc stłumić niecierpliwość aż do chwili, kiedy wyczułam, że mogę się oddalić bez wzbudzenia niepożądanego ciekawości. Moje współmieszkanki przywykły już do tego, że trzymam się na uboczu, a rozmawiam tylko z Nicole, bo z nikim innym nie mogę się porozumieć. Udałam się do sypialni, gdzie akurat nikogo nie było, usiadłam na tapczanie i wyciągnęłam karteczkę.

Rosetto, jestem w pobliżu, przywieziono mnie tu razem z Tobą. Pracuję w ogrodach tuż za murem haremu. Udało mi się oddać przysługę ważnemu człowiekowi i jego duma wymaga, aby mi się odwdzieczył. Dlatego zgodził się przekazać Ci ten liścik. Jesteśmy blisko siebie i cały czas myślę... Nie obawiaj się, coś na pewno zrobię. Nie trać nadziei — S.

Aż osłabłam z radości. Zmiałam papierek; chciałam go zatrzymać, ukryć pod ubraniem, czuć na ciele, na znak, że Simon o mnie pamięta, jest w pobliżu i myśli.

Musiałam jednak zniszczyć ten skarb, bo gdyby go wykryto, zniszczyłby nas wszystkich. Podarłam liścik na tyle małych kawałeczków, ile tylko się dało. Porozrzuciłam je potem — po kilka naraz, aby nikt nie mógł ich znaleźć.

Po pewnym czasie Nicole zauważyła:

— Wyglądasz na zadowoloną. Musiało cię ucieszyć to, co przyniosłam.

— O, tak, ale trudno przewidzieć, czy coś da się zmienić. Czy choć raz ktoś stąd uciekł?

— Jeśli pasza traci zainteresowanie którąś z kobiet i wiadomo, że to się już nie zmieni, wtedy czasem znajdują jej męża albo odsyłają rodzinom.

— Ale czy któraś z nich uciekła? Pokręciła głową.

— Nie sądzę, aby to było możliwe.

— Nicole... Ja po prostu muszę, rozumiesz?

— Tak — odparła z namysłem. — Ty naprawdę musisz. Jeśli nie uciekniesz, wkrótce zaprowadzą cię do paszy. Masz znowu białą skórę, poza tym nabrałaś ciała i nie wyglądasz już jak szkielet. Jesteś jak odmieniona i Rani bardzo to cieszy. Niedługo, może już następnym razem trafisz przed oblicze paszy.

— Nie ma go teraz.

— Tak, ale niebawem wraca. Zawsze po powrocie nas wzywa... Rani pomyśli sobie: Tak, blondynka już jest gotowa. Ależ mnie pochwali za tak cenny nabytek! Nigdy dotąd nie miał kogoś takiego. Zobaczysz, że cię polubi, a może nawet zatrzyma dłużej przy sobie... Wszystko dlatego, że jesteś taka inna. Główny eunuch powiada, że pasza bardzo interesuje się Zachodem... szczególnie Anglią. Chce się o niej dowiedzieć jak najwięcej.

— Nie! — krzyknęłam. — Nienawidzę tego! Nie zostanę tu, wyrwę się, niech robią ze mną, co chcą, ale ucieknę! Nicole, czy możesz mi pomóc?

Patrzyła na mnie badawczo. Po ustach błąkał się jej dziwny uśmiezek. Po chwili powiedziała:

— Główny eunuch jest moim przyjacielem. Nie chce, żebym straciła pozycję pierwszej damy i matki przyszłego paszy. Współpracujemy ze sobą, on informuje mnie o tym, co dzieje się na zewnątrz, a ja jego o sprawach haremu. Wiem dobrze, co piszczy w trawie, i może...

— Może co?

— Cóż... może coś wymyślę. Złapałam ją za ramię i potrząsnęłam.

— Jeśli mi pomożesz, Nicole, jeśli coś wiesz...

— Pomogę. Nie dopuszczę do odsunięcia Samira. A poza tym jesteśmy przyjaciółkami.

Nadzieja. Tylko ona mi jeszcze pozostała. Coraz bardziej się przekonywałam, że dla ludzi pogrążonych w rozpacz nadzieja jest wszystkim. Liścik Simona i to, co usłyszałam od Nicole, rozbudziły ją we mnie na nowo. Bardzo tego potrzebowałam.

Myślałam o wszystkich niebezpieczeństwach, które groziły mi, odkąd „Gwiazda Atlantyku” uległa katastrofie. Miałam zadziwiające szczęście... czy ta dobra passa może trwać nadal? Owszem, Nicole mi pomoże, jeśli tylko da radę. Nie tylko ze względu na naszą przyjaźń, ale dlatego, że leży to w jej interesie. Jest realistką, a główny eunuch ją faworyzuje. Niewątpliwie ma swoje racje, chociaż nie wiem, jakie. Ale czy to ważne, skoro działają na moją korzyść?

Byłam zdesperowana i potrzebowałam pomocy, tylko to się liczyło.

Miałam powody do nadziei. Dwie osoby — jedne z najważniejszych w seraju — stały po mojej stronie, a Simon także był gdzieś w pobliżu. Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazłam, ucieczka nie wydawała mi się już niemożliwa.

* * *

Rani okazywała wyraźne zadowolenie z mojego wyglądu. Masując mnie, pomrukiwała z satysfakcją.

Tymczasem ja znów popadłam w przygnębienie. Rozumując na chłodno, dochodziłam do wniosku, że ucieczka jest nierealna. Dałam się ponieść euforii. Jak mogłabym stąd uciec?

Tamtego popołudnia weszłam do dormitorium i położyłam się na tapczanie. Przy zaciągniętych ciężkich zasłonach we wnętrzu panował półmrok i miły chłód. Nagle ktoś wśliznął się do środka... Spod przymkniętych powiek dostrzegłam Nicole.

— Chora jesteś? — spytała szeptem, siadając przy mnie.

— Chora ze strachu. Obawiam się, że nic mnie już nie uratuje.

— Rani zamierza... wysłać cię następnym razem. Ma to być niespodzianka dla paszy. Dotąd o tobie nie wie.

— Ja... Nie pójdę.

Wzruszyła jak zwykle ramionami.

— Główny eunuch mówi, że paszy nie będzie przez tydzień. Ale jak wróci, zażąda...

— Tydzień! Och, Nicole, co począć?

— Mamy cały tydzień.

— Co możemy zrobić?

Patrzyła na mnie poważnie.

— Główny eunuch lubi twojego znajomego. Chce mu pomóc, rozmawiał z nim. Rani bardzo zależy, żeby pokazać cię paszy i uświadomić mu swoje zasługi. Bo przecież na początku nie wyglądałaś zbyt dobrze... oprócz włosów, a i te nie błyszczały tak jak teraz. Pasza na pewno okaże swą wdzięczność człowiekowi, który cię tu sprowadził, czyli głównemu eunuchowi, ale to Rani swymi staraniami przywróciła ci zdrowie i urodę. No cóż... jak mówiłam, mamy tydzień.

— Co możemy zrobić?

— Twój znajomy będzie musiał się pilnować.

— Co będzie Jeśli odkryją, że do mnie pisał?

— Prawdopodobnie zrobią z niego eunucha. Taki los spotkał już wielu młodych mężczyzn, których sprzedano paszom. Z początku pracują w ogrodach i wtedy mogą jeszcze być normalnymi mężczyznami, ale potem są potrzebni w haremie, a tam... Jak można zaufać mężczyźnie, który

znajdzie się wśród tylu kobiet? Dlatego muszą zostać eunuchami. Tego twojego także nie będą wiecznie trzymać w ogrodzie. Eunuchowie są świetnymi służącymi, można ich bez obaw wpuścić do haremu.

— Nie wiem, jak temu zapobiec.

— Musisz być ślepo posłuszna. Pamiętaj, że w każdej chwili możesz wpaść, a wtedy... lepsze już wszystko inne.

— Zastanawiam się, czy Simon jest gotów podjąć takie ryzyko. Kiedy pomyślę, co może go spotkać...

— Jeśli naprawdę chcesz uciec, nie wolno ci nawet myśleć o niepowodzeniu. Pamiętaj, że Rani już niedługo wyśle cię do paszy.

Milczałam, zastanawiając się, jak zniosłabym taki los. W dodatku Nicole mówiła tak zagadkowo... Jakie ona ma plany?

* * *

W miarę upływu dni moje obawy coraz bardziej rosły. Powiedziałam sobie, że w swoim czasie będę musiała stawić czoło temu, co wydaje się nieuniknione.

Pasza wrócił. Zauważyłam, że Rani przygląda mi się uważnie i zaciera z zadowoleniem ręce. Najwyraźniej mój czas nadszedł. Kiedy główny eunuch odwiedził wieczorem Rani, domyśliłam się, że klamka zapadła.

Zgodnie ze zwyczajem, razem ze mną wybrano pięć innych, gdyż Rani nie wypadało decydować za paszę, która z nas ma dostąpić zaszczytu.

Była wśród nas ładna, na oko dwunastoletnia, dziewczyna, imieniem Aida. Mimo smukłej sylwetki widać w niej było wschodzącą kobiecość. Miała długie ciemne włosy i duże oczy, z których wyzierała dziewicza niewinność połączona z załążkiem świadomości swych wdzięków. Trudno o coś bardziej atrakcyjnego dla mężczyzny o stepionych, wymagających ciągłej podniety zmysłach.

Zainteresowałam się Aida, gdyż wiązałam z nią swoje nadzieje. Uważałam, że ma wszelkie szanse na wybór. Dziewczyna była podekscytowana, tańczyła po ogrodzie, nie kryjąc swej radości. Fatima narzekała, że Aida już stroi wielkopańskie miny.

— Jest bardzo ładna — powiedziałam do Nicole. — Na pewno ją wybierze, prawda?

Ona jednak pokręciła głową.

— Ładna... owszem, ale takich są setki. Te same włosy, oczy, wdzięk, gotowość... Ty natomiast wybijaszesz się spośród wszystkich, a główny eunuch mówi, że pasza darzy głębokim podziwem angielską królową.

Zrobiło mi się słabo ze strachu. Jaki jest ten pasza? Pewnie dość młody, dopiero co przejął władzę po ojcu. Nicole dowiedziała się od głównego eunucha, że nawet trochę mówi po angielsku. Może będę mogła z nim porozmawiać, wzbudzić zainteresowanie, stać się kimś w rodzaju Szeherazydy, która snułaby opowieści o życiu w Anglii?

Dzień ciągnął się bez końca. Chwilami zdawało mi się, że to wszystko jest snem. Jak mogłoby mi się przydarzyć coś takiego? Ile angielskich dziewcząt, wiodących spokojne, konwencjonalne życie, trafia nagle do tureckiego haremu?

Potem powiedziałam sobie, że muszę się przygotować na spotkanie z losem. Pasza rzeczywiście może zauważyć moją odrębność, więc przede wszystkim muszę się modlić, aby mnie nie wybrał. W takim wypadku może się okazać, że nie nadaję się do haremu. Co wtedy? Może uda mi się ich namówić, żeby mnie wypuścili. Aida jest taka ładna... Pasuje do tego życia, tak się nim cieszy...

Przyszła po mnie Rani i zaczęły się przygotowania.

Gładziła mnie po włosach, przegarniała je palcami i pociągała lekko, niemal piejąc przy tym z zachwytem. Wreszcie klasnęła w dłonie i weszły dwie służebne.

Zabrano mnie do wanny wypełnionej perfumowaną wodą. Po wysuszeniu musiałam się położyć i pozwolić się natrzeć olejkami pachnącymi piżmem i paczulą. Uperfumowano mi włosy. Od tych wszystkich zapachów kręciło mi się w głowie. Wiedziałam, że jeśli w przyszłości poczuje coś takiego, zawsze będzie mi się przypominał obezwładniający strach, jaki mnie teraz ogarnął.

Ubrano mnie w luźne, bufiaste szarawary i tunikę do pasa z lawendowego jedwabiu, z mankietami obszytymi drogimi kamieniami. Na jedwabiu naszyta była warstwa gazy, spod której tajemniczo pobłyskiwały cekiny. Muszę przyznać, że cały strój prezentował się bardzo interesująco.

Na stopy wsunięto mi atłasowe ciżmy o podwiniętych, spiczastych noskach, również zdobione klejnotami.

Włosy rozpuszczono mi na ramiona. Głowę i kostki nóg ozdobiono girlandkami z fiołkoworóżowych kwiatów. Umalowano mi wargi, oczy starannie obrysowano na czarno, dzięki czemu wyglądały na większe i jeszcze bardziej niebieskie.

Byłam gotowa.

Dzikie myśli przelatywały mi przez głowę: co będzie, jeśli odmówię pójścia do paszy albo spróbuję uciec? Ale jak... Bramy były zamknięte i strzeżone przez eunuchów, wielkich chłopów, dobranych specjalnie ze względu na swą potężną posturę...

Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy: nie było stąd ucieczki.

Rani wzięła mnie za rękę i pokręciła głową, jakby mnie za coś upominając. Pewnie chodziło jej o moją nieszczęśliwą minę. Kazała mi się uśmiechać, okazywać radość z wielkiego zaszczytu, jakiego mogłam dostąpić.

Tego jednak absolutnie nie potrafiłam.

Nicole stała w pobliżu. Ona także pomagała mi się ubierać. Teraz powiedziała do Rani coś, nad czym tamta jakby się zastanawiała.

Nagle skinęła głową i podała Nicole klucz. Moja przyjaciółka wyszła, a ja usiadłam na tapczanie, całkowicie bezradna. Jakże inaczej mnie wychowano! Już widziałam siebie, wybraną przez paszę... z jego dzieckiem w łonie... Dzieckiem, które stałoby się rywalem Samira i Feisala. A przecież mój ojciec był sławnym profesorem, pracował w British Museum. Chciałam powiedzieć im wszystkim, że jeśli pasza odważy się potraktować córkę wielkiego uczonego jak zwykłą niewolnicę, to gorzko tego pożałuje. Angielska królowa nie pozwała krzywdzić swych poddanych.

Próbowałam w ten sposób dodać sobie odwagi. Zdawałam sobie sprawę, jakie głupstwa kłębią mi się w głowie. Co tych ludzi obchodzi, kim jestem? Tutaj rządzą oni, a ja się nie liczę.

A może powinnam uświadomić paszy, jak bardzo inne dziewczęta pragną dzielić z nim łożo? Czemu nie weźmie takiej, która ma na to ochotę? Czy potrafię mu to wytłumaczyć? Czy w ogóle zechce mnie wysłuchać? A jeśli nawet, to czy mnie zrozumie?

Nicole wróciła z pucharkiem w ręku.

— Wypij to — powiedziała. — Zaraz poczujesz się lepiej.

— Nie chcę.

— Naprawdę dobrze ci to zrobi.

— Co to jest?

Jedna z dziewcząt także zaczęła mnie namawiać. Nicole splotła przed sobą ręce i chodziła nerwowo tam i z powrotem.

— Ona mówi — przetłumaczyła — że po tym nabierzesz ochoty na miłość. Będzie ci łatwiej. Zresztą to rozkaz Rani. Uważa, że nie jesteś chętna, a pasza nie lubi opornych.

Więc to jakiś afrodyzjak...

— Nie chcę.

Nicole podeszła bliżej.

— Nie bądź głupia — syknęła, patrząc mi w oczy, jakby chciała powiedzieć coś więcej. — Wypij... To dobre, tego właśnie ci trzeba. Wypij, pamiętaj, że jestem twoją przyjaciółką...

Domyśliłam się ukrytego znaczenia jej słów. Wzięłam kielich i wypiałam. Smakowało paskudnie.

— Już niedługo — szepnęła Nicole i wyszła, zabierając kielich.

Po paru minutach poczułam się strasznie chora. Próbowałam utrzymać się na nogach, ale zupełnie mnie zamroczyło.

Jedna z dziewcząt zawołała Rani, która natychmiast przybiegła, bardzo skonsternowana. Pot spływał mi po twarzy. Kątem oka zerknęłam do lusterka — byłam okropnie blada.

Rani zaczęła na wszystkich krzyczeć. Położono mnie na tapczanie. Naprawdę byłam chora.

Po chwili wróciła Nicole. Zdawało mi się, że uśmiecha się nieznacznie.

* * *

Nie zaprowadzono mnie do paszy. Leżałam na tapczanie, przekonana, że zaraz umrę.

Myślałam o tym dziwnym uśmiechu na ustach Nicole. To jej robota! Bała się, że pasza we mnie zagustuje, że urodzę mu syna, który zajmie miejsce Samira. Czy to możliwe? Czy też naprawdę była moją przyjaciółką? Bez względu na odpowiedź, uratowała mnie jednak tej nocy...

Minął dzień i zaczęłam przychodzić do zdrowia. Razem z lepszym samopoczuciem wróciło też przekonanie, że Nicole zrobiła to, aby mnie ustrzec przed tym, czego tak się bałam. Owszem, ona także na tym zyskała, i co z tego? Jako Francuzka patrzyła na życie realnie. Jeśli mogła upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, pomysł wydał się jej podwójnie atrakcyjny.

Kiedy poczułam się lepiej, zrozumiałam, że w gruncie rzeczy nie byłam aż tak chora, jak przypuszczałam. Nicole powiedziała mi, że dziewczętom wysyłanym po raz pierwszy do paszy podaje się czasem afrodyzjak. Rani kazała jej pójść po niego do szafki, ona zamieniła go na inny środek, który miał wywołać u mnie określone dolegliwości.

— Czyż nie tego sobie życzyłaś? Przecież powiedziałaś, że wolałabyś wszystko... wszystko...

— Rzeczywiście tak powiedziałam. I bardzo ci dziękuję.

— Mówiłam, że jestem twoją przyjaciółką. A pasza wybrał Aide. Jeszcze nie wróciła, musi być w wielkich łaskach. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby cię zobaczył.

— Bardzo się z tego cieszę. Ona tak o tym marzyła...

— Ta mała diablica będzie teraz nie do wytrzymania. To wielki zaszczyt pozostawać w apartamentach paszy. Po powrocie nie zechce nawet z nami gadać, zobaczysz.

Stopniowo odzyskiwałam zdrowie, a Rani dobry humor. Po niedawnym rozczarowaniu pocieszała się sukcesem Aidy, która znalazła łaskę w oczach paszy.

Wróciła dopiero po trzech dniach, zupełnie odmieniona. Stała się teraz bardzo ważną osobą. Wkroczyła do haremu w pięknych rubinowych kolczykach i wspaniałej rubinowej kolii, z rozmarzeniem w oczach i pełna pogardy dla nas wszystkich. Rani także odnosiła się do niej inaczej niż dotąd. Mała Aida wysunęła się zdecydowanie na czoło, poza tym była przekonana, że jest w ciąży.

— Głupie stworzenie — skomentowała to Nicole. — Skąd może już wiedzieć?

Mimo to wygładała na zmartwioną.

— Może na jakiś czas zapewni ci to bezpieczeństwo — pocieszała mnie. — Skoro spodobała mi się tak bardzo, pewnie następnym razem także po nią pośle. Tak samo było ze mną... Teraz Aida jest w największych łaskach, chociaż ty powinnaś być na jej miejscu.

— Może wcale by mnie nie wybrał. Ona mogła mu bardziej przypaść do gustu.

Nicole jednak mi nie wierzyła.

Wielką ulgę przyniosła mi wiadomość od głównego eunucha, że pasza znów wyjechał i to na całe trzy tygodnie.

Trzy tygodnie! Wiele mogło się wydarzyć w tak długim czasie. Może nadejdzie dobra wieść od Simona? Jeśli istnieje jakiś sposób ucieczki... jeśli ktokolwiek może coś wymyślić, to tylko on.

* * *

Minęło kilka dni. Aidy coraz bardziej nie lubiano. Obnosiła się ciągle ze swymi rubinami, wysiadywała przy sadzawce, oglądając je demonstracyjnie, tak aby nikt ani na chwilę nie zapomniał o jej wyróżnieniu. Patrzyła z góry na inne kobiety, niby to im współczując, że nie mają aż tyle urody i wdzięku, by oczarować paszę.

Wodziła wokół siebie omdlewającym spojrzeniem, stwarzając pozory oznak ciąży.

Nicole wyśmiewała się z niej, inne także. Jedna z kobiet pokłóciła się z nią tak bardzo, że doszło do bójki, po której Aidzie zostały na twarzy paskudne zadrapania.

Oczywiście wywołało to potoki łez. Kiedy pasza wróci, jak mu się pokaże z takimi bliznami?

Rani wpadła w złość i zamknęła obydwie na trzy dni. Zdaniem Nicole najchętniej spuściłaby im łanie, ale bała się zostawić ślady, zwłaszcza na ciele Aidy. Trzeba przyznać, że wobec mieszkanek haremu, dopóki w nim przebywały, nigdy nie stosowano przemocy fizycznej.

— Dobrze, że chociaż przez trzy dni odpoczniemy od tej aroganckiej smarkuli — zauważyła Nicole.

Po odbyciu kary Aida bynajmniej nie wydawała się skruszona. Tak samo ospała i rozleniwiona, coraz usilniej wmawiała wszystkim, że nosi dziecko, i to płci męskiej. Rubinowej kolii nie zdejmowała nawet na noc, a kolczyki trzymała w szkatułce przy łóżku, żeby z samego rana je włożyć.

Wbrew własnej woli zostałam wciągnięta w intrygi haremu. Stało się tak z powodu mojej przyjaźni z Nicole, która opowiadała mi o gwałtownych sprzeczkach, wybuchających między coraz bardziej zazdrosnymi dziewczętami. Aida, podobnie jak Fatima, ciągle sprawiała kłopoty. Dawniej inne także bywały wybierane i teraz nie mogły o tym zapomnieć. Jeśli Aida rzeczywiście jest w ciąży i urodzi męskiego potomka, zada tym samym potężny cios swym rywalkom.

— Ale i tak Samir jest najstarszy — pocieszała się Nicole. — Musi pozostać faworytem.

Odpowiadałam, że na pewno tak będzie.

Wyczułam, że Nicole straciła nieco pewności siebie. Wiedziała, że już nigdy nie uwolni się od obaw. Obecnie wszystkie jej myśli koncentrowały się na Aidzie, chociaż nie zapomniała także o Fatimie. Obie — dotąd główne rywalki — nie spuszczały czujnych oczu z nowej faworyty.

Rzadko kiedy się zdarzało, aby jedna dziewczyna zdołała zadowolić paszę przez kolejne trzy noce i w dodatku pozostać przez cały czas w jego apartamentach. Niewątpliwie Aida musiała wyrzucić potężne wrażenie.

Co więcej, przebywała z nim wystarczająco długo, by zająć w ciąży. Dlatego też stała się obiektem szczególnej obserwacji wszystkich, a szczególnie Nicole i Fatimy.

Stało się to nad ranem, kiedy jeszcze na pół spałam, a przez okno wlewał się słaby blask księżyca. Nagle wydało mi się, że przez niedomknięte powieki dostrzegłam jakiś ruch i kontur

ciemnej postaci, która pochylała się nad tapczanem w rogu. Zaraz jednak zapadłam znowu w sen i więcej o tym nie myślałam.

Rano wybuchła sensacja: zniknęły rubinowe kolczyki Aidy. Kolię — przypominała nam — miała na szyi przez cały czas, ale kolczyki wkładała na noc do trzymanej przy tapczanie szkatułki.

Do dormitorium weszła Rani i zapytała, o co ten hałas. Rozwścieczona Aida oskarżała wszystkie współmieszkanki. Ktoś jej ukraść kolczyki! Pasza o wszystkim się dowie! Nie pozwoli na złodziejstwo w haremie! Wszystkie zostaną wychłostane i wyrzucone! Ona musi odzyskać swoje klejnoty. Jeśli do jutra się nie znajdą, poskarży się paszy i zażąda kary dla wszystkich.

Rani dostała furii.

— Co za głuptas z tej małej! — mruknęła Nicole. — Jeszcze się nie nauczyła, że nie wolno złościć ważnych osób? Pewnie sama uważa się za tak wielką, że myśli, iż może się obejść bez ich poparcia.

Przeszukano całe pomieszczenie, ale kolczyków nie znaleziono.

Fatima, wyrażając swe oburzenie, zaproponowała, żeby zrewidować nawet dzieci. Niektóre z nich już rodzą się złodziejami i jeśli się okaże, że jej Feisal jest taki, to ona osobiście dopilnuje, by go surowo ukarano.

Rani zapewniła Aide, że kolczyki muszą się znaleźć. Na pewno są gdzieś tutaj, po co ktoś miałby kraść cudzą biżuterię? Kiedy złodziejka mogłaby ją nosić?

Spacerowałam z Nicole po ogrodach.

— Dobrze jej tak — rzekła mściwie. — Arogancka i głupia! Daleko nie zajdzie.

— Ktoś jednak wziął te kolczyki.

— Pewnie dla żartu.

— Coś sobie przypominam... — powiedziałam wolno. — Właściwie jeszcze drzemałam, ale widziałam kogoś... przy tapczanie Aidy.

— Kiedy?

— Ostatniej nocy. Myślałam, że mi się to przyśniło, byłam jeszcze na granicy snu i jawy. Odkąd tu jestem, miewam dziwne sny, szczególnie po tym specyfiku, którym mnie uraczyłaś. Nie jestem pewna, czy to nie halucynacje...

— Cóż, jeśli widziałaś kogoś przy tapczanie Aidy, a rano okazało się, że kolczyki zniknęły, to raczej nie był sen.

W tym momencie pojawił się Samir. Trzymał w rączkach coś błyszczącego.

— Zobacz, maman, zobacz, jakie ładne!

Wzięła od niego wysadzaną kamieniami szkatułkę. W środku leżały rubinowe kolczyki. Wymieniłyśmy przerażone spojrzenia.

— Gdzie to znalazłeś, Samirze? — spytała drżącym głosem.

— W mojej łódeczce.

Łódeczka, jego ukochana zabawka! Prawie się z nią nie rozstawał i często puszczał na sadzawkę.

Nicole popatrzyła na mnie znacząco.

— Muszę natychmiast zanieść to Rani.

Wyciągnęłam rękę, żeby ją zatrzymać. Zerknęłam niepewnie na Samira. Zrozumiała, co mam na myśli.

— Idź się bawić — poleciła synkowi. — I nikomu nie mów, co znalazłeś. To nic ważnego, ale mimo to... obiecaj!

Pokiwał głową i odbiegł.

— Teraz, kiedy o tym myślę... — nawiązałam do swego niby-snu. — Ta postać... mogła to być Fatima. A jeśli to ona ukradła kolczyki? Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej uważam, że to

możliwe. Czy nie zaproponowała, żeby zrewidować nas wszystkie i nawet dzieci? Ona czasami jest taka głupia! Nie bawi się w żadne subtelności, łatwo poznać, co jej chodzi po głowie. Chce zaszkodzić tobie... i Samirowi. Ukradła kolczyki i schowała je w łódeczce, żeby zwalić winę na dziecko.

— Dlaczego?

— Żeby zrobić z niego złodzieja.

— Przecież to jeszcze dziecko.

— No więc może się myłę, chociaż pomyśl: co by się stało, gdyby kolczyki znaleziono w jego łódce? Samir zaklinałby się, że nie wie, skąd się tam wzięły, kto by mu jednak uwierzył? Aida opowiedziałaby paszy... pewnie miałaby okazję. Może chłopca by ukarano, pasza byłby niezadowolony, rozumiesz, do czego zmierzam? Ale powtarzam: może się myłę.

— Nie, nie... Chyba masz rację.

— Ona może powiedzieć, że Samir wziął kolczyki, a kiedy wykryto kradzież, przestraszył się i je oddał.

— Więc...?

— Więc się ich pozbadźmy... natychmiast. Rzuć je... wszystko jedno gdzie. Nie powinny ich znaleźć przy tobie, bo jak byś się wytłumaczyła? Jak trafiły do łódeczki Samira? On je tam włożył, powiedzą. Zostaw je... na przykład koło sadzawki. Szkatułka będzie dobrze widoczna, na pewno szybko ją znajdą, a o Samirze nikt nie wspomni. Lepiej, żeby go do tego nie mieszano.

— Masz rację. — Pokiwała głową i położyła szkatułkę przy sadzawce. Potem obie odeszłyśmy.

— Teraz jestem pewna, że to była Fatima — powiedziałam jej później. — Próbuję sobie przypomnieć, co widziałam. To takie łatwe: wstać po cichu, kiedy wszystkie śpią, i zabrać szkatułkę.

— Ja też już wiem, że to ona. Och, jak jej nienawidzę! Pewnego dnia ją zabiję.

* * *

Szkatułkę odnaleziono. Aida powiedziała, że nic z tego nie rozumie; zostawiła ją przy tapczanie, ktoś musiał ją zabrać, a potem przestraszył się i podrzucił.

Rani oświadczyła, że kolczyki się znalazły i to zamyka sprawę.

Ale tak się nie stało. Wrogość między Fatimą a Nicole rosła w zatrważający sposób. Okazało się, że Aida niemal na pewno nie jest w ciąży, co pogłębiło rywalizację matek Samira i Feisala. Aida chodziła nadąsana, bo któraś z kobiet posadziła ją o upozorowanie kradzieży. Według niej, smarkata chciała po prostu podkreślić, że niby tak bardzo przypadła paszy do gustu, iż ten podarował jej tak cenne klejnoty. W haremie ciągle wybuchały jakieś awantury, krążyły jadowite uwagi, zapewne dlatego, że jego mieszkanki nie miały co robić.

Nicole niewątpliwie była mi bardzo wdzięczna. Wyraźnie zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakiego udało się uniknąć jej i Samirowi. Gdyby chłopiec został napiętnowany jako złodziej, mógłby na długo, jeśli nie na zawsze, wypaść z łask paszy. Była to groźna intryga, w sam raz w stylu Fatimy.

Nicole stała się teraz bardziej szczerą. Zawsze się domyślałam szczególnej więzi, jaka łączyła ją z głównym eunuchem, ale ostatnio sama mi wyznała, że zaprzyjaźnili się z sobą jeszcze na statku. Nie wspomniała, czy się kochali, lecz jakieś ziarenko być może zostało wówczas zasiane. Potem ją zabrano do haremu, a jego sprzedano paszy, który pilnie potrzebował eunuchów. Towarzysz Nicole nie uniknął swego losu, ponieważ jednak był wysoki, przystojny i inteligentny, więc szybko doszedł do obecnej pozycji. Ona przekazywała mu informacje z haremu, a on jej — nowiny ze świata. Oboje szybko się nauczyli wyciągać jak najwięcej korzyści ze swego położenia.

Teraz, kiedy wiedziałam już, jak bliscy sobie byli, zanim pozbawiono ich wolności, znacznie lepiej rozumiałam ich stosunki. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim pogodzili się ze swym losem, ale w końcu on został głównym eunuchem, a ona zmierzała do pozycji pierwszej damy haremu.

Nasza przyjaźń znacznie się umocniła, gdyż uratowałam syna Nicole z sytuacji, która mogła przekreślić ich szanse. Teraz moja przyjaciółka bardzo chciała mi się zrewanżować.

Próbowałam ją przekonywać, że w przyjaźni rewanż jest niepotrzebny; odpowiedziała, że rozumie, ale postara się dla mnie coś zrobić. Wie, że najbardziej ze wszystkiego pragnę ucieczki; kiedyś, dawno temu, ona też czuła to samo, dlatego mnie rozumie.

Przede wszystkim przyniosła mi następny liścik. Prawdopodobnie opowiedziała głównemu eunuchowi historię kolczyków i stał się naszym sprzymierzeńcem.

Karteczka została mi przekazana w ten sam sposób, co poprzednia. Przeczytałam ją na osobności.

Nie trać nadziei. Pewien przyjaciel informuje mnie, co się dzieje po drugiej stronie muru. Jeśli nadarzy się okazja, będę gotów, Ty także musisz być przygotowana. Nie wpadaj w rozpacz, mamy dobrych przyjaciół. Nie zapominam o Tobie, zobaczysz, że się nam uda.

Ileż pociechy dały mi te słowa!

Czasem, w przypiływie pesymizmu, zastanawiałam się, co on może zrobić. Zaraz jednak utwierdzałam się w przekonaniu, że muszę czekać, a Simon na pewno coś wymyśli.

Nicole nie spuszczała oka z Samira, ja także obserwowałam go pilnie. Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się — malec często widywał mnie z matką, wiedział, że ona mnie lubi, więc szybko doszliśmy do porozumienia.

Był uroczym, zdrowym chłopczykiem, kochał wszystkich ludzi i wierzył, że sam też jest kochany.

Raz, kiedy siedziałam sama przy sadzawce, podszedł do mnie i pokazał mi swoją łódeczkę. Puściliśmy ją na wodę i chłopiec śledził ją tęsknym wzrokiem.

— Płynęła tu długo, długo... — powiedział.

— A skąd?

— Z Mar... Mart...

— Z Martyniki? — podpowiedziałam tknięta przecuciem.

Pokiwał główką.

— Teraz płynie do takiego miasta we Francji. To Lyon. Tam jest szkoła.

Domyśliłam się, że matka opowiadała mu o sobie, bo nagle wykrzyknął:

— Piraci! Chcą nas wziąć do niewoli, ale się nie damy! Bang, bang! Uciekaj, podły piracie! Nie lubimy cię! — Odganiał rączką wyimaginowane statki, wreszcie obrócił się do mnie z uśmiechem.

— No, już po wszystkim. Nie bój się, już puciekali.

Potem pokazał mi drzewo.

— Patrz, figi!

— Lubisz figi?

Przytaknął energicznie.

Nadeszła jego matka. Musiała słyszeć ostatnią wymianę zdań, bo dodała:

— Samir przepada za figami, prawda?

Malec pokiwał główką.

Później mi się to przypomniało.

* * *

Siedziałam przy sadzawce, myśląc o tym, jak szybko mijają dni. Ciekawe, kiedy wróci pasza? Czy uda mi się znowu? Oszustwo z napojem miłosnym drugi raz nie przejdzie, Rani zaczęłaby coś podejrzewać. Zresztą nawet gdybym wypila ponownie ten środek, nie wiadomo, jak by poskutkował. Bo co Nicole może wiedzieć o takich specyfikach? W dodatku Rani tym razem może mi sama przygotować afrodyzjak. Nie jest głupia, kto wie, czy już czegoś nie podejrzewa? Czy jest jakaś nadzieja? I czy Simon zaoferuje mi coś więcej niż słowa pociechy?

Podszedł do mnie Samir z figą w rączce.

— O! — uśmiechnęłam się do niego. — Jaka ładna figa!

— Fatima mi dała.

— Fatima! — Poczulałam ciarki na plecach. — Daj mi tę figę, Samirku.

Schował rączkę do tyłu.

— Nie jest twoja! To moja figa!

— Tylko mi ją pokaż.

Cofnął się o krok i z daleka wyciągnął rączkę, podnosząc owoc do góry.

Chciałam mu zabrać figę, ale zaczął uciekać. Rzuciłam się w pogoń.

Wpadł rozpedem prosto w ramiona matki. Ta roześmiała się i spojrzała na mnie pytająco.

— Fatima dała mu figę — powiedziałam.

Nicole zbladła jak ściana.

— Trzyma ją — ciągnęłam. — Nie chciał mi oddać.

Wyrwała mu owoc natychmiast. Samir skrzywił buzię do płaczu.

— Nie martw się, znajdę ci drugą.

— Ale ta jest moja! Fatima mi dała.

— Nie szkodzi. — Głos Nicole drżał lekko. — Dostaniesz jeszcze większą i ładniejszą. Ta nie jest dobra, ma w środku robaki.

— Pokaż! — zaciekawiał się malec.

— Najpierw znajdę ci inną figę.

Oddała mi owoc.

— Zaraz wrócimy.

Wzięła synka za rączkę i odeszli razem. Po paru minutach Nicole wróciła bez dziecka.

— Rosetto, chcę przeprowadzić próbę.

Usiadła przy mnie z figą w ręku, patrząc ponuro przed siebie. Niebawem pojawił się jeden z piesków Fatimy.

Nicole roześmiała się nagle i przywołała go do siebie. Podbiegł zaraz, a ona wyciągnęła figę. Piesek połknął ją natychmiast i wyraźnie czekał na następną.

— Po co mu ją dała? — zastanawiała się Nicole.

— Może po historii z kolczykami poczuła wyrzuty sumienia i chciała zrobić małemu przyjemność?

Popatrzyła na mnie z pogardą i nagle oczy rozszerzyły się jej z przerażenia. Piesek poczołgał się w kąt, wstrząsany torsjami. W oczach Nicole pojawił się błysk triumfu.

— Jest podła! Podła! Chciała otruć Samira!

— Nie mamy pewności.

— Jak to? Spójrz na tego psa.

— Mogło mu zaszkodzić coś innego.

— Zanim zjadł figę, był zupełnie zdrowy.

— Myślisz, że posunęłaby się tak daleko? Co by ją spotkało, gdyby została przyłapana?

— Śmierć za morderstwo.
— Pomyślałaby o tym.
— Fatima nigdy nie wybiega myślą naprzód. Chciała po prostu pozbyć się Samira, żeby Feisal mógł zająć jego miejsce.
— Nicole, naprawdę w to wierzysz?
Piesek wił się po ziemi. Patrzyłyśmy na niego ze zgrozą. Nagle łapki mu zeszywniały, przewrócił się na bok... nie żył.
— To mógł być Samir — szepnęła Nicole. — Gdybyś nie zobaczyła go z tą figą...
Podeszła Aida.
— Co się dzieje z tym psem?
— Nie żyje — odrzekła Nicole. — Zjadł figę.
— Co zjadł?
— Figę.
— Jak mógł zdechnąć po fidze? To pies Fatimy.
— Właśnie. Idź do niej i powiedz, że piesek nie żyje, bo zjadł figę.
Wpadłam w panikę. Mogłam z niejaką pogardą patrzeć na ich rywalizację, ale próba morderstwa to całkiem inna sprawa.

* * *

Nikt nie oczekiwał, że sprawa na tym się zakończy. Nicole nie należała do osób, które puściłyby coś takiego płazem.

Już z samych uwag na temat figi i śmierci psa Fatima mogła wywnioskować, że jest podejrzana. W końcu to ona dała Samirowi zatruty owoc.

Między obiema kobietami wybuchła jawna wojna. W całym haremie nie mówiło się o niczym innym, tylko o piesku, który zdechł po zjedzeniu figi.

Rani bardzo się tym martwiła. Nie znosiła zamieszania w haremie; lubiła wierzyć, że nad wszystkim panuje.

Błagałam Nicole, by zachowała ostrożność. Najlepiej, żeby powiedziała Rani albo głównemu eunuchowi o swoich podejrzeniach — już oni będą wiedzieli, jak postąpić. Niestety, nie chciała o tym słyszeć.

— Sama rozprawię się z Fatimą. Tamci mogliby mi nie uwierzyć. Powiedzą, że piesek zdechł z innego powodu. Za nic nie dopuszczą, by pasza dowiedział się o próbie morderstwa.

— On niedługo wraca — powiedziałam ze strachem. — Na pewno coś o tym usłyszysz.

— Nie, nikt mu nie powie. Poza tym postarają się do jego powrotu ukłonić łeb sprawie. Tylko że ja nigdy do tego nie dopuszczę. Fatima próbowała zrobić z mojego syna złodzieja, a gdy się jej nie udało, postanowiła go otruć.

— Ale bezskutecznie.

— Owszem, dzięki tobie. Okazałaś się prawdziwą przyjaciółką i przy okazji na pewno ci się odwdzięczę. Tobie odpłacę za dobro, a jej za zło. Kara musi być.

Tak dłużej być nie mogło.

Fatima podeszła do Nicole w ogrodzie.

— Rozsiewasz o mnie złośliwe plotki.

Rozumiałam już trochę ich język, poza tym z samego tonu zorientowałam się, co mówią.

— Nic nie może być gorsze od prawdy! — zawołała Nicole. — Próbowалаś zabić mojego syna!

— Nic podobnego.

— Łżesz! Zatrulaś figę, inaczej twój pies by nie zdechł. To najlepszy dowód.

— Nie ja dałam mu figę. Twój bachor nie tylko kradnie, ale i kłamie.

Tego Nicole nie mogła znieść. Wymierzyła Fatimie policzek. Tamta rzuciła się na nią z krzykiem; w jej dłoni błysnął nóż — już wcześniej przygotowała się do starcia. Wbiła go rywalce w udo. Szarawary Nicole błyskawicznie przesiąkły krwią, która tryskała jak fontanna.

Przybiegła Rani i zaczęła krzyczeć, by przestały. Pojawił się też główny eunuch. Wielki, silny mężczyzna szybko odciągnął szarpiącą się i wrzeszczącą dziko Fatimę. Nicole leżała na ziemi, okropnie krwawiąc.

Zawołano dwóch eunuchów, którzy pracowali w ogrodzie, i Rani poleciła im zabrać Fatimę. Główny eunuch ukląkł przy Nicole i szepnął coś do Rani. Potem ostrożnie podniósł ranną i zaniósł ją do budynku.

Ogarnęła mnie groza. Wiedziałam, że prędzej czy później dojdzie do jakichś kłopotów, ale nie brałam pod uwagę użycia noża. Bałam się o Nicole. Coraz bardziej ją lubiłam, dzięki niej moje życie stało się znośniejsze, poza tym tylko z nią mogłam się komunikować.

Nagle pomyślałam o Samirze. Biedne dziecko, co się z nim stanie?

Oszołomiony chłopczyk przyszedł szukać u mnie pociechy.

— Gdzie jest *maman*? — spytał żałośnie.

— Zachorowała.

— Kiedy jej się polepszy?

— Musimy poczekać — udzieliłam najgorszej z możliwych odpowiedzi, dobrze zapamiętanej z własnego dzieciństwa.

Fatimę skępowano. Zastanawiałam się, co z nią będzie. Na pewno ów incydent nie ujdzie jej na sucho. Oznaczałoby to złamanie prawa i naruszenie porządków panujących w haremie, a na to Rani ani główny eunuch nie mogliby sobie pozwolić.

Niewiele rozumiałam z toczących się dyskusji poza tym, że dotyczyły zatrutej figi i napaści Fatimy na Nicole. Aida i jej pretensje zeszyły na dalszy plan.

Rani kipiała ze złości, gdyż przy okazji wyszło na jaw, że Fatima uzyskała dostęp do jej sekretnej szafki. Zastanawiałam się, jak często za pomocą trzymany tam specyfików dyskretnie pozbywano się niepożądanych osób. Rozkazy zapewne pochodziły od paszy i były przekazywane za pośrednictwem głównego eunucha. Tak, musiało się to zdarzać od czasu do czasu. Tajemnic szafki pilnie strzeżono, więc fakt, że Fatimie udało się tam dostać, dawał powód do paniki.

Główny eunuch pozostawał w ciągłym kontakcie z Rani, często widywałam go w haremie.

Nicole leżała w oddzielnym pokoju. Pozwolono mi ją odwiedzać, prawdopodobnie dlatego, że sama o to poprosiła. Zajmowano się nią troskliwie i dokładano wszelkich starań, by jak najszybciej wróciła do sił.

Przeraził mnie jej wygląd. Udo miała zabandażowane, siniaki na czole i była bardzo blada.

— Ta żmija chciała mnie zabić... prawie jej się udało. Co z Sandrem?

— Pyta o ciebie.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Nie chcę mu się pokazywać w tym stanie.

— Myślę, że bardzo chciałby cię zobaczyć.

— No... może.

— Powiem mu. Będzie szalał z radości.

— Zaopiekujesz się nim, póki nie wrócę do zdrowia?

— Zrobię, co w mojej mocy, ale on tęskni do ciebie.

— Wiem, że zamknięto gdzieś tę wstrętną jędzę. To dla mnie wielka ulga.

— Tak, nie ma jej w haremie.

— Dzięki Bogu. Nie mogłabym leżeć spokojnie, wiedząc, że się tu kręci. Czy Samir orientuje się, co mu groziło?

— Jest na to za mały.

— Dzieci są bystrzejsze, niż ci się zdaje. Nastawiają uszu, niewiele umyka ich uwagi. Czasem wysnuwają mylne wnioski... ale Samir domyśli się, że coś jest nie w porządku. Wyczuje zagrożenie.

— Dopilnuję go. Nie wolno ci się zamartwiać. Kiedy uznasz, że powinien przyjść, daj mi znać, na pewno mu pozwolą.

— O, tak. Chcą mnie koniecznie utrzymać przy życiu, inaczej pasza zacząłby zadawać pytania, a nawet zastanawiać się, czy Rani dba o nas należycie. Mógłby ją usunąć ze stanowiska, ona cały czas bierze to pod uwagę. Pasza o mnie pamięta, bo jestem matką jego syna.

— Fatima także.

— Nigdy jej tak naprawdę nie lubił. Jest głupia, zawsze taka była. Owszem, urodziła Feisala i koniec na tym. To ładny chłopaczek, ale tylko z tego powodu pasza nie będzie obdarzał jej łaskami, gdyż taka kobieta stwarza zagrożenie dla haremu. Ja nie miałam noża, to ona go wyciągnęła. Mogła mnie zabić... i chciała. No cóż, rana jest głęboka, straciłam wiele krwi. Długo potrwa, zanim wrócę do zdrowia.

Następnego dnia przyprowadziłam jej Samira. Wskoczył na tapczan i mocno się przytulił do Nicole; miałam łzy w oczach, kiedy na nich patrzyłam. Ta dziecięca radość! Nareszcie mama jest przy nim, wprawdzie jeszcze chora, ale jest!

Nicole zapytała, co porabiał. Jak tam jego łódeczka?

— O mało nie wpadła w ręce piratów.

— Naprawdę?

— Tak, ale w ostatniej chwili ją uratowałem.

— To dobra nowina.

— Kiedy wstaniesz?

— Niedługo.

— Dzisiaj?

— No... jeszcze nie dzisiaj.

— Jutro?

— Zobaczymy.

Znowu to „zobaczymy”. Samir westchnął, zdając sobie sprawę z niejasności odpowiedzi.

— Masz Rosette — przypomniała mu.

Uśmiechnął się do mnie i wyciągnął rączkę. Nicole zagryzła wargi i spuściła wzrok. Była wyraźnie wzruszona; jestem pewna, że w tej chwili czuła do mnie to samo, co ja do niej.

* * *

Następnego dnia, kiedy byłam u Nicole, Rani przyprowadziła głównego eunucha.

Nicole rozmawiała z nim po francusku. Opowiedziała, co dla niej zrobiłam.

— Zawdzięczam Rosette życie mojego syna. Muszę jej to jakoś wynagrodzić.

Skinął głową. Wydało mi się, że spojrzenia, jakie wymienili, wyrażały miłość.

W tym momencie bardziej niż kiedykolwiek uświadomiłam sobie tragedię tych dwojga. Oczyma wyobraźni widziałam statek... ich spotkania... przyjaźń, która zrodziła się na pokładzie, jak to zwykle bywa, kiedy ludzie — jeśli tylko tego sobie życzą — widują się codziennie. W takiej atmosferze więzi łatwo się zacieśniają i tak właśnie stałoby się w wypadku tych dwojga młodych. Co by było, gdyby ich nie rozdzielono? Wyobraziłam ich sobie na morzu: ciepłe wieczory,

przesiadanie na pokładzie, usiane gwiazdami niebo, łagodny szum morza... I nagle katastrofa, niewola, kres miłości, która dopiero co się zaczęła.

Czyż mogłam nie rozumieć tego wszystkiego lepiej od innych? Czy i ja nie przeżyłam czegoś podobnego?

Biedna Nicole! Brutalnie rozdzielona z ukochanym, musiała żyć w jego pobliżu. Właściwie nawet często się widywali — ona, niewolnica z haremu, urodziła dziecko swemu panu i władcy, on — utracił męskość tylko dlatego, że był wysoki i silny, stał się przydatny owemu bezwzględniemu człowiekowi. Dlaczego niektórzy ludzie wąż się tak strasznie krzywdzić innych? Jak mogą wyrwać nas z cywilizowanego świata i skazywać na barbarzyński żywot? Cóż, widać mogą. Wystarczy, że nadarzy się sposobność, moment przewagi — i już mają nas w rękę.

Nicole czuła się coraz lepiej. Cieszyła się dotąd znakomitym zdrowiem, a Rani była biegłą pielęgniarką i znała się na opatrywaniu ran. Zastanawiałam się, jak wiele praktyki zdobyła w środowisku, gdzie nuda i rozleniwienie rodzą przemoc.

Każdego dnia prowadziłam Samira do matki. Chłopczyk poweselał, wyzbył się strachu. *Maman* zachorowała, ale nigdzie jej nie zabrano, mógł ją widywać, a ja całkiem dobrze nadawałam się na zastępstwo.

Pewnego dnia Nicole miała dla mnie nowiny:

— Dopiero co odwiedził mnie główny eunuch. Miał mi dużo do powiedzenia. Podobno wychodzą ze skóry, żeby wyciszyć całą sprawę przed powrotem paszy. Wtedy nie musieliby go informować.

— A co z Fatimą?

— Rani wyjaśni, że trzeba ją odesłać... z powrotem do rodziny. Już od dłuższego czasu zbierała skargi na jej zachowanie. Może nawet powie, że Fatima groziła mi nożem? Skoro są blizny, trzeba je jakoś wyjaśnić... Jest jeszcze dużo czasu na podjęcie decyzji, ale tak czy inaczej Fatimę odeślą.

— Co będzie z Feisalem?

— On zostanie. Jest synem paszy, nie może stąd wyjechać.

— Biedne dziecko...

— Och, lepiej mu będzie bez tej głupiej matki.

— Kto się nim zaopiekuje?

— Inne kobiety. Feisal nikomu nie zawinił. Nie może odpowiadać za matkę. Fatima przez jakiś czas będzie zamknięta, i bardzo dobrze. To dzika bestia.

— Ale co za straszna kara dla dziecka!

— Fatima zasłużyła na śmierć. Przecież omal nie odebrała życia Samirowi. Za każdym razem, gdy o tym myślę, przypomina mi się, ile ci zawdzięczam. Nie lubię takich długów; rozmawiałam z Jeanem... z głównym eunuchem i on to rozumie. I kto wie, może ci przyjdzie z pomocą...

Serce biło mi tak gwałtownie, że ledwie mogłam wykrztusić:

— J-jak...?

— Pasza odwleka powrót... Nie będzie go jeszcze ze dwa tygodnie, trzeba to zrobić w tym czasie.

— Co masz na myśli?

— Mówiłam już, że Fatima zostanie odesłana do rodziny. Przyjedzie po nią powóz i zaczeka na zewnątrz. Główny eunuch otworzy bramę...

— Czy to się często zdarza?

Nicole pokręciła głową.

— To akt absolutnej niełaski. Gdyby mnie zabiła, skazano by ją na śmierć... zresztą może popełni samobójstwo — dodała z mściwym uśmiechem.

— Ach, nie! Wyśmiała mnie.

— Pewnie, że nie, bo inaczej popsułaby nam szyki. Posłuchaj. — Zawiesiła na chwilę głos. Nie potrafiłam ukryć niecierpliwości. Nagle wezbrała we mnie nadzieja. — Kobiety, które wychodzą na zewnątrz, są osłonięte gęstym welonem. Tylko te z niższych klas nie przestrzegają tego zwyczaju. Wtedy trudno odróżnić jedną od drugiej... Ach, jak będę za tobą tęsknić! Bo przecież byliśmy prawdziwymi przyjaciółkami, czyż nie? Ale ty tego właśnie chcesz, nigdy nie stałaś się prawdziwą kobietą z haremu. Masz w sobie za dużo hartu ducha. Nie potrafisz zapomnieć o dumie, godności... nawet za wszystkie rubiny świata.

— Nicole, powiedz, o co ci chodzi. Nie trzymaj mnie w niepewności. Nie zapomniałam, jak uratowałaś mnie tą miksturą...

— I wywołałam przykre dolegliwości.

— To nieważne. Uratowałaś mnie i tylko to się liczy.

— Drobnostka. Czyż i ty nie uratowałaś Samira?

— Po prostu pomogłyśmy sobie nawzajem. A teraz proszę... mów.

— Główny eunuch obiecał pomoc... w miarę możliwości.

— Jak? Co...

— Przyjdzie zabrać Fatimę. Wyprowadzi kobietę owiniętą w płaszcz i z jaszlakiem na twarzy, ale tą kobietą będzie wcale nie Fatima, tylko Rosetta. I co ty na to?

— Czy... Czy to możliwe?

— Owszem. Główny eunuch przeprowadzi cię przez bramę, nikt się niczego nie domyśli, bo wszyscy wiedzą, że Fatima wraca do domu.

— A gdzie ona wtedy będzie?

— W swoim pokoju. Ma być gotowa na określoną godzinę, ale powóz zajedzie o pół godziny wcześniej. Główny eunuch powie, że to bez różnicy, i sam wszystko przeprowadzi. Przyjdzie zobaczyć się ze mną, a ty już będziesz czekała. Wyjdziecie stąd razem, a gdyby ktoś cię zobaczył, i tak weźmie cię za Fatimę. Mało kto się odważy przyglądać, ale na wszelki wypadek kobiety zostaną uprzedzone, że mają się trzymać z daleka i nie patrzeć na hańbę swej towarzyski. Główny eunuch otworzy bramę, wyprowadzi cię, a ty wsiądziesz do powozu. Słowem, wszystko odbędzie się według planu, tyle że odjedziesz ty, a nie Fatima.

— Dokąd mnie odwiozą?

— Do ambasady brytyjskiej. Tam opowiesz swoją historię i wyślą cię do domu. Nie zdradzisz nazwiska paszy, bo go nie znasz, poza tym obce państwa nie mogą wtrącać się w wewnętrzne sprawy gospodarzy. Obowiązkiem ambasady będzie wyłącznie zorganizowanie ci podróży.

— Wierzyć mi się nie chce. To się wydaje zbyt proste.

— Ale nie jest. To sprytny i dobrze przemyślany plan. Główny eunuch jest bardzo inteligentny.

— A co będzie, kiedy odkryją, co się stało?

— Uznają, że nastąpiła pomyłka. Wszyscy wiedzą o twojej niechęci do naszego życia. W jakiś sposób udało ci się zamienić z Fatimą, główny eunuch miał tylko wyprowadzić z haremu zawołaną kobietę. Rani mogłaby coś podejrzewać, ale nie będzie na tyle głupia, by wchodzić w konflikt z głównym eunuchem, więc nic nie zrobi. Pasza i tak nic o tobie nie wie, miałaś być niespodzianką, dlatego z jego strony nic nam nie grozi. Prawdopodobnie mu powiedzą, że w haremie wynikło zamieszanie i Fatima ugodziła mnie nożem. W tych okolicznościach Rani i główny eunuch mądrze zdecydowali, że powinno się ją odesłać. I na pewno wkrótce po twojej ucieczce tak się stanie.

— Och, Nicole, nie mogę w to uwierzyć! Tak długo żyłam nadzieją, próbując coś wymyślić, a teraz... Ty i główny eunuch wszystko zaplanowaliście za mnie... A może ja śnię?

— Z tego, co widzę, na pewno nie.

— Główny eunuch tyle dla mnie ryzykuje...

- Nie... Nie dla ciebie, tylko dla mnie.
- Nicole, co mam ci powiedzieć? Tak się dla mnie narażasz...
- Lubię płacić swoje długi. Wszystko musi się udać, inaczej bym się nie zdecydowała.
- Nic nie jesteś mi winna. Wszystko, co...
- Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale zrobiłaś dla mnie tak wiele! Cieszę się, że mogę ci dać to, o czym najbardziej marzyłaś.
- Twoją ucieczkę także można było zaaranżować.
- Przychodzi w życiu taki czas, że już za późno. Tak właśnie jest ze mną. Dla... dla nas już naprawdę za późno, ale nie dla ciebie, więc... po prostu bądź gotowa i broń Boże się nie zdradz. Jeśli rzecz ma się udać, potrzebna jest jak największa tajemnica.
- Wiem. Muszę tylko zastanowić się, co mam robić. Zaskoczyłaś mnie, na razie jestem jak zamroczone.
- Więc przemyśl to sobie. I pamiętaj o ostrożności.

* * *

Nie mogłam spać ani jeść. Cały czas rozważałam krok po kroku cały plan. Być znowu wolną! Wyzbyć się tego okropnego strachu to zbyt wielka ulga, by od razu w nią uwierzyć. Być znowu panią swego losu, osobą podejmującą własne decyzje, a nie przedmiotem zależnym od właściciela, który w każdej chwili może zażądać mego towarzystwa i uległości...

Myślałam o Simonie. Jak mu się wiodło? Kiedy już będę wolna, muszę zawiadomić, kogo należy, co się z nim stało. Trzeba go ratować. Nie wolno handlować ludźmi, ten zakaz obowiązuje od dawna. W cywilizowanym świecie nie powinno być niewolnictwa... Ach, ale zapomniałam, że Simon nie chce, by go odnaleziono. Musi się ukrywać. Woli nawet harować w ogrodach paszy niż dać się skazać za morderstwo, którego nie popełnił.

A Lucas? Co z nim?

Nie, nie wolno mi o tym myśleć przed ucieczką. Muszę pamiętać, że to, o czym tak marzyłam, wreszcie miało się spełnić. Cudem zdobyłam potężnych przyjaciół, którzy są w stanie mi pomóc i zrobić to.

* * *

Minęło kilka dni, zanim Nicole wreszcie powiedziała:

— To już jutro. Fatima jest teraz sama w swoim pokoju i czeka, aż ją zabiorą. Będzie wściekła i wystraszona — w końcu odsyłają ją w niełasce. Straci Feisala... Rani mówi, że i tak ma szczęście — mogli ją skazać na śmierć. Gdyby Samir umarł... gdybym ja umarła... oznaczałoby to morderstwo. Ty nas uratowałaś. Fatima przebywała w haremie od kilku lat, powrót do domu to dla niej straszna hańba. Zabiłaby się, gdyby tylko mogła. Ale dość już o niej. Główny eunuch przyjdzie niby po nią, a zabierze ciebie.

— Ona zostanie?

— Oczywiście, nie może zabrać was obu. Lecz kiedy podstęp się wyda, ty już będziesz daleko. Do obowiązków głównego eunucha należy wynajdywanie kobiet, natomiast Rani ma się nimi opiekować i przygotowywać je dla paszy. Skoro jednak pasza nic nie wie, to i nic nie traci.

— A co z Rani? Tak bardzo się starała...

— Och, wścieknie się z początku, ale nie odważy się zadzierać z głównym eunuchem. Może Fatima mimo wszystko zostanie, a może ją odeślą, kto wie, czy dzięki tobie nie dadzą jej jeszcze

jednej szansy. Będzie mnóstwo gadania... ale tutejsze kobiety za bardzo interesują się sobą, by długo myśleć o innych, więc w końcu sprawa ucichnie.

— Jeśli Fatima zostanie, co będzie z tobą i z Samirem?

— Nawet Fatima potrafi czasem wyciągać wnioski z nauzki. Jeśli zostanie, będzie potulna jak baranek, nie ma strachu. Otarła się o katastrofę, nie ośmieli się już igrać z ogniem.

— Mam nadzieję, że zostanie. Ze względu na Feisala.

— Zapominasz, że próbowała zamordować mojego syna... I mnie.

— Wiem. Ale zrobiła to z miłości do swego dziecka.

— I do siebie. Bardzo chciała zostać pierwszą damą.

— Ty nią będziesz, Nicole.

— Mam taki zamiar. Ale teraz najważniejsze, żeby nasz plan się powiódł. I tak będzie, główny eunuch tego dopilnuje.

— Ach, Nicole, czemu nie możemy uciec razem!

Pokręciła głową.

— Już tego nie chcę. Moje miejsce jest tutaj. Kilka lat wcześniej, zanim urodziłam Samira, czułam to samo, co ty... Teraz już nic na to nie poradzę. Zależy mi tylko na tym, żeby Samir został paszą i tylko o to się modłę.

— A ja, żeby ci się udało.

Pokiwała energicznie głową.

— Uda się! Może myślisz, że mam wygórowane ambicje, ale raz już to się zdarzyło. Była taka dziewczyna — Aimee Dubucq de Rivery. Także pochodziła z Martyniki, płynęła do domu ze szkoły we Francji. Po katastrofie statku sprzedano ją do haremu sułtana. Czytałam o tym kiedyś i często mam wrażenie, że powtarzam jej historię. Wiem, co czuła: z początku rozpaczła, potem stopniowo pogodziła się z losem, by wreszcie postawić wszystko na przyszłość syna.

I powiodło jej się — został sułtanem. Widzisz, jak podobne są nasze losy? Skoro jej się udało, uda się i mnie.

— Na pewno, Nicole. Na pewno.

* * *

Nadszedł wielki dzień.

Od czasu wypadku Nicole zajmowała osobny pokój. Podczas wizyt głównego eunucha udało się przemycić tam stopniowo rzeczy, które miałam włożyć.

Przebrałam się w nie teraz i wyglądałam jak pierwsza lepsza kobieta z ulicy, wprawdzie nieco wyższa, ale na pewno trafiały się tu i takie.

Nadszedł główny eunuch i zobaczył, że jestem gotowa.

— Musimy bardzo uważać — rzekł. — Proszę za mną.

Podążyłam za nim, rzuciwszy Nicole ostatnie, pożegnalne spojrzenie. W pobliżu nie było żywej duszy. Nakazał, by wszystkie kobiety pozostały w sypialni, i zabronił im podglądać. Nikt nie powinien patrzeć, jak odchodzi ich zhańbiona towarzyszką.

Wszystko okazało się prostsze niż moje najśmielsze przypuszczenia. Przeszliśmy razem przez bramę — ja z pochyloną, niby to pokornie głową.

Strażnik przepuścił nas bez przeszkód — pierwszy szedł główny eunuch, ja dwa kroki w tyle. Powóz już czekał. Główny eunuch wepchnął mnie do środka i sam usiadł obok. Woźnica zaciął konie i ruszyliśmy.

Skęciliśmy na drogę i jechaliśmy jakiś czas, po czym powóz nagle przystanął. Zastanawiałam się, co się dzieje. Główny eunuch na pewno nie zamierzał wysadzić mnie w tym miejscu, jeszcze na ziemi paszy. Byłam zbyt oszołomiona, by myśleć jasno, ale mnie to zaniepokoiło.

Mój towarzysz wysiadł i w tej samej chwili woźnica zeskoczył z kozła. Główny eunuch zajął jego miejsce, a stangret usiadł przy mnie.

Myślałam, że śnię.

— Simon!

W milczeniu otoczył mnie ramionami i przywarliśmy do siebie mocno.

Poczułam się tak, jakbym się nagle obudziła z długiego, nocnego koszmaru. Nie tylko wyzbrałam się całego strachu, jaki nie opuszczał mnie od chwili pojmania, ale miałam przy sobie Simona!

Usłyszałam swój szept:

— Więc i ty...

— Och, Rosetto! Naprawdę mamy za co dziękować losowi.

— Kiedy?... Jak?...

— Porozmawiamy później. Na razie wystarczy.

— Dokąd on nas wiezie?

— Zobaczymy. Po prostu daje nam szansę.

Nie odzywaliśmy się już, tylko siedzieliśmy, trzymając się mocno za ręce, jakby w obawie, że znów nas rozdziela.

Było jeszcze dość jasno i przez szybki powozu widziałam miejsca, na które zwróciłam uwagę, kiedy wiezono mnie do posiadłości paszy. Zapamiętałam Zamek Siedmiu Wież, meczety, zaniedbane drewniane domki.

Prawdziwą ulgę poczułam, kiedy przejechaliśmy przez most, dzielący część turecką od chrześcijańskiej, i znaleźliśmy się po północnej stronie Złotego Rogu.

Niebawem powóz zatrzymał się gwałtownie. Główny eunuch zeskoczył z kozła i dał nam znak, byśmy wysiedli. Podniósł rękę, jakby dawał nam do zrozumienia, że na tym kończy się jego rola.

— Nie wiemy, jak panu dziękować — powiedział Simon po francusku.

Tamten pokiwał głową.

— Ambasada tam... Wysoki budynek. Zobaczycie.

— Tak, ale...

Nie słuchając nas więcej, wskoczył z powrotem na kozioł i natychmiast ruszył.

— Wszystkiego dobrego! — rzucił z daleka.

Simon i ja zostaliśmy sami.

* * *

Poczułam przyływ uniesienia. Byliśmy wolni... oboje! Wystarczyło wejść do budynku, opowiedzieć, co nas spotkało, by zapewniono nam bezpieczeństwo, poinformowano rodziny, a potem odesłano szczęśliwie do kraju.

— Możesz w to uwierzyć? — zawołałam, obracając się do Simona.

— Z trudem. Odprowadzę cię teraz do ambasady. Wyjaśnisz im, że uciekłaś z haremu.

— To takie niewiarygodne...

— Uwierzą ci, zobaczysz. Już oni wiedzą, co tu się dzieje, zwłaszcza w tureckiej części miasta.

— No to chodźmy. Wszystko im opowiemy i ani się obejrzymy, jak będziemy w drodze do domu.

Stał przez chwilę w milczeniu, patrząc mi poważnie w oczy.

— Ja nie mogę tam wejść.

— Co...?

— Czyżbyś zapomniała, że uciekam przed brytyjską sprawiedliwością? Odesłaliby mnie z powrotem do... sama wiesz dokąd.

Patrzyłam na niego z przerażeniem.

— Chcesz powiedzieć, że zostajesz tutaj?

— Czemu nie? Przynajmniej na razie, póki czegoś nie zaplanuję. Dla zbiega to tak samo dobre miejsce, jak każde inne. Potem spróbuję dostać się do Australii. Mam już pewne doświadczenie w pracy na statku, więc... chyba tak będzie najlepiej.

— Simonie, ja nigdzie bez ciebie nie pójdę.

— Ależ pójdziesz. Będziesz rozsądna... kiedy się dobrze zastanowisz.

— Och, nie!

— Rosetto, idziesz do ambasady, rozumiesz? Opowiesz, co cię spotkało, a oni zrobią, co w ich mocy, żeby ci pomóc. Dopilnują, żebyś wróciła do domu. Właśnie dlatego nas tu przywieziono. — Oboje!

— Przecież nasz dobroczyńca nie wiedział, że nie mogę skorzystać z tej drogi. Ale ty możesz, i to natychmiast. Byłabyś niewyobrażalnie głupia, gdybyś odmówiła. Zresztą nigdy do tego nie dopuszczę.

— Mogłabym zostać z tobą. Znajdziemy jakiś sposób...

— Posłuchaj, Rosetto. Mieliliśmy mnóstwo szczęścia... Nie wolno ci zmarnować takiej szansy, to czyste szaleństwo. Znaleźliśmy cennych przyjaciół; ty — Nicole, ja — głównego eunucha. Ty oddałaś przysługę jej, ja miałem szczęście pozyskać jego przyjaźń. Nasze dzieje były podobne, okazało się, że coś nas łączy. Jego także porwano. Mogliśmy się porozumieć w jego języku. Kiedy się dowiedział, że ty i ja byliśmy razem, wydało mu się to znamienne: on z Nicole, ja... z tobą. Nie widzisz, jakie to szczęście? Mogliśmy tam tkwić do końca życia, ty jako niewolnica paszy, ja jako strażnik haremu... i być może eunuch. Uciekliśmy jednak i powinniśmy być wdzięczni naszym aniołom stróżom za dobrą opiekę. Teraz musimy dopilnować, by to wszystko nie poszło na marne.

— Wiem, wiem. Ale bez ciebie nigdzie nie pójdę.

Rozejrzał się dookoła. Staliśmy blisko kościoła — jak się okazało, anglikańskiego.

Na murze wisiała tablica. Simon pociągnął mnie bliżej i przeczytaliśmy, że ufundowano ją ku czci żołnierzy poległych w wojnie krymskiej.

— Wejźmy do środka — zaproponował. — Tam będzie można spokojnie pomyśleć i porozmawiać.

W kościele było cicho i na szczęście zupełnie pusto. Inaczej pewnie rzucałabym się w oczy w moim tureckim stroju. Usiedliśmy w ławce przy drzwiach, gotowi w każdej chwili do ucieczki.

— No więc — zaczął Simon — musimy być rozsądni.

— A ty ciągle swoje.

— Bo tak trzeba.

— Nie możesz wymagać, żebym cię tu zostawiła.

— Nie zapomnę tych słów.

— Tak długo to trwało! Myślałam i myślałam, co się z tobą dzieje, a kiedy wreszcie jesteśmy razem, ty...

— Wiem. — Nastąpiła chwila ciszy. — Główny eunuch informował mnie o wszystkim. Wiedziałem, że ta Francuzka ocaliła cię przed paszą za pomocą jakiegoś specyfiku. To on dostarczył jej ten środek.

— Powiedział ci o tym!

— Tak. Ja też mu opowiedziałem o katastrofie statku, o naszym pobycie na wyspie. Przypomniało mu to jego własne doświadczenia. Ta Francuzka także trafiła do haremu, dlatego chciał nam jakoś pomóc. Ciągłe powtarzał: „Jeśli nie uciekniesz, zrobią z tobą to samo”. Sprawa jednak wydawała się beznadziejna. I nagle — szczęśliwy traf! Co za fantastyczny zbieg okoliczności...

— Wciąż nie chce mi się wierzyć, że jesteśmy tu razem. Od początku wydawało mi się, że ktoś nad nami czuwa. Najpierw statek, potem ta wyspa i teraz...

— Nadarzyła się okazja i potrafilismy ją wykorzystać. Teraz także nie wolno nam się wahać.

— Nie zostawię cię tutaj.

— Pamiętaj, że od początku zamierzałem uciec z Anglii. Co by się ze mną stało, gdybym teraz wrócił?

— Nie możesz tu zostać. Zaczną cię szukać. Co będzie, jeśli cię znajdą? Kara za ucieczkę...

— Nikt mnie nie znajdzie.

— Możemy udowodnić twoją niewinność. Razem na pewno nam się to uda.

— Nie tym razem. — A kiedy?

— Może nigdy. Gdybym teraz wrócił z tobą, natychmiast trafiłbym do aresztu. Znalazłbym się w punkcie wyjścia.

— Może w ogóle nie powinieneś być wyjeżdżać.

— Pomyśl: wtedy nigdy byśmy się nie poznali. Nigdy nie znaleźlibyśmy się razem na wyspie. Kiedy spoglądam wstecz, ta wyspa wydaje mi się rajem.

— Choć dość niewygodnym. Zapomniałeś, jak głodowaliśmy? Jak wypatrywaliśmy statku?

— A potem trafiliśmy w ręce korsarzy. Nie, tego raczej nie zapomnę. — Potrząsnął głową. — Masz szansę, Rosetto, i musisz ją wykorzystać. Zmuszę cię do tego.

— Ale ja tak bardzo chcę zostać z tobą!

— A ja chcę zapewnić ci bezpieczeństwo. To takie łatwe!

— Nie, dla mnie to najtrudniejsza rzecz na świecie.

— Pozwalasz sobie na emocje w chwili, kiedy najpotrzebniejszy jest zdrowy rozsądek. Jutro tego pożałujesz. W ambasadzie czeka na ciebie wygodne łóżko, współczucie i pomoc.

— Bez ciebie!

— Tak. Teraz cię odprowadzę. Och, Rosetto, nie patrz tak na mnie, to przecież dla twego dobra! Taka szansa może się już nie powtórzyć. Dajesz się ponieść emocjom i nie rozumiesz swoich prawdziwych uczuć, ale później otrzeźwiejesz. No, chodźmy już, proszę. Będę musiał zatroszczyć się o siebie, mogę mieć z tym trudności, ale dam sobie radę... sam.

— Chcesz powiedzieć, że byłabym ci ciężarem.

Zawahał się przez chwilę, a potem patrząc mi prosto w oczy, od' powiedział: — Tak. Zrozumiałam, że nie mam wyjścia.

— Tak będzie najlepiej — przekonywał mnie łagodnie. — Nigdy cię nie zapomnę, Rosetto. Może pewnego dnia...

Nie odzywałam się. Wiedziałam jedno: już nigdy nie będę szczęśliwa. Tyle przeszliśmy razem, a teraz...

Wziął mnie za rękę i trzymał przez chwilę.

Potem opuściliśmy kościół-pomnik i ruszyliśmy w stronę ambasady.

Trecorn Manor

W q Qciagu kilku dni przeszłam z fantastycznego, nierealnego świata do normalności. W zdumienie wprawił mnie sposób, w jaki przyjęto mnie w ambasadzie. Odniosłam wrażenie, że angielska dziewczyna, która przeżyła katastrofę statku i została sprzedana do haremu, wcale nie jest kimś tak niezwykłym, jak to sobie wcześniej wyobrażałam.

Piractwo zostało zakazane niemal sto lat temu, wciąż jednak istnieli bandyci, którzy uprawiali swój proceder na otwartych morzach, oraz potentaci utrzymujący za wysokimi murami seraje, pilnie strzeżone przez eunuchów, jak za dawnych czasów. Być może nie działali jawnie, ale nadal robili swoje.

Ambasada była małą enklawą — skrawkiem Anglii na obcym terenie. Od chwili gdy przekroczyłam jej próg, poczułam, że znalazłam się w domu.

Przede wszystkim dano mi normalne ubranie, dzięki czemu mogłam zrzucić z siebie haremowy strój. Następnie zostałam przesłuchana i złożyłam pełne sprawozdanie z moich przygód. Wiadomo było, że zatonięcie „Gwiazdy Atlantyku” przeżyło tylko kilka osób. Błyskawicznie skontaktowano się z Londynem. Opowiedziałam, jak uratowaliśmy się z pomocą jednego z członków załogi, a potem dotarliśmy na wyspę, skąd zabrali nas korsarze i sprzedali w niewolę. Oczywiście nie wspomniałam ani słowem, że uciekłam z haremu razem z Simonem. Moją opowieść przyjęto bez zastrzeżeń.

Miałam przez jakiś czas pozostać w ambasadzie. Kazano mi wypoczywać i pamiętać, że nic mi już nie zagraża. Odwiedził mnie angielski lekarz — starszy człowiek, nadzwyczaj uprzejmy i łagodny. Opowiedziałam mu o okazanej mi pomocy i zapewniłam, że przez cały czas pobytu w haremie nikt mnie nie molestował. Zdaje się, że sprawiło mu to wielką ulgę. Powiedział, że stan mojego zdrowia nie budzi zastrzeżeń, ale muszę uważać; tak ciężkie przeżycia mogą wywołać w przyszłości skutki, które z początku wydają się niedostrzegalne. Gdybym chciała o tym porozmawiać, on mnie chętnie wysłucha, jeśli nie — moje życzenie zostanie uszanowane.

Dużo myślałam o Simonie, bo oczywiście nie potrafiłam o nim zapomnieć. Przez to sprawiałam wrażenie rozkojarzonej i moje otoczenie uznało, że pewnie nadal tkwię w koszmarze, z którego uciekłam.

W dodatku nie mogłam wyzbyć się myśli o tym, co dzieje się w seraju. Co zrobi Rani, kiedy zorientuje się, że zajęłam miejsce Fatimy? Co będzie, gdy wykryją ucieczkę Simona? Na szczęście główny eunuch z pewnością dopilnuje, by sprawa nie nabrała rozgłosu. Rani będzie wściekła, ale nawet ona musi się z nim liczyć.

O Nicole także nie mogłam zapomnieć. Swój dług wobec mnie spłaciła z nawiązką, miałam więc nadzieję, że zostanie wynagrodzona za wszystko, co dla mnie zrobiła. Oby razem z Samirem utrzymali się w łaskach paszy.

Tego jednak nigdy nie miałam się dowiedzieć, gdyż oboje znikli z mojego życia tak nagle, jak się pojawili.

Potem wszystkie te myśli przytłumiła radość z cudu odzyskanej wolności. Niedługo będę w domu i zacznę żyć jak normalna angielska dziewczyna! Nigdy nie przestanę dziękować losowi za pomyślne zakończenie tego koszmaru... z jednym tylko wyjątkiem: zyskując wolność, straciłam Simona.

* * *

Dni spędzone w ambasadzie zatarły się już w mej pamięci. Przez jakiś czas budząc się rano, miałam wrażenie, że leżę na tapczanie w dormitorium haremu. Ogarniała mnie fala straszliwego lęku: czy dziś nadejdzie wezwanie? Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, w jak wielkim napięciu żyłam.

Potem uświadamiałam sobie, gdzie naprawdę jestem, i spływało na mnie poczucie niewysłowionej ulgi... ale zaraz pojawiała się myśl o Simonie. Jak mu się wiedzie w tym obcym mieście? Czy znalazł statek, który zabrałby go do Australii w zamian za pracę? Domyślałam się, że w jego sytuacji to jedno z najlepszych miejsc. Był miody, silny i umiał sobie radzić — na pewno mu się uda. A pewnego dnia, kiedy będzie mógł udowodnić swą niewinność, wróci do kraju. Może wtedy się spotkamy, może podejmiemy na nowo naszą przyjaźń? Dał mi do zrozumienia, że mnie kocha. Czy rozumiał to jakoś szczególnie, czy raczej było to uczucie siłą rzeczy powstające między dwojgiem ludzi, którzy przeżyli razem ciężkie chwile?

Wolność to także powrót do domu w Bloomsbury. Ale czy ten dom jeszcze do nas należy? Co się stało z rodzicami? Czy pan Dolland, pani Harlow, Meg i Emily nadal rezydują w kuchni? To chyba niemożliwe bez rodziców? Często wyobrażałam sobie tę scenę: pan Dolland u szczytu stołu, z okularami zsuniętymi na czoło, opowiada o katastrofie statku. Ale jeśli rodzice nie wrócili, co stało się z moimi przyjaciółmi z sutereny?

Czasem życie tutaj wydawało się tak samo niepewne, jak za murami seraju.

Pewnego dnia zaprosił mnie ambasador — wysoki, dystyngowany pan. Był dla mnie bardzo uprzejmy, jak zresztą cały personel.

— Mam dla pani nowiny: dobrą i złą. Dobra to ta, że pani ojciec przeżył katastrofę i przebywa w swoim domu w Bloomsbury. A zła... no cóż, pani matka się nie uratowała. Ojciec już wie, że pani jest bezpieczna i czeka na pani powrót. Za parę dni państwo Deardon wyruszają do kraju na urlop. Najlepiej będzie, jeśli popłynie pani razem z nimi.

Słuchałam go jednym uchem. Matka nie żyje! Całym wysiłkiem próbowałam przywołać jej obraz, pamiętałam jednak tylko roztargniony uśmiech, który pojawiał się na jej ustach, gdy oczy na mnie spoczęły. „Ach... dziecko!” albo: „To nasza córka Rosetta. Obawiam się, że uznają pani za nieco zaniedbaną...”. Z tej sceny o wiele lepiej zapamiętałam Felicity. A teraz moja matka nie żyła, zabrał ją okrutny ocean. Zawsze myślałam o rodzicach jako o całości, nie wyobrażałam sobie ojca samego.

Przyszła do mnie pani Deardon — sympatyczna, pulchna kobieta, której usta nie zamykały się ani na chwilę. Często odczuwałam to jako ulgę — gdy nie miałam ochoty się odzywać.

— Moja kochana! Co ty musiałaś przeżyć! Nie martw się, Jack i ja zajmiemy się tobą. Nasz statek płynie do Marsylii, a stamtąd wyruszymy łodem do Calais. Co za podróż! Zawsze na morzu umieram ze strachu, ale co robić, kiedy się musi. Przynajmniej będziesz wiedziała, że z każdą chwilą jesteś bliżej domu.

Należała do kobiet, które potrafią w ciągu pięciu minut opowiedzieć o całym swoim życiu. Dowiedziałam się, że Jack zawsze był w służbie dyplomatycznej, że poznali się jeszcze w czasach szkolnych, pobrali jako dwudziestolatki i mają dwóch synów. Jack junior pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a Martin jeszcze studiuje na uniwersytecie, ale i on trafi do służby — to rodzinna tradycja.

Pani Deardon wyraźnie zamierzała uwolnić mnie od obowiązku konwersacji, a co za tym idzie, powiedzenia czegoś, czego bym później żałowała. Najbardziej bałam się, że wypnie mi się coś na temat Simona. Muszę za wszelką cenę uszanować jego życzenie i pamiętać, że jeśli okaże się niedyskretna, mogą go sprowadzić do kraju i skazać na śmierć.

W towarzystwie pani Deardon pojechałam do sklepów, żeby sprawić sobie kilka ubrań. Siedziałyśmy obok siebie w powozie i ona cały czas gadała. Razem z Jackiem spędziła w Stambule trzy lata.

— Co za miasto! Dostałam dreszczy, kiedy Jack powiedział mi o tej placówce... A teraz zrobiłabym wszystko, żeby się stąd wydostać. Lubię miłe, swojskie miejsca, na przykład Paryż albo Rzym... Niezbyt daleko od domu. A stąd tysiące mil do kraju i tak tu obco! Te ich zwyczaje! A co się dzieje po tureckiej stronie! Bóg jeden wie, zresztą sama tego doświadczyłaś... Przepraszam, że o tym wspomniałam. Moje drogie dziecko, wiem, co czujesz, wybac mi, proszę! Spójrz na drugi brzeg, tam jest Scutari, które odegrało bardzo ważną rolę podczas wojny krymskiej. Nasza cudowna Florence Nightingale pracowała tam ze swoimi pielęgniarkami. Jestem pewna, że przyczyniły się do zwycięstwa bardziej, niż się na pozór wydaje. Teraz, moja kochana, jesteśmy po północnej stronie Złotego Rogu. Ta droga strona jest okropna... ach, ja znowu swoje... Blisko stąd do Galaty, to dzielnica kupców, zbudowana przez Genuńczyków całe wieki temu. Jack ci o tym opowie, bardzo się interesuje takimi rzeczami. Widzisz, jakie te uliczki są zatłoczone i brudne? Nikt z naszych tu się nie zapuszcza, my mieszkamy w Perze, to najlepsza dzielnica, same ambasady, konsulaty, poselstwa... Jest też kilka naprawdę ładnych budynków.

Kiedy tak gadała, ja zapadłam jakby w drzemkę. Przesuwały mi się przed oczami sceny z wyspy: odeszliśmy z Simonem, zostawiając na straży Lucasa... na horyzoncie pojawiła się galera i tak dalej, aż znów doszłam do nieuchronnych pytań: Gdzie on jest teraz? Co się z nim dzieje? Czy kiedyś się tego dowiem?

— O, tu jest bardzo dobry krawiec. Zobaczmy, czy ma coś dla nas. Musisz jakoś się prezentować po powrocie.

Pani Deardon znów podjęła swój monolog. Najmilsze było w niej to, że nie oczekiwała odpowiedzi.

Czas do wyjazdu okropnie mi się dłużył, nareszcie jednak wsiedliśmy na statek — znacznie mniejszy od „Gwiazdy Atlantyku”. Z ogromnym wzruszeniem patrzyłam z Bosforu na historyczne Scutari, gdzie nasi żołnierze tyle wycierpieli w szpitalu, który z daleka wyglądał jak mauretański pałac — , a także na wieże i minarety Stambułu.

Pan Deardon był wysokim szpakowatym mężczyzną o dystygowanych manierach. Sprawiał wrażenie typowego angielskiego dyplomaty, którego spokoju i rezerwy nic nie jest w stanie naruszyć.

Zgodnie z przewidywaniami jego żony podróż do Marsylii okazała się dość uciążliwa. Nasz „Apollo” musiał walczyć z potężnymi sztormami i niekiedy wydawało mi się, że lada chwila powtórzy się tamten koszmar. Bo skoro nawet wielka „Gwiazda Atlantyku” nie oparła się rozwścieczonemu morzu, jak mogła przetrwać taka krucha łupinka?

Pani Deardon nie opuszczała swojej koi i zaczęło mi brakować jej monologów, natomiast jej mąż traktował sztorm z flegmą, jakiej się po nim spodziewałam. Byłam pewna, że nawet w obliczu katastrofy zachowa pogodę ducha i nienaganne maniery.

Kiedy wyszłam na pokład, żywo stanęły mi w pamięci wspomnienia z tamtego sztormu, kiedy to Simon tak mnie zbeształ i odesłał na dół. Pomyślałam, że już do końca życia wszystko będzie mi się z nim kojarzyć...

Nareszcie pogoda się poprawiła, a pani Deardon odzyskała swą zwykłą werwę. Mążnek słuchał jej nieustannej paplaniny ze spokojną rezygnacją, ale ja byłam wręcz zadowolona, mogąc w tym czasie podążać za własnymi myślami. Wiedziałam, że jeśli nawet zdradzę się ze swym brakiem uwagi, i tak zostanie mi to wybaczone i złożone na karb moich ciężkich przeżyć.

Czekała nas jeszcze długa podróż przez Francję, ale ostatecznie dotarliśmy szczęśliwie do portu w Calais, po czym przeprawiliśmy się przez kanał.

Widok białych klifów Dover nappełnił nas wszystkich wzruszeniem. W oczach pani Deardon ukazały się łzy i nawet jej mąż po raz pierwszy objawił emocje, nie mogąc opanować drżenia warg.

— To już dom, kochani — powiedziała moja towarzyszka. — Zawsze jest tak samo: przychodzi ci na myśl Wielkanoc i zonkile... i zielona trawa. Nigdzie na świecie zieleń nie ma takiego koloru jak u nas... Zawsze o tym myślisz, kiedy jesteś daleko. I deszcz, moi drodzy, ten błogosławiony deszcz! Wiecie, że w Egipcie czasem przez dwa lata nie spadnie ani jedna kropla? Nic, tylko te straszne burze piaskowe... Gdy byliśmy w Ismailii... Jack, ile to lat?... Nie, na pewno nie aż tyle... to w ogóle nie widzieliśmy deszczu! Tak to jest, moja droga... Ach, te białe klify... Dom... Jak dobrze znów je widzieć...

A potem był Londyn.

Deardonowie uparli się, że odwiozą mnie na miejsce.

— Muszą państwo wejść i poznać mojego ojca — powiedziałam. — Na pewno zechce państwu podziękować.

Pani Deardon wyraźnie miała na to ochotę, lecz jej mąż wykazał się stanowczością, a zarazem talentami dyplomatycznymi.

— Panna Cranleigh z pewnością woli spotkać się z rodziną bez świadków.

Popatrzyłam na niego z wdzięcznością.

— Ojciec bez wątpienia zechce osobiście państwu podziękować. Może państwo wybiorą się do nas na obiad któregoś dnia?

— Z prawdziwą przyjemnością — odrzekł pan Deardon.

Tak więc pożegnaliśmy się w dorożce, która jednak zaczekała, aż zadzwonię do drzwi i wejść do środka. Dopiero wtedy pan Deardon dał dyskretny znak woźnicy i odjechali.

* * *

Drzwi otworzył mi pan Dolland.

Z radosnym okrzykiem rzuciłam mu się na szyję. On jednak chrząknął znacząco i w tym momencie zrozumiałam, że w naszym domu zaszły zmiany. Pani Harlow witała mnie ze łzami w oczach.

— Ach, panno Rosetto! — zawołała, obejmując mnie mocno. — Naprawdę panienka tu jest! Ooch, co za koszmar...

Za jej pleców wyjrzały Meg i Emily.

— Jak cudownie widzieć tu was wszystkich!

I wreszcie... Felicity! Rzuciłyśmy się sobie w ramiona.

— Po prostu musiałam przyjechać — mówiła. — Jestem tu od dwóch dni. Powiedziałam do Jamesa...

— Felicity, Felicity! Go za radość!

Znów rozległ się dyskretny kaszelek. Ponad głową przyjaciółki zobaczyłam ojca. Wyglądał dziwnie nieswojo.

— Och, tatusiu... — szepnęłam, podchodząc do niego.

Wziął mnie w ramiona i trzymał przez chwilę dość sztywno. Zdaje się, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

— Witaj... Witaj w domu, Rosetto. Nie umiem wyrazić...

Pomyślałam sobie: A jednak mu na mnie zależy. Naprawdę mu zależy. Tylko... no właśnie, nie umie tego wyrazić.

Dwa kroki za nim stała wysoka, szczupła kobieta. Przez chwilę mi się wydało, że matka mimo wszystko przeżyła katastrofę... Niestety, to był ktoś inny.

— Jest tu twoja ciotka Maud — rzekł ojciec. — Przyjechała, żeby zająć się domem, kiedy...

Ciotka Maud! Siostra ojca. Widziałam ją najwyżej dwa razy i to w dzieciństwie. Miała wyraz twarzy ojca, lecz na pewno ani odrobiny jego bezradności.

— Ogromnie się cieszymy, że bezpiecznie dotarłaś do domu, moja Rosetto — przywitała mnie.

— To był dla twego ojca bardzo nerwowy okres... podobnie jak dla nas wszystkich.

— Tak — przyznałam. — Dla nas wszystkich.

— No, ale wreszcie jesteście. Twój pokój już czeka... Ach, co za ulga!

Zaniemówiłam z zaskoczenia. Ciotka Maud tutaj... w domu mojej matki... Nic już nie będzie takie samo.

* * *

Miałam rację: dom się zmienił, a ciotka Maud okazała się zwolenniczką ścisłej dyscypliny. W kuchni panował teraz porządek i nie było mowy, abym mogła jadać tam posiłki. Musiałam siedzieć, jak się należy, przy stole z ciotką i ojcem. Na szczęście w ciągu pierwszych dni towarzyszyła nam Felicity.

Nie mogłam się doczekać werdyktu kuchni. Pan Dolland dyskretnie napomknął, że panna Cranleigh świetnie zarządza domem i nie pozostaje nic innego, jak tylko to uszanować. Pani Harlow przychyliła się do tego zdania.

— Za dawnych dni naprawdę nie wszystko szło prawidłowo. Nawiasem mówiąc, pan Dolland dokazywał tu cudów, ale dom potrzebuje prawdziwego pana, a jeszcze lepiej pani, bo taka wie co i jak.

Najwyraźniej ciotka Maud wiedziała „co i jak”, ale co z tego? Dawny, niekonwencjonalny dom przestał istnieć, a ja tak bardzo tęskniłam za tamtą atmosferą!

Pan Dolland nadal od czasu do czasu urządzał swoje popisy, chociaż „Dzwony” straciły dla mnie dawną groźbę. Mając za sobą prawdziwe koszmary, nie czułam już najmniejszego dreszczyku z powodu morderstwa polskiego Żyda. Meg i Emily też żałowały tamtych czasów. Ja mogłam pocieszać się tylko faktem, że ci, z którymi je dzieliłam, wciąż tu byli.

Posiłki oczywiście także wyglądały inaczej. Wszystko musiało być podawane jak należy, a w rozmowach nie dominował już temat starożytnych znalezisk i przekładów starych tekstów z papirusów. Ciotka Maud dyskutowała o polityce i pogodzie, poinformowała mnie też, że kiedy mój ojciec otrząśnie się z żałoby, zaproponuje mu urządzenie kilku przyjęć... dla kolegów z muzeum, profesorów i tak dalej.

Dobrze przynajmniej, że w tych pierwszych dniach towarzyszyła nam Felicity. Wiedziałam, że gdyby nie ona, wołałabym się zamknąć w swoim pokoju i nie uczestniczyć w tych niekończących się posiedzeniach przy stole. Felicity jednak ożywiła konwersację zabawnymi historyjkami z życia oksfordzkich uczonych, a także swoich dzieci: trzyletniego Jamiego i kilkumiesięcznej Flory.

— Musisz koniecznie przyjechać i poznać ich, Rosetto. Jestem pewna, że twój ojciec obejdzie się bez ciebie przez jakiś czas. Naturalnie wiem, że dopiero co wróciłaś, więc...

— Oczywiście, oczywiście — mruknął ojciec.

Z Felicity mogłam rozmawiać swobodniej i bardzo tego potrzebowałam. Musiałam tylko uważać — nawet wobec niej — żeby nie napomknąć ani słowa o Simonie, który przecież odgrywał tak ważną rolę w moich przeżyciach.

A jednak byłyśmy sobie tak bliskie, że musiała się domyślić, że coś przed nią ukrywam.

Dzień po moim przyjeździe przyszła do mojego pokoju. Oczywiście wyczuła jakiś problem i chciała mi pomóc. Ba, gdyby ktokolwiek mógł...

Od razu postawiła sprawę jasno.

— Powiedz szczerze, Rosetto: chcesz porozmawiać? Wiem, jak trudno opowiadać o tym, co się wydarzyło, ale myślę, że ci to pomoże.

Zawahałam się lekko.

— Nie jestem pewna...

— Rozumiem. To musiał być koszmar. Twój ojciec opowiadał nam, że wróciłaś po jego notatki.

— Tak. Dziwne, jak takie drobiazgi mogą odmienić czyjeś życie.

— On czuje się winny, Rosetto. Wiem, że nie zdradza swych uczuć, ale to nie znaczy, że jest bez serca.

— Wszystko wydaje się teraz takie inne. Ten dom...

— Naprawdę dobrze się stało, że zamieszkała tu twoja ciotka.

— Prawie się nie znamy. Ledwie ją rozpoznałam. Jakie to dziwne, że teraz tu rządzi...

— Według mnie, twoja matka i ona nie bardzo się lubiły. Twoi rodzice tkwili po uszy w swej pracy, a ciotka... no cóż, naprawdę zna się na prowadzeniu domu.

— Mnie tam podobało się tak, jak było — odparłam, wykrzywiając się złośliwie.

— Twój ojciec okropnie tęskni... Byli z sobą tak blisko, zawsze razem, we wszystkim, co robili... To dla niego straszny cios, ale nie umie tego...

— ...wyrazić — dokończyłam. Przytaknęła.

— A ty, kiedy już się trochę zdomowisz, koniecznie do nas przyjeżdż. James się ucieszy, a dzieci... zobaczysz, że je pokochasz. Jamie to taki samodzielny dżentelmen, a Flora właśnie zaczyna chodzić, są wprost rozkoszne!

— Z radością się do was wybiorę.

— Wystarczy jedno słowo. Pojutrze muszę już wracać, ale po prostu musiałam cię powitać.

— Sprawiałaś mi wielką radość.

— Nawiasem mówiąc, czy słyszałaś już o Lucasie Lorimerze?

— O Lucasie... Nie!

— Naprawdę? Tak przypuszczałam. Bo widzisz... on wrócił.

— Wrócił... — powtórzyłam machinalnie.

— Najwyraźniej nie słyszałaś. Opowiedział nam całą historię. Z początku myśleliśmy, że utonęliście, i na wieść o waszym ocaleniu po prostu kamień spadł nam z serca. A potem strasznie zmartwiliśmy się, że wpadłaś w ręce tych łajdaków. Miałam koszmarne sny o twoim losie.

— Opowiedz mi o Lucasie.

— To bardzo smutna historia. Że też musiało go to spotkać! Widziałam go po powrocie tylko raz, kiedy wybrałam się z Jamesem do Kornwalii. Miał w Truro wykłady, więc przy okazji wpadliśmy do Trecorn Manor. Lucas nie wydawał się zachwycony tą wizytą, on raczej stroni teraz od ludzi. Sama posiadłość, piękna i bardzo stara, od lat należy do jednej rodziny. Ostatnio odziedziczył ją starszy brat Lucasa Carleton. To jeszcze jeden powód do zmartwienia dla człowieka tak pełnego dotąd wigoru jak Lucas.

— A co mu się stało?

— Jak wiesz, porwano go razem z tobą, lecz jakoś się z tymi łotrami dogadał. Namówił ich, aby go wypuścili w zamian za jeden z rodzinnych klejnotów. Nie wiem, jak to przeprowadzono, za bardzo nie wypada pytać, a on sam wyraźnie nie chce mówić. W każdym razie zapłacono coś w rodzaju okupu i biedny Lucas odzyskał wolność, ale co z tego? Już nigdy nie będzie taki jak dawniej. Tak uwielbiał podróże, chociaż James zawsze uważał go za dyletanta... Wiesz, chodzi o jego nogę. Lucas doznał strasznych obrażeń podczas katastrofy. Oczywiście, gdyby od razu trafił pod fachową opiekę, byłoby inaczej, ale tak... Chodził do różnych specjalistów od kości w kraju i za granicą... w Szwajcarii i w Niemczech, i wszędzie słyszał to samo: poważne zaniedbania w

najważniejszym czasie. Okropnie kuleje, ma nieustanne bóle i musi chodzić o lasce. Teraz czuje się pewnie trochę lepiej, niestety nigdy nie wróci do normalnego stanu. Złamana noga już nie wydobrzeje. Lucas bardzo się przez to zmienił, zmarkotniał, unika ludzi — a kiedyś był taki dowcipny i towarzyski... Jeśli ktokolwiek zasłużył na taki los, to na pewno nie on.

Cofnęłam się myślą w przeszłość. Widziałam Lucasa uczeponego kurczowo szalupy, nasze niezdarne wysiłki, żeby nastawić mu nogę... Leżał potem samotnie na brzegu, wypatrując żagli na horyzoncie, podczas gdy Simon i ja szukaliśmy czegoś do jedzenia i rozmawialiśmy o jego tajemnicy.

— Więc nie widzisz go często?

— Nie, chociaż nie mieszkamy bardzo daleko od siebie. Zapraszałam go do nas, zawsze jednak odmawia. On chyba nie ma ochoty nigdzie jeździć ani w ogóle widywać ludzi. Widzisz, jego życie kompletnie się odmieniło.

— Chciałabym go zobaczyć.

— No oczywiście. On też może być zainteresowany... a może i nie. Może próbuje zapomnieć. Ale wiesz co? Przyjeźdź do nas, a wtedy znów go zaproszę. Może zechce podjąć ten wysiłek, w końcu byliście na tej wyspie razem.

— Och, tak, Felicity, zrób to!

— Na pewno. I to już niedługo.

Perspektywa spotkania bardzo mnie podnieciła, ale nawet z Lucasem nie mogłam rozmawiać o Simonie. To był nasz sekret... tylko nasz. Simon opowiedział mi wszystko, ponieważ mi ufał. Muszę to uszanować. Gdyby przez moją niedyskrecję został wytropiony i aresztowany, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Dla Lucasa Simon musi pozostać prostym marynarzem, który uratował nam życie.

* * *

Felicity w końcu wyjechała i w domu zrobiło się nudno. Panowała atmosfera takiej monotonii, że wreszcie spojrzałam prawdzie w oczy i doszłam do jednego logicznego wniosku.

Oszukiwałam się, myśląc, że kiedy wrócę do kraju, potrafię udowodnić niewinność Simona. Jak się do tego zabrać, no jak? Dotrzeć do jego domu? Zapoznać się z ludźmi, którzy odegrali jakąś rolę w tamtym dramacie? Przecież nie pojedę tak po prostu do Perrivale Court i nie oświadczę: „Wiem, że Simon jest niewinny. Zamierzam wykryć prawdę i rozwiązać zagadkę tej zbrodni”. Miałabym występować w roli detektywa ze Scotland Yardu?

Potrzebowałam czasu do namysłu. Czułam wewnętrzny przymus udowodnienia jego niewinności. Chciałam, aby mógł wrócić i normalnie żyć. Przypuśćmy jednak, że spełniłabym to na pozór niewykonalne zadanie, I co dalej? Gdzie miałabym szukać Simona? Cały plan wydawał się szalony, ekstrawagancki i kompletnie pozbawiony sensu.

Wpływ ciotki Maud na nasz dom widać było gołym okiem. Meble zostały wypolerowane na wysoki połysk, podłogi i okucia lśniły i wszystko — nawet najmniejszy drobiazg — leżało na swoim miejscu. Ciotka codziennie schodziła do kuchni, gdzie odbywała z panią Harlow narady na temat posiłków, pan Dolland wyraźnie nabrał godności, nawet Meg i Emily wykonywały swą pracę w sposób bardziej skoordynowany, a nie aby zbyć. Skończyło się przesiadywanie przy stole i wysłuchiwanie opowieści pana Dollanda o dawnych sztukach teatralnych. Gdyby sobie na coś takiego pozwolili, na pewno zaraz rozległby się natarczywy głos dzwonka. Pan Dolland musiałby przerwać swój popis, wbić się w czarny surdut i ceremonialnie wkroczyć na salony.

Myślę, że przejmowałam się tymi zmianami bardziej niż oni. Owszem, w przeszłości żyliśmy sobie miło i beztrosko, z czasem jednak zrozumiałam, że służba zdecydowanie woli dobrą organizację od atmosfery beztroski.

Często czułam na sobie spekulatywny wzrok ciotki Maud. Wiedziałam, że prędzej czy później i tak narzuci mi swój porządek rzeczy, a z jej punktu widzenia panna na wydaniu powinna zmierzać tylko w jednym kierunku: do małżeństwa. Te wieczorne przyjęcia, o których wspominała, miałyby służyć głównie znalezieniu mi odpowiedniego męża. Już sobie go wyobrażałam: poważny, lekko łysawy uczony, może profesor, a w każdym razie ktoś, kto dał się już poznać w akademickim świecie. W typie Jamesa Graftona, ale nie tak przystojny, związany z British Museum, Oksfordem albo Cambridge. Dzięki takiemu małżeństwu pozostałabym w kręgu towarzyskim moich rodziców. Ciotka Maud uważała wprawdzie ojca za roztargnionego (matki jako pani domu nie darzyła szczególnym szacunkiem i pewnie dlatego prawie nie utrzymywały z sobą stosunków), wiedziała jednak, jak wielkim autorytetem cieszył się w swoim środowisku, dlatego jej zdaniem, postąpiłabym mądrze, wychodząc za kogoś z tego samego kręgu. Odpowiednio przez nią wyszkolona, mogłabym zostać i żoną profesora, i jednocześnie dobrą panią domu.

Na pewno wszystko sobie przemyślała i cała sprawa miała zostać przeprowadzona zgodnie z konwenansami. Ciotka Maud nie cierpiała marnowania czegokolwiek — włączając w to czas. Przypuszczałam, że gdyby nie moja niezwykła przygoda, rozpoczęłyby swe zabiegi wcześniej, lecz w tej sytuacji pozwolono mi na chwilę wytchnienia.

Lekarz najwyraźniej ją ostrzegł, że powinno się mnie traktować z pewną ostrożnością. Koszmaru, jaki przeżyłam, nie da się zapomnieć, dlatego potrzebuję czasu, aby móc się na swój sposób przystosować z powrotem do normalnego życia. Ciotka przestrzegała owych wskazówek z wielką gorliwością, ojciec robił to samo, zachowując jednak pewną rezerwę. Troska pani Harlow wyrażała się w pilnowaniu, czy aby na pewno wygodnie siedzę, i przemawianiu do mnie jak do pięcioletniego dziecka. Nawet pan Dolland, mówiąc do mnie, zniżał głos, a Meg i Emily patrzyły na mnie z nabożnym lękiem.

Ojciec tylko raz poruszył temat katastrofy. Opowiedział mi, jak razem z matką znaleźli się w tłumie, przepychającym się do szalup. Chcieli na mnie zaczekać, zawrócić, by mnie odszukać, ale jeden z oficerów chwycił ich za ramiona i zmusił do pójścia z innymi pasażerami.

- Myśleliśmy, że za chwilę do nas dołączysz — mówił z żalem.
- Był taki straszny chaos, że i tak nic by z tego nie wyszło.
- Straciłem kontakt z twoją matką, kiedy wpychali nas do łodzi...
- Nie musimy tego rozpamiętywać.
- Gdybyś tylko nie wracała po te notatki, bylibyśmy razem.
- Wcale nie, przecież i tak rozdzielili cię z matką.

Był okropnie roztrzęsiony. Wiedziałam, że nie powinniśmy o tym rozmawiać, prosiłam, by postarał się zapomnieć.

Wszystko to poruszyło mnie do głębi, dlatego miałam wielką chęć uciec: pojechać do Kornwalii, odszukać Perrivale Court i rozpocząć niemożliwe zadanie wykrycia tego, co się naprawdę wydarzyło. Potrzebowałam czasu, planu... Desperacko pragnęłam podjąć jakieś działania, ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Na razie zesłam do kuchni, by odzyskać ducha dawnych czasów. Poprosiłam pana Dollanda o „Być albo nie być” i mowę spod Harfleur. Zgodził się, ale według mnie utracił dawną węgę, a reszta obecnych patrzyła raczej na mnie niż na niego.

- Pamięta pan? — zapytałam. — Tuż przed moim wyjazdem popełniono morderstwo.
- Zaraz, zaraz, panno Rosetto. Niech pomyślę... Ach, to ten człowiek, co żenił się z kobietami dla ich pieniędzy...

— A potem je zabijał — dodała pani Harlow.

— Nie, nie, mnie chodzi o sprawę tych braci. Jednego z nich zastrzelono w opuszczonym domu. Zdaje się, że ktoś uciekł...

— Ach, już wiem. Sprawa Bindon Boys.

— No właśnie. Czy w końcu ujawniono, co się wydarzyło?

— Nie, morderca uciekł. Nie sądzę, by go złapano.

— Okazał się sprytniejszy od policji — zauważyła pani Harlow.

— Teraz sobie przypominam! — zawołał pan Dolland. — To Simon Perrivale... chłopak adoptowany w dzieciństwie. Zastrzelił przybranego brata, chyba poszło o kobietę. Zazdrość i tak dalej.

— Panie Dolland, wiem, że zbiera pan wycinki z gazet. Ma pan coś na ten temat?

— Ach, on zbiera tylko te o teatrze — wtrąciła pani Harlow. — Taka a taka sztuka, kto występował i tak dalej. Mam rację, nie, panie Dolland?

— No trudno. Tak się tylko zastanawiałam... Wiedziałam, że ma pan albumy... Jeszcze przed moim wyjazdem... — zawiesiłam głos.

Wymienili spojrzenia.

— Och, po mojemu, z tym już koniec — odrzekła pani Harlow tonem, jakim uspokaja się dziecko.

— Policja nigdy nie zamyka sprawy, dopóki nie złapie mordercy — wyjaśnił pan Dolland. — Trzymają wszystko w kartotekach i pewnego dnia wpadają na trop; ptaszek popełnia błąd... czasem wystarczy tylko jeden — i już go mają na widelcu.

— Podobno morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Nie może się oprzeć pokusie. Ten cały Simon też kiedyś nie wytrzyma i wtedy go capną, idę o zakład — dodała pani Harlow.

Czy on kiedyś wróci? — zastanawiałam się w duchu. Co mogłam zrobić? Miałam tylko to szalone marzenie, żeby udowodnić jego niewinność. Wtedy odzyska wolność i znów będziemy razem.

* * *

Minęło kilka tygodni. Po życiu w ciągłym strachu względnie spokojne dni zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Ciotka Maud próbowała mnie zainteresować sprawami domowymi — tym wszystkim, z czym młoda panna powinna się zapoznać. Uznała, że jej świętym obowiązkiem jest naprawienie zaniedbań moich rodziców, czyli przygotowanie mnie do małżeństwa. Przede wszystkim muszę nauczyć się postępować ze służącymi; mój stosunek do nich pozostawiał wiele do życzenia. Owszem, należy odnosić się do służby przyjaźnie, lecz jednocześnie zachowywać dystans. Ja za bardzo spoufalłam się z pracownikami i dlatego oni traktują mnie tak samo. Nie należy ich za to winić. Tu trzeba nieznacznej protekcjonalności. Życzliwość — tak, ale bez nadmiernego spoufalenia, żeby nie zatarła się niewidzialna granica między „górami” a „dołami”. Nie, ciotka bynajmniej nie ma do mnie pretensji, to inni są odpowiedzialni, ale nie widzi powodu, aby taki stan rzeczy miał się nadal utrzymywać. Powinnam słuchać, jak ciotka Maud dysponuje posiłki i czasem asystować jej podczas codziennych wizyt w kuchni. Poza tym muszę więcej czasu spędzać z igłą w rękę i przy fortepianie. Może trzeba będzie pomyśleć o lekcjach muzyki. A w ogóle to niedługo zacznę realizować swój plan i przyjmować gości.

Napisałam do mojej przyjaciółki.

Proszę Cię, Felicity... Chcę stąd uciec. Czy możesz mnie zaprosić?

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

Przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz mogła. Oksford i Graftonowie czekają na Ciebie.

— Wyjeżdżam na jakiś czas do Felicity — zawiadomiłam ciotkę.

Ta uśmiechnęła się chytrze. W Oksfordzie mogę poznać młodych ludzi... tych właściwych. To nieważne, gdzie rozpocznie się realizacja planu. Operacja „Małżeństwo” może równie dobrze wystartować w Oksfordzie zamiast w Bloomsbury.

* * *

Podróż do Oksfordu była nadzwyczaj ekscytującym przeżyciem. Zawsze uwielbiałam to romantyczne miasto, położone u zbiegu Cherwell i Tamizy, jego wysmukłe, sięgające nieba wieże, atmosferę wyższości wobec codziennej szarzyzny. Ale jeszcze bardziej niż miastem cieszyłam się odwiedzinami u Felicity.

Graftonowie mieli dom przy Broad Street, w pobliżu kolegiów Balliol, Trinity i Exeter. Nieopodal znajdowało się miejsce, gdzie spalono na stosie Ridleya i Latimera, męczenników za własne poglądy religijne. Dzięki wyzierającej z każdego kąta historii odzyskałam upragniony spokój. Wreszcie poczułam się wolna od działań ciotki Maud i nieustannej troski, jaką prześladowali mnie domownicy.

Z Felicity czułam się zupełnie inaczej, bo też rozumiała mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedziała, że są sekrety, o których nie chcę rozmawiać. Może myślała, że pewnego dnia się na to zdecyduję? W każdym razie była na tyle spostrzegawcza, by zorientować się, że musi cierpliwie czekać i nie próbować niczego ze mnie wyciągać.

James także okazał się bardzo miły i taktowny, dzieci natomiast dostarczyły mi mnóstwo rozrywki. Jamiemu buzia się nie zamykała, pokazał mi swoją książkę z obrazkami oraz kota i kolejkę. Flora przyglądała mi się z początku podejrzliwie, szybko jednak uznała, że jestem nieszkodliwa, i nawet łaskawie usiadła mi na kolanach.

W dzień po moim przyjeździe Felicity powiedziała:

— Kiedy zdecydowałaś się przyjechać, napisałam do Lucasa Lorimera. Próbowałam go przekonać, jak bardzo ucieszylibyśmy się z jego wizyty, i wyraziłam przypuszczenie, że na pewno macie sobie wiele do powiedzenia.

— I zgodził się?

— Jeszcze nie. Podczas naszego ostatniego spotkania wyraźnie nie miał ochoty mówić o swych przejściach. Być może to wciąż dla niego zbyt bolesny temat.

— Chciałabym się z nim spotkać.

— Wiem, dlatego go zaprosiłam.

Cały dzień rozmyślałam o tym, jak korsarze zabrali go na galere, a także o tej chwili na wyspie, kiedy zawahali się, czy go nie zostawić. Potem prawie go nie widywałam.

Co się z nim działo? Jak udało mu się uwolnić, skoro Simona i mnie sprzedano w niewolę? Choć tak mocno okaleczony, wyrwał się jednak z rąk złoczyńców i uniknął naszego losu...

Tak wiele pytań cisnęło mi się na usta!

Następnego dnia siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy przyniesiono nam pocztę. Felicity złapała swój list, otworzyła go i szybko przebiegła wzrokiem. Potem spojrzała na mnie z uśmiechem.

— To od Lucasa. Jutro przyjeżdża. Wiedziała, że zechce cię zobaczyć. Cieszysz się, Rosetto?

— O tak, bardzo.

Popatrzyła na mnie niespokojnie.

— Ośmielam się zauważyć, że możecie się czuć trochę niezręcznie.

— Dlaczego? Przecież już nic nam nie zagraża.

— Tak, ale po takich doświadczeniach... No cóż, uważam, że szczerza rozmowa dobrze wam zrobi. Zawsze to lepsze od duszenia w sobie wszystkiego.

— Będę go oczekiwać z niecierpliwością.

Felicity wysłała na stację powóz. James pojechał także, my po dłuższej dyskusji postanowiliśmy poczekać w domu.

W pierwszej chwili widok Lucasa głęboko mną wstrząsnął. Oczywiście widziałam go już w znacznie gorszym stanie — na przykład na wyspie albo gdy wciągaliśmy go do szalupy, ale i tak co za kontrast z człowiekiem, którego dawniej znałam! Pod oczami miał cienie, a iskierki cynizmu ustąpiły wyrazowi bezradności. Wychudła twarz stała się dziwnie ponura, zniknęło też owo charakterystyczne pobłażliwe rozbawienie, z jakim patrzył na świat. Wyglądał na wycieńczonego i pozbawionego złudzeń.

Nasze spotkanie było pełne emocji. Wyraz jego oczu zmienił się na mój widok; Lucas uśmiechnął się i ruszył ku mnie, podpierając się łaską. Wyciągnął wolną rękę i przytrzymał moją przez dłuższą chwilę, patrząc mi głęboko w oczy.

— Rosetto... — wykrztusił i wargi mu lekko zadrżały.

Był wyraźnie wzruszony i znów się zmienił na twarzy. Wyglądał teraz jakby bezbronię, nigdy go takim nie widziałam. Wiedziała, że przypomniał sobie — tak samo jak ja — wyspę, gdzie Simon i ja zostawiliśmy go na warcie, korsarzy, dni na otwartej łodzi...

— Och, Lucasio! Jak dobrze cię widzieć znowu... bezpiecznym.

Zapadła krótka cisza. Patrzyliśmy na siebie, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Felicity odezwała się miękko:

— Wiedziała, że będziecie mieli sobie dużo do powiedzenia. Ale najpierw... pokażmy mu jego pokój, dobrze?

* * *

Miała rację. Rzeczywiście było sporo do wyjaśnienia. Pierwszy wieczór upłynął w pewnym napięciu. James i Felicity okazali się cudownymi, pełnymi zrozumienia gospodarzami, wypełniającymi z wielką zręcznością i swobodą każdą nagłą przerwę w rozmowie.

Felicity była wcieleniem taktu. Wiedziała, że o pewnych sprawach wolelibyśmy mówić tylko w cztery oczy i to wówczas, gdy oboje do tego dojrzejemy. Kiedy następnego dnia James pojechał na uczelnię, oświadczyła, że ma umówione spotkanie i także musi wyjść.

— Wybaczcie mi, kochani, ale dziś po południu musi wam wystarczyć własne towarzystwo.

W ogrodzie Graftonów wypatrzyłam przyjemny zakątek, ogrodzony murkiem z czerwonej cegły, z sadzawką — taki oddzielny ogródek w stylu Tudorów. Kwitły tam teraz róże, więc zaproponowałam Lucasowi, że mu je pokażę.

Było łagodne, ciepłe, choć nie upalne popołudnie. Dotąd rozmowa o tym, co nieuchronne, nie bardzo się nam kleiła, ale w tym zacisznym kąciuku mogliśmy z łatwością cofnąć się w czasie nawet o kilka stuleci.

— Usiądźmy tu — zaproponowałam. — Sadzawka jest taka śliczna i taki tu spokój...

Zapadło milczenie. Po dłuższej chwili zdecydowałam się wreszcie:

— Lucasio, musimy porozmawiać. Przecież oboje tego chcemy, prawda?

— Tak... Rzeczywiście już najwyższy czas.

— Czy to nie wydaje ci się snem?

— Nie — odparł szorstko. — To naga rzeczywistość. Jest coś, co stale mi o tym przypomina. — Wskazał na swoją nogę. — O, proszę!

— Tak mi przykro! Nie umieliśmy jej prawidłowo nastawić. I nie mieliśmy żadnych środków.

— Daj spokój, moja droga! — wykrzyknął niemal z gniewem. — Przecież ja was nie winię. To tylko fatum... los czy jak to nazwać. Widzisz? Mam tak spędzić resztę życia!

— Ale przynajmniej tu jesteś... Żyjesz!

Wzruszył ramionami.

— Uważasz to za powód do wielkiej radości?

— Dla niektórych na pewno. Mam na myśli twoich przyjaciół, rodzinę... Owszem, kulejesz, a nawet miewasz bóle, ale tyle gorszych rzeczy mogło cię spotkać!

— Masz rację, że mi to wytykasz. Jestem egoistą, niewdzięcznikiem i malkontentem.

— Ależ nie! Czy nie myślisz, że... że coś dałoby się zrobić?

— Co mianowicie?

— Cóż... dzisiejsi lekarze są bardzo zdolni. Jest tyle nowych odkryć...

— Kość po złamaniu nie została nastawiona. Teraz już za późno na cokolwiek.

— Ach, Lucasie, tak mi przykro! Gdyby nam się udało, wszystko wyglądałoby inaczej!

— I tak zrobiliście dla mnie bardzo wiele. To bardzo egoistyczne z mojej strony, że tyle myślę o swoich nieszczęściach. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, co działo się z tobą.

— Ale w końcu uciekłam, a mój strach dotyczył tylko wizji tego, co mnie spotka.

Chciał usłyszeć o wszystkim ze szczegółami, więc opowiedziałam mu o mojej przyjaźni z Nicole, o tym, jak uratowała mnie przed zakusami paszy, jak główny eunuch dostarczył jej stosowny środek i tak dalej. Słuchał mnie z wielką uwagą.

— Dzięki Bogu — odezwał się, gdy umilkłam. — Mogło się skończyć tak fatalnie jak ze mną... albo i gorzej. A co się stało z tym... Johnem Playerem?

Wydawało mi się, że cisza trwa zbyt długo. Gdzieś obok brzęczała pszczoła, piskliwie ćwierkał konik polny... Uważaj, ostrzegałam się w duchu. Tak łatwo mogłabyś go zdradzić... Pamiętaj, że to nie tylko twój sekret.

— On... — usłyszałam swój głos. — Został sprzedany temu samemu paszy.

— Biedaczysko! Łatwo zgadnąć, jaki los go czeka. To dziwny człowiek, zawsze miałem wrażenie, że...

— Że co?

— Coś z nim było nie tak. Czasem mi się wydawało, że gdzieś go już widziałem. Jak gdyby coś ukrywał.

— Co niby miałby ukrywać?

— Cokolwiek. Zresztą nie mam pojęcia, to tylko wrażenie. Nie wyglądał na takiego, który całe życie mył pokłady. Był na to za bystry.

— Ale musimy przyznać, że uratował nam życie.

— Masz rację. Szkoda, że nie wiemy, co się z nim dzieje.

— Wielu mężczyzn zabierano do pracy w ogrodach. John był wysoki i silny...

— Więc pewnie słono kosztował.

Znowu zapadło milczenie. Bałam się odezwać, żeby się z czymś nie zdradzić.

— Jakie to dziwne — podjął lekkim tonem Lucas — że znaleźliśmy się we trójkę na tej wyspie. Nie wiedzieliśmy, czy nas kto odnajdzie, czy raczej umrzemy z głodu...

— Jak ci się udało wrócić?

— No cóż... Chytra ze mnie sztuka, jak wiesz. — Uśmiechnął się i w tym momencie zobaczyłam dawnego Lucasa. — Skorzystałem z okazji, że parę lat temu, podczas podróży dookoła świata, liznałem trochę ich języka. To wprost nie do wiary, ile daje możliwość

porozumienia. Zaoferowałem im pieniądze... za nas troje. Powiedziałem, że jestem bogaty. Uwierzyli mi, bo zorientowali się, że dużo podróżowałem. Niestety, o tobie i Playerze nie chcieli nawet słuchać. Byliście zbyt cennym towarem, natomiast ja, jako kaleka, stanowiłem tylko niepotrzebny balast.

— Widzisz więc, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Czasem wolałbym, aby mnie wyrzucili za burtę.

— Nie wolno ci tak mówić. To zgoda na porażkę... wręcz zachęta. Tak nie sposób żyć.

— Oczywiście, masz rację. Och, Rosetto, jak dobrze jest być z tobą! Pamiętam, jak świetnie radziłaś sobie na wyspie. Tyle ci zawdzięczam...

— Ale najwięcej...

— Temu Playerowi, wiem. Prawdziwy z niego dowódca, co? Urodził się do tej roli i doskonale ją odegrał, przyznaję. Ja byłem tylko przeszkodą, utrudnieniem.

— Nic podobnego. Jak inaczej wytrzymałbyś na wyspie? Opowiedz mi resztę.

— Kiedy zorientowałem się, że nie ma mowy, by was wypuścili, skupiłem wysiłki na sobie. Tu trafiłem na bardziej podatny grunt. Bo jaką cenę mogliby za mnie uzyskać? Obiecałem, że jeśli mnie wypuszczą, przyślę im pewien cenny klejnot. Natomiast gdyby próbowali mnie sprzedać, nie dostaną nic, bo ile mogą wziąć za człowieka, który nie może nawet chodzić bez laski? Wyrzucenie za burtę byłoby równie bezsensowne, a tak mieliby przynajmniej coś na otarcie łez.

— I co? Zgodzili się za samą obietnicę?

— To kwestia zwykłej logiki. Mieli dwie możliwości: wyrzucić mnie za burtę (czy zlikwidować w jakiś inny sposób) albo zaryzykować, że dotrzymam obietnicy i rzeczywiście przyślę im ów klejnot. Oczywiście przyszło im do głowy, że mogę się nie wywiązać z umowy, ale z drugiej strony, gdyby mnie uśmiercili, nie dostaliby nic, więc ostatecznie... zostawili mnie w Atenach przed ambasadą brytyjską. Dalej już było prosto: zawiadomiono rodzinę i wróciłem do domu. — A klejnot?

— Dotrzymałem słowa. Chodziło o pierścionek zaręczynowy mojej matki (a przedtem matki mego ojca), a więc rzeczywiście jeden z klejnotów rodzinnych, który otrzymałem po podziale majątku. Gdybym miał się zaręczyć, podarowałbym go pewnie mojej narzeczonej.

— Przecież nie musiałeś go wysłać.

— Musiałem. Ludzie tego pokroju mają długą pamięć. Nie chciałbym przez resztę życia zastanawiać się, czy los nie wepchnie mnie jeszcze w ich łapy. Co więcej, gdyby złapali później jakiegoś innego nieszczęśnika, to na pewno nie daliby mu już takiej szansy. Poza tym pierścionek mógł leżeć bezużytecznie przez wiele lat, bo w moim stanie raczej żadna panna mnie nie zechce.

— Sam im go zawiozłeś? Dokąd?

— Wszystko zorganizowali. Na włoskim wybrzeżu jest pewna oberża... prawdopodobnie melina przemytników. Tam miałem dostarczyć pierścionek — ściśle według wskazówek. Nie pojechałem osobiście, nie byłem w stanie, zresztą sami to widzieli. Powiedziałem, że klejnot przywiezie mój dawny ordynans, Dick Duvane. Wystąpił z wojska razem ze mną i odtąd prawie się nie rozstajemy. Jest moim osobistym służącym, powiernikiem i czasem towarzyszem podróży, a w gruncie rzeczy najwierniejszym przyjacielem. Nie wiem, co bym bez niego zrobił, ufam mu bez zastrzeżeń.

— Cieszę się, że udało ci się wrócić.

— Ja chyba też, ale...

— Wiem, rozumiem.

Zapadła cisza. Siedzieliśmy w ogrodzie, póki nie odnalazła nas Felicity.

* * *

Wizyta w Oksfordzie znacznie mi pomogła. Poglądy Lucasa na życie — choć gorzkie — sprowadziły mnie na ziemię. Co mogłam zrobić? Jak udowodnić niewinność Simona? Nie byłam nawet na miejscu zbrodni. O rodzinie Perrivale'ów wiedziałam tyle, ile powiedział mi sam Simon i przeczytałam w gazetach po morderstwie. Gdybym chociaż znalazła jakiś sposób, by ich poznać, pojechać do Perrivale Court... Czy miałam jakąś nadzieję? Pomyślałam o Lucasie: gdyby tak poprosić go o pomoc? Był taki pomysłowy! Pokazał, co potrafi, kiedy uwolnił się z niebezpiecznej sytuacji. Mieszkał niezbyt daleko; wprawdzie nie przyjaźnił się z Perrivale'ami i prawie ich nie znał, ale raz — dawno temu — odwiedził ich ze swoim ojcem. Ach, żebym tak mogła porozmawiać z nim o Simonie, może zyskałabym sprzymierzeńca. Czy powinnam się odważyć? I jak Lucas by zareagował?

Czułam się wciąż tak samo bezradna, ta wizyta jednak podniosła mnie nieco na duchu.

Lucas opuścił Oksford dzień przede mną. Kiedy się żegnaliśmy, wyglądał tak smętnie i bezbronne, że miałam wielką chęć go pocieszyć. A jednak, wbrew moim przypuszczeniom, nawet nie wspomniął o następnym spotkaniu.

Razem z Felicity odprowadziłyśmy go na dworzec. Wyraźnie nie miał ochoty wyjeżdżać. Długo stał w oknie wagonu, patrząc za nami, stojącymi na peronie, póki pociąg nie zniknął nam z oczu, uwożąc go do zachodniej Anglii.

— Jakie to smutne — westchnęła Felicity. — To już nie ten sam człowiek.

* * *

Ciotka Maud koniecznie chciała wiedzieć, kogo poznałam w Oksfordzie.

Wy tłumaczyłam jej, że nie uczestniczyłam w zbyt wielu przyjęciach, gdyż Felicity chciała zapewnić mi spokój. Przy obiedzie wydało się jednak, że Lucas odwiedził Graftonów w tym samym czasie, co ja.

Ojciec natychmiast się ożywił.

— Ach, tak... To ten młody człowiek, który płynął z nami na „Gwieździe Atlantyku”. — I zwracając się do ciotki, dodał: — Co za niezwykły przypadek! Pan Lorimer w swym ogrodzie w Kornwalii znalazł pewien kamień. Skąd się tam wziął, nie wiadomo, lecz było to naprawdę ekscytujące odkrycie. A potem sam popłynął z nami w tę podróż...

— I przeżył katastrofę — dodałam.

Śledziłam tok jej myśli. A więc spotkałam go w Oksfordzie? Kim jest? Czy pochodzi z dobrej rodziny? Stać go na utrzymanie żony? Ucięłam rzecz w zarodku.

— To kaleka. Doznał poważnych obrażeń.

Ciotka wyglądała na rozczarowaną i chyba zrezygnowała. Już widziałam, jak się szykuje do urządzania przyjęć z udziałem stosownych kandydatów. Jak bardzo brakowało mi Felicity i spokoju Oksfordu!

Ciotka Maud z bezwzględną konsekwencją zabrała się do realizowania swych zamierzeń. Urządzała jedną kolację po drugiej, nieodmiennie zapraszając „odpowiednich” młodych ludzi. Zmusiła ojca, by ściągał do domu swych znajomych; ku memu rozbawieniu, a jej żalowi, większość z nich okazała się naukowcami w średnim wieku, fanatycznie oddanymi swej pracy. Jedni wyraźnie nie planowali dodatkowego jarzma w postaci żony, inni już mieli zaciszne gniazdko, a w nich pełne erudycji, energiczne małżonki z wianuszkami latorośli.

Tygodnie przechodziły w miesiące. Byłam podenerwowana i nie widziałam żadnej możliwości ucieczki.

Felicity złożyła nam króciutką wizytę — nie mogła na dłużej zostawić swych maleństw. Miała wprawdzie dobrą nianię, która z chęcią przejmowała samodzielną władzę w pokojach dzieci, ale Felicity nie znosiła takich rozstań. Według mnie zdecydowała się na przyjazd tylko dlatego, że się o mnie martwiła.

Mogłam jej wyznać, jak bardzo tęsknię za dawnymi czasami w naszym przyjemnie bałaganiarskim domu. Oczywiście powinnam być wdzięczna niezmordowanej ciotce Maud, ale dla mnie życie nie składało się tylko z wypolerowanych mebli i punktualnie podawanych posiłków. Ciotka miała tak przytłaczającą osobowość, że zdominowała nas wszystkich, a jej wpływ dawał się wyczuć szczególnie w kuchni, gdzie przedtem spędziłam tyle szczęśliwych godzin.

— Rosetto, czy coś cię gnębi? — spytała Felicity. A ponieważ zwlekałam z odpowiedzią, ciągnęła: — Nie chciałabyś o tym pogadać? Przecież wiesz, że cię zrozumiem, ale nie będę naciskać. Po takich okropnych przejściach jak twoje czasem tak samo ważne jest to, co dzieje się później. Co było, minęło. Nie myśl, że nie rozumiem, jak się czułaś w haremie, to musiało być straszne, ale stamtąd uciekłaś. Miałaś szczęście, chociaż pamięć tamtych chwil pozostała. Martwię się o ciebie... i o Lucasa także. Zawsze go lubiłam, był dawniej taki zabawny i aktywny. Dużo podróżował i z wielką swobodą o tym opowiadał, ot, zblazowany lekkoduch... A teraz odciął się od wszystkich i siedzi sam, upajając się swoją goryczą. Cóż, powiem bez ogródek: James znowu jedzie do college'u w Truro na wykłady. Wybieram się tam razem z nim i zamierzamy przy okazji odwiedzić Lucasa. Byłoby miło, gdybyś zechciała się do nas przyłączyć.

Nie kryłam entuzjazmu. Pojechać tam, tak niedaleko od Perrivale Court... Zresztą — daleko, niedaleko, ale zawsze bliżej niż z Londynu. Co mam zrobić, kiedy już tam będę, to inna sprawa. Przede wszystkim muszę pamiętać o jednym: nie wolno mi zdradzić Simona.

— Widzę, że mój pomysł przypadł ci do gustu — zauważyła Felicity.

Kiedy przedstawiłyśmy go ciotce, ta wydawała się dość zadowolona. Zawsze można mieć nadzieję, że coś z tego wyniknie, bo jej własne próby skontaktowania mnie z odpowiednimi kandydatami na męża raczej się nie powiodły.

Graftonowie obracali się we właściwych kołach. James był „kimś tam” w Oksfordzie, ciotka specjalnie się w tym nie orientowała. Według niej ludzie dzielili się na „odpowiednich” i „nieodpowiednich” — Graftonowie zaś (mimo że Felicity była dawniej guwernantką) zdecydowanie należeli do tych pierwszych, dlatego ciotka Maud odniosła się do pomysłu łaskawie, podobnie jak namówiony przez nią ojciec.

Tak więc uzgodniono, że razem z Jamesem i Felicity pojedą do Truro.

Za namową żony James napisał wcześniej do Lucasa, że wybieramy się do Kornwalii i przy tej okazji chętnie byśmy go odwiedzili.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie: oczywiście, musimy przyjechać i to co najmniej na kilka dni. Z Truro do Trecorn Manor jest za daleko na jednodniową wizytę.

Zmiana, jaka we mnie zaszła, wprost biła w oczy.

— Panience zawsze tak dobrze układało się z tą Felicity — zauważyła pani Harlow. — Pamiętam dzień, w którym przyjechała do nas po raz pierwszy. Spodziewaliśmy się jakiejś nadętej damulki, ale ona chwyciła mnie za serce od pierwszej chwili, gdy tylko wysiadła z dorożki... i widać, panienkę także.

— Tak, to naprawdę cudowna przyjaciółka. Mieliśmy szczęście, że do nas trafiła.

— Można powiedzieć: chwyciła panienka odpowiedniego byka za rogi. O tak, rzeczywiście miałam wobec Felicity dług wdzięczności.

* * *

Trecorn Manor był przyjemnym dla oka dworem, zbudowanym w eleganckim stylu królowej Anny. Otaczały go dobrze utrzymane tereny. Pomyślałam, że ciekawie będzie zobaczyć Lucasa na tle rodzinnej siedziby.

Przywitał nas bardzo serdecznie.

— Jak dobrze, żeście przyjechali!

I naprawdę z jego głosu biła szczerść.

Przedstawił nas swemu bratu Carletonowi i bratowej Theresie. Carleton, choć nieco podobny do Lucasa z wyglądu, bardzo różnił się odeń charakterem. Był dość rubaszny, jowialny, całkowicie oddany sprawom posiadłości — typowy wiejski dziedzic, a Theresa idealnie do niego pasowała. Ją także pochłaniały bez reszty obowiązki wobec rodziny i inne, związane z majątkiem; wypełniała je sprawnie i kompetentnie, wykazując przy tym mnóstwo wrodzonego wdzięku i taktu, jak przystało na idealną żonę i matkę.

Mieli dwoje dzieci — czteroletnie bliźniaki Henry’ego i Jennifer. Wiedziałam, że Carleton i jego żona są powszechnie uwielbiani i szanowani, że Theresa niezmiernie bierze udział we wszelkich akcjach parafialnych. Należała do tego rodzaju kobiet, które nie oszczędzają się w pracy i znajdują w niej przyjemność.

Lucas nie bardzo pasował do tego otoczenia, chociaż Felicity powiedziała mi na osobności:

— Nie mógłby sobie wymarzyć lepszych warunków po powrocie.

Miałam co do tego wątpliwości. To manifestowane na każdym kroku dobre samopoczucie mogło przeszkadzać komuś w sytuacji Lucasa. Czułam, że przed katastrofą na pewno nie pragnął takiego życia. Ze wszystkiego, co robił, wynikało, że go wręcz nie znosił. Niestety, zalety takich ludzi jak Carleton, jego żona czy ciotka Maud, same w sobie godne podziwu, niezbyt korzystnie wpływały na stosunki domowe.

Zamierzaliśmy pozostać w Kornwalii około tygodnia; więcej czasu James nie mógłby wygospodarować, poza tym Felicity nie chciała zostawiać na dłużej dzieci.

Dano nam sąsiadujące z sobą pokoje na pierwszym piętrze, z widokiem na wrzosowiska.

Theresa osobiście zaprowadziła nas na górę.

— Mam nadzieję, że będzie wam tu wygodnie. Szkoda, że możecie zostać tylko tydzień. Ogromnie lubimy gości, a niestety rzadko ich miewamy. Tak się cieszę z waszego przyjazdu... Lucasowi także jest miło... — zawiesiła głos.

— Wahaliśmy się, czy zaproponować tę wizytę — wyznała Felicity. — Wydawało nam się, że jeszcze na to za wcześnie.

— Zrobilibyście nam wielką przykrość, gdybyście wyjechali, nie przyjeżdżając tutaj. Carleton bardzo martwi się o Lucasa... Ja zresztą także. Tak się zmienił...

— No cóż, po takich przejściach... Theresa położyła mi rękę na ramieniu.

— Ty też swoje przeszedł, jak słyszałam. Mój szwagier niewiele mówi. Carleton powiada, że wyciągnąć z Lucasa jakieś informacje to jakby utoczyć krwi z kamienia. Był dawniej taki aktywny, więc mocno go to wszystko dotknęło. Ale wiadomość o waszym przyjeździe zaraz poprawiła mu humor.

— Lubi rozmawiać z Rosettą. W końcu byli tam razem, więc mu łatwiej.

— Cudownie, że obojgu wam się udało wyrwać z niewoli. Tak martwiliśmy się o Lucasa, a potem nagle ta wspaniała nowina, że wraca! On jako mężczyzna... cóż, młodszemu bratu nigdy nie jest łatwo. — Umilkła, lekko zakłopotana, jakby uznała, że za dużo mówi.

Wiedziałam, że ma rację. Jeszcze przed katastrofą Lucas się zamartwiał, że po śmierci ojca Carleton zostanie głową rodziny. Lubił przewodzić i niełatwo mu było pogodzić się z drugim miejscem. Dlatego tyle podróżował — zarówno po wystąpieniu z armii, jak w czasie służby. Próbował też studiować archeologię, a zainspirowany swym odkryciem, napisał nawet książkę. Gdyby nie przeszkodziła mu katastrofa, wygłaszałby odczyty. To pewnie wtedy zaczął stopniowo układać sobie życie z dala od Trecorn Manor, a tu nagle los zmusił go do powrotu... Potrafiłam zrozumieć, że czuł się odarty ze złudzeń. Nie mogłam się doczekać, kiedy znów porozmawiamy. Może spróbuję go przekonać, by spojrzał na swą przyszłość z innej strony? Może wykrzeszę w nim jakąś nadzieję? Nie sądziłam, bym miała wielkie szanse, ale spróbować nie zawadzi.

Na szczęście mógł nadal jeździć konno. Owszem, potrzebował pomocy przy wsiadaniu i zsiadaniu, ale kiedy już czuł pod sobą konia, wszystko szło jak z płatka. Zresztą zawsze był znakomitym jeźdźcem. Istniała silna więź między nim a jego wierzchowcem Chargerem, który zdawał się świetnie rozumieć, że pan się zmienił i wymaga opieki.

— Nigdy się nie martwimy o Lucasa, kiedy wyrusza na długie przejażdżki — powiedziała Theresa. — Jeśli bierze Chargea, wiemy, że zostanie dowieziony bezpiecznie do domu, gdy tylko tego zapragnie.

Od razu pierwszego wieczora Carleton zapytał, czy i ja jeżdżę konno.

— W domu nie miałam okazji, ale w szkole uczono nas konnej jazdy, więc nie jestem absolutną nowicjuską, tylko brak mi praktyki.

— Więc powinnaś wprawiać się tutaj.

— Tak — poparł go Lucas. — Już ja się tym zajmę.

— To będzie trochę nudne dla tak doświadczonego jeźdźcy — zauważyłam.

— Dla mnie to czysta przyjemność.

Theresa wyraźnie się rozpromieniła. Przy swej wrodzonej dobroci musiała cieszyć się z mego przyjazdu, bo widziała, jak miło nam w swoim towarzystwie.

Uzgodniono, że za dwa dni James pojedzie do Truro, natomiast Felicity i ja zostaniemy w Trecorn Manor. Po zakończeniu wykładów James przyłączy się do nas i mniej więcej po dwóch dniach razem wyruszymy z powrotem.

Wkrótce nasze dni zaczęły się układać według pewnej rutyny. Lucas i ja spędzaliśmy wiele czasu na przejażdżkach i rozmowach, także na temat naszych przygód. Wałkowaliśmy często te same sprawy, lecz z pewnością dobrze nam to zrobiło. Jeśli chodzi o mnie samą, to jeszcze mocniej pragnęłam dowiedzieć się czegoś o Perrivale Court.

Ani się obejrzałam, jak zostałam wciągnięta w sprawy dzieci. Jennifer wyraźnie mnie polubiła. Nie miałam dotąd wiele do czynienia z tak małymi istotkami, więc nie bardzo wiedziałam, jak z nimi rozmawiać, ale Jennifer rozwiązała ten problem za mnie. Poinformowała mnie, że nazywa się Jennifer Lorrimer, mieszka w Trecorn Manor i ma cztery lata. Powiedziała to takim tonem, jakby zwierzała mi się z wielkiego sekretu, który odtąd miałyśmy z sobą dzielić. Mimo swej płci zdecydowanie wodziła za nos brata bliźniaka, była żywa i gadatliwa. Henry, poważny mały dżentelmen, znacznie spokojniejszy od siostry, naśladował ją we wszystkim, więc skoro Jennifer uznała, że mnie lubi, on poczuł się zobligowany do tego samego.

Kolejnego sprzymierzeńca znalazłam w niani Crockett — prawdopodobnie dlatego, że przekonała się, jak lubią mnie bliźniaki. Ta niemłoda już kobieta rządziła niepodzielnie w pokojach dzieci. Ellen, czternastoletnia pokojówka, traktowała ją niemal jak królową. Niania Crockett miała przenikliwe szare oczy. Włosy w kolorze stali zaplatała w warkocz i okręcała wokół głowy, co dodawało jej surowości. Jeśli coś się jej nie podobało, ściągała w charakterystyczny sposób usta i wówczas nic nie mogło jej ugiąć. Była kobietą o zdecydowanych poglądach i gdy raz się do czegoś przekonała, trwała przy tym do końca.

— Mieliliśmy szczęście, że ją zdobyliśmy — powiedziała Theresa. — To doświadczona niania. Owszem, nie jest już młoda, ale to tylko na dobre wychodzi dzieciom, zwłaszcza że energią dorównuje innym.

Niania Crockett lubiła sobie od czasu do czasu pogadać, więc po południu, kiedy bliźniaki spały, a Lucas zajmował się swoimi sprawami, chętnie ją odwiedzałam.

Felicity i Theresa miały wspólne zainteresowania — prowadzenie domu, opieka nad mężem i dziećmi. Były dla siebie idealnymi towarzyszkami. Przypuszczałam, że rozmawiały też o mnie i o Lucasie; uważały, że pasujemy do siebie, toteż popychały nas ku sobie przy każdej okazji. Wcale nie musiały zadawać sobie trudu: Lucas wyraźnie najlepiej się czuł w moim towarzystwie. Od chwili naszego przyjazdu nieco bardziej przypominał mężczyznę, jakim był dawniej. Czasem głośno się śmiał albo rzucał ciętą uwagę, niestety zawsze z pewnym elementem rozgoryczenia, które odciskało swe piętno na każdej rozmowie.

Wiedziałam, że kiedy wróci James, ustalony już tryb życia ulegnie zakłóceniu. Cieszyłam się z pobytu u Lorrimerów, wciąż jednak nie mogłam pozbyć się chęci wykrycia prawdy o Simonie i czasem popadałam w prawdziwą desperację.

Okropnie mnie denerwowało, że jestem tak blisko miejsca zbrodni i nie mogę się tam dostać bez wzbudzenia podejrzeń. Bałam się zadawać bezpośrednie pytania. Już sam fakt, że Lucas kiedyś zetknął się z Simonem, nasuwał obawy, że zrobię jakiś fałszywy krok. Tak łatwo mógł przypomnieć sobie, kim naprawdę był John Player. A gdyby to odkrył, jakie by podjął działania? Owszem, John Player uratował nam życie, ale Lucas uważałby go za mordercę i zbiega... Jakie kroki uznałby za konieczne?

Największą ulgę przyniosłaby mi szczerza rozmowa o Simonie, na to jednak nie mogłam się zdobyć. Czasem zastanawiałam się, czy nie wyznać wszystkiego Felicity... Prawdę rzekłszy, kilka razy omal tego nie zrobiłam, lecz zawsze coś mnie powstrzymywało.

W końcu, wiedziona czystą rozpaczą, zapytałam ostrożnie przy lunchu:

— Czy gdzieś w tej okolicy nie popełniono czasem morderstwa?

Theresa zmarszczyła brwi.

— Pewnie masz na myśli sprawę Perrivale Court.

— Tak! — wykrzyknęłam, starając się nie okazywać podniecenia, które zawsze ogarniało mnie przy tym temacie.

— Adoptowany syn — przypomniał sobie Lucas.

— Opiekowali się nim przez całe życie, a on się odwdzieczył, zabijając przybranego brata! — dodał Carleton.

— Chyba mówiliśmy już o tym kiedyś — zwróciłam się do Lucasa. — Ty podobno kiedyś się z nim spotkałeś?

— Tak, ale wieki temu i tylko przelotnie.

— Czy to miejsce jest daleko stąd?

Theresa zerknęła na Carletona, który zamyślił się na kilka sekund.

— W prostej linii będzie około ośmiu mil, ale naprawdę nieco więcej.

— A jest tam w pobliżu jakieś miasteczko czy wioska?

— Chyba tak — odrzekł Carleton. — Jak myślisz, Lucasie? Może Upbridge?

— Do Upbridge jest stamtąd około dwóch mil. Najbliżej leży wioska Tretarrant.

— To właściwie tylko osada.

— Tak. Najbliższym większym miastem jest Upbridge.

— Trudno uznać Upbridge za tętniącą życiem metropolię.

— Ach, ale to bardzo miłe miejsce — zauważyła Theresa. — Choć raczej rzadko tam bywam.

— Wtedy, po śmierci tego człowieka, nabrało sporego rozgłosu.

— No cóż, rzeczywiście wzrósł popyt na „Upbridge Times” — zgodził się Lucas. — Mieli swoich informatorów, znali rodzinę. Widzę, Rosetto, że przejawiasz jakieś niezdrowe zainteresowanie tym miejscem. Powiem ci, co zrobimy: jutro pojedziemy tam konno i będziesz sobie mogła obejrzyć sławetne miasto Upbridge na własne oczy.

— Bardzo chętnie — odrzekłam.

Serce mocno mi biło z radości. Nareszcie jakiś postęp!

* * *

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Patrząc na Lucasa w siodle, niemal wierzyłam, że od naszego pierwszego spotkania wcale się nie zmienił.

— Mamy do przejechania całych osiem mil — oświadczył. — Czy czujesz się na siłach? Osiem mil w każdą stronę. Wiesz co? Zatrzymamy się tam na posiłek. Może w starym poczciwym Upbridge? Albo nie, teraz przyszło mi do głowy jedno dobre miejsce koło Tretar — rant. Myślisz, że dasz radę?

— Oczywiście, to dla mnie wyzwanie. I nie tylko pod jednym względem.

Zaraz jednak upomniałam się w myśli: czy to coś da, jeśli tylko rzucę okiem na owo miejsce? Zresztą... kto wie, co z tego wyniknie?

— Gospoda, o której myślę — ciągnął Lucas — nazywa się „Pod Królewską Głową”. Oryginalnie, co? Chodzi o króla Williama W, popularnego tylko na szyldach. Zawsze chciałem znaleźć choć jeden z Karolem I: nazwa mogłaby brzmieć „Pod Odrąbaną Głową”^{*}, a nie po prostu „królewską”. Ale ponieważ piwowarzy to najtaktowniejsi ludzie na świecie, nic takiego nie zauważyłem.

Uśmieśliśmy się z tego oboje. Potrafił na jakiś czas zapomnieć o swym gorzkim położeniu, niestety, ciągle coś mu o tym przypominało.

Mijaliśmy właśnie jagodowisko.

— Znosi się na dobry zbiór w tym roku — zauważył. — Pamiętasz tę radość, kiedy odkryliśmy na wyspie jagody?

— Cieszyliśmy się ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia.

— Czasem trudno mi pojąć...

— Tak, mnie także.

— Ciekawe, co by się z nami stało, gdyby nie przyłynęli piraci.

— Bóg raczy wiedzieć.

— Wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

— Aleśmy w końcu uciekli także i spod rynnę.

— Owszem, ty i ja. Ciekawe, co z Playerem?

— Też się nad tym zastanawiam.

Umilkłam. Czulałam, że jeszcze trochę, a wszystko mu powiem, mimo całej determinacji, by dotrzymać tajemnicy. Pokusa była naprawdę wielka.

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Wyglądał mi na jednego z tych, co to potrafią przetrwać w każdych warunkach.

— Może musiał. Nawiasem mówiąc, daleko jeszcze?

— A co, zmęczyłaś się?

— Ależ nie.

— Wiesz co? Kiedyś zostaniesz mistrzynią jeździectwa.

* Karol I został ścięty w 1649 roku podczas rewolucji angielskiej.

— Chcę być dostatecznie sprawna teraz.

— No więc prawie to osiągnęłaś.

— W twoich ustach to wielki komplement.

— Powiedz mi prawdę: czy jestem starym zrzęda?

— Blisko ci do tego. Zdobędziesz ten tytuł, zanim ja zostanę mistrzynią jeździectwa.

— No i dobrze! — wykrzyknął ze śmiechem. — Bądź szczerą, nie oszczędzaj mnie! Mam po dziurki w nosie tej wiecznej opiekuńczości. Carleton i Theresa... Jakbym słyszał ich myśli: „Co tu powiedzieć, żeby nie zmartwić naszego biedaka?”.

— Zgoda, będę mówiła, co myślę.

— Jak dobrze mi z tobą, Rosetto! Mam nadzieję, że nie opuścisz nas na długo.

— Cóż, muszę wracać z Jamesem i Felicity. Ona nie znosi zostawiać dzieci.

Westchnął.

— Więc musimy wykorzystać ten czas jak najlepiej. Co za świetny pomysł z tą wyprawą. Mam tylko nadzieję, że nie jest dla ciebie zbyt długa.

— Czy sam nie powiedziałeś, że kiedyś zostanę mistrzynią? Może ten dzień nie jest tak odległy.

— No dobrze, pojedźmy przez pole, to chyba jest skrót. Kiedy dotarliśmy na drugą stronę, Lucas ściągnął wodze.

— Oto widok dla ciebie. Przyjemne wybrzeże, co?

— Przyjemne? Jest niesamowite i bardzo urwiste. W żadnym razie nie nazwałabym go przyjemnym. Jakoś mi nie odpowiada.

— Masz rację. Na tym wybrzeżu grasowali kiedyś rozbójnicy morscy. Uprawiali paskudny proceder: podczas sztormu naprowadzali statki na tamte skały, żeby ukraść ładunek. Założę się, o co chcesz, że w burzliwe noce tutejsi mieszkańcy słyszą krzyki tonących marynarzy. Wiatr potrafi wytwarzać dziwne dźwięki, które niekiedy brzmią jak głosy duchów.

— Jesteś urodzonym cynikiem!

— Jasne. Nie może być dwóch świętych w jednej rodzinie.

— Ten jeden to Carleton? Czemu ludzie odnoszą się zawsze do świętych nieco protekcjonalnie?

— Odpowiedź jest bardzo prosta. Bo zbyt trudno nam ich naśladować. My, grzesznicy, zawsze traktujemy ich z wyższością, gdyż lepiej korzystamy z życia.

— Uważasz, że grzesznicy bawią się lepiej?

— O tak! A jednocześnie czują, że to nie jest całkiem w porządku. Stąd ta protekcjonalna postawa wobec świętych. Carleton to dobry człowiek. Zawsze postępuje właściwie: nauczył się zarządzać posiadłością, poślubił odpowiednią pannę, sprowadził na świat swego następcę Henry'ego i uroczą Jennifer, dzierżawcy go uwielbiają, majątek pod jego ręką prosperuje jak nigdy dotąd... Tak, Carleton ma same zalety, ale nie można liczyć na zbyt wielu takich ludzi. Zrobiliby tłok na rynku i stracili wiele ze swej chwały. Więc widzisz, grzesznicy też się do czegoś przydają.

— To bardzo korzystne, że Carleton jest tak dobrym gospodarzem.

— Carleton w ogóle ma same zalety.

— Ty też masz dobre cechy... podobnie jak on.

— Ach, ale on ma jeszcze dwie zdrowe nogi do chodzenia!

Ta jego gorycz! Zawsze czaiła się gdzieś w zanadru, gotowa w każdej chwili wyrzeć na powierzchnię. Pożałowałam, że w porę nie zmieniłam tematu.

— Jemu zawsze wszystko się układa — ciągnął Lucas. — Och, przestań mydlić mi oczy. Dobrze wiem, że to z powodu jego charakteru.

— Po prostu miałeś pecha, Lucasie — próbowałam go otrzeźwić. — To się już skończyło. Teraz nic tego nie zmieni, a przecież wciąż ci dużo zostało.

— Masz rację. Często myślę o Playerze: co też się z nim dzieje? To, że czerpię z tego odrobinę pociechy, świadczy tylko o mojej podłej naturze. Przynajmniej jestem wolny...

— Tak, jesteś.

— Och, spójrz! Widzisz ten dom? — Dom?

— To Perrivale Court. Patrz prosto przed siebie, a potem nieco w prawo.

Wreszcie go zobaczyłam! Zbudowany na lekkiej pochyłości frontem do morza, wyglądał bardzo okazale.

— Robi wrażenie!

— Jest bardzo stary. Trecorn Manor w porównaniu z nim to nowoczesny budynek.

— Możemy podjechać bliżej?

— Pewnie.

— Więc pojedźmy.

— Ale będziemy musieli zrezygnować z Upbridge.

— Nie szkodzi.

— Chyba się trochę zmęczyłaś.

— Może — przyznałam, cały czas powtarzając sobie w duchu: „To dom Simona. Tu się wychowywał od piątego roku życia”.

Jechaliśmy dalej. Teraz widziałam dom wyraźnie. Wyglądał niemal jak zamek ze swoimi murami z szarego kamienia, wieżą i blankami.

— Przypomina średniowieczne budowle.

— Na pewno przynajmniej część pochodzi z tego okresu. Ale takie stare siedziby bywały restaurowane na przestrzeni wieków i czasem wychodzi z tego mieszanina stylów.

— Byłeś tam kiedyś, prawda?

— Tak, niewiele jednak pamiętam. Wszystko wyleciało mi z głowy aż do czasu morderstwa, dopiero potem sobie przypomniałem.

Miałam nadzieję, że ktoś się pokaże. Może brat Simona albo piękna kobieta, która mogła być przyczyną tragedii. Tak bym chciała rzucić na nią okiem!

— Jestem pewien — odezwał się nagle Lucas — że gospoda „Pod Królewską Głową” musi być gdzieś w pobliżu. — Kiedy kręta droga zawróciła w stronę lądu, wykrzyknął triumfalnie: — O, jest! Ale już nie „Pod Królewską Głową”. Miejsce to samo, tylko nazwa inna: „Król Żeglarzy”. I także związana z monarchią. Jedźmy, zostawimy konie w stajni, przyda się im wypoczynek, a i my się pokrzepimy. Potem, jeśli zostanie trochę czasu, chociaż w to wątpię, rzucimy okiem na Upbridge. Tylko żebyś nie czuła się zawiedziona, jeśli nie zdążymy.

Zapewniłam go, że spędziłam bardzo przyjemny dzień i absolutnie nie będę zawiedziona.

Pomogłam mu zsiąść z konia, starając się zbytnio nie narzucać, i zostawiwszy wierzchowce pod dobrą opieką, weszliśmy do sali. Oprócz nas nie było tam nikogo i z przyjemnością stwierdziliśmy, że mamy cały lokal dla siebie.

Zjawił się zaafierowany właściciel.

— Co by tu państwu podać... Mam same zimne dania. Ale obiecuję przepyszną wołowinę i szynkę. A na gorąco tylko zupa z soczewicy.

Powiedzieliśmy, że nic więcej nam nie trzeba. Zaraz pojawiły się na stole kufle z jabłecznikiem, a potem dziewczyna przyniosła jedzenie, które okazało się znakomite. Z zaplecza wyjrzała żona gospodarza, żeby sprawdzić, czy nic nam nie brakuje.

Najwyraźniej lubiła pogadać sobie z gośćmi.

Chciała wiedzieć, czy jesteśmy z daleka.

Wyjaśniliśmy, że jedziemy z Trecorn Manor.

— Ach, znam to miejsce. Piękny, stary dom... chociaż oczywiście nie tak stary jak Perrivale.

— Perrivale Court! — wykrzyknęłam skwapliwie. — Przejeżdżaliśmy tamtędy. Czy tam teraz ktoś mieszka?

— No jakże inaczej? Perrivale'owie siedzą tu od wieków. Przybyli razem z Wilhelmem Zdobywcą, a przynajmniej się tym chwala. Tak im się spodobało, że już zostali.

— Wielu jest takich. Zadowolonych, że pierwsi skorzystali z okazji.

— Ach, Perrivale'owie byli w tej okolicy od zawsze. Teraz został tylko sir Tristan, po tym jak pan Cosmo...

— Zdaje się, że coś o tym czytałam... Dość dawno temu.

— Zgadza się, proszę pani. Swego czasu o niczym innym się tu nie mówiło, ale ludzie szybko zapominają, tacy już są. Pytasz kogoś o morderstwo u Perrivale'ów i taki młodziak o niczym nie wie. Powiadam państwu: to jest historia, ot co! Ludzie powinni ją znać.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że macie niezdrowe skłonności, skoro zachowujecie w pamięci takie sprawy — zauważył Lucas.

Właścicielka spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu. Ja jednak od razu dostrzegłam ów charakterystyczny psotny błysk, świadczący, że mój towarzysz chce ją utwierdzić w tym mylnym przekonaniu.

— No cóż... Kiedy to się stało, przewijały się tu tłumy ludzi. Reporterzy, detektywi i tak dalej. Dwóch z nich zatrzymało się tu, pod tym dachem. Mówili, że prowadzą śledztwo. Więc sam pan widzi, że tkwiliśmy w samym środku zdarzeń.

— Bardzo korzystne położenie.

— No, muszę już iść do swoich zajęć. Nie mogę tracić czasu na gadanie.

I wyszła.

— To było bardzo ciekawe — powiedziałam. — Szkoda, że nie usłyszałam więcej.

— Widzowie z pierwszych rzędów miewają wypaczony obraz.

— Przynajmniej są blisko sceny. Dziewczyna przyniosła na deser krem z owocami polany sherry.

Smakował wspaniale. Ku mej radości oberżystka nie potrafiła się oprzeć chęci poplotkowania i zanim skończyliśmy jeść, pojawiła się znowu.

— Nieczęsto ktoś do nas zajeżdża — wyznała. — Owszem, bywa tu trochę okolicznych mieszkańców, ale goście tacy jak państwo trafiają się rzadko. Inaczej działa się w czasie... no, sami państwo wiedzą.

— Nie ma to jak morderstwo — zauważył Lucas. — Interes zaraz lepiej idzie.

Spojrzała na niego czujnie, ale ja postanowiłam ją zachęcić.

— Musicie dużo wiedzieć o tej rodzinie.

— No... Spędziłam tu całe życie, więc to oczywiste, prawda? Urodziłam się tu, w tej oberży. Należała do mojego ojca, a kiedy wyszłam za Williama, on ją przejął. Potem pewnie przyjdzie kolej na naszego syna, też Williama.

— Dynastia oberżystów — mruknął Lucas.

— Tak, to bardzo dobrze, kiedy interes pozostaje w rodzinie — powiedziałam pośpiesznie. — Człowiek ma powody do dumy, prawda?

Rozpromieniła się na te słowa. Wiedziała, że uważa mnie za miłą i normalną klientką, która też lubi ploteczki, w przeciwieństwie do mego towarzysza.

— Często widujecie Perrivale'ów? — spytałam.

— O tak, zawsze się tu kręcili. Pamiętam, kiedy sprowadzili tego Simona. Wie pani, tego...

— Tak, wiem.

— To musiało być ze dwadzieścia lat temu, tuż po naszym ślubie. Ależ to była scena, kiedy sir Edward przywiózł chłopca do domu i oświadczył, że ma tu zostać. No cóż, po prawdzie to nie powód do świętowania; jaka kobieta zniosłaby coś takiego?

— Całkowicie się zgadzam.

— Po cóż taki pan miałby sprowadzać obcego dzieciaka? Każdy powie, że jaśnie pani musiałyby być święta, żeby się z tym pogodzić. Ale ona nie należała do potulnych i rozpętało się piekło. A z kolei sir Edward niewiele mówił, za to zawsze stawiał na swoim. Powiedział, że chłopak zostaje i został.

— To był Simon...

— Czego można się po takim spodziewać? I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

— Chcecie powiedzieć...

— No bo skąd on się wziął? Na pewno z jakiejś bocznej uliczki.

— Więc czemu sir Edward nie zostawił go tam, tylko przywiózł do Perrivale Court?

— Cóż, ludzie mają różne rzeczy na sumieniu. Tak czy inaczej, chłopak został. Traktowali go jak rodzonych synów, sprowadzili guwernera... Miły był z niego człowiek, można powiedzieć. Lubił opowiadać różne historie z życia wyższych sfer. Potem wyjechał, bo chłopcy poszli do szkoły. Simon także. I jak się im odplacił? Zamordował pana Cosma! Ot, wdzięczność!

— Czy aby na pewno to on?

— Jasne jak słońce! Inaczej dlaczego by uciekał?

— Rzeczywiście taki wniosek się nasuwa — zgodził się Lucas.

— Mogły być inne powody — nie dawałam za wygraną.

— Ach, dla mnie to zdecydowany dowód winy.

— Tak, tak, na pewno był winien — poparła go oberżystka. — Zazdrość... Oczywiście poszło o tę wdowę, Mirabel... Przedtem nazywała się Blanchard, teraz jest panią Perrivale. Przyjechała w te strony z ojcem i małą Kate. Trudno o miłszego człowieka niż pan major. Z niej samej było niezłe ziółko, ale co za piękność! Wspaniałe rude włosy i w ogóle. Na taką nie dość raz spojrzeć. Zagięła parol na pana Cosma i wszyscy wiedzieli, że szybko zostanie panią na Perrivale. Cosmo miał fioła na jej punkcie, Tristanowi też się podobała, że już nie wspomnę o Simonie. Słowem, wszyscy trzej zakochani w tej samej kobiecie, w dodatku wdowie. I co robi Simon? Zwabia Cosma do starego farmerskiego domu, Bindon Boys, i po prostu strzela mu w głowę. Mógł się z tego wywinąć, gdyby pan Tristan, teraz sir Tristan, nie nakrył go na gorącym uczynku.

— Gdzie jest ten stary dom?

— Och... gdzieś na wybrzeżu. Nadal tam stoi, chociaż to istna rudera. Zamierzali go wyremontować, ale po wypadku dali sobie spokój. Kto by chciał zamieszkać na miejscu zbrodni? No dobrze, chyba za dużo gadam. William ciągle mi to powtarza.

— To bardzo ciekawe.

— Cóż — odrzekła z dumą — nie w każdej okolicy trafia się morderstwo. Zresztą nie każdy chce o tym słuchać. Chociaż w tamtym czasie ludzie nie mówili o niczym innym.

Po wyjściu z oberży ogarnęły mnie mieszane uczucia. Z jednej strony zasmuciła mnie opinia właścicielki o Simonie. Z drugiej — cieszyłam się, że mogłam porozmawiać z kimś, kto w tamtym czasie mieszkał w pobliżu Perrivale Court. Oberżystka wyraźnie nie miała wątpliwości co do winy Simona i podejrzewałam, że taka była powszechna opinia. Uciekając, przekreślił wszelkie szanse.

Kiedy odjechaliśmy stamtąd, Lucas zagadnął:

— Zdaje się, że przypadła ci do gustu ta gaduła? Tak bardzo wciągnęło cię poznawanie lokalnego kolorytu...

— Naprawdę mnie to ciekawi.

— Zbrodnia fascynuje wielu ludzi. Pewnie dlatego, że wiąże się z tajemnicą. Ale czy ten przypadek jest taki tajemniczy?

— Czemu nie? A według ciebie, jaka jest prawda?

— To chyba oczywiste. Zbrodniarz uciekł.

Nie odważyłam się powiedzieć nic więcej, chociaż miałam chęć wykrzyknąć: „On jest niewinny! Wiem o tym!”. Tak trudno było się powstrzymać...

Do Trecorn Manor wróciłam okropnie zmęczona. Tak strasznie chciałam zobaczyć Perrivale Court, a przecież nic nie odkryłam, tylko uświadomiłam sobie z całą jasnością, jak bardzo wszyscy są uprzedzeni do Simona. Oczywiście wysłuchałam opinii jednej osoby, ale co z tego? Fakt, że uciekł, zawsze będzie świadczył przeciwko niemu.

* * *

Odbywałam właśnie jedno z moich przyjemnych posiedzeń z nianią Crockett. Bliźniaki, jak zwykle po południu, spały, co według opiekunki, miało im wyjść na dobre. Ellen miała wychodne i wybrała się do swych rodziców w pobliskiej wiosce.

Niania Crockett opowiadała mi, jak przyjechała z Londynu na swą pierwszą posadę w Kornwalii.

— Z początku to był koszmar. Zupełnie nie mogłam się przyzwycząić. Człowiek tęskni do normalnego życia, ale potem, kiedy dostaje pod opiekę maleństwa, zaczyna się przywiązywać. A samo miejsce... po prostu wpadłam z kretesem. Te wrzosowiska, morze i tak dalej... panienska też powinna skorzystać z okazji i wszystko sobie obejrzyć, naprawdę warto.

Opowiedziałam jej o przejażdżce.

— Zrobiliśmy szmat drogi. Dotarliśmy aż pod Upbridge. Niania zna to miasto?

— Czy znam?! No pewnie, w końcu mieszkałam kiedyś w pobliżu.

— A Perrivale Court?

Niania nagle zamilkła i na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, którego nie zrozumiałam.

— Ja myślę — rzekła po chwili. — Spędziłam tam osiem lat.

— W samym dworze?

— Tak, panienko, w Perrivale Court.

— Naprawdę?

— No przecież wyniańczyłam tych chłopców, czyż nie?

— To znaczy: Cosma...? Tristana...? Simona...?

— Właśnie. Byłam tam, kiedy przywieziono małego Simona, dobrze pamiętam ten dzień. Nigdy go nie zapomnę. Sir Edward powiedział, przekazując mi go: „To jest Simon. Ma być traktowany jak tamci”. Takie chucherko, wystraszone, oszołomione... Wzięłam go za rękę i zaczęłam pocieszać: „Nic się nie martw, koteczku, jest przy tobie niania Crockett i wszystko będzie dobrze”. Sir Edward był wyraźnie zadowolony, a to nieczęsto się zdarzało. Powiedział: „Dziękuję, nianiu. Proszę o niego dbać, z początku będzie czuł się obco”. No i przypadliśmy sobie do serca... od pierwszej chwili.

Z najwyższym trudem tłumiłam podniecenie.

— Co za dziwna sprawa... Tak po prostu sprowadzić do domu dziecko... Czy to się jakoś wyjaśniło?

— Ach, sir Edward nie zwykł niczego wyjaśniać. Należał do tych, co mówią, jak ma być i koniec. Jeśli powiedział, że chłopiec ma zostać, to nie było dyskusji.

— Proszę mi opowiedzieć o tym chłopcu. Jaki był?

— Miły... i bystry, jak się później okazało. Tęsknił za kimś, kogo nazywał Aniołem. Pewnie to jego matka. Trochę z niego wydobyłam, ale wie panienska, jak to bywa z dziećmi. Nie zawsze widzą rzeczy we właściwy sposób. Opowiadał o tym Aniele i jeszcze o jakiejś ciotce Adzie, której się strasznie bał. Zdaje się, że tego „Anioła” właśnie pochowali i dlatego chłopiec trafił do Perrivale. Nie mógł znieść bicia dzwonów... kiedyś znalazłam go pod łóżkiem z rękami na uszach. Myślał, że to Ada chce go zabrać, ale na szczęście zjawił się sir Edward.

Słuchałam pilnie. Znów byłam na wyspie i w uszach rozbrzmiewał mi głos Simona, który opowiadał, jak krył się pod stołem przed ciotką Adą.

— No i został u nas, a ile było plotek! Co to za chłopiec, po co go sprowadzono i tak dalej. Wszyscy mówili, że jest synem sir Edwarda, i po mojemu mieli rację. Choć to dziwne, bo sir Edward nie należał do tych, co uganiają się za spódniczkami. Zawsze akuraty, surowy, z zasadami...

— Czasem tacy ludzie miewają swoje sekrety.

— Święta racja, tylko że jakoś nie umiem sobie wyobrazić sir Edwarda w takiej roli. Powinna go panienska zobaczyć: wszystko musiało chodzić jak w zegarku, posiłki co do minuty i niechby kto się spóźnił! Zna panienska ten typ... Był tam lokaj, który przedtem służył w armii, i mówił, że czuje się jak w koszarach. Więc widzi panienska, że sir Edward nie z tych... Słyszałam o domach, w których żadna młoda kobieta nie mogła czuć się bezpiecznie, ale w Perrivale Court nawet te najładniejsze miały spokój.

— A był dobry dla chłopca?

— Ani tak, ani nie. Po prostu go przywiózł, kazał traktować jak tamtych, a potem jakby o nim zapomniał. Służbie to się nie podobało. Wie panienska, jacy bywają służący... boją się, żeby ktoś się nad nich nie wywyższał. Uważali, że mały Simon nie ma prawa przebywać w dziecinnych pokojach, i okazywali mu to na każdym kroku.

— Przejmował się tym?

— Kto wie, co kluje się w takiej głowinie? Ale był bystry i po mojemu doskonale się orientował.

— A czy niania go kochała...? Uśmiechnęła się do własnych wspomnień.

— Ze wszystkich dzieci, którymi się opiekowałam, on najbardziej przypadł mi do serca. A co do niego... według mnie, zastępowałam mu Anioła. To do mnie przybiegał ze wszystkimi zmartwieniami, a tych nie dało się uniknąć. Nawiasem mówiąc, Simon był starszy od pozostałych chłopców, niedużo, najwyżej o dwa lata. W młodym wieku to wyraźna przewaga, niestety tamci szybko pojęli różnicę: oni byli legalnymi synami, a ten nie. Wie panienska, jakie są dzieci: Cosmo zadzierał nosa, bo uważał się za dziedzica, a Tristan strasznie dawał się wszystkim we znaki. Tak często bywa z młodszymi synami. Natomiast Simon... ach, to był mój pupilek, najukochańszy ze wszystkich... Nie wiem dlaczego, może dlatego, że przywieziono go tak nagle, że tęsknił za matką... I pomyśleć, w co się potem wpakował!

— Niania tak dobrze go znała. Co się naprawdę wydarzyło?

— Myślę... Nie, ja wiem, że on tego nie zrobił. To nie ten typ. Nie mógłby.

— Ale uciekł.

— Ach, właśnie to każdy powtarza. No więc uciekł, bo miał swoje powody. Potrafił zadbać o własne sprawy, zawsze był taki. Znalazł wyjście z sytuacji. Ciągłe to sobie przypominam, bo się o niego martwię. Budzę się w nocy i myślę: gdzie on może być? A potem myślę, że gdziekolwiek jest, da sobie radę. I zaraz mi lepiej. Poradzi sobie... Kiedy tych dwóch młodszych płatało mu różne figle, zawsze to jego pozostało na wierzchu. Był sprytny, a przy jego pozycji to ważne, że umiał o sobie zadbać. Zawsze postępował tak, aby wyjść na swoje, i dobrze wiedział, co dla niego najlepsze.

— Byłam z panem Lucasem w „Królu Żeglarzy”. Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Oberzystka uważa, że Simon jest winny.

— To pewnie Sara Marks. Co ona wie? Powtarza stare opinie. Myśli, że jak jest żoną właściciela, to zjadła wszystkie rozumy. Wszystko odda za plotki! Podepcze czyjaś reputację, żeby tylko mieć o czym gadać. Znam ją... i znam Simona. Dam głowę za jego niewinność.

— Och, nianiu! Gdzie on może być?

— Cóż, tego nikt nie wie. Wyjechał i tyle... Czeka na odpowiedni moment.

— Myśli niania, że wróci, kiedy znajdzie coś na swoją obronę?

— Możliwe.

— A... napisałby do niani?

— Może. Wie, że z mojej strony nic mu nie grozi. Z drugiej strony, nie zechce mnie narażać. Chyba prawo coś o tym mówi?

— To się nazywa współudział.

— Niech będzie. Wcale mi nie zależy, dałabym sto funtów, gdybym je miała, za choćby słówko od niego...

Ach, jak mnie ucieszyła! Była sprzymierzeńcem Simona, dała się namówić do zwierzeń. Odtąd często zachodziłam do dzieciennych pokoi na pogawędkę z nianią Crockett.

* * *

Moja przyjaźń z bliźniakami coraz bardziej się zacieśniała. Jennifer uznała mnie za swą zdobycz i osobistą własność. Sprawiało mi to wielką przyjemność. Zostałam dopuszczona do sekretów jej lalek, poznałam ich wady i zalety, dowiedziałam się, które są grzeczne, a które sprawiają kłopoty. Na przykład miś Reggie nie chciał zażywać lekarstwa, a jednooka Mabel (oko straciła w jakimś tajemniczym wypadku) bała się ciemności i musiała sypiać w łóżku z Jennifer. Ja ze swej strony wymyślałam dzieciom różne historyjki, a oboje słuchali jak zaczarowani.

Czas szybko mijał i choć wcale nie tęskniłam do wyjazdu, wiedziałam, że niedługo trzeba się będzie pożegnać. Felicity zaczynała się niepokoić, ale czuła, że i dla mnie, i dla Lucasa ten pobyt okazał się zbawienny, więc — będąc altruistką z natury — starała się nie ujawniać swych obaw i cieszyła się naszą radością.

A jednak nawet ona nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze wpłynęła na mnie bliskość domu Simona i znajomość z tak oddaną mu osobą jak niania Crockett. Była po prostu uszczęśliwiona, widząc mnie z Lucasem czy przy dzieciach.

I nagle sprawy przybrały dramatyczny obrót.

Dzień zaczął się zwyczajnie. Przy śniadaniu wymieniano uwagi na temat nocnej ulewy, a potem rozmowa zeszła na starą panią Gregory, matkę jednego z farmerów.

— Powinnam ją odwiedzić — rzekła Theresa. — Nie byłam tam od miesiąca, jeszcze pomyśli, że o niej zapomniałam.

Zrozumiałam, że pani Gregory jest przykuta do łóżka i największą radość sprawiają jej odwiedziny kogoś, z kim może pogadać. Theresa, ze względu na całą swą wiedzę o sąsiedzkich sprawach, była szczególnie mile widziana. Odwiedzała też starszą panią w miarę regularnie, zawsze przynosząc jakiś upominek — ciasto, butelkę wina czy też coś innego, co mogło chorą ucieszyć. Ale najważniejsze, że spędzała z nią dobrą godzinę na pogawędce.

— Jest jeszcze ta drobna sprawa z dachem Masona — dodał Carleton. — Może wpadniesz tam przy okazji i powiesz, że Tom Allen będzie u nich w ciągu tego tygodnia.

— Pojadę drogą przez skałki.

Zwykły, przyjemny ranek, nie za ciepły, w sam raz na konną przejażdżkę. Lucas wydawał się w lepszym niż zazwyczaj nastroju, więc ruszyliśmy w stronę Upbridge.

— To chyba twój ulubiony kierunek — zauważył z uśmiechem. — Stary Snowdrop sam już zna tę drogę i nie czeka, aż się go poprowadzi. Wyraźnie intryguje cię tamto morderstwo.

— Podoba mi się ta droga — odrzekłam wymijająco.

Tego dnia naprawdę czułam, że robię jakieś postępy. Kilka mil przed Upbridge zdecydowaliśmy, że zawrócimy, aby nie spóźnić się na lunch. Mogliśmy wprawdzie zjeść coś w „Królu Żeglarzy”, ale zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, ponieważ nie uprzedziliśmy domowników.

Jechaliśmy wąską ścieżką, kiedy nagle zza zakrętu wyłonił się pastuch ze stadem owiec. Przystanęliśmy z boku, żeby poczekać, aż przejdą, i wtedy z tyłu nadjechała młoda, uderzająco piękna kobieta. Miała podłużne, zielone oczy, ocienione gęstymi, czarnymi rzęsami oraz płomiennie rude włosy, przykryte zawadiacko włożonym czarnym, jeździeckim kapeluszem. Patrzyła na nas z pewnym zaskoczeniem jak człowiek, który napotkał niespodziewaną przeszkodę.

— Oto uroki życia na wsi! — zagaiła.

— Z którymi musimy się pogodzić — dodał Lucas.

— Państwo z daleka?

— Z Trecorn Manor.

— Ach... Więc pewnie jest pan tym panem Lorimerem, który przeżył katastrofę statku?

— W rzeczy samej. A to jest panna Cranleigh, która uratowała się razem ze mną.

— Jakie to interesujące! Jestem Mirabel Perrivale.

— Miło nam panią poznać, milady.

Byłam tak zaskoczona, że mogłam ją tylko podziwiać. Co za wspaniała uroda! Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła, kiedy pojawiła się po raz pierwszy!

— To dzięki owcom. Och, spójrzcie, już prawie zeszły z drogi!

Ruszyliśmy naprzód i wkrótce dojechaliśmy do rozwidlenia dróg.

Nasza nowa znajoma skręciła w lewo, my w prawo.

— Do widzenia! — zawołaliśmy, zanim zniknęła nam z oczu.

— Jaka piękna! — westchnęłam. — Więc to jest Mirabel, owa *femme fatale*!

— Musisz przyznać, że pasuje do tej roli.

— Rzeczywiście, nie pozostaje mi nic innego. Jakie to dziwne, żeśmy ją spotkali!

— Nie takie dziwne, przecież mieszka w pobliżu.

— A kiedy wspomniałeś o Trecorn Manor, od razu wiedziała, kim jesteś.

— No cóż, ja także doczekałem się pewnego rozgłosu. Rozbitek z tonącego statku to ktoś godny uwagi... może nie tak, jak bohaterka sprawy o morderstwo, ale zawsze...

Kiedy dotarliśmy do Trecorn Manor, wybiegł nam na spotkanie stajenny.

— Zdarzył się wypadek! — wołał z daleka. — Wypadek? Kto...

— Pani Lorimer! Właśnie ją przynieśli. Skała...

* * *

W domu zapanowała żałoba.

Theresa, jeszcze rano taka pełna życia, teraz leżała martwa! Wciąż zbyt oszołomieni, nie mogliśmy pojąć tej tragicznej prawdy.

Zdążyła odwiedzić panią Gregory i zostawić jej podarunki. Gawędziły około godziny, po czym Theresa wyruszyła górską ścieżką na farmę Masona. Często tamtędy jeździła, więc nie brała pod uwagę żadnego zagrożenia. W nocy jednak mocno padało i nagle zbocze się osunęło. Lawina błota

spadła tuż pod nogi konia, który wystraszył się, stanął dęba i runął w dół. Theresa zginęła na miejscu.

— Dobrze, że jeszcze nie wyjechałyśmy — zauważyła Felicity — chociaż oczywiście nie pocieszymy Carletona. Byli tacy szczęśliwi, tak do siebie pasowali... Co on teraz pocnie?

— Biedaczysko! Na razie jest w szoku i pewnie jeszcze to do niego nie dotarło. Myślisz, że powinniśmy zostać?

— Cóż... chyba na razie musimy się wstrzymać z wyjazdem. Teraz nie sposób z nimi rozmawiać, może po pogrzebie...

Przy najbliższej okazji zapytałam Lucasa, co myśli o naszym wyjeździe.

— Och, nie, proszę! Mój biedny brat jest w takim stanie, że w ogóle nie może mówić. Chyba jeszcze nie uświadamia sobie w pełni, co się stało. Musimy pamiętać przede wszystkim o nim. Polegał na niej bardziej, niż sądził, taki był jej oddany... Obawiam się, że w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy, ile Theresa dla nas znaczyła; jej dobroć, brak egoizmu i takt przyjmowaliśmy jako coś oczywistego. Teraz dopiero widzimy, kogo straciliśmy. Carleton miał szczęście... teraz to tym gorzej dla niego. Będzie za nią tęsknił w każdej minucie każdego dnia... zresztą jak my wszyscy... Proszę cię, Rosetto, nie opuszczajcie nas jeszcze!

— James musi wracać do pracy.

— Tak... Niedługo po was przyjedzie.

Pokiwałam głową.

— Ale to nie znaczy, że i ty musisz jechać.

— Oczywiście, że muszę!

— Nie rozumiem dlaczego. Przecież nic cię nie nagli.

— Ale... w takim czasie nie będę tu mile widziana.

— Co za bzdura! Wiem, że twoja obecność tylko nam pomoże.

Powiedziałam to Felicity.

— Lucas ma rację — brzmiała odpowiedź. — Przy tobie poczuje się inaczej. Na pewno potrafisz rozmawiać z nim o tej tragedii.

— Nie mogę zostać bez ciebie. Zmarszczyła brwi.

— Pewnie ciotka Maud uznałaby, że powinnaś wracać. Ale ja w zasadzie nie widzę powodu. Śmiało możesz zostać jeszcze trochę. My oczywiście musimy jechać.

I na tym stanęło. Wkrótce potem przybył James, który też przeżył wielki szok. Do nas wszystkich stopniowo zaczął docierać ogrom tragedii, jaka spadła na dom.

Niania Crockett mówiła:

— To miejsce nigdy już nie będzie takie, jak przedtem. Pani Lori — mer pilnowała, żeby wszystko szło jak w zegarku. Na pewno odczujemy wielką różnicę. Najbardziej martwię się o dzieci; będzie im brakowało matki. Owszem, mają mnie, a teraz także panienkę, ale i tak będą tęsknić. Często wpadała do dzieci, a one wyczekiwały jej wizyt. Nie wiem, jak to na nie wpłynie.

W tym smutnym okresie okropnie żal mi było Carletona. Chodził po domu półprzytomny, jak we śnie. Lucas mówił, że jest w stanie rozmawiać wyłącznie o Theresie.

Sam zresztą także bardzo przeżywał śmierć bratowej.

— To najgorsze, co mogło spotkać Carletona — oświadczył. — Byłem skończonym egoistą, narzekając na własne problemy. Wmawiałem sobie, że mój brat jest szczęściarzem, że wszystko samo wpada mu w ręce, a teraz... nie ma dla niego pociechy.

Strasznie się obawiałam pogrzebu. Do kościoła zjechali wszyscy okoliczni mieszkańcy, pogrążeni w szczerej żałobie. Theresa była powszechnie kochana i szanowana.

Niania Crockett została z dziećmi w ich części domu. Zastanawiałam się, co też sobie myślą, słysząc posępny głos dzwonów. Przypomniało mi się, że Simon wiele lat temu też słyszał takie

dźwięki. Dla niego brzmiały jak głos przeznaczenia, które odebrało mu Anioła i skazało na nieznany los.

Kiedy wszyscy wyjechali i dom opustoszał, powędrowałam do dziecinnego skrzydła, gdzie zastałam nianię w głębokiej czerni. Kręciła smutno głową.

— Ciągłe zadają pytania. Co można powiedzieć takim maleństwu? Nic nie rozumieją. „Mamusia poszła do nieba” — powiadam. „A kiedy wróci?” — zaraz pytają. „No cóż, ludzie, jak już wybiorą się do nieba, to chcą tam spędzić trochę czasu”. A na to Jennifer: „Byliby źle wychowani, gdyby’za szybko wyszli, prawda?”. O mało się nie załamalam. A ona jeszcze dodała: „Mamusia pije herbatkę z Bogiem i aniołami”. Człowiekowi serce krwawi...

Dzieci nas usłyszały i wybiegły z sypialni. Stały cichutko, z poważnymi buziami. Wyczuwały, że dzieje się coś okropnego i wszyscy są smutni.

Jennifer popatrzyła na mnie i skrzywiła buzię do płaczu.

— Chcę do mamusi.

Wyciągnęłam ręce, a mała rzuciła mi się na szyję. Henry zaraz ruszył w jej ślady. Mocno ich przytuliłam.

I to przesądziło sprawę. Musiałam jeszcze trochę zostać.

* * *

Byłam zadowolona ze swej decyzji. Czulałam, że robię coś pożytecznego, wnosząc nieco pociechy do tego porażonego nieszczęściem domu.

Sporo czasu spędzałam u dzieci o tej porze, w której zwykła odwiedzać je matka. Razem z nianią Crockett skutecznie pomogłyśmy im otrząsnąć się z szoku pierwszych tragicznych dni. Były za małe, by zrozumieć w pełni, co się wydarzyło, więc starałyśmy się łagodzić przykrą atmosferę, jaką nieuchronnie wyczuwały. Czasem, pochłonięte zabawą, zapomniały, ale kiedy indziej któreś z nich budziło się w nocy i z płaczem wołało matkę. Oczywiście to drugie budziło się także i wtedy albo niania, albo ja musiałyśmy oboje pocieszać.

Carleton nie mógł wyrwać się z odretwienia. Cios okazał się tym silniejszy, że nieoczekiwany. Na szczęście w posiadłości było mnóstwo pracy. Na każdym kroku spotykał się też ze współczuciem i zrozumieniem. Wiedziałałam, że nigdy już nie będzie taki jak przedtem. Dotąd jego życie było jednym pasmem powodzenia, więc spodziewał się, że tak już zostanie, a tymczasem wszystko legło w gruzach. Czasem jakby nie dowierzał, że naprawę go to spotkało, że Teresy już nie ma i nie będzie.

Lucas wpadł w filozoficzny nastrój. On przynajmniej nie oczekiwał, że życie upłynie mu w radości i spokoju. Zaznawszy już nieszczęścia, nie zdziwił się, kiedy dotknęło go znowu. Może dlatego patrzył na wszystko bardziej realistycznie.

— Tak wiele dla nas zrobiłaś — powiedział mi. — Mieliliśmy szczęście, że się tu znalazłaś w tym czasie.

— To i tak mniej, niżbym chciała.

— Ty i niania Crockett tak cudownie zajęłyście się dziećmi. A co do Carletona... jemu tylko czas pomoże.

Znów odbywaliśmy krótkie przejażdżki i tak mijały dni.

Guwernantka

Wie mogłam siedzieć w Trecorn Manor w nieskończoność, ale za powrotem do Londynu także bynajmniej nie tęskniłam. Przyjechałam tu w nadziei, że odkryję coś, co pomoże mi wyświetlić tajemnicę, teraz jednak widziałam, jak śmieszny był mój optymizm.

Śmierć Theresy na pewien czas przysłoniła tamtą tragedię, ale teraz moja obsesja wróciła. Czasem mi się zdawało, że gdybym tylko mogła dostać się do Perrivale Court i poznać bliżej głównych bohaterów dramatu, może zrobiłabym jakieś postępy. To czysta głupota sądzić, że coś mi da samo przebywanie w pobliżu tamtej posiadłości. Czułam się taka osamotniona i nie wiedziałam co robić. Niekiedy byłam bliska dopuszczenia do sekretu Lucasa. Przy swoim sprycie i inteligencji mógł wpaść na jakiś pomysł. Z drugiej strony mógł też uznać moją wiarę w niewinność Simona za romantyczną mrzonkę. Z właściwym sobie realizmem powiedziałaby: „Tego człowieka przyłapano z bronią w ręku. Uciekł, bo bał się stawić czoło śledztwu. To mówi samo za siebie, a fakt, że okazał się zaradny i uratował nam życie, nie świadczy o jego niewinności”.

Nie, nie mogłam całkowicie zaufać Lucasowi, ale tak bardzo pragnęłam komuś się zwierzyć... komuś, kto działałby razem ze mną, wspierał w poszukiwaniu prawdy, kto także by wierzył w Simona...

Nie mogłam na to liczyć, a więc powinnam wracać do domu. Od wyjazdu Felicity i Jamesa minęły już dwa tygodnie, a zamierzałam pozostać tylko przez jeden.

Na samą jednak myśl o Bloomsbury i ciotce Maud wpadałam w okropne przygnębienie. Nie mogłam stawić temu czoła, zresztą powinnam też zastanowić się nad dalszą przyszłością. Moja niesamowita przygoda stała się mostem łączącym dzieciństwo z dorosłością.

Czułam się zagubiona i samotna. Gdybym tylko... powtarzałam sobie w kółko, gdybym tylko potrafiła udowodnić niewinność Simona! Gdyby tylko wrócił, gdybyśmy mogli być razem...

Więź, jaka między nami powstała, wydawała się nierozzerwalna. Owszem, Lucas także uczestniczył w naszej przygodzie, lecz nie do tego stopnia, jak my oboje. Chociaż przebywaliśmy wszyscy tak blisko siebie, Lucas nie poznał sekretu Simona i dlatego stał z boku. Był jednak bardzo spostrzegawczy i czasem się zastanawiałam, czy czegoś nie odgadł.

Po kilka razy w ciągu dnia chciałam już zwierzyć mu się ze swych uczuć... ze wszystkiego.

Na pewno bardzo by mi pomógł... a jednak wciąż nie mogłam się odważyć.

Rozważałam to wszystko i pod koniec każdego dnia dochodziłam do wniosku, że nie tędy droga. Czy powinnam dać sobie spokój ze śledztwem, które wydawało się beznadziejne? Czy mam wrócić do Bloomsbury i złożyć swój los w ręce energicznej ciotki Maud?

Najwięcej pociechy dawały mi rozmowy z nianią Crockett. To ona stanowiła najmocniejsze ogniwo łączące mnie z Simonem. Kochała go tak, jak — przyznawałam to teraz — ja go kochałam i to nas z sobą wiązało.

Była gadatliwa z natury, a morderstwo w Bindon Boys należało do jej ulubionych tematów, toteż wracała do tej sprawy nawet bez żadnej zachęty z mojej strony. Stopniowo zaczęły wyłaniać się pewne fakty, które według mnie były najwyższej wagi.

Wiedziała nawet to i owo na temat domowników Perrivale'ów w owym czasie.

— Lubiłam tam wpadać od czasu do czasu, tuż przed tym wypadkiem. Bo widzi panienska, kiedy chłopcy wyjechali do szkoły, przyjąłem posadę w Upbridge... to bardzo blisko. Takie kochane stworzenie, na imię miała Grace... ogromnie ją polubiłam. Pomogła mi się pozbierać po stracie mojego chłopca... nie, to nie znaczy, że umarł, Simon nie z tych... Odwiedzał mnie tam czasami albo ja jeździłam do Perrivale na herbatkę z gospodynią, panią Ford... to moja

przyjaciółka, trzęsie całym domem jeszcze do dzisiaj, nawet kamerdynera ma pod pantoflem. Pocziwa z niej dusza, ale wie też, jak utrzymać w domu porządek. No cóż, taka powinna być gospodyni. Oczywiście do części dziecięcej się nie wtrącała, o nie, nigdy nawet nie próbowała, więc żyłyśmy w przyjaźni. Bywałam u niej na herbatce, bo zawsze to miło wiedzieć, co piszczy w trawie.

— Ale teraz, po przeniesieniu do Trecorn Manor, już niania jej nie widuje?

— Owszem, czasem tam bywam. Jeśli Jackowi Carterowi wypadnie kurs do Upbridge, to mnie z sobą zabiera. Podrzuca mnie do dworu, a kiedy skończy załatwiać swoje sprawy, zajeżdża po mnie i razem wracamy. Mam miłą rozrywkę i nie tracę kontaktu ze starymi znajomymi.

— Więc niania nadal tam jeździ!

— Przerwałam wizyty po tym nieszczęściu, bo uznałam, że mi nie wypada, zresztą wszędzie kręciła się policja, węszył kto tylko mógł... sama panienka rozumie.

— A kiedy niania była tam po raz ostatni?

— Ponad trzy miesiące temu. To już nie to samo miejsce, odkąd Simon wyjechał.

— Ale to już tak dawno...

— Tak, kawał czasu. Ale kiedy gdzieś zostaje popełnione morderstwo, wszystko się zmienia.

— Proszę mi opowiedzieć coś o domownikach.

— Panienka to taka jak wszyscy. Ta ciekawość zbrodni!

— Cóż... to tajemnicza sprawa. I niania nie wierzy, że Simon to zrobił.

— Nie wierzę. I dużo bym dała, by móc to udowodnić.

— Może rozwiązanie zagadki kryje się gdzieś w domu.

— A to co znowu? Co panienka sugeruje?

— Ktoś przecież musiał zabić tego Cosma i może ktoś inny w domu zna prawdę.

— Ktoś gdzieś na pewno wie, tego jestem pewna.

— Więc proszę mi opowiedzieć o domu...

— No... przede wszystkim był sir Edward...

— On już nie żyje.

— Umarł, akurat kiedy popełniono tę zbrodnię. Jeszcze przedtem ciężko chorował... spodziewano się jego śmierci.

— A starsza lady Perrivale?

— O, to była megiera! Pochodziła z północy, bardzo się od nas różniła. Lubiła stawiać na swoim i sir Edward jej na to pozwalał, z wyjątkiem tej jednej sprawy kiedy przywiózł chłopca. Nie chciała go, to naturalne, ale sir Edward się uparł i tyle. Nigdy nie zapomniała, że to jej pieniądze uratowały majątek Perrivale. Pani Ford powiada, że gdyby lady Perrivale nie zjawiła się w porę, to dom dawno stoczyłyby robaki. Urodziła też synów — Cosma i Tristana, była z nich bardzo dumna. I nagle zjawił się Simon... Tak sobie czasem myślę, że biedaczek lepiej znosiłby jawne awantury niż te wszystkie złośliwości. Zresztą nie tylko pani mu dokuczała, także służba i inni. Gdybym nadal zajmowała się dziećmi, nigdy bym do tego nie dopuściła... ale już to mówiłam.

— Lubię o tym słuchać, bo za każdym razem wychodzi na jaw coś nowego.

— No więc, jak już wspominałam, Perrivale Court nie był szczęśliwym domem. Między państwem nie układało się tak, jak powinno, takie rzeczy się wie. Nawiasem mówiąc, on zawsze zachowywał się przyzwoicie... traktował ją jak panią domu, ale i tak było wiadomo. Pani należała do tych, co z każdym innym mężczyzną dałaby sobie radę, ale sir Edward był dziwnym człowiekiem. To on rządził w domu, chociaż jej pieniądze uratowały posiadłość, a pani wciąż mu to wytykała. A poza tym sir Edward ściśle przestrzegał zasad. Jeśli któraś z dziewcząt narobiła sobie kłopotów z mężczyzną, to obowiązkowo wyprawiano im wesele, zanim pojawiły się

pierwsze oznaki. Co rano w holu odbywały się wspólne modlitwy i każdy z domowników musiał w nich uczestniczyć.

Milczałyśmy przez chwilę obie. Niania patrzyła w przestrzeń, uśmiechając się do własnych wspomnień.

— Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu chłopców do szkoły i niania Crockett nie była więcej potrzebna. Ale dostałam tę posadę w Upbridge, można powiedzieć, że o rzut kamieniem, więc nie czułam się zupełnie odcięta. Grace okazała się przemyłym dzieckiem, jedynaczką bardzo szanowanych rodziców, państwa Burrows. Ojciec był lekarzem. Opiekowałam się małą, póki nie wysłano jej do szkoły. Ciągle mi powtarzała: „Niania będzie kiedyś nianią moich dzieci”, a ja jej odpowiadałam, że nianie starzeję się tak jak wszyscy i w końcu nadchodzi czas, kiedy muszą pomyśleć o własnej wygodzie. Pożegnania zawsze są smutne, bo człowiek się przywiązuje... tak to już jest.

— Wiem, wiem.

— Ja miałam szczęście do dzieci. Simon mnie często odwiedzał, no i pozostawały jeszcze te herbatki z panią Ford.

— A po Grace Burrows przyjechała niania tutaj? Przytaknęła.

— To się zdarzyło podczas mojego ostatniego roku u Burrowsów.

— Więc — zapytałam z nutą podniecenia w głosie — była niania w pobliżu?

— Parę razy ją nawet widziałam.

— Kogo?

— No, tę wdowę.

— I co niania o niej myśli?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

— Tego rodzaju kobiety zawsze przynoszą nieszczęście. Mają w sobie coś niebezpiecznego. Niektórzy uważali ją za czarownicę. Ludzie są ciekawi takich spraw, zaraz gadają o lataniu na miotle czy rzucaniu uroków. No cóż, kiedy zawitała w te strony, u Perrivale'ów naprawdę zdarzyło się nieszczęście.

— Niania myśli, że miała z tym coś wspólnego?

— To powszechna opinia. Nie widuje się tu wielu takich jak ona. Nawet wyglądem się różni — te rude włosy i zielone oczy... Zjawiała się tak nagle i jeszcze to dziecko... prawie tak samo dziwne jak matka. Natomiast jej ojciec był zupełnie inny, wszyscy przepadali za panem majorem. Taki dobroduszny, sympatyczny, prawdziwy dżentelmen.

— Proszę mi opowiedzieć o jej dziecku. Niania tak się zna na dzieciach...

— Tylko na moich podopiecznych. O tak, znam ich wszystkie zwyczaje i upodobania... czytam w nich jak w otwartej księdze. Ale ta mała... niewiele miałam z nią do czynienia i wcale bym nie chciała. Po mojemu nie będzie taka jak matka. Nazywa się Kate, tak miło, zwyczajnie, nie jakaś tam Mirabel. Co to w ogóle za imię?!

— Po prostu tak ją nazwano. Ja mam na imię Rosetta, też można uznać, że dziwnie.

— Ach, nie, jest śliczne! To po prostu „róża”, a cóż jest milszego od róży?

— Czego niania się dowiedziała o Mirabel i Kate?

— Tylko tyle, że są dziwne. Przyjechały z ojcem Mirabel i zamieszkały razem w jednym z domków. Od początku było widać, że wdowa rozgląda się za następnym bogatym mężem i że ma oko na Perrivale'ów. Podobno mogła złapać każdego z nich, ale wybrała Cosma, bo jako starszy syn dziedziczył majątek i tytuł.

— A co na to rodzina? Wyobrażam sobie, że sir Edward, przy swych staroświeckich poglądach, mógł mieć obiekcje?

— Ach, on już był jedną nogą na tamtym świecie. Natomiast lady Perrivale dała się oczarować Mirabel, jak wszyscy pozostali. Ponoć przyjaźniła się kiedyś z panem majorem. Pn poślubił jej szkolną przyjaciółkę i z tego związku urodziła się Mirabel. Lady Perrivale zaproponowała, żeby się tu osiedlili. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale tak ludzie gadają. Major ciągle siedział w Perrivale Court i zupełnie ją zawojował. O tak, lady Perrivale ze wszystkich sił dążyła do tego małżeństwa.

— A potem...

— Wszyscy myśleli, że Simon zakochał się po uszy, podobnie jak tamci. Uznano więc, że miał motyw.

— Nianiu, on tego nie zrobił! — wykrzyknęłam z żarem. — Po co mu to? Nie wierzę, by mógł pokochać tego rodzaju kobietę!

— Pewnie, miał za dużo rozsądku. Poza tym skąd mógł wiedzieć, że po śmierci Cosma zwróciłaby się do niego? Nie, to nie jest rozwiązanie. Ach, jak bym chciała znać prawdę!

— Niania wierzy w niewinność Simona, prawda? Bez żadnych zastrzeżeń?

— Wierzę. A znam tego chłopaka lepiej niż wszyscy inni.

— Czy to można naprawdę poznać drugiego człowieka?

— Ja tam znam moje dzieci.

— Czy pomogłaby mu niania, gdyby to było możliwe?

— Z całego serca.

I wtedy jej powiedziałam. Przedstawiłam całą historię, począwszy od naszego spotkania na pokładzie do czasu, kiedy się rozstaliśmy przed ambasadą w Stambule.

Niania osłupiała.

— I przez cały ten czas panienka nie pisnęła ani słowa!

— Nie byłam pewna, czy mogę. Musiałam chronić Simona, chyba niania rozumie?

Pokiwała wolno głową, a potem chwyciła mnie mocno za rękę.

— Nianiu — powiedziałam poważnie. — Muszę dowiedzieć się prawdy. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

— Ja także.

Poczułam przypływ nadziei.

— Nianiu, działajmy razem. Udowodnimy, że Simon jest niewinny.

Oczy jej błyszczały, a ja po raz pierwszy od dłuższego czasu byłam szczęśliwa.

* * *

Jakże inaczej się czułam, dzieląc swój sekret z nianią Crockett! Gadałyśmy bez przerwy, walcząc wciąż to samo. Aż dziw bierze, ile pomysłów nam się przy tym nasunęło. Doszłyśmy do wniosku, że ktoś z tamtego domu wie, kto zabił Cosma, a gorące pragnienie wykrycia prawdy trawiło nas w tym samym stopniu.

Kilka dni później Jack Carter zostawił wiadomość, że wybiera się w stronę Upbridge, więc jeśli niania zechce się z nim zabrać, to on, Jack, będzie szczęśliwy, mogąc jej oddać przysługę, a przy okazji zapewnić sobie miłe towarzystwo.

Zabrzmiało to jak odpowiedź na nasze modlitwy. Niania zdecydowała, że jeśli zastąpię ją przy dzieciach, to pojedzie, co też uczyniła w stanie wielkiego podniecenia.

Dzień strasznie mi się dłużył. Z Lucasem nie rozmawiałam, bo cały czas zajmowałam się dziećmi. Bawiłam się z nimi, czytałam im książeczki, opowiadałam różne historyjki. Były uszczęśliwione, ale ja liczyłam minuty do powrotu niani.

Nie wiem, czego mogłam się spodziewać w tak krótkim czasie.

Wróciła wreszcie, wyraźnie starając się opanować ekscytację, ale z początku nie powiedziała ani słowa. Dopiero kiedy dzieci — po kolacji, złożonej z chleba z masłem i mleka — leżały bezpiecznie w łóżeczkach, zasiadłyśmy do pogawędki.

— No — zaczęła — miałam nosa, że się tam wybrałam. Zdaje się, że tamtejsza pani ma nie lada kłopoty.

— Niania ma na myśli lady Perrivale?

— Nie, tę młodszą.

Splotła ręce na kolanach i patrzyła na mnie, aż kipiąc z satysfakcji, jak ktoś, kto ma w zanadru ważną nowinę, ale celowo odwleka przyjemność jej wyjawienia, by wyrzucić tym większe wrażenie.

— I co z nią? — dopytywałam się niecierpliwie. — Jakie kłopoty?

— Cóż... niby nic niezwykłego. To zdarza się regularnie, ale zawsze doprowadza ich do rozpacz. Chodzi o pannę Kate.

— Och, proszę, nianiu, co ona takiego zrobiła? To ma jakiś związek z tamtym wydarzeniem?

Wyciągnęła się wygodnie z domyślnym uśmieszkiem na ustach. Zaczynała mnie już denerwować.

— No więc wynikła taka sprawa, że znów odeszła guwernantka. Żadna nie jest w stanie wytrzymać z małą Kate dłużej niż tydzień i za każdym razem wybucha z tego powodu zamieszanie. Ta dziewczynka to prawdziwy szatan, gdyby mnie kto pytał... I właśnie pani Ford mi wyznała, że modła się o taką guwernantkę, która zapewniłaby Kate stosowne wykształcenie, a zarazem trzymała ją z daleka od dorosłych. Wszyscy w domu rwą sobie włosy z głowy, bo nie mogą nikogo znaleźć, a Kate się z nich śmieje w kułak, bo absolutnie nie chce żadnej guwernantki. Bóg wie, jak wiele ich się przewinęło przez dom, ale żadna nie pozostała dłużej. Pani Ford uważa, że jakoś to trzeba załatwić, chociaż nikt już nawet nie chce próbować. To małe lichy, ta Kate, zawsze postawi na swoim. Pani Ford się martwi, że jeśli nie znajdą nikogo, kto by ją poskromił, to nie tylko guwernantki zaczną stamtąd odchodzić... Tak się mają sprawy w Perrivale. — Umilkła i utkwiała we mnie spojrzenie. — Powiedziałam do pani Ford: „Właśnie się zastanawiam, czy...”.

— Czy co, nianiu? — przerwałam jej ostro.

— Nie wiem, czy to nie jest bez sensu, ale... przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Tak?...

— „Sama nie wiem... — powiedziałam do niej — jest pewna młoda dama, dobrze wykształcona, po najlepszych szkołach i tak dalej. Na razie siedzi w domu, ale podobno chciałaby coś robić, chociaż w zasadzie nie musi... taki niespokojny z niej duch. Cóż... z moją dwójką nawet nieźle sobie radzi, lubi uczyć ich różnych rzeczy. No więc... To tylko taki luźny pomysł”. Powinna panienka widzieć minę pani Ford! Toż by ją ozłocili, gdyby znalazła im guwernantkę!

— Co niania sugeruje?

— Przecież ciągle mówimy, jakby to było świetnie, gdyby panienka dostała się do tamtego domu. Gdzieś tam kryje się sekret i nie ma innego sposobu, żeby go poznać.

Ogarnęła mnie fala podniecenia.

— Myśli niania, że by mnie wzięli?

— Z pocałowaniem ręki. Gdyby panienka widziała panią Ford... Nie dawała mi spokoju, wciąż powtarzała: „Zapytasz ją?”, „Czy aby zechce?”. Rozegrałam to bardzo ostrożnie, tak aby myśleli, że trzeba będzie panienkę namawiać. „Mogę tylko napomknąć — powiedziałam. — Niczego nie gwarantuję”. Już ona nie popuści, rzuciła się na to jak pies na kość.

— Nie mam żadnej praktyki. Skąd mogę wiedzieć, czy dam sobie radę?

— Wystarczy spojrzeć, jak paniencie idzie z bliźniakami.

— One są małe. To nie to, co rozwydrzona dziewięciolatka.

— No tak, może i racja, ale kiedy pani Ford mi o tym powiedziała, poczułam, że to istny dar od Pana Boga...

— Na to wygląda, Tak długo marzyłam o jakiejś sposobności...

— I teraz panienka ją ma.

— Co jeszcze mówiła pani Ford?

— Zastanawiała się, jak długo panienka wytrzyma... jeśli w ogóle się zdecyduje. Ona nie rozumie, dlaczego ktoś, kto nie musi pracować, miałby się zgodzić na tak niewdzięczną posadę. Oczywiście nie wyjaśniłam jej, że są po temu powody, więc nagle zmieniła ton, żeby mnie nie zniechęcać. Powiedziała: „Cóż, może panna Cranleigh jakoś sobie z nią poradzi... Może te poprzednie nie bardzo się nadawały”. No i prosiła, żebym jak najprędzej panienkę zapytała. Gdyby się udało, bardzo zyskałaby w oczach swojej pani. Odparłam, żeby specjalnie na to nie liczyła, ale obiecałam spróbować.

Tak mnie zaskoczyła ta propozycja, że z początku trudno było mi pojąć wszystkie implikacje. Próbowałam nieco ochłonąć. Miałabym trafić do obcego domu jako ktoś w rodzaju służącej. Co ojciec by na to powiedział? A ciotka Maud? Nigdy się na to nie zgodzą. I jaka byłaby moja pozycja przy dziecku, z którym nie wytrzymała żadna z dotychczasowych nauczycielek?

A jednak... Zaledwie kilka godzin temu modliłam się o jakąkolwiek szansę. Widziałam jasno, że póki nie postawię nogi w tym domu, nie dowiem się czegoś o jego mieszkańcach, to nie wykryję też prawdy o morderstwie Cosma.

Tak, pomimo wszelkich wątpliwości nie pozostawało mi nic innego, jak uchwycić się obiema rękami tej zesłanej z niebios sposobności.

Niania Crockett nie spuszczała ze mnie oczu. Na jej twarz powoli wypłynął uśmiech.

Wiedziała, że pojedę do Perrivale Court.

* * *

Wkrótce stało się jasne, że w Perrivale Court przyjmą mnie z otwartymi rękami. Lady Perrivale musiała być mocno zdesperowana ciągłymi poszukiwaniami guwernantki dla swej córki, bo moją kandydaturę powitała z prawdziwym entuzjazmem.

Przysłała nawet po mnie powóz, abyśmy mogły bezzwłocznie omówić warunki. Na szczęście Lucasa nie było wtedy w domu, a moje lęki zagłuszyła euforia na myśl o ewentualnych perspektywach realizacji głównego celu.

Uprosiłam nianię Crockett, by zatrzymała nasz projekt w sekrecie, bo nie chciałam, żeby Lucas dowiedział się, zanim zapadnie ostateczna decyzja. Przewidywałam, że się bardzo zdziwi, będzie zadawał kłopotliwe pytania i oczywiście — nie znając moich racji — podejmie próby zniechęcenia mnie, gdyż nie zrozumie, po co mi taka posada.

Przestałam dumać nad przedziwnym zrzędzeniem losu, który zesłał mi tę okazję. Tak wiele osobliwych rzeczy przydarzyło mi się ostatnio, że byłam przygotowana na wszystko, jak każdy, kto godzi się na odstępstwa od konwencjonalnego życia. I oto na drodze ukazał się wspaniały powóz zaprzęzony w dwa szlachetne konie — czarnego i białego, ze stangretem w eleganckiej liberii domu Perrivale.

Dojeżdżając do dworu, zobaczyłam w oddali morze. Dziś było w kolorze jasnego błękitu, spokojne i łaskawe. Ilekroć stykam się z morzem — nawet najspokojniejszym — zawsze mam przed oczami rozwścieczone fale, które odegrały tak dramatyczną rolę w moim — i nie tylko moim — życiu. Nigdy już nie zaufam morzu, ale jeśli zamieszkać w Perrivale Court, będę je codziennie widywać...

Jeśli zamieszkać? Muszę! Coraz mocniej uświadamiałam sobie konieczność zdobycia tej posady.

Samo miejsce wydawało się zawieszzone w czasie. Szare, kamienne mury, zwieńczone machikułami, smagane wiatrem historii dawały wrażenie obronnego zamku, fortecy. Lucas mówił, że dwór przebudowywano tak często, iż już zatracił swój pierwotny styl. To możliwe, kiedy jednak wjeżdżałam przez bramę na dziedziniec, gdzie zatrzymał się powóz, raczej nie analizowałam swoich odczuć.

Natychmiast otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta w średnim wieku, niemal na granicy starości. Instykt podpowiedział mi, że to pani Ford.

Wyszła, żeby osobiście przywitać swą protegowaną i okazać, jak bardzo się cieszy z mojego przyjazdu.

— Proszę tędy, panno Cranleigh. Nazywam się Ford. Lady Perrivale chce się natychmiast z panią zobaczyć. Bardzo mi miło panią poznać.

Było to wylewne powitanie, znacznie serdeczniejsze od tego, jakiego mogłaby oczekiwać guwernantka, lecz kiedy przypomniałam sobie powód, euforia mi zaraz minęła.

— Niania Crockett powiedziała mi wszystko o pani...

Niezupełnie, pomyślałam. Potrafiłam sobie wyobrazić te peany, podkreślające zalety, jakich wcale nie posiadałam.

— Pójdziemy teraz do lady Perrivale, dobrze? Proszę za mną.

Znajdowałyśmy się w długim i przestronnym holu, o ścianach zawieszonych bronią, z wielkim kominkiem i siedziskami po obu jego stronach. Stukając obcasami o wyłożoną płytkami posadzkę, zmierzałyśmy w stronę schodów. Hol nie różnił się od innych tego typu, z wyjątkiem witraży w jednym końcu. Mieniły się pięknymi barwami rubinu i szafiru, rzucając kolorowe refleksy na posadzkę. Umieszczona strategicznie u wejścia na schody, stała — niczym wartownik na straży — kompletna zbroja. Wyglądała jak żywy rycerz i idąc za panią Ford, nie potrafiłam powstrzymać trwożnych spojrzeń.

Długim korytarzem dotarłyśmy do drzwi, do których zapukała gospodyni.

— Proszę — rozległ się głos.

Pani Ford przepuściła mnie przodem i zaanonsowała:

— Oto panna Cranleigh, milady.

Siedziała niczym na tronie w fotelu obitym ciemnym aksamitem. Miała na sobie szmaragdową suknię, doskonale pasującą do rudych włosów. Na białej szyi lady Perrivale zauważyłam złoty naszyjnik w kształcie węża. Olśniewające włosy były upięte na czubku głowy, a zielone oczy błyszczały zadowoleniem.

— Proszę bliżej, panno Cranleigh! — wykrzyknęła radośnie. — Zaraz sobie pogawędzimy. Dziękuję, pani Ford.

Była nad wyraz uprzejma. Wyraźnie bardzo jej zależało, abym zgodziła się przyjąć tę posadę. Wyglądała na zdesperowaną, a ja drżałam na samą myśl, jakie okaże się dziecko.

— Pani Ford mówiła, że chciałaby pani uczyć moją córkę.

— Otrzymałam taką propozycję. Podobno pilnie szukają państwo guwernantki.

— Ostatnia guwernantka Kate musiała pilnie wyjechać, a nie chcemy, żeby dziecko przerywało na dłużej naukę.

— To oczywiście. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nikogo nie uczyłam.

— Cóż, wszyscy kiedyś zaczynamy.

— Pani córka ma osiem lat... czy może dziewięć?

— Właśnie skończyła dziewięć.

— Więc wkrótce będzie potrzebowała nauki na wyższym poziomie. Czy zamierza pani posłać ją do szkoły?

W zielonych oczach błysnęło przerażenie. Czyżby się obawiała, że jej córkę będą usuwać z każdej kolejnej szkoły?

— Na razie tego nie planujemy.

My? To znaczy ona i Tristan, ojczym dziewczynki. Wyobraźnia zaczęła podsuwać mi obrazy: widziałam go, jak wchodzi do opuszczonego domu, znajduje martwego brata i Simona, który stoi przy zwłokach z bronią w ręku. Nie, stanowczo muszę się powstrzymać od takich fantazji... Ale przecież tego właśnie chciałam: żeby ludzie, którzy dotąd byli tylko nazwiskami, stali się realnymi postaciami. Jeśli miałam dojść do prawdy, musiałam ocenić ich role w dramacie.

Tymczasem lady Perrivale kuła żelazo, póki gorące:

— Pani Ford mówiła, że świetnie sobie pani radzi z dziećmi.

— Miała na myśli bliźnięta z Trecorn Manor. To zaledwie czterolatki.

— Ach tak... Trecorn Manor. Bawi tam pani z wizytą. Spotkałyśmy się już, prawda? Te owce... Co za straszne rzeczy przeżył pan Lorimer! Katastrofa statku... Istny koszmar.

— Owszem, ja też płynęłam tym statkiem.

— Co za okropne doświadczenie! Słyszałam o tym od pani Ford. Na szczęście wyszła pani z tego w lepszym stanie niż ten biedak.

— Rzeczywiście, miałam więcej szczęścia.

Umilkła na parę sekund, przywołując na twarz wyraz współczucia. Potem zmieniła ton na weselszy:

— Będziemy uszczęśliwieni, jeśli się pani zgodzi. Kate wyjdzie na dobre, gdy jej edukacją zajmie się osoba z towarzystwa. Pani Ford twierdzi, że otrzymała pani znakomite wykształcenie.

— Nie ma w nim nic nadzwyczajnego.

Rozmowa przybierała coraz bardziej niezwykły obrót. Ja cały czas wysuwałam obiekcje pod swoim adresem, ona wykazywała coraz większą determinację, by jednak mnie namówić.

— Mamy tu dość przyjemne dziecięce pokoje. Wszystkie dzieci z rodziny wychowywały się tam od lat... To ma jakieś znaczenie.

Próbowałam usunąć sprzed oczu obraz wystraszonego chłopczyka, którego przywiózł zdeterminowany sir Edward i który szczęśliwym zrzędzeniem losu trafił pod opiekuńcze skrzydła niani Crockett.

— Chciałabym poznać pani córkę.

Moje słowa wywołały popłoch, bo lady Perrivale oczywiście wołała tego uniknąć. W zielonych oczach pojawił się lęk. Pewnie sądziła, że wystarczy mi jeden rzut oka na małego potwora, bym podziękowała za posadę. Prawie jej współczułam. Tak bardzo starała się znaleźć guwernantkę — obojętne jaką...

Nigdy nie powinno się dawać przyszłej pracownicy takiej przewagi. Z pewnym rozbawieniem spostrzegłam, że mam nad nią władzę i że to do mnie należy decyzja. Wiedziałam, że to nie będzie przyjemne zajęcie, ale przynajmniej nie musiałam się płaszczyć przed ewentualną chlebodawczynią. Jeśli miałam się zgodzić, to tylko ze względu na Simona. Byłam pewna, że odkryję jakieś sekrety, które przy odrobinie szczęścia doprowadzą mnie do prawdy.

— Nie wiem, czy jest w swoim pokoju...

— Uważam, że zanim coś postanowimy, powinniśmy się poznać — powiedziałam stanowczo, dając do zrozumienia, że to ultimatum.

Niechętnie sięgnęła do sznura dzwonka. Po paru sekundach zjawiała się pokojówka.

— Proszę przysłać tu pannę Kate.

— W tej chwili, milady.

Lady Perrivale wyglądała na tak zdenerwowaną, że zaczęłam się zastanawiać, co mnie czeka. Jeśli mała okaże się absolutnie nie do wytrzymania, to przynajmniej rozejrzę się po domu. W razie czego zawsze mogę pójść w ślady swych poprzedniczek i zrejterować.

Kiedy weszła, przyjemnie się zdziwiłam, pewnie dlatego, że przygotowałam się na najgorsze.

Kate była bardzo podobna do matki. Włosy miała nie tak jaskrawe, oczy bardziej niebieskie niż zielone (może przyczyniła się do tego niebieska sukienka), a brwi i rzęsy raczej płowe — inaczej niż Mirabel, która swą olśniewającą urodę w dużym stopniu zawdzięczała ciemnej oprawie oczu, zwłaszcza zaś wspaniałym rzęsom. Niemniej na pierwszy rzut oka było widać, że to matka i córka.

— Kate, moja droga, oto panna Cranleigh. Jeśli ci się poszczęści, zostanie twoją guwernantką. Dziewczynka zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem.

— Nie lubię guwernantek. Chcę wyjechać do szkoły.

— To chyba niezbyt grzeczne, prawda? — upomniała ją łagodnie matka.

— Nie.

— A nie powinnyśmy być uprzejme?

— Może ty, mamó, powinnaś, ale ja nie chcę.

Roześmiałam się i powiedziałam śmiało:

— Widzę, że czeka cię wiele nauki.

— Nigdy się nie uczę, jeśli nie chcę.

— To raczej niemądre, prawda?

— Dlaczego?

— Bo nic nie będziesz wiedziała.

— A jeśli ja nie chcę nic wiedzieć?

— Twój wybór, ale nigdy nie słyszałam, żeby mądra osoba nie chciała nic wiedzieć.

Zerknęłam na lady Perrivale; jej obawa, że mogę zrezygnować, wyraźnie narastała.

— Doprawdy, Kate... Panna Cranleigh przyjechała aż z Trecorn Manor, żeby się z tobą spotkać!

— Wiem. I wcale nie „aż”, przecież to całkiem blisko.

— Musisz obiecać, że będziesz się starała, bo inaczej nie zgodzi się ciebie uczyć.

Kate wzruszyła ramionami.

Ze zdumieniem odkryłam, że współczuję jej matce. Dlaczego osoba, która wyraźnie przywykła do posłuchu, pozwala dziecku na takie zachowanie?

Według mnie, ta mała po prostu robiła matce na złość. Ciekawe dlaczego?

— Jeśli mam uczyć Kate, powinnyśmy się lepiej poznać. Może pójdziemy do pokoju szkolnego?

Dziewczynka obróciła się do mnie twarzą. Wyraźnie widziała, jak bardzo się różni od dotychczasowych guwernantek. Moje nieszczęsne poprzedniczki tak drżały o swą posadę, że gotowe były znieść każde upokorzenie, byle jej nie stracić.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam przypływ energii. Byłam w domu Simona, poznałam osoby dramatu. Co więcej, perspektywa zmierzenia się z tym dzieckiem wyraźnie mnie stymulowała.

— Jeśli pani uważa... — zaczęła z niepokojem lady Perrivale.

— Proszę bardzo — wpadła jej w słowo Kate. — Pokażę pani ten pokój.

— To dobrze — odrzekłam.

Lady Perrivale podniosła się z miejsca, zamierzając nam towarzyszyć. Postanowiłam temu zapobiec.

— Czy Kate i ja mogłybyśmy pogawędzić w cztery oczy? Dzięki temu przekonamy się, czy się z sobą zgodzimy.

Nie wiem, co w niej przeważało: ulga czy strach. Cieszyła się, że rozmowa dobiegła końca, ale z drugiej strony obawiała, co wyniknie z takiego sam na sam.

Kate pobiegła przodem, przeskakując po dwa stopnie schodów.

— To długa droga — rzuciła przez ramię.

— Szkolne pokoje zwykle są daleko od innych.

— Panna Evans zawsze sapała i dyszała.

— Mówisz o tej ostatniej biedaczce, która próbowała cię uczyć?

Kate zachichotała. Biedna panna Evans! Zdana na łaskę takiego diabełka...

— Tam nie jest zbyt miło — uprzedziła mnie, — To nawiedzone miejsce. Boi się pani duchów?

— Trudno powiedzieć. Jeszcze żadnego nie widziałam. Znów zachichotała.

— No to będzie okazja. Są przerażające! W starych domach zawsze są duchy. Wychodzą w nocy, kiedy się śpi... szczególnie jeśli ktoś im się nie spodoba, a nasze nigdy nie lubiły obcych.

— Ach tali? Myślałabym raczej, że chcą odwiedzić kogoś z rodziny.

— Nie zna się pani na duchach.

— A ty?

— Jasne, że się znam. Robią okropne rzeczy... Dzwonią łańcuchami, straszą...

— Może nasłuchiwałaś się bajek.

— Zobaczmy — powiedziała złowieszczo, wyraźnie coś knując. — Jak pani tu przyjedzie, to dusza ucieknie pani w pięty, przyrzekam.

— Dziękuję za obietnicę. Więc to tutaj?

— Tak, pod samym dachem. Można stąd patrzeć na sam dół, bo schody wiją się w kółko. Ktoś kiedyś powiesił się na balustradzie... To była guwernantka.

— Może miała taką wychowankę jak ty.

Parsknęła śmiechem i popatrzyła na mnie z uznaniem.

— W dodatku — ciągnęłam — musiała być bardzo zręczna, bo to dość trudna operacja. Więc to jest szkolny pokój! Jakie masz książki?

— Mnóstwo różnego nudziarstwa.

— Chcesz powiedzieć, że ciebie nudzą. Prawdopodobnie ich nie rozumiesz.

— Skąd pani wie, co ja rozumiem?

— Cóż... Według twoich własnych słów, uczysz się tylko wtedy, kiedy masz ochotę, a podejrzewam, że rzadko ją miewasz. I dlatego niewiele umiesz.

— Jest pani jakąś dziwną guwernantką.

— Skąd wiesz? Nigdy dotąd nią nie byłam.

— Więc coś pani poradzę — rzekła konspiracyjnym tonem.

— To miło z twojej strony. A co?

— Niech pani tu nie przyjeżdża. Wie pani, ja raczej nie jestem grzeczna.

— O tak. Zdażyłam się o tym przekonać.

— Dlaczego? Jak...?

— Sama mi powiedziałaś, zresztą to dość oczywiste, nieprawdaż?

— Nie jestem taka zła. Tylko nie lubię, kiedy mi mówią, co mam robić.

— Nic w tym niezwykłego, wiesz? Po prostu idziesz po linii najmniejszego oporu, jak tłum pospólstwa. Są jednak tacy, co chcą się uczyć i naprawdę to robią. I to oni zbierają w życiu nagrody.

Rzuciła mi zdziwione spojrzenie. Zmieniłam temat:

— Obejrzałam już pokój. Teraz wrócę do twojej matki.

— I powie jej pani, że jestem okropna, nie podobam się pani i nie będzie pani mnie uczyć.

— Na to właśnie czekasz?

Nie odpowiedziała, co mnie nieco zdziwiło, ale i zadowoliło.

— Często mówisz ludziom, co zamierzają zrobić?

— To jasne, że pani się nie zgodzi. Panna Evans była biedna, to co innego, pani natomiast nie musi pracować. Nikt by się nie zgodził, jeśli by nie musiał.

— Byłabym wdzięczna, gdybyś zaprowadziła mnie do matki. Jeśli nie zechcesz, sama znajdę drogę.

Mierzyłyśmy się wzrokiem niczym dwaj generałowie na polu bitwy. Zauważyłam, że na przekór sobie Kate trochę się mną zainteresowała. Nie zachowywałam się jak typowa guwernantka, a ona na pewno nie odgrywała roli obiecującej uczennicy. Wyczułam wszakże, że — podobnie zresztą jak ja — lubi wyzwania. Widziałam w niej rozpuszczonego dzieciaka, musiały być jednak po temu jakieś powody. Nie rozgryzłam jeszcze jej postawy wobec matki, a coraz bardziej mnie to ciekawiło.

Dziwne, że owo trudne dziecko, które wszystkie guwernantki doprowadzało do rozpacz, w niezrozumiały sposób mnie pociągało. Chciałam dowiedzieć się o Kate czegoś więcej. I tak już wcześniej postanowiłam przyjechać do tego domu, ale po poznaniu lady Perrivale i jej córki zaintrygowały mnie także ich osobowości.

Kate przepchnęła się przede mną i ruszyła w stronę schodów.

— Tędy — rzuciła krótko.

Podążyłam za nią do pokoju, w którym zostawiłyśmy lady Perrivale. Spojrzała na mnie z niepokojem, wyraźnie przygotowana na porażkę.

— Kate pokazała mi pokój szkolny — oznajmiłam. — Jest bardzo przestronny, jasny i tak dobrze usytuowany, na samej górze... — Urwałam, żeby porozkaszować się przez chwilę swą władzą, po czym podjęłam rzeczowym tonem: — Zdecydowałam, że jeśli dojdziemy do porozumienia w kwestii szczegółów, zgodzę się ewentualnie przyjechać na próbę... to oczywiście dotyczyłoby obu stron. Po... przypuścmy, miesiącu, jeśli się sobie spodobamy, postanowimy, co dalej.

Uśmiech lady Perrivale o mało mnie nie oślepił. Była gotowa przyrzec, co tylko zechcę, a oferowane wynagrodzenie z pewnością znacznie przewyższało zwykłą pensję guwernantki.

— Od kiedy? — spytała niecierpliwie.

— Może od początku tygodnia? W poniedziałek? Widzi pani, nie mam specjalnie daleko.

— To byłoby doskonale. Kate patrzyła na mnie z najwyższym zdumieniem.

— Gdyby zechciała pani polecić stangretowi, aby mnie odwiózł do Trecorn Manor... — powiedziałam spokojnie.

— Ależ oczywiście. I czekamy w poniedziałek.

Wracałam z poczuciem triumfu, przeświadczona, że na pewno mi się powiedzie. Odnajdę mordercę Cosma! A potem będę musiała odszukać Simona. Jak? Tego nie wiedziałam, lecz w stosownym czasie o tym pomyślę.

Jak szczęśliwie się stało, że zaufałam niani Crockett. Z pewnością dzięki temu posunęłam się o kilka kroków do przodu i znalazłam się na jedynej możliwej drodze do celu.

* * *

Niania czekała na mnie, nie kryjąc niecierpliwości. Nie trzymałam jej długo w napięciu.

— Zaczynam w poniedziałek — oznajmiłam. Podbiegła i uściskała mnie serdecznie.

— Wiedziałam! Wiedziałam, że tak będzie.

— Lady Perrivale była zdeterminowana. Jeszcze żadna kandydatka na posadę nie odbyła tak niezwyklej rozmowy. Można by pomyśleć, że to ona stara się o miejsce.

— Cóż, pani Ford uprzedziła mnie, że tak się stanie. — Zerknęła na mnie z niepokojem. — A widziała panienka tę małą?

Przytaknęłam.

— To jest wyzwanie. I jeśli tylko da się wykryć prawdę, muszę to zrobić.

— Ze względu na Simona. Biedak, siedzi teraz w jakiejś głuszy... Gdyby tylko mógł wrócić do domu...

— Uda nam się, nianiu. Jesteśmy na dobrej drodze.

Teraz, skoro już zaszłam tak daleko, powinnam stawić czoło innym trudnościom, a przede wszystkim zawiadomić ojca. Pewnie będzie oszołomiony... I nie wolno mi zapominać o ciotce Maud. Byłam przekonana, że spotkam się z jej najwyższą dezaprobatą, gdyż posada guwernantki osłabi moje szanse na to, co ciotka uważała za dobre małżeństwo. Zanim jednak wiadomość dotrze do nich obojga, zdążę zadomowić się w Perrivale Court.

Powinnam także napisać do Felicity. Ciekawe, jak zareaguje... Gdyby знаła całą prawdę, pewnie by zrozumiała, wiedząc, jak bardzo się niepokoję. Sama była kiedyś guwernantką, tyle że ja bardzo się różniłam od Kate i od początku nasze stosunki dobrze się układały.

Nie byłam przygotowana na reakcję Lucasa.

Nie widziałam go aż do obiadu, który od śmierci Theresy upływał w smutnej atmosferze. Wszyscy zerkali ukradkiem na puste teraz miejsce u szczytu stołu, naprzeciwko Carletona. Rozmowa się nie kleiła, często zdarzały się chwile krępującego milczenia, kiedy Lucas albo ja gorączkowo szukaliśmy jakiegoś tematu. Dawniej zwlekaliśmy z odejściem, teraz każdy starał się jak najszybciej mieć posiłek za sobą.

— Nie widziałem cię przez cały dzień — odezwał się Lucas. — Szukałem cię po południu.

— Jeździłam do Perrivale Court.

— Do Perrivale Court? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak... Skoro już o tym mówimy, będę tam pracować.

— Co?!

— Jako guwernantka. Lady Perrivale ma córkę... Kate. Mam ją uczyć.

— Ale dlaczego?

— Cóż... zawsze to jakieś zajęcie i...

— Co za śmieszny pomysł! — Zerknął na Carletona, który patrzył ponuro w talerz. — Słyszałeś? Rosetta wybiera się do Perrivale Court na guwernantkę tej małej!

— Tak, słyszałem.

— I nie uważasz tego za szaleństwo? Carleton zakaszlał nieznacznie.

— Zaczynam w poniedziałek — ciągnęłam. — Muszę coś robić i pomyślałam, że to dobry początek.

Lucas zaniemówił.

— To bardzo pocziwie z twojej strony — odezwał się jego brat — że zostałam z nami tak długo. Dzieci tak cię polubiły... Wiedzieliśmy, oczywiście, że jesteś tu tylko na pewien czas, póki nie ochłoną z szoku.

Zapadła cisza.

Zaraz po obiedzie Lucas zaciągnął mnie do salonu.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Tak? A o czym?

— O tym nonsense.

— To nie żaden nonsense, tylko bardzo rozsądny pomysł. Chcę coś robić.

— Jest mnóstwo innych rzeczy, którymi mogłabyś się zająć. Skoro tak przepadasz za dziećmi, to co masz przeciwko własnemu?

— To nie to samo, Lucasie.

— Co znaczy „nie to samo”? Zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz?

— Jeśli uznam, że nie da się tam wytrzymać, odejdę.

— To miejsce! Co w nim jest takiego? Nie mogę tego pojąć!

— Mnóstwo młodych kobiet zostaje guwernantkami.

— Nie masz kwalifikacji.

— A ile kobiet je ma? Ja przynajmniej odebrałam porządne wykształcenie i mogę nauczyć to dziecko paru rzeczy.

— Absurd! Powiedz mi, Rosetto, po co ci to? Musi być jakiś powód.

Milczałam przez dłuższą chwilę. Tak bardzo chciałam mu powiedzieć! Owszem, niani Crockett zwierzyłam się pod wpływem impulsu, ale przynajmniej widziałam, że jest emocjonalnie związana z Simonem i że robię krok we właściwym kierunku. Tym razem nie mogłam się zdecydować. Nie byłam pewna reakcji Lucasa; powinien czuć wdzięczność do człowieka, który uratował mu życie, ale z drugiej strony, to chłodny realista. Jakże poczyni kroki?

Odpowiedział sobie sam:

— Po tych wszystkich przejściach to oczywiste, że nie możesz znaleźć sobie miejsca. Konwencjonalne życie i dom wydają ci się nudne, pozbawione niespodzianek. Pragniesz odmiany. Moim zdaniem tylko dlatego decydujesz się na coś tak śmiesznego.

— Mnie to bynajmniej nie śmieszy.

— Tak dobrze sobie radzisz z bliźniakami. I ciągle masz jakieś sekrety z nianią Crockett, ostatnio jesteście nierozłączne.

Wstrzymałam oddech. Sekrety? Czyżby coś odgadł?

— Skąd wiedziałas, że w Perrivale szukają guwernantki? — spytał ostro. — Na pewno od niani. Słyszałem, że wciąż się przyjaźni z kimś stamtąd.

— No... owszem.

— Tak przypuszczałem. Wszystko uknułyście razem, ale powiadam ci: to szaleństwo. Od czasu morderstwa panuje tam niezdrowa atmosfera. To nie jest miejsce dla ciebie. Cała ta historia... i owa kobieta, która tak szybko wyszła za innego, chociaż była zaręczona z ofiarą...

— Te sprawy nie dotyczą guwernantki.

— Guwernantki! — roześmiał się pogardliwie. — Ty jako guwernantka!

— Czemu nie?

— Nie jesteś w tym typie.

— A jaki jest typ guwernantki? Zapewniam cię, że są najprzeróżniejsze.

— Ty do żadnego nie pasujesz. Już lepiej wyjdź za mnie.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Coś ty powiedział?

— Jesteś niespokojnym duchem. Po tylu strasznych przygodach wszystko wydaje ci się nudne. Chcesz, żeby coś się wydarzyło. Więc bardzo proszę, wyjdź za mnie.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Doprawdy Lucasie, kto tu ma absurdalne pomysły?

— Ty i tylko ty. Ja jestem spokojny i rozsądny jak zawsze. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się podoba ten pomysł.

— Nic cię nie obchodzi.

— Ależ obchodzisz. Kocham cię najbardziej ze wszystkich ludzi... na drugim miejscu po sobie. To znowu mnie rozśmieszyło i zaraz poczułam się lżej.

— Oczywiście nie traktuję tej propozycji poważnie, ale to chyba najbardziej niezwykle oświadczyły!

— Przynajmniej, szczerze.

— Doceniam to.

— I wcale nie takie niezwykle. Po prostu ludzie nie mówią prawdy. Większość namiętnie kocha samych siebie, a kiedy wyznają komuś miłość, robią to dla własnej wygody i przyjemności. Widzisz więc, że nie różnię się od innych poza tym, że uczciwie stawiam sprawę.

— Och, Lucasio, to bardzo miło z twojej strony, ale...

— Wcale nie „miło”, skoro jest to „ale”... Wiedziałem, że będzie „ale”.

— Naprawdę nie mogę brać tej propozycji na serio.

— Dlaczego? To świetne rozwiązanie! Coraz bardziej przemawia mi do przekonania. Jesteś przynębiona, bo nie widzisz dla siebie miejsca. Wszystko się odmieniło, w twoim rodzinnym domu panoszy się ciotka. Dopiero co przeżyłaś najbardziej nieprawdopodobne przygody. Nic takiego już cię nie spotka i życie wydaje ci się monotonne. Nie wiesz, w którą stronę się obrócić, wiesz jednak, że musisz się na coś zdecydować... na cokolwiek, byle się wyrwać z bagna. Więc skoro bierzesz pod uwagę posadę guwernantki w domu o nieco zaszarganej reputacji, czemu nie miałabyś wyjść za gderliwego osobnika, który wprawdzie jest w godnej pożałowania formie, lecz przynajmniej mu na tobie zależy?

— Nie wyraziłeś tego zbyt romantycznie.

— Nie mówimy o sentymentach, tylko o rzeczywistości.

Nie umiałam powstrzymać śmiechu. Po chwili śmialiśmy się razem.

— Och, daj spokój, Rosetto! Porzuć ten wariacki pomysł i przynajmniej rozważ drugą propozycję. Ma pewne zalety: jesteśmy przecież przyjaciółmi. Razem patrzyliśmy śmierci w oczy, mało kto rozumie cię tak jak ja... A może wolisz wrócić do ciotki Maud i jej planów?

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Owszem, masz trochę racji: rzeczywiście mnie rozumiesz... do pewnego stopnia.

— Więc porzuć tamten pomysł! Zaraz pošlę Dicka Duvane’a do Perrivale i każę im powiedzieć, żeby szukali innej guwernantki. Przemyśl moją propozycję. Zostań tu jeszcze jakiś czas, zacieśnijmy naszą znajomość. Nie musisz zaraz decydować, ale zróbmy jakieś plany.

— Jesteś dla mnie bardzo dobry, Lucasio. Wsunęłam rękę w jego dłoń, a on ją podniósł do ust.

— To prawda, Rosetto — przekonywał mnie z zapałem. — Bardzo cię lubię.

— I rzeczywiście jestem na drugim miejscu?

Roześmiał się i przytulił mnie na chwilę.

— Ale... — ciągnęłam.

— Tak, tak, wiem: „ale” jedziesz do Perrivale5 tak?

— Muszę, Lucasio. Mam powód.

Znów mignęło mi w głowie ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Znów o mały włos się nie wygadałam, dlaczego muszę jechać do Perrivale. Wtedy by zrozumiał...

Zauważył moją determinację.

— No cóż, będę w pobliżu. Możemy się spotykać w „Królu Żeglarzy”. Jeśli nie dasz rady, zawsze możesz wrócić do Trecorn Manor.

— To wielka pociecha. I... dziękuję ci za tamtą propozycję. Miała dla mnie duże znaczenie.

— Nie była ostatnia. Zamierzam ją ponawiać. Nie poddaję się tak łatwo.

— Dla mnie była wielkim zaskoczeniem. Myślałam, że i dla ciebie...

— Ach, chodziło mi to po głowie od dłuższego czasu... jeszcze na wyspie.

— Często myślisz o tamtych dniach?

— Ciągłe są przy mnie... gdzieś w zakamarkach duszy. Wspominam też Johna Playera. Ciekawe, co się z nim stało.

Milczałam, jak zawsze pełna obaw na sam dźwięk tego nazwiska.

— Może ciągle jest w seraju? — ciągnął Lucas. — Biedaczysko! Trafił najgorzej, chociaż nikt z nas nie wyszedł z tej opresji bez szwanku. — Twarz mu stężała. Wciąż tkwił w nim żal do losu, który ze zdrowego mężczyzny zrobił kalekę. — Dużo bym dał, żeby się czegoś o nim dowiedzieć.

— Musimy pamiętać, że gdyby nie John, nie byłoby nas tutaj. Może pewnego dnia coś o nim usłyszymy...

— Wątpię. W takich wypadkach ludzie na ogół znikają z naszego życia.

— Myśmy nie zniknęli.

— To prawdziwy cud, że jesteśmy tu razem.

— Może i on jeszcze wróci.

— Chyba że ucieknie... chociaż to raczej niemożliwe.

— Ja uciekłam.

— To niesamowite, ale kto by go wypuścił? Raczej już go nie zobaczymy. Tam, na wyspie, byliśmy sobie bardzo bliscy, lecz to się skończyło i teraz trzeba żyć dalej. I pozwól sobie powiedzieć, że poradzisz sobie znacznie lepiej jako pani Lucasowa Lorimer niż jako guwernantka jakiegoś paskudnego dzieciaka w domu skażonym zbrodnią.

— Zobaczymy, Lucasie.

* * *

Moje pierwsze dni w Perrivale Court cechował taki natłok wrażeń i tłumionych emocji, że chodziłam półprzytomna. Sam dom był fascynujący: jedne wnętrza swym ogromem przypominały średniowieczny zamek, inne typowy dwór z czasów Tudorów, a do kilku pokoi wkradła się nawet pewna nuta nowoczesności.

Lady Perrivale powitała mnie ciepło, lecz krótko, po czym przekazała pani Ford, która od pierwszej chwili okazała się moją sojuszniczką. Byłam jej protegowaną — dzięki mnie zyskała wdzięczność chlebodawczyni, więc zamierzała wziąć mnie pod swe skrzydła i dołożyć wszelkich starań, żebym tylko nie zrezygnowała. Zabrała mnie do swojego pokoju.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała, panno Cranleigh, proszę dać mi znać. Dopilnuję, aby zapewnić pani wszelkie możliwe wygody. Niania Crockett prosiła, żebym się panią zaopiekowała, i tak się stanie.

Mój pokój przylegał do sypialni Kate. Wyglądał bardzo przyjemnie, miał duże okno wychodzące na dziedziniec; po drugiej stronie widać było rząd innych okien. Zaraz mi się wydało, że jestem pod obserwacją, toteż ucieszyłam się z grubych zasłon.

Od pierwszej chwili czułam się jak we śnie. Świadomość, że mieszkam w domu, w którym Simon spędził większą część swego dzieciństwa, coraz mocniej utwierdzała mnie w zamiarze udowodnienia jego niewinności.

Wkrótce zauważyłam, że Kate się mną interesuje. Wyraźnie postawiła sobie za cel dowiedzieć się o mnie jak najwięcej.

Ledwie pani Ford zostawiła mnie samą, żebym mogła się rozpakować, dziewczynka wtargnęła do mojego pokoju. Bez pukania, widocznie uważała, że wobec guwernantki takie ceregiele nie są konieczne.

— Więc jednak przyjechała pani — powiedziała na powitanie. — A już myślałam, że nic z tego... Ale przecież nie obiecywałaby pani na darmo?

— Oczywiście, że nie.

— Mnóstwo ludzi coś przyrzeka i nie dotrzymuje.

— Ja do nich nie należę. Usiadła na łóżku.

— Koszmarny pokój, co?

— Przeciwnie, całkiem przyjemny.
— Przypuszczam, że jako guwernantka nie przywykła pani do luksusów.
— W moim domu w Londynie mam bardzo ładny pokój.
— Więc trzeba było tam zostać.
— Nie jesteś zbyt dobrze wychowana, prawda?
— Ach, nie. Moje maniery są okropne.
— Cóż... Przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę, więc punkt dla ciebie. Ale ponieważ się tym chełpisz, masz u mnie minus.

Kate się roześmiała.

— Jaka pani jest śmieszna! Robię i mówię, co mi się podoba.
— Zauważyłam.
— I nikt mnie nie zmieni.
— Wobec tego sama będziesz musiała podjąć ten trud, nieprawdaż? — Zerknęła na mnie ciekawie, ja zaś mówiłam dalej: — Może byś tak zeszła z mojego łóżka? Chcę poukładać rzeczy. Ku memu zdumieniu wstała i stanęła obok, nie spuszczać ze mnie wzroku.
— Nic więcej pani nie ma?
— Nie.
— Niewiele tego, co? Pewnie pani spodziewa się wyjść za pana domu jak Jane Eyre. Nic z tego, już jest żonaty. Z moją matką.

Uniosłam brwi.

— Czemu się pani tak dziwi? Mnóstwo guwernantek tak myśli.
— Wyrażałam w ten sposób zdumienie twoją erudycją.
— Co to jest erudycja?
— W twoim wypadku zasób wiedzy o literaturze.
— Myślała pani, że ja nic nie wiem?
— Zdawało mi się, że miałaś problemy z guwernantkami.
— Lubię książki o ludziach. A zwłaszcza o okropnych rzeczach, które im się przydarzają.
— Wcale mnie to nie dziwi.

Znów się zaśmiała.

— A czego pani chce mnie uczyć?
— Historii, literatury angielskiej i gramatyki... i oczywiście matematyki.

Kate się krzywiła.

— Nie będę robić nic, czego nie lubię.
— Zobaczymy.
— Czasem przypomina pani prawdziwą guwernantkę.
— Cieszę się, że to rozpoznajesz.
— Podoba mi się pani sposób mówienia. Doprowadza mnie do śmiechu.
— Chyba łatwo cię rozbawić.
— Nie jest pani taka jak panna Evans. Ależ ona była głupia! I od samego początku się bała.
— Ciebie?
— Jasne.
— A ty wykorzystywałeś swoją pozycję.
— Co pani ma na myśli?
— Próbowała wykonywać swoją pracę, ty zaś robiłaś wszystko, żeby jej to uniemożliwić. Doprowadziłaś ją do takiego stanu, że musiała odejść.
— Nie chciałam jej tutaj. Była nudna. Pani raczej nie będzie... Ciekawe, jak długo pani wytrzyma.

— Tak długo, jak będzie mi odpowiadało.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Wyraźnie planowała jakąś kampanię.

Dziwne, ale te słowne utarczki podziały na mnie stymulująco i nawet mnie ubawiły. Poszłyśmy potem do szkolnego pokoju, gdzie przejrzałam nieźle zaopatrzoną biblioteczkę. Miałyśmy też do dyspozycji tablicę, kilka zeszytów, tabliczki do pisania i rysiki.

— Muszę cię prosić, żebyś mi pokazała jakieś swoje prace. Skrzywiła się niechętnie.

— Kiedy?

— Najlepiej zaraz.

Zawahała się i chyba zaświtała jej myśl o ucieczce. Zastanawiałam się, co mam zrobić, jeśli nie zgodzi się ze mną zostać. Wiedziałam, że stacją na to, i głęboko współczułam moim poprzedniczkom, których możliwość zarabiania na życie zależała od kaprysów tej smarkuli.

Ja mogłam zostać, dopóki to będzie konieczne, i przynajmniej moja życiowa sytuacja przedstawiała się inaczej.

Na razie dziewczynka wyglądała na lekko zaciekawioną moją osobą, więc zdecydowała się na współpracę. Spędziłyśmy pół godziny na interesującej rozmowie, podczas której odkryłam, że Kate bynajmniej nie jest taką ignorantką, jak się obawiałam. Przeciwnie, wydała mi się wyjątkowo bystra i — co uznałam za szczególnie pomocne — odczytana. Przynajmniej pod tym względem miałyśmy wspólne upodobania.

Pierwszego dnia niewiele dowiedziałam się o domownikach. Pani Ford powiedziała mi, że posiadłością zarządzają trzy osoby.

— Bo od czasu... no wie pani, wolimy o tym nie mówić... Pan Cosmo odszedł, podobnie jak pan Simon... Było ich trzech, a teraz sir Tristan został sam, to dla niego zbyt wiele pracy. Zawsze był jeden rządcą, a potem nawet dwóch. Perrivale to duża posiadłość, największa w okolicy. Oczywiście po wypadku wszystko się zmieniło, tym bardziej że umarł sir Edward...

Sir Tristana widziałam wprawdzie tylko przelotnie, ale od pierwszej chwili wydawało mi się, że musi wiedzieć, co naprawdę się wtedy wydarzyło.

Budził podejrzenie już samym swoim wyglądem. Ze swymi czarnymi, lśniącymi włosami, które przylegały do skóry niczym obcisła czapka, schodząc się pośrodku czoła, mógłby śmiało grać rolę bandyty w jakiejś sztuce.

Nasze pierwsze spotkanie było bardzo krótkie. Kate akurat pokazywała mi ogrody, kiedy sir Tristan z żoną nadeszli od strony stajni. Lady Perrivale wyglądała pięknie w granatowym kostiumie jeździeckim i takim samym cylindrze na wspaniałych włosach.

— Och, Tristanie — wykrzyknęła na nasz widok — to jest panna Cranleigh, nasza nowa guwernantka.

Zdjął kapelusz i skłonił się uprzejmie.

— Bardzo polubiły się z Kate — dodała w przypiływie słabo uzasadnionego optymizmu.

— Pokazałam jej pokój szkolny — pochwaliła się Kate — a teraz zwiedzamy ogrody.

— To bardzo dobrze.

— Witamy w Perrivale — odezwał się sir Tristan. — Mam nadzieję, że będzie to długi i szczęśliwy pobyt.

Dostrzegłam złośliwy uśmiezek na ustach Kate. Ciekawe, co też planuje na moją zgubę?

Tak oto, bez cienia logiki, przypisałam Tristanowi rolę mordercy, wmawiając sobie, że zamiast dowodów wystarczy mi szósty zmysł.

Podczas zwiedzania ogrodów byłam bardzo zamyślona, co dziewczynka natychmiast spostrzegła. Zaczynałam pojmować, że niemal nic nie umyka jej uwagi.

— Nie lubi pani Czymka.

— Kogo?

— Tak nazywam ojczyma. Nie przepada za tym, podobnie zresztą jak matka.

— I pewnie dlatego to robisz.

Kolejne wzruszenie ramionami, kolejny grymas, śmiech.

— Wszystkich nazywam po swojemu. Ty będziesz Cranny.

— Nie jestem pewna, czy mi to odpowiada.

— Nie musi. W tych sprawach nie ma się wyboru. Popatrz na mnie: Kate... Kto by chciał być Kate? Mnie się podoba imię Angelica.

— To się kojarzy z aniołami — zauważyłam. — Do ciebie raczej słabo pasuje.

Wybuchnęła śmiechem. Tego ranka w ogóle było dużo wesołości.

— Lekcje będziemy zaczynały o dziewiątej trzydzieści, a kończyły o dwunastej.

— Panna Evans zaczynała o dziesiątej.

— A ja o dziewiątej trzydzieści.

Kolejny grymas nie zakłócił jednak dobrego nastroju. Pomyślałam, że układa nam się lepiej, niż oczekiwałam. Zainteresowałam Kate... Ciekawe, czy mi się uda zapędzić ją do nauki? Wkrótce miałam zostać brutalnie ściągnięta na ziemię.

* * *

Ze zrozumiałych względów pierwszej nocy długo nie mogłam zasnąć. Wydarzenia minionego dnia ciągle kłębiły mi się w głowie. Oto dotarłam w końcu do domu Simona, niemal na samą scenę zbrodni, i zamierzałam się poświęcić monumentalnemu zadaniu. Bardzo podnosił mnie na duchu fakt, że w każdej chwili mogę się zwrócić do Lucasa. Doprawdy wzruszyły mnie i zaskoczyły jego oświadczenia. Nigdy nie myślałam o nim w tych kategoriach... no, może przelotnie, kiedy na wiadomość, że spotkam się z nim w domu Felicity, w oczach ciotki Maud pojawił się ów charakterystyczny błysk...

Ciągle się zastanawiałam, od czego zacząć śledztwo. Można by je określić jako szukanie wiatru w polu. I pomyśleć, że wplątałam się w to wszystko tylko dzięki moim niesamowitym przygodom!

Tymczasem jednak musiałam uporać się z Kate, co też było zadaniem samym w sobie. Początki okazały się łatwiejsze, niż sądziłam, choć tylko dlatego, że udało mi się wzbudzić jej ciekawość. Na pewno mała szybko się znudzi i wkrótce rozpocznie walkę podjazdową. Miałam nadzieję, że dziewczynka nie obrzydzi mi życia do reszty, zanim osiągnę jakieś postępy w śledztwie.

Muszę dowiedzieć się czegoś więcej na temat Cosma. Zamierzał poślubić fascynującą Mirabel, kobietę o nieprzeciętnej osobowości... Powoli zaczynałam sobie układać obsadę: Simona dobrze poznałam, Tristana widziałam raz. Jak bardzo Simon był zakochany w Mirabel? Patrząc na nią, łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiła na większości mężczyzn.

Pewnie zasnęłam podczas tych rozważań, gdyż obudził mnie jakiś szelest za drzwiami. Otworzywszy oczy, zobaczyłam, że gałka się wolno obraca. Drzwi uchyliły się cicho i do pokoju weszła postać spowita w prześcieradło. Od razu wiedziałam, kto się pod nim kryje.

— Cześć, duchu — powiedziałam. Wyglądała na zawiedzioną.

— Kiepsko ci wyszło. I jeszcze to prześcieradło... Od razu widać, że prześcieradło. Nie stać cię na nic lepszego?

— Udawałaś, że śpisz. To nieuczciwe.

— A ty udawałaś ducha. Na wojnie i w miłości wszystkie chwytły są dozwolone, a to jest przecież wojna? Bo oczywiście nie miłość.

— A jednak się przestraszyłaś.

— Nie.

— Ani przez chwilę?

— Ani przez sekundę. Mogłaś się lepiej postarać. Przede wszystkim, skoro zamierzałaś mnie nastraszyć, nie należało przy naszym pierwszym spotkaniu tyle gadać o duchach. Dzięki temu miałam się na baczności. Powiedziałam sobie: „Ta dziewczynka uważa się za pogromczynię guwernantek”.

— Za co?

— Sama widzisz, jaki masz ubogi zasób słów. Nic w tym dziwnego, skoro nie chcesz się uczyć. Szydź z nauczycielek, bo w porównaniu z nimi czujesz się ignorantką. Uważasz, że w danej chwili one stoją na słabszej pozycji, a ty jesteś ta silna. To oczywiście jest tchórzostwo, ale ludzie niepewni siebie często tak się zachowują.

— Pannę Evans nastraszyłam.

— Nie wątpię. W gruncie rzeczy inni nic cię nie obchodzą, prawda?

Wyglądała na zaskoczoną.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że panna Evans próbowała zarabiać na życie i jedynym powodem, jaki ją zmuszał do uczenia niesympatycznych dzieci, była czysta konieczność?

— Ja jestem niesympatyczna?

— Bardzo. Ale gdybyś pomyślała czasem nie tylko o sobie, może byłoby inaczej.

— Nie lubię cię.

— Niewiele mnie to obchodzi.

— Więc stąd wyjedziesz?

— Prawdopodobnie. Chyba nie sądzisz, że ktoś miałby ochotę cię uczyć?

— Dlaczego nie?

— Bo wyraźnie powiedziałaś, że sobie tego nie życzysz.

— Co z tego?

— To, że nie masz ani odrobiny szacunku do nauki, a taka postawa cechuje tylko głupich.

— Więc jestem głupia?

— Tak się wydaje. Oczywiście, mogłabyś się zmienić... Coś ci powiem. Może zawrzemy rozejm?

— Co to jest rozejm?

— Taka ugoda. Ty określisz warunki.

— Jakie warunki?

— Zobaczymy, czy spodoba ci się mój sposób nauczania i czy jesteś gotowa współpracować. Jeśli nie — wyjadę, a ty dostaniesz następną guwernantkę. Dzięki temu nie będziesz zmuszona wysilać się na obrzydzanie mi życia. Podejźmy do sprawy w cywilizowany sposób, bez tych wszystkich dziecinnych kawałów.

— W porządku. Zawrzyjmy ten rozejm.

— W takim razie wracaj do łóżka. Dobranoc. Zatrzymała się jeszcze przy drzwiach.

— A jednak w tym domu są duchy. Niedawno popełniono tu morderstwo.

— Wcale nie w tym domu.

— Nie, ale ofiarą był brat Czymka. Jednego zabili, a drugi uciekł. Obaj kochali się w mojej mamie, zanim wyszła za Czymka.

Miała bystre oko, bo wyraźnie zauważyła zmianę na mojej twarzy. Wróciła i usiadła na łóżku.

— Co o tym wiesz? — zapytałam. — Nie mieszkałaś tu wtedy.

— Nie, przyjechałam dopiero po ślubie mamy. Przedtem mieszkałam u Dady.

— U kogo?

— Tak nazywam dziadka. On teraz zajmuje Wdowi Domek. Przeniósł się tam, kiedy mama wyszła drugi raz za męża. W końcu należy mu się coś lepszego, skoro jest ojcem pani z dworu. Tylko że jemu i tak się tam nie podoba. Dada to naprawdę wielki pan, jest majorem, a majorowie są

bardzo ważni. Wygrywają bitwy i w ogóle. Dawniej mieszkaliśmy w Londynie, ale to było wieki temu. Potem przyjechaliśmy tutaj i wszystko się zmieniło.

— Pewnie znałaś ich obu? Tego zabitego i tego, który uciekł?

— Znałam... do pewnego stopnia. Kochali się w mamie, a Dada się z nich wyśmiewał. Ucieszył się, kiedy mama wyszła za Czymka, bo mogliśmy wynieść się z tamtej chałupki, ale z początku nic, tylko gderał. Potem Cosmo zginął, a Simon uciekł, bo inaczej by go powiesili. — Milczałam, więc mówiła dalej: — Bo takich wieszają, rozumiesz. Zakładają im pętlę na szyję i potem tak dyndają. To bardzo boli, zaraz się umiera. I on tego właśnie się bał. No bo kto by się nie bał?

Nie mogłam wykrztusić słowa. Miałam przed oczami Simona, który chyłkiem opuszcza dom... przekrada się do Tilbury... spotyka marynarza, tego Johna Playera...

Kate obserwowała mnie bacznie.

— Zamordowani wracają jako duchy, wiesz? Straszą okolicznych mieszkańców, czasem próbują wy badać, co się naprawdę stało.

— A sądzisz, że stało się coś, o czym nie wiadomo?

Zerknęła na mnie z ukosa. Nie byłam pewna: może ze mnie żartuje? Zdradziłam swoje zainteresowanie i mała to dostrzegła. Mogła się domyślić, jak bardzo ciekawi mnie morderstwo.

— Pamiętam, jak to się stało. Siedziałam u Dady, mama była na górze... Nagle ktoś — chyba stajenny z Perrivale — załomotał do drzwi i krzyknął: „Pan Cosmo nie żyje! Zastrzelono go na starej farmie!”, a Dada na to: „O mój Boże!”. Nie wolno mówić: „O mój Boże”, bo to wzywianie imienia Pana nadaremno. Tak jest w Biblii. Potem Dada poszedł do mamy, a mnie kazał zostać na dole.

Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

— Cranny, ty jeździsz konno?

Przytaknęłam.

— Więc coś ci powiem. Zabiorę cię do Bindon Boys, na miejsce zbrodni. Chciałabyś?

— Ty ciągle o tej zbrodni, a przecież to stare dzieje. Ale któregoś dnia możemy się przejechać.

— W porządku. Umowa stoi.

— A teraz — dobranoc.

Uśmiechnęła się szeroko, podniosła prześcieradło i wyszła. Długo nie mogłam zasnąć. Przyjechałam, żeby uczyć Kate, a być może i ja czegoś się od niej nauczę...

* * *

Kate dawno postanowiła tak uprzykrzać życie guwernantkom, aby same chciały wyjechać. Zyskiwała wtedy pewien okres swobody, dopóki nie zjawiła się następna ofiara, po czym cała operacja powtarzała się od początku.

Ja różniłam się od innych głównie tym, że posada nie była mi niezbędna ze względów finansowych, co dziewczynka od razu wyczuła. To ujmowało pikanterii procesowi dręczenia, a mnie dawało przewagę. Próbowałam sobie tłumaczyć, że skłonność do okrucieństwa, jaką przejawia większość dzieci, wynika z braku życiowego doświadczenia. Po prostu nie potrafią pojąć ogromu powodowanych w ten sposób cierpień.

Zaczynałam nabierać przekonania, że Kate może mi się przydać, ale niezależnie od tego, chciałam ująć się za guwernantkami, które cierpiały przede mną, a jeszcze bardziej bronić tych, które mogłyby cierpieć po mnie. Pragnęłam wpoić Kate nieco ludzkich uczuć i co dziwne, nie uważałam tego zadania za beznadziejne. Według mnie, jej brak wrażliwości mógł być skutkiem jakiegoś przeżycia i miałam wrażenie, że da się to zmienić.

Następnego ranka, ku memu zaskoczeniu, zjawiała się w pokoju szkolnym o wyznaczonym czasie.

Poinformowałam ją, że przygotowałam rozkład zajęć. Zaczniemy od lekcji angielskiego, która potrwa około godziny. Zobaczmy, jak nam pójdzie, gdyż chciałabym sprawdzić jej umiejętność czytania, wymowę, znajomość gramatyki. Będziemy też razem czytać książki.

Po przejrzeniu zawartości biblioteczki wybrałam „Hrabiego Monte Christo”. Kiedy otworzyłam książkę, zobaczyłam na stronie tytułowej dziecięcy podpis: „Simon Perrivale” i dłonie mi lekko zdrząły.

Z trudem ukryłam emocje przed czujnym okiem Kate.

— Czytałaś tę powieść? — zapytałam.

Potrząsnęła głową.

— Więc kiedyś ją sobie poczytamy... o, jest i druga, nowsza: „Wyspa skarbów”. To o piratach.

Wyraźnie się zainteresowała. Na frontyspisie był wizerunek Długiego Johna Silvera z papugą na ramieniu.

— W poprzedniej książce było jego nazwisko... no wiesz, tego mordercy.

— Nie wiemy, czy to na pewno on zabił — powiedziałam, ale szybko umilkłam, widząc jej zdumione spojrzenie. Stanowczo powinnam być ostrożniejsza. — Potem zajmiemy się historią, geografią i arytmetyką.

Nie spodobało się jej to.

— Zobaczmy, ile da się zrobić — zamknęłam sprawę.

Ranek upłynął całkiem znośnie. Zauważyłam, że Kate płynnie czyta i ma określone upodobania literackie. Postaci historyczne ją interesowały, choć zdecydowanie zamknęła swój umysł na daty. W szafce znalazłam ruchomy globus i przez jakiś czas z przyjemnością odkrywałyśmy ciekawe miejsca. Pokazałam dziewczynce, gdzie zatonął mój statek — cała historia bardzo ją zaintrygowała. Lekcje zakończyłyśmy lekturą rozdziału z „Wyspy skarbów” — książka wciągnęła Kate od pierwszej strony.

Zadziwił mnie ten sukces.

Postanowiłam, że będziemy pracować do południa. Potem Kate może zajmować się swoimi sprawami aż do trzeciej, a następnie wybierzemy się na spacer po ogrodach albo najbliższej okolicy. Przy okazji będę ją zapoznawać z życiem roślin. Do lekcji wrócimy o czwartej i skończymy je o piątej. Tak miał przedstawiać się nasz szkolny dzień.

Dziewczynka nie chciała jednak rozstać się ze mną w południe i zaproponowała, że pokaże mi okolicę. Ucieszyłam się, że odpowiada jej moje towarzystwo i nadal się mną interesuje.

Wróciła do tematu „Wyspy skarbów” i powiedziała mi, co według niej będzie dalej. Chciała też usłyszeć coś więcej o moim ocaleniu. Pomyślałam sobie, że może dlatego gotowa była mnie zaakceptować... przynajmniej na krótko. Inne guwernantki nie miały takich przygód.

Zaprowadziła mnie na klify i siedziałyśmy tam jakiś czas, patrząc na morze.

— Te wody nie są spokojne — opowiadała. — Dawniej na wybrzeżu grasowali rozbójnicy. Palili ogniska i naprowadzali statki na skały, udając, że to port, a potem zabierali ładunek. Chciałabym być taką rozbójniczką...

— Dlaczego chcesz być złą?

— Bo dobrzy ludzie są nudni.

— Na dłuższą metę tak jest lepiej.

— Wolę krótki dystans.

Roześmiałam się, a ona mi zawtórowała. Nagie coś jej się przypomniało:

— Spójrz na te skały w dole. Niedawno utonął tam człowiek.

— Znałaś go? Milczała przez chwilę.

— To obcy, przyjechał z Londynu. Pochowano go na cmentarzu w St Morwenna. Pokażę ci jego grób, chcesz?

— Nie sędzę, aby należał do tutejszych atrakcji. Znów się zaśmiała.

— Ten człowiek był pijany. Spadł z klifu prosto na skały.

— Musiał być bardzo pijany.

— O tak, dużo się o tym mówiło. Przez dłuższy czas nie wiedziano, kim był.

— Jak ty lubisz makabrę!

— A co to jest?

— Nieprzyjemne sprawy... Okropności.

— Lubię okropieństwa.

— Nie jest to najmądrzejsze upodobanie.

— Aleś ty śmieszna — zauważyła, chichocząc.

Kiedy znalazłszy się w swoim pokoju, przebiegłam myślą ten dzień, uznałam go za zaskakująco pomyślny. Miałam nawet nadzieję — chociaż słabą — na porozumienie z Kate.

* * *

Minęło kilka dni. Ze skrywaną satysfakcją zauważyłam, że moje trochę obrazoburcze metody nauczania okazały się w wypadku Kate bardziej skuteczne niż konwencjonalne. Dużo czasu poświęcałyśmy lekturze. Traktowałam to jako rodzaj łapówki za dobre zachowanie podczas mniej interesujących zajęć. Wprawdzie Kate mogła czytać sama, ale wolała słuchać.

Lubiła dzielić się swą radością, co uznałam za zaletę. Lubiła też opowiadać o tym, co przeczytałyśmy, chociaż czasem wstrzymywała ją nieznajomość jakiegoś słowa. Mimo jawnie głoszonej pogardy do wiedzy, Kate wyraźnie jej łaknęła, a od „Wyspy skarbów” nie mogła się oderwać.

Nie powinnam oczekiwać całkowitej odmiany charakteru dziecka tylko dlatego, że nasze stosunki układały się nadspodziewanie dobrze. Chyba mniej więcej czwartego dnia Kate nie zjawiała się w szkolnym pokoju.

Kiedy weszłam do jej sypialni, wyglądała przez okno, wyraźnie na mnie czekając. Dobrze wiedziałam, że cieszy ją perspektywa walki.

— Czemu nie jesteś w szkolnym pokoju?

— Nie mam dziś nastroju do lekcji — odparła beztrąsko.

— Nie obchodzi mnie twój nastrój. Teraz jest pora nauki.

— Nie zmusisz mnie.

— Oczywiście, że nie zawlokę cię siłą. Ale pójdę do twojej matki i powiem, że postanowiłaś więcej się nie uczyć, więc mój dalszy pobyt tutaj traci sens.

Śmiałe posunięcie! Nie zniósłabym teraz myśli o wyjeździe. Wiedziałam jednak, że daleko nie zajdę, jeśli nie zdobędę u niej autorytetu.

Popatrzyła na mnie buntowniczo. Serce mi zamarło, chociaż miałam nadzieję, że tego nie widać.

— Naprawdę to zrobisz?

Strach w jej oczach mieszał się z niedowierzaniem. Widziałam, że czuje się tak samo nieswojo, jak ja. Zdecydowałam się na stanowczość:

— Jeśli w tej chwili nie przyjdiesz na lekcje, nie będę miała wyboru.

Wahała się przez chwilę.

— W porządku — odrzekła. — Jak chcesz, to idź.

Odwrociłam się na pięcie. Nie wolno mi okazywać rozpacz. Jeśli to ma być koniec... Co ja najlepszego zrobiłam? Ale nie było odwrotu; wyszłam, a ona nawet nie drgnęła. Zaczęłam już schodzić na dół, kiedy usłyszałam jej głos:

— Cranny! Wracaj!

Stałam i obejrzałam się przez ramię.

— No dobrze. Przyjdę.

Kiedy szliśmy razem do szkolnego pokoju, twarz mi płonęła z radości ze zwycięstwa.

Kate była jednak nieznośna przez cały dzień. Zastanawiałam się dlaczego. Może uznała, że za dużo tej grzeczności, tak bardzo sprzecznej z jej naturą?

Wieczorem znalazłam w łóżku martwą mysz. Zawinęłam ją ostrożnie w bibułkę i poszłam do Kate.

— To biedne stworzonko należy chyba do ciebie?

Zrobiła zdumioną minę.

— Gdzie to znalazłaś?

— Tam, gdzie położyłaś. W moim łóżku.

— Założę się, że narobiłaś wrzasku.

— Nie uważam tego ani za przerażające, ani za śmieszne. To po prostu głupi banał.

Widziałam, że zastanowiło ją słowo „banał”. Uwielbiała odkrywać nowe wyrazy, ale tym razem wolała mnie nie pytać, co to znaczy.

— Ciekawe — mówiłam dalej — ile razy jakieś psotne dzieci wkładały mysz do czyjegoś łóżka. To naprawdę bardzo głupie, moja Kate. Łatwo przewidzieć, co zrobisz.

Trocheja zdeprymowała, nagle jednak podniosła głowę.

— Przyniosłaś tę mysz z powrotem. Na pewno zamierzałaś podrzucić ją mnie.

— Nie zrobiłabym czegoś tak głupiego. Po prostu chciałam ci pokazać, że twój dowcip nie odniósł spodziewanego skutku. Posłuchaj, jeśli mamy ogłosić rozejm, musimy położyć kres tym dzieciennym kawałom. Znacznie ciekawiej będzie, jeśli się z sobą pogodzimy. Jest tyle interesujących rzeczy, które mogłybyśmy robić. Po co tracić czas na awantury i głupie figle? Możemy rozmawiać...

— O czym?

— O życiu... O ludziach...

— Albo o morderstwach?

Tak, zwłaszcza o jednym, pomyślałam, ale ugryzłam się w język.

— Możemy na przykład skończyć „Wyspę skarbów”.

— „Piętnastu ludzi na umrzyka skrzyni — zaśpiewała. — Ju-hu-hu-hu i butelka rumu!”*

— Jest wiele innych książek. Nie znasz jeszcze „Hrabiego Monte Christo”, a widziałam, że stoi w bibliotece. To powieść o człowieku, który został niesłusznie uwięziony i uciekł, aby się zemścić.

Oczy jej się zaokrągliły z ciekawości.

— No dobrze — ciągnęłam. — Skoro nie chcemy tracić czasu na głupstwa, możemy się do tego wziąć. A potem będą inne lektury.

Nie odpowiedziała, ale czułam, że wygrałam kolejną bitwę.

— Co zrobimy z tą nieszczęsną myszką? — zapytałam.

— Zakopię ją — obiecała.

— Słusznie. Najlepiej razem z twoimi głupimi uprzedzeniami wobec guwernantek. Może wtedy nasze lekcje zaczną ci sprawiać przyjemność.

* Przekład Krystyny Tarnowskiej i Andrzeja Konarka.

I po tych słowach wyszłam w poczuciu odniesionego triumfu.

* * *

Moje postępowanie z Kate wzbudziło zdumienie domowników. Oto wreszcie zjawił się ktoś, kto mógł zmienić *enfant terrible* w normalne dziecko, a przynajmniej jakoś je poskromić.

Zachwycona pani Ford dogadzała mi, jak mogła. Wymawiała moje imię trwożnym szeptem, jak gdybym była zwycięskim bohaterem, okrytym militarną sławą. Inni domownicy także traktowali mnie niczym ważną osobistość.

Mniej więcej tydzień po moim przyjeździe lady Perrivale poprosiła mnie do salonu.

Rozpływała się wprost z łaskawości.

— Zdaje się, że doskonale radzi sobie pani z Kate. To bardzo dobrze, od razu wiedziałam, że wszystko się ułoży, jeśli tylko trafimy na odpowiednią osobę.

— Nie mam żadnego doświadczenia — przypomniałam jej.

— 1 na tym wszystko polega. Te rutynowane nauczycielki są strasznie zasadnicze. Za bardzo trzymają się dawnych metod, żeby zrozumieć dzisiejsze dzieci.

— Kate jest dość niezwykłym dzieckiem.

— Owszem, ale pani wyraźnie ją rozumie. Czy aby na pewno jest pani zadowolona z warunków? Może jest coś...

— Dziękuję, mam wszystko, czego mi potrzeba.

W tym momencie, niczym na dany znak, zjawił się sir Tristan. Ubawiło mnie, że kazano mu przyłączyć się do hymnów pochwalnych żony. Kate musiała im niezłe zaleźć za skórę.

Przeleciała mi przez głowę myśl, że to dość dziwne, aby człowiek, który mógł zamordować własnego brata, nie potrafił dać sobie rady z niesfornym dzieckiem. Szybko jednak przywołałam się do porządku: to nonsens przypisywać sir Tristanowi mordercze skłonności tylko na podstawie jego groźnego wyglądu. Chociaż ostatecznie odziedziczył tytuł, posiadłość oraz... Mirabel.

Ciemne, przenikliwe oczy wyraźnie mnie taksowały, aż poczułam się winna. Ciekawe, co by powiedział, gdyby znał moje myśli...

— Podobno poradziła sobie pani z Kate — powiedział i zaraz dodał z uśmiechem: — Co za wyczyn! Bardzo to sprytne z pani strony, panno Cranleigh. Pani poprzedniczki poniosły na tym polu sromotną klęskę.

— Ona nie jest łatwym dzieckiem.

— Dobrze o tym wiemy. — Zerknął na żonę. — Prawda, moja droga? Przytaknęła niechętnie.

— Myślę, że ona wymaga wiele zrozumienia — powiedziałam, zastanawiając się nad stosunkami dziewczynki z nimi obojgiem.

Sama Kate nie dała mi żadnych po temu wskazówek. Co z jej ojcem? Co się z nim stało? Co czuła, kiedy matka zaręczyła się z Cosmem, a wkrótce po jego śmierci wyszła za Tristana? O tych wszystkich sprawach powinnam się czegoś dowiedzieć. Wierzyłam, że to mi pomoże w rozwiązaniu zagadki.

— A pani jej to zapewnia.

— Jak już wyjaśniłam, nigdy nie pracowałam jako guwernantka.

— Oczywiście, jest pani bardzo młoda — odrzekł, uśmiechając się ciepło. — I nadzwyczaj skromna, mam rację?

— O wiele za skromna — poparła go lady Perrivale. — Panno Cranleigh, mam nadzieję, że nie będzie się pani tu nudzić. Od czasu do czasu wydajemy przyjęcia. Może zechce pani przyłączyć się do gości? W końcu pani przyjaciele to nasi bliscy sąsiedzi.

— Ma pani na myśli Lorimerów?

— Tak. Bardzo nam smutno z powodu tego wypadku. Przypuszczam, że nie są jeszcze w nastroju do składania wizyt, ale może później... Chętnie zaproszę obu panów i wtedy na pewno nam pani nie odmówi.

— Będzie mi bardzo miło.

— Nie chcemy, żeby czuła się pani... odizolowana.

Myślałam: oto typowy los guwernantki. Kiedy chlebodawcom brakuje pary do jakiegoś gościa, uzupełniają lukę zależną od siebie młodą kobietą, byle tylko liczba się zgadzała. Z drugiej strony, ci Perrivale'owie naprawdę starają się za wszelką cenę mnie zatrzymać. Jakie to dziwne, że tylko ja potrafiłam znaleźć sposób, żeby to krnąbrne dziecko uczynić nieco znośniejszym.

— Pani jest bardzo uprzejma — powiedziałam. — Owszem, mam pewną prośbę...

Spojrzeli wyczekująco.

— Czy mogłabym od czasu do czasu mieć wolne popołudnie? Chciałabym odwiedzać Lorimerów, bo... tam są dzieci. Po wypadku opiekowałam się trochę bliźniakami, nawet specjalnie dla nich zostałam dłużej po wyjeździe przyjaciół, z którymi podróżowałam.

Ubawiła mnie lekka panika, jaką dostrzegłam w oczach lady Perrivale. Dzieci? Może potrzebują guwernantki? Doprawdy, upomniałam się w duchu, mam stanowczo za wysokie mniemanie o sobie... a wszystko dlatego, że udało mi się na jakiś czas okiełznać Kate.

— Oczywiście — zgodził się pośpiesznie sir Tristan. — Musi pani mieć czas na odwiedzanie przyjaciół, tylko jak pani tam się dostanie? To ładnych kilka mil. Jeździ pani konno?

— O tak.

— No to postanowione. Proszę poprosić Masona, żeby wyszukał pani w stajniach odpowiedniego wierzchowca.

— Bardzo dziękuję. Sądzę, że i Kate chętnie ze mną pojeździ, nawet mi coś o tym wspominała.

— Świetny pomysł. Ona chyba nieźle sobie radzi na koniu.

— Na pewno.

To była naprawdę udana rozmowa.

* * *

Następnego dnia wybrałyśmy się z Kate na przejażdżkę. Miała małego siwego konia, którego bardzo lubiła. Z przyjemnością patrzyłam, jak czule się nim opiekuje — to znaczyło, że jednak jest zdolna do okazywania uczuć.

Główny stajenny wyszukał mi kasztanową klacz imieniem Goldie.

— To poczciwe stworzenie — zapewniał mnie. — Wystarczy ją dobrze traktować, a odwdzięczy się tym samym. Jest spokojna i łagodna, ale domaga się uwagi... no i po skończonej jeździe lubi dostać kostkę cukru. Przy umiejętnym postępowaniu na pewno będzie pani niewolnicą.

Kate świetnie trzymała się w siodle, tylko z początku miała skłonność do popisów. Zaprzestała ich dopiero, kiedy ją zapewniłam, że doceniam jej umiejętności. W innym wypadku nie pozwolono by jej przecież na jazdę bez stajennego.

Zastanawiałam się, jak by tu poruszyć temat domowych stosunków. Wiedziałam, że muszę zachować wielką ostrożność; Kate była znakomitą obserwatorką i nie spuszczała mnie z oka tak samo, jak ja jej.

Zaproponowała mi wyprawę do Bindon Boys.

— Wiesz, to ta stara farma, gdzie popełniono morderstwo.

— Pamiętam.

— Spodoba ci się, Cranny. Sama wiesz, jak bardzo ciekawi cię wszystko, co się wiąże z tą sprawą.

Poczułam się nieswojo; zdradziłam swoje zainteresowanie, a ona to dostrzegła.

— To paskudne miejsce. Po zmroku nikt tam nie chodzi... nawet się nie zbliża. Według mnie, wielu chętnie wybrałoby się za dnia, ale nigdy w pojedynkę.

— Cegły i zaprawa nie zrobią nikomu nic złego.

— Nie, chodzi o to, co jest w środku. Kiedyś była to prawdziwa wiejska chałupa, sama pamiętam... zanim to się stało.

— Naprawdę pamiętasz?

— Pewnie, przecież nie byłam taka mała.

— I po przyjeździe z Londynu mieszkałaś w pobliżu?

— Tak, tuż koło Bindon Boys. I zaraz za zbroczem miałam morze, pokażę ci na miejscu.

— To daleko?

— Nie, około mili.

— Rzeczywiście blisko...

— Więc jedźmy. Zobaczysz, jak cię przegonię.

Ruszyliśmy galopem przez łąkę i wkrótce znaleźliśmy się blisko morza. Wdychałam pełną piersią orzeźwiające powietrze. Kate podjechała do mnie bliżej.

— To tam, w dole, widzisz? Stary dom, a niedaleko nasz Seashell Cottage. Seashell... co za głupia nazwa! Ktoś ułożył pod drzwiami taki napis z muszelek. Lubiłam je wydłubywać... wyciągnęłam całe „Seas” i zostało „Hell Cottage”^{*}.

Roześmiałam się z jej pomysłu.

— To podobne do ciebie!

— Dada się uśmieł... Wiesz, co? Kiedy już obejrzysz ten dom na farmie, możemy pojechać do Dady. Chętnie cię pozna, bardzo lubi spotykać nowych ludzi.

— Na pewno będzie interesująco.

— Więc jedźmy, ale najpierw na farmę.

Zjechałyśmy z lekkiej pochyłości i znalazłyśmy się na miejscu. Dom był w stanie ruiny; dach groził w każdej chwili zawaleniem, ciężkie drzwi stały otworem — zasuwa zniknęła.

— Chyba zaraz się zawali — powiedziałam.

— Wchodzimy? Może się boisz?

— Oczywiście, że chcę tam wejść.

— Więc zostawmy tu konie.

Uwiązałyśmy nasze wierzchowce do starego słupka i weszłyśmy prosto do dużego pomieszczenia, które w moim przekonaniu służyło za bawialnię. Były tam dwa okna z wybitymi szybami, w podłodze brakowało kilku desek. Z okien zwieszały się podarte zasłony, pod sufitem dostrzegłam zakurzone pajęczyny.

— Po morderstwie niczego tu nie ruszali — zauważyła Kate. — To stało się właśnie tutaj... Musi tu straszyc... czujesz tę atmosferę?

— Jest jakaś... niesamowita.

— To z powodu duchów. Lepiej trzymaj się blisko mnie.

Uśmiechnęłam się leciutko. Widziałam, jak jej zależy, żebym się nie oddalała.

Wszystko stanęło mi przed oczami: Simon uwiązał konia przy tym samym słupku... Niczego nie podejrzewając, wszedł do środka i znalazł martwego Cosma na podłodze. Obok leżała broń, więc ją podniósł i w tym momencie wpadł Tristan... Za dobrze to wyglądało.

^{*} *Seashell* — muszelka, *seas* — morza, *hell* — piekło, *cottage* — wiejski domek.

— Masz śmieszna minę — zauważyła Kate.

— Myślałam o tym... Skinęła głową.

— Po mojemu Simon na niego czekał, a kiedy Cosmo wszedł... bum, bum! Jak to dobrze, że Czymek go przyłapał. Ale Simon uciekł. — Przynęła się do mnie bliżej. — Ciekawe, co on teraz robi...

— Niestety nie wiem.

— Może duch go straszy? Czy duchy podróżują? Chyba niezbyt daleko. Ach, jak bym chciała wiedzieć, gdzie on jest! Co z tobą, Cranny?

— Nic, nic.

— Odkąd tu weszłaś, masz takie dziwne oczy...

— Nonsens.

Nagle usłyszałam nad głową jakiś szelest.

— Ty się po prostu boisz i... — urwała.

Spojrzała w stronę schodów i oczy jej się rozszerzyły. Też usłyszała ten odgłos! Chwyciłam ją za rękę i wtedy skrzypnęła podłoga. Kate ciągnęła mnie do drzwi, ale się nie ruszyłam.

— To duch — wyszeptala, tym razem naprawdę wystraszona. Przez parę sekund stałyśmy nieruchomo, potem zaczęłam wchodzić na schody. Kate trzymała się z tyłu.

Na górnym podeście usłyszałyśmy czyjś ciężki oddech. Było tam troje drzwi, wszystkie zamknięte. Przystanęłyśmy, nasłuchując — i znów ten oddech! Za najbliższymi drzwiami ktoś się czał.

Przekreśliłam gałkę i pchnęłam drzwi. Stał tam jakiś człowiek — brudny i zaniedbany. W kącie leżał stos szmat i papierowa torba. Kiedy zobaczyłam na podłodze okruszki, kamień spadł mi z serca. Przynajmniej miałyśmy do czynienia z ludzką istotą! Sama nie wiem, czego oczekiwałam, może jak Kate, obawiałam się ducha Cosma? A to po prostu był stary włóczęga.

— Nie zrobiłem nic złego — powiedział.

— To Harry Tench — zabrzmiał szept Kate.

Harry Tench... Nazwisko brzmiało znajomo. Musiałam je już słyszeć, i to w związku z morderstwem.

— A wy kto? — spytał. — Tę już znam — wskazał Kate. — Czego tu chcecie? Nic złego nie robię.

— Nie — odpowiedziałam. — Przyjechałyśmy obejrzeć dom i usłyszałyśmy hałas...

— Nikt tu nigdy nie węszy. Czy ja komu szkodzę?

— Ależ nie. Przykro nam, że przeszkodziłyśmy.

— To tylko miejsce do spania. Wyrzucili mnie... Tu nikomu nie wadzę. Nie myślcie, że dam się wykurzyć.

— Wcale nie mamy takiego zamiaru — odezwała się Kate, która zdążyła już zupełnie ochłonąć ze strachu. — Wzięłyśmy cię za ducha.

Wyszczerył w uśmiechu żółte zęby.

— Nie martwcie się — powiedziałam. — Chodź, Kate.

Wzięłam ją za rękę i wyprowadziłam z pokoju, zamykając drzwi. Potem zeszłyśmy na dół.

— Wyjdźmy już stąd.

Kiedy odjeżdżałyśmy, zauważyła:

— A jednak naprawdę się bałaś.

— Nawet w połowie nie tak jak ty. Chciałaś uciekać, pamiętasz? Milczała przez chwilę.

— Ale on jest odważny... spać na miejscu zbrodni, no, no... Ty byś nie chciała, co, Cranny?

— Wolę wygodniejsze posłanie. Ujechałyśmy kawałek drogi i nagle wykrzyknęła:

— Patrz, Seashell Cottage! Tam mieszkaliśmy!

Był to zadbane domek z dobrze utrzymanym ogrodem i koronkowymi firankami w oknach. Podjechałyśmy na tyle blisko, bym mogła zauważyć, że „Seas” w napisie przed drzwiami zostało przywrócone. Nazwa znów brzmiała statecznie: „Seashell Cottage”. Trudno mi było wyobrazić sobie lady Perrivale w takich skromnych warunkach, a przecież mieszkali z nią także córka i ojciec.

Zastanawiałam się nad ojcem dziewczynki. Czy mogę ją zapytać? Może w odpowiednim momencie zadam jej parę starannie dobranych pytań. Muszę pamiętać, jaka jest bystra, i postępować bardzo ostrożnie.

— Chodź — nawoływała. — Pojedziemy sprawdzić, czy Dada jest w domu.

Wdowi Domek bardzo się różnił od Seashell Cottage. Widziałam go wcześniej z daleka, gdyż znajdował się niedaleko Perrivale Court. Wjechałyśmy do zagajniku, dzielącego oba domki.

Zobaczyłam uroczą rezydencję, wybudowaną chyba za czasów królowej Elżbiety, w charakterystycznym stylu Tudorów — czerwona cegła i okna z małych szybek. Po kilku ścianach pięło się dzikie wino, wypielegnowany trawnik otaczały kwiatowe rabatki.

Uwiązałyśmy konie i weszłyśmy przez furtkę. W domu panowała cisza.

— Założę się, że jest w ogrodzie — powiedziała Kate.

Poprowadziła mnie ścieżką wokół domu, koło małego sadu, do ogrodu za murem w stylu epoki. Po czerwonej cegle pięły się rośliny, oczko wodne z małą fontanną otaczały aromatyczne zioła. Od pierwszej chwili ogarnęła mnie atmosfera absolutnego spokoju. Na rzeźbionej drewnianej ławce obok sadzawki siedział jakiś mężczyzna.

— Dada! — zawołała Kate.

Zdumiał mnie jego młody wygląd. Później doszłam do wniosku, że musiał mieć dobrze po pięćdziesiątce, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej. Trzymał się prosto i niewątpliwie był przystojny, zauważyłam też podobieństwo do lady Perrivale i Kate. Włosy miał podobnego koloru, ale poprządkane na skroniach siwymi nitkami, oczy kryły w sobie cień zieleni, ale — jak u Kate — brakowało im ciemnej oprawy, która czyniła z lady Perrivale prawdziwą piękność. Brwi dziadka Kate były tak jasne, że niemal niewidzialne, przez co wyglądał zaskakująco młodo.

Podszedł do nas wielkimi krokami, a Kate pobiegła mu na spotkanie. Uniósł ją w ramionach i okręcił w kółko. Zaśmiała się radośnie, a ja pomyślałam z przyjemnością: „Oto wreszcie ktoś, komu naprawdę na niej zależy”. Ucieszyłam się, że dziewczynka potrafi okazać uczucie.

— Hej, malutka — odezwał się starszy pan. — Chyba zapominasz o dobrych manierach. Czemu mnie nie przedstawiasz? Oczywiście domyślałam się...

— To Cranny!

— Rosetta Cranleigh — poprawiłam ją.

— Panna Cranleigh. Miło mi panią poznać. Pani sława dotarła już do mojego domku, córka mi opowiedziała, jakich cudów dokazała pani z tą amoralną kozą.

— Co to znaczy „amoralną”? — dopytywała się Kate.

— Lepiej, żebyś nie wiedziała, nieprawdaż, panno Cranleigh? Tak się cieszę, że przyszłyście mnie odwiedzić!

— To jest major Durrell. Majorowie są bardzo ważni, no nie?

— Skoro tak twierdzisz... — Spojrzał na mnie, unosząc konspiracyjnie jedną jasną brew. — Proszę siadać. Może się czegoś napijecie?

— O tak, prosimy! — ucieszyła się Kate.

— Trochę wina, co?

— I parę biszkoptów do niego.

— Ależ oczywiście. Posłuchaj, moja droga, najlepiej pójdz sama do pani Carne i powiedz, co ma przygotować.

— W porządku.

Kiedy dziewczynka wybiegła, major zwrócił się do mnie z wyjaśnieniem:

— Pani Carne przychodzi do mnie co rano, a dwa razy w tygodniu także po południu, traktując to jako szczególną przysługę. Na szczęście dziś właśnie jest takie popołudnie, chociaż potrafię sam zadbać o siebie. W wojsku człowiek się uczy. Jestem prawdziwą „złotą rączką”, to oszczędza wielu kłopotów. Ale proszę usiąść, panno Cranleigh. Nie sądzi pani, że to urocze miejsce?

— O, tak. Istna oaza spokoju.

— Ja też tak uważam, a w moim wieku spokój jest bardzo pożądany, proszę mi wierzyć.

— Chyba przydaje się w każdym wieku.

— Ach, młodzi wolą życie pełne przygód. Gonią za każdą sensacją, nieważne jakim kosztem. Ja już przeżyłem swoje, a teraz, dzięki Bogu, cenię sobie spokój. Tak się cieszę, że przyjechała pani uczyć moją wnuczkę i że odnosi pani takie sukcesy.

— Za wcześnie o tym mówić. Jestem z nią od niedawna.

— Ale wszyscy są zachwyceni. Mają za sobą tyle prób... Biedne dziecko, nie było jej łatwo. To dobre stworzenie... tylko trzeba dotrzeć do jej wnętrza, w tym cały problem. Ona potrzebuje zrozumienia.

Poczułam do niego sympatię. Wyraźnie był przywiązany do wnuczki i w dodatku potwierdzał moją opinię.

— Tak, zgadzam się z panem. Trzeba znaleźć sposób, żeby ją zrozumieć.

— Wie pani, o co mi chodzi... Zmiana domu, ojczym i tak dalej. Dziecko musi mieć czas, żeby się przystosować, a przy jej charakterze to niełatwe.

Miał w sobie coś szczerego. O ileż łatwiej rozmawiało mi się z nim niż z matką czy ojczymem Kate!

— Gdyby kiedykolwiek wynikły jakieś trudności... rozumie pani, z Kate... proszę bez wahania mnie zawiadomić.

Wzbudził we mnie przekonanie, że jesteśmy sprzymierzeńcami. Zastanawiające, że udało mu się to w tak krótkim czasie.

Wróciła Kate i oznajmiła, że pani Carne zaraz przyniesie wino i biszkopty.

— Tam, przy sadzawce możemy wygodnie posiedzieć. Mam nowe złote rybki. Widzisz je, Kate?

— Ach, tak! Są śliczne!

— Bardzo zadbany ogród — zauważyłam.

— Jestem całkiem niezłym ogrodnikiem. Tu zawsze panuje taki spokój.

Wciąż mówił o spokoju! Cóż, czemu nie? Spokój to dobra rzecz.

Nadeszła pani Carne z poczęstunkiem. Wyglądała tak, jak sobie wyobrażałam: pulchna, o różowych policzkach, w średnim wieku i wyraźnie pod urokiem swego chlebobdawcy, co mnie bynajmniej nie dziwiło. Była opiekuńcza, pełna podziwu i zachowywała się dość władczo.

— Proszę bardzo, majorze. Biszkopty niedawno wyjęłam z pieca.

— Pani Carne, jest pani aniołem.

Podniosła dumnie głowę.

— Miło mi to słyszeć.

— To jest panna Cranleigh — przedstawił mnie.

Nie wydawało się, żeby musiał wyjaśniać powód mojej obecności przy Kate. Pani Carne na pewno świetnie się orientowała we wszystkim, co dotyczyło Perrivale Court.

Kiwnęła mi głową i odeszła.

— Poczciwa dusza! — odezwał się major. — Traktuje mnie czasem jak niemowlę, ale przyznaję, że lubię, kiedy mnie rozpieszczają. Więc spodobał się pani mój ogród? Dużo robię tu

sam... projektuję, sadzę i tak dalej. Ale co rano przychodzi człowiek do bardziej przyziemnych prac.

— Długo pan tu mieszka?

— Odkąd córka wyszła za mąż. Ten dom jest czymś w rodzaju ślubnego prezentu. To dość niezwykle, żeby tak rozpuszczać ojca panny młodej, ale Mirabel nie mogła znieść, że pozostanę w tamtej chałupce. Dała mi do zrozumienia, że przenosząc się tutaj, wyświadczam jej przysługę.

— Widziałyśmy dziś Seashell Cottage.

— Jest uroczy na swój sposób. Oczywiście ogród nie może się równać z tutejszym.

— Opowiadałam Cranny, jak wydłubałam „Seas” i przerobiłam nazwę na Hell Cottage.

— Sama pani widzi, co ja muszę znosić.

— Przecież też cię to rozśmieszyło! Wiesz, że nie kłamię!

— Może i tak. Co to ja mówiłem? Ach, że tu mi znacznie lepiej. Bardzo jestem zadowolony z tej zmiany.

— Miło jest żyć z takim przeświadczeniem.

— Tak, zwłaszcza po dość burzliwej karierze. Życie w wojsku nie jest usłane różami, proszę mi wierzyć. I nagle znalazłem się w tym zaciszu! Córka jest szczęśliwie zamężna, a i wnuczka wyszła na prostą drogę przy tak doskonałej guwernantce.

Znów uniósł brew; widać to jego stały nawyk.

— Dada zwiedził cały świat — poinformowała mnie Kate. — Był wszędzie.

— Lekka przesada, rozumie pani. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

— Majorzy są najważniejsi z całej armii — dowodziła Kate.

— Moja droga wnuczka odsuwa na bok wszystkich generałów, marszałków polnych, pułkowników i całą resztę, która to samo myśli o sobie.

— Ale ty naprawdę taki jesteś.

— Kto by śmiał przeczyć lojalnemu sojusznikowi? Owszem, sporo podróżowałem: Indie, Egipt, gdzie tylko obowiązki mnie rzuciły.

— Opowiedz nam, Dada — prosiła dziewczynka.

Rzeczywiście przy winie dużo nam opowiedział, między innymi o Indiach, gdzie stacjonował jako młody oficer.

— To były czasy... Tylko ten klimat, no i niepewność. W czasie samego powstania byłem za młody, ale emocje długo jeszcze nie opadły.

Kiedy mówił, Kate wciąż na mnie zerkala, żeby sprawdzić, czy nadal jestem pod wrażeniem. Było oczywiste, że traktuje dziadka jak bohatera. On tymczasem snuł opowieści o Egipcie, Sudanie i Indiach. Na koniec zauważył:

— Ależ się rozgadałem! To wszystko przez Kate, zawsze musi mnie naciągnąć. Prawda, wnuczko?

— Mnie się to podoba. I Cranny także, czyż nie?

— Zafascynował mnie pan.

— Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że da się pani skusić na następną wizytę.

— Szkoda, że mnie przy tobie nie było — dodała Kate.

— Ach... Czasem łatwiej coś opowiedzieć niż przeżyć.

— Musi panu brakować tych sensacji.

— Mówiłem już, jak bardzo sobie cenię spokojne życie. Dość mam przygód, chcę teraz zapuścić korzenie i cieszyć się wizytami najbliższych, ze świadomością, że są zdrowi i szczęśliwi.

— To bardzo szlachetna ambicja... Ależ ten czas leci! Kate, musimy już wracać.

— Proszę obiecać, że jeszcze przyjedziecie.

Podziękowałam majorowi, a Kate rzuciła mu się na szyję. Zdziwiło mnie to: zachowywała się zupełnie jak nie to samo dziecko. Z przyjemnością patrzyłam na gorące uczucie łączące ją z dziadkiem.

Już w drodze powrotnej zapytała:

— Czyż Dada nie jest cudowny?

— Na pewno miał bardzo interesujące życie.

— Najbardziej interesujące ze wszystkich ludzi. Oczywiście, ty byłaś rozbitkiem... To też się liczy. Powinnaś mu o tym opowiedzieć.

— Och, jego przygody są znacznie ciekawsze.

— Jasne. Ale twoje też ujdą. Możesz mu opowiedzieć następnym razem.

Bo oczywiście, miał być następny raz. Bardzo mnie to cieszyło.

Leżąc w łóżku, odtwarzałam sobie w pamięci przebieg popołudnia. Sporo się wydarzyło. Najpierw Harry Tench, potem major... Obaj tu byli, kiedy popełniono morderstwo.

Wyobrażałam sobie majora w Seashell Cottage z córką i wnuczką. Mogłam się dużo od niego dowiedzieć. Człowiek jego pokroju na pewno orientował się w sytuacji i miał jakieś własne teorie na ten temat.

Muszę stanowczo podtrzymać tę znajomość.

Naprawdę wiele dzisiaj zyskałam.

Grób marynarza

Wizyta u majora wydała mi się wielkim sukcesem, i to nie tylko pod jednym względem. Kate stała się od tej pory znacznie miłsza. Polubiłam starszego pana i jej zdaniem on polubił mnie, a ponieważ w oczach wnuczki był bohaterem, ja także coś na tym zyskałam.

Mówiła o dziadku z całą swobodą; opowiadała o jego cudownych przygodach, o tym, jak w pojedynkę wygrywał bitwy i jak bardzo przyczynił się do sukcesów Imperium Brytyjskiego. Kate nigdy niczego nie robiła ani nie myślała bez całkowitego przekonania.

Bardzo mnie cieszyło, że nasza przyjaźń tak się rozwija.

Lekcje odbywały się niemal bezboleśnie. Wielkim krokiem naprzód okazało się zapoznanie dziewczynki z książkami o ciekawej akcji. Prawie skończyłyśmy „Wyspę skarbów”, a „Hrabia Monte Christo” już czekał w pogotowiu.

Książki wykorzystywałam beczelnie jako rodzaj łapówki, chociaż Kate sobie tego nie uświadamiała.

— Wiem, że te słupki są trudne, ale jeśli podliczymy je prawidłowo, zobaczymy, co się dalej działo z Benem Gunnem.

Sama byłam nie mniej od innych zdziwiona swoim sukcesem. Zaczynałam widzieć w Kate nie tylko zbuntowaną dziewczynkę, uprzykrzającą wszystkim życie. Przypuszczałam, że za jej zachowaniem kryły się konkretne przyczyny, i z całą determinacją dążyłam do ich wykrycia.

Jednocześnie ani na chwilę nie traciłam z oczu głównego celu. Żebym tak mogła pogadać z dziadkiem Kate na osobności! Trudno mi było zadawać zasadnicze pytania w obecności dziewczynki, która już i tak podejrzliwie patrzyła na moje zainteresowanie zbrodnią. Oczywiście nie wypadało mi samej składać wizyty majorowi. Może — mówiłam sobie — okazja sama nadejdzie, a wtedy muszę być gotowa, by należycie ją wykorzystać.

Wiedziałam już, jak Kate interesuje się makabreskami, więc także jej zafascynowanie cmentarzem nie wzbudziło mego zdziwienia.

Tutejszy kościół — słynny zabytek normañskiej architektury — znajdował się niedaleko Perrivale Court. Często mijałyśmy go podczas naszych konnych wędrówek.

— Wyobraź sobie tylko — powiedziałam kiedyś. — Zbudowano go przed tyloma wiekami! Około ośmiuset lat temu!

Właśnie „przerabiałymy” — jak to nazywała Kate — wyprawę Wilhelma Zdobywcy. Zainteresowała się nim bliżej, kiedy się dowiedziała o szczególnym sposobie, w jaki ów władca zalecał się do swej późniejszej żony Matyldy — bijąc ją, gdy się spotykali na ulicach. Takie incydenty wprawiały Kate w zachwyt, więc mimo woli sama je podkreślałam, chcąc pobudzić jej ciekawość.

— Dużo pobudował w tych stronach — zauważyła. — Zamki, kościoły i tak dalej. Te trupy w grobach leżą tak od setek lat.

— I to o nich pewnie rozmyślasz zamiast o pięknych normandzkich łukach i wieżach. Ten kościół jest naprawdę ciekawy.

— Wejdźmy do środka!

Uwiązałyśmy konie i weszłyśmy. Atmosfera ciszy wyraźnie wpłynęła na zachowanie Kate. Przystudiowałyśmy wspólnie listę pastorów, sięgającą daleko w przeszłość.

— Co za cudowna aura starożytności — westchnęłam. — Nigdzie nie ma jej tyle, co w kościele.

— Perrivale Court jest bardzo stare.

— Tak, ale wciąż mieszkają tam ludzie, więc siłą rzeczy wkrada się nowoczesność.

— Chodźmy na cmentarz.

Wyszliśmy z kościoła i znaleźliśmy się wśród poprzekrzywianych nagrobków.

— Jak chcesz, to ci pokażę kryptę Perrivale'ów.

— Tak, bardzo chętnie ją obejrzę.

Stałyśmy przed nią. Była imponująca i pełna ozdób.

— Ciekawe, ilu nieboszczyków tu leży — zastanawiała się Kate.

— Chyba sporo.

— Gdzieś tu jest Cosmo. Założę się, że nocami wychodzi z grobu.

— Twoje myśli wciąż krążą wokół makabry.

— Co to makabra? Wyjaśniłam.

— No cóż — zauważyła. — Właśnie dlatego cmentarze są takie interesujące. Gdyby tam nie było tylu umarłych, nie różniłyby się od zwykłych miejsc. To umarli zmieniają się w duchy, nie możesz zostać duchem, póki jesteś żywa. Chodź, coś ci pokażę.

— Jeszcze jeden grób?

Pobiegła naprzód, a ja podążyłam za nią wolnym krokiem. Zatrzymała się przy cokole jednego z grobów. Nic go nie wyróżniało — nie miał wrytych w kamieniu liter ani wizerunków aniołów, żadnej czulej inskrypcji, tylko zwykłą tabliczkę z nazwiskiem Thomas Parry i datą. Od innych grobów odgradzał go byle jaki krawężnik, na którym stał słoik po dżemie z kilkoma gałązkami tawuły — prawdopodobnie zerwanymi z żywopłotu.

— Kim był ten człowiek? — zapytałam. — I czemu tak cię interesuje jego grób?

— To ten, co spadł z klifu i utonął.

— Ach... Już pamiętam, wspominałaś mi o nim.

— Podobno był pijany.

— Tak przypuszczam. Ciekawe, kto stawia te kwiaty. Ktoś musi o nim myśleć.

Nie odpowiedziała.

— Znałaś go? Kto to był?

— Nie mieszkał w tych stronach. Po prostu przechodził i spadł z klifu.

— Jak głupio, że aż tak się upił!

— Może ktoś go zepchnął.

— Mówiłaś, że był pijany.

— Ale mogło tak być. Według mnie on chodzi nocami. Wydostaje się z grobu i spaceruje po cmentarzu, opowiadając o morderstwie.

Wyśmiałam Kate, lecz kiedy odwróciła się do mnie, miała poważną twarz.

Nagle wzruszyła ramionami i poszła dalej. Podążyłam za nią, obejrzawszy się jeszcze raz na żaloszny, zaniedbany grób z tawułą w słoiku.

* * *

Dick Duvane przywiózł mi z Trecorn Manor listy, wśród których znalazła się też karteczka od Lucasa. Powiedział, że zaczeka na odpowiedź.

Listy były z Londynu — od ojca i ciotki Maud. Otworzyłam jednak najpierw ten od Lucasa.

Droga Rosetto,

Jak ci się powodzi w roli guwernantki? Nie zmęczyłaś się jeszcze? Powiedz słowo, a przyjadę i natychmiast Cię zabiorę. Zresztą i tak muszę się z Tobą zobaczyć. Możemy się jutro spotkać? Wolisz w gospodzie czy mam przyjechać do domu? Mogę przyprowadzić Ci konia. Zawsze do usług

Przypomniałam sobie, że lady Perrivale obiecała mi wolne popołudnie, kiedy tylko zechcę. Skreśliłam więc pośpiesznie parę słów, godząc się na spotkanie w „Królu Żeglarzy” następnego dnia o wpół do trzeciej.

Pozostałe listy zabrałam do swojego pokoju. W obydwóch znalazłam to, czego się spodziewałam. Ten od ojca był dość oficjalny. Nie rozumiem, dlaczego uznałam za konieczne przyjmowanie tej posady. Skoro chciałam pracować, mógł mi znaleźć coś stosownego choćby w muzeum. Ma nadzieję, że szybko wrócę do domu i wtedy porozmawiamy o tym, co chciałabym robić.

Nie wyobrażałam sobie, że miałabym się tłumaczyć przed ojcem, choć było mi go żal. Pewnie to ciotka Maud kazała mu wyrazić dezaprobatę. Ona sama wcale nie kryła swych uczuć:

Moja droga Rosetto,

Jak mogłaś?! Guwernantka! Co Ty sobie myślisz? Wiem, że niektóre biedne panienki życie sypcha na takie pozycje, ale nie ma to nic wspólnego z Tobą. Jeśli posłuchasz mojej rady, to natychmiast dasz sobie spokój z tym absurdem. Pośpiesz się, to nikt się nie dowie. Gdyby prawda wyszła na jaw, ludzie uznaliby to za szaleństwo. Oczywiście najlepiej by Ci zrobił sezon w Londynie, chociaż to akurat nie wchodzi w grę. Jesteś jednak córką profesora, człowieka bardzo szanowanego w kręgach akademickich, i na pewno miałabyś jakieś szanse... Ale guwernantka!...

I tak dalej na jeszcze kilku stronach, po których ledwie prześliznęłam się wzrokiem. Ponieważ takiej właśnie reakcji oczekiwałam, wcale mnie ona nie poruszyła.

O wiele bardziej interesowało mnie jutrzejsze spotkanie z Lucasem.

Zapowiedziałam Kate, że następnego dnia mam się zobaczyć z przyjacielem.

— Mogę z tobą pojechać?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś zaproszona.

— To co mam robić w tym czasie?

— Musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie.

— Ale ja chcę pojechać z tobą.

— Nie tym razem.

— Następnym?

— Kto to może wiedzieć.

— Jesteś najbardziej denerwującą guwernantką na świecie!

— Więc pasuję do mojej podopiecznej.

Roześmiała się; naprawdę w tym krótkim czasie, jaki tu spędziłam, zrobiłyśmy znaczne postępy. Nawiązało się między nami porozumienie, o jakim nawet nie marzyłam.

Wreszcie dała za wygraną, chociaż niechętnie. Raz jeszcze wróciła do tematu mojej dezercji:

— Pokazałam ci różne rzeczy... Dadę i grób, a ty...

— Sama chciałaś tam jechać, ja cię nie prosiłam. Poza tym każdy ma jakieś osobiste sprawy.

— I ten, z którym masz się spotkać, należy do takich spraw?

— Nie znasz go, więc... owszem.

— Ale poznam — powiedziała złowieszczym tonem.

— Może... kiedyś...

Najchętniej zrobiłaby mi scenę, lecz się nie odważyła. Wiedziała, że od mojego przyjazdu jej życie się odmieniło, i to dzięki mnie. Traktowała mnie teraz trochę jak swoją protegowaną. Lubiła ze mną przebywać i dlatego tak się naburmuszyła z powodu kilkugodzinnego rozstania. Istniała jednak realna obawa, którą umiejętnie w niej podsycalam, hamując tym samym jej zapędy: że mogłabym w ogóle zrezygnować.

Kiedy wieczorem w swoim pokoju zastanowiłam się nad ostatnimi dniami, doszłam do wniosku, że wprawdzie jako guwernantka Kate Blanchard zrobiłam znaczne postępy, wszakże gdy chodzi o moje główne zadanie, tkwiłam w martwym punkcie. Owszem, poznałam ludzi, którzy przebywali w pobliżu miejsca zbrodni, co zawsze dawało nadzieję na jakieś odkrycie. Potrzebowałam jednak czasu, żeby wyciągnąć z nich coś więcej i to tak, aby nie odgadli moich pobudek.

Żałowałam, że tak mało wiem o pierwszym mężu Mirabel, panu Blanchardzie. Kim był, dlaczego umarł? Po jakim czasie od jego śmierci Mirabel z ojcem i córką przyjechała do Kornwalii? Raczej nie powodziło się im zbyt dobrze, bo Seashell Cottage wyglądał bardzo skromnie, przynajmniej w porównaniu z Perrivale Court czy nawet Wdowim Domkiem.

Może to próżna ciekawość, a może i nie: Mirabel była jedną z głównych postaci w dramacie i każdy strzęp informacji mógł mi się przydać.

Potem myślałam o Lucasiu, wspominając z pewną czułością jego propozycję. Tak bardzo pragnęłam mu wyznać, dlaczego wybrałam Perrivale! Wiedziałałam też, że kiedy się spotkamy, to pragnienie jeszcze bardziej się nasili.

Siedziałam przy oknie, patrząc na przeciwległą stronę dziedzińca. Próbowałam sobie wmówić, że Lucas mógłby mi wiele pomóc. Jakąż ulgę poczułabym, mogąc dzielić z nim ten sekret. Przecież — uśmiechnęłam się do własnych myśli — kochał mnie... na drugim miejscu po sobie.

A gdybym kazała mu przysiąc, że nie zdradzi Simona...?

Nie, jeszcze nie. To nie mój sekret. Simon mi go powierzył, ponieważ istniała możliwość, że nigdy nie wydostaniemy się z wyspy, a on czuł potrzebę wyznania prawdy. Poza tym łączyła nas szczególna więź, byłam tego tak samo świadoma, jak on.

Nagle moje oczy przyciągnęło słabe światelko w oknie naprzeciwko. Było słabe... jakby od świecy. Po pewnym czasie drgnęło i zgasło.

Wpadłam w popłoch. Przypomniała mi się rozmowa, jaką odbyłam z Kate kilka dni temu. Stałyśmy przy tym samym oknie i patrzyłyśmy na drugą stronę dziedzińca.

— Kto mieszka w tamtych pokojach? — zapytałam.

— Masz na myśli te na przedostatnim piętrze? Widzisz tam coś szczególnego?

— Nie, a powinnam?

— Bo może widziałaś ducha sir Edwarda.

— Twoje zainteresowanie duchami zaczyna przeradzać się w manię.

— Tak bywa w dużych domach... zwłaszcza jeśli popełniono morderstwo. To sypialnia ojca Czymka, teraz raczej nikt tam nie chodzi.

— Dlaczego?

— No bo on tam umarł. Mama mówi, że trzeba to uszanować.

— Jak to „uszanować”?

— Cóż... skoro tam umarł...

— Ktoś przecież musi sprzątać ten pokój.

— Pewnie tak. W każdym razie nikt tam nie chodzi poza matką Czymka i Marią.

— Jaką Marią?

— Jej służącą. Spędzają tam mnóstwo czasu.

Wówczas uznałam te słowa za jeszcze jeden dowód przewrażliwienia Kate i nie zaprzętałam sobie nimi myśli. Kiedy jednak sama zobaczyłam owo światełko, przeszedł mnie lekki dreszcz.

Skarciłam się w duchu; że też Kate musiała mnie zarazić swoją obsesją! Pewnie zaraz powiedziałałaby, że to z powodu morderstwa. I miałyby rację. Jestem tu właśnie z powodu morderstwa.

* * *

W „Królu Żeglarzy” czekał na mnie Lucas; na jego widok poczułam się bezgranicznie szczęśliwa.

Wstał i ujął mnie za ręce. Przez parę sekund badaliśmy się nawzajem wzrokiem. Potem Lucas ucałował mnie w policzek.

— Ta praca wyraźnie ci służy — zauważył. — Usiądźmy. Jak ci się powodzi? Zamówiłem jabłecznik, bo chyba za wcześnie na herbatę, co?

Zgodziłam się z nim.

— Więc dali ci konia pod wierzch?

Przytaknęłam.

— Są dla mnie bardzo dobrzy.

— A dziewczynka?

— Powoli ją oswajam.

— Chyba jesteś z siebie dumna.

— Lucasie, co u was słychać? Co z dziećmi?

— Bardzo je zmartwiłaś swoim wyjazdem.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Pytają o ciebie po dwadzieścia razy dziennie: „Kiedy ona wróci?”. Ja też chciałbym wiedzieć.

— Jeszcze nie teraz, Lucasie.

— Masz z tej pracy aż taką satysfakcję?

— Niestety, nie mogę ci tego wyjaśnić.

Wyznanie już niemal wymykało mi się z ust... ale wciąż sobie powtarzałam: „To nie twój sekret”.

— Guwernantka! Ostatnia rzecz, o jaką...

— Dostałam listy z domu.

— Od ciotki Maud?

— I od ojca.

— Stara, poczciwa ciotka Maud!

— Lucasie... Zrozum, proszę...

— Próbuję.

Przyniesiono jabłecznik i na parę minut zapadła cisza.

— Rosetto — odezwał się w końcu Lucas — przeżyliśmy razem niesamowite rzeczy. To wszystko musiało odcisnąć na nas jakieś piętno, no i patrz: ty jesteś guwernantką, a ja kaleką.

— Drogi Lucasie... — Sięgnęłam przez stół i dotknęłam jego palców.

Ujął mnie za rękę i uśmiechnął się serdecznie.

— Jak dobrze cię widzieć! Jeśli kiedyś nauczanie wyda ci się nie do zniesienia, a nie zechcesz wrócić do ciotki Maud... No cóż... pamiętaj, że czeka na ciebie bezpieczna przystań.

— Nie zapominam o tym. To wielka pociecha. Wiesz, bardzo cię lubię, Lucasie...

— Czekam na „ale”.

— Żałuję... — zaczęłam.

— Ja także — wpadł mi w słowo. — Dajmy już temu spokój. Lepiej opowiedz mi o Perrivale. Zdaje się, że nad tym miejscem wisi jakaś tajemnica.

— To oczywiste. Wiesz przecież, co się tam stało.

— Coś w związku z tym niewyjaśnionym morderstwem? Rzeczywiście, to przykre, zawsze zostaje jakiś znak zapytania. Zdaje się, że mieszkasz w tym samym domu co morderca.

— Niewykluczone.

— Mówisz, jakbyś nie była do końca przekonana, a przecież to oczywiste. Czy ten człowiek nie uciekł?

— Mógł mieć inne powody.

— Cóż... to nie nasza sprawa, ale nie podoba mi się, że tam mieszkasz. Nie tylko z powodu morderstwa. Często widzisz tych ludzi?

— Przebywam głównie z Kate.

— Podobno to mały potwór.

— Uważam, że jest interesująca. Właśnie kończymy „Wyspę skarbów”.

— Niesamowite!

— I zamierzamy wziąć się do „Hrabiego Monte Christo”.

— Nie potrafię wyrazić mojego podziwu!

— Nie drwij. Gdybyś znał Kate, zrozumiałbyś, jaki to kolosalny postęp. Ta mała chyba mnie polubiła.

— I co w tym nadzwyczajnego? Inni także cię lubią.

— Oni nie są Kate. To fascynujące, Lucasie, wiesz? Całe to miejsce jest fascynujące. Coś się za tym wszystkim kryje.

— Znów wracasz do tamtego morderstwa.

— Cóż, ono się zdarzyło. Takie okropne wypadki odciskają zwykle piętno na ludziach... i miejscu.

— Teraz widzę, co cię interesuje. Powiedz, odkryłaś coś?

— Nic... Albo prawie nic.

— Widujesz czasem piękną Mirabel?

— Sporadycznie.

— Naprawdę jest taka fascynująca?

— To rzeczywiście piękna kobieta. Widzieliśmy ją już przedtem, pamiętasz? Kiedy owce nas zatrzymały. Musisz przyznać, że jest niezwykła.

— Hmm...

— Widuję ją tylko w ramach moich obowiązków. Nie kryje, że jest ze mnie bardzo zadowolona. Najwyraźniej tylko ja potrafiłam zmusić jej córkę, by zachowywała się jak normalne dziecko. Nie było to łatwe. Kate od samego początku wiedziała, że nie musiałam przyjmować tej posady, ja zaś ciągle groziłam odejściem, gdyby zadanie okazało się za trudne. To zabawne, jak wielka siła tkwi w obojętności.

— Zawsze o tym wiedziałem. Dlatego w każdej sytuacji udaję obojętnego.

Oparłam łokcie na stole i przyjrzałam mu się uważnie.

— Owszem, tak właśnie robiłeś. Chociaż w gruncie rzeczy wcale nie byłeś taki obojętny.

— Byłem, byłem. Z jednym wyjątkiem: twojej posady. Ta sprawa dotyka mnie do żywego i nie potrafię udawać, że jest inaczej. Ale opowiedz mi coś więcej. Dobrze cię tam traktują?

— Nie mogę im niczego zarzucić. Mam wolne, kiedy zechcę, dostałam konia do dyspozycji — specjalnie wybraną, kasztanową klacz Goldie. — Roześmiałam się. Tak mnie uszczęśliwiło nasze spotkanie...

— To miło.

— Owszem. Chcieli dać mi do zrozumienia, że nie uważają mnie za zwykłą guwernantkę. Córka profesora i tak dalej. To mi przypomniało Felicity — kiedy do nas przyjechała, było tak samo.

— Tylko że ona miała łatwiejsze zadanie.

— Kochana Felicity! Zaprzyjaźniłyśmy się od pierwszej chwili.

— A zawiadomiłaś ją o swoich głupich wyczynach?

— Jeszcze nie. Jestem tu dość krótko, ale zamierzam do niej napisać. Chciałam najpierw wciągnąć się do pracy. Mówiłam ci o młodszej lady Perrivale, lecz jak wiesz, jest także starsza. Mirabel... mam skłonność do nazywania jej w myśli tak samo, jak czytałam w gazetach... jest dla mnie bardzo łaskawa, podobnie jak sir Tristan.

— Więc już go poznałaś?

— Widziałam go przelotnie, to on zaproponował mi konia. I mają mnie zapraszać na okolicznościowe przyjęcia.

— Napiwek dla dobrej guwernantki... zwłaszcza przy niezbyt ważnej okazji, kiedy trzeba uzupełnić liczbę gości?

— Chyba zanoszą się na jedną dość ważną. Chcą zaprosić ciebie i Carletona. Odkładali to dotąd ze względu na śmierć Theresy.

W jego oczach błysnęło zainteresowanie.

— Więc oboje będziemy gośćmi?

— Chyba przyjedziecie, jeśli was zaproszą?

— Ja na pewno.

— A Carleton?

Wzruszył ramionami.

— Wątpię, czy on się kiedykolwiek otrząśnie. My, Lorimerowie, jesteśmy bardzo wierni z natury.

— Biedny Carleton. Ogromnie mi go żal.

— Mam wyrzuty sumienia. Dawniej mu zazdrościłem, zastanawiałem się, dlaczego wszystko idzie mu tak gładko. Czemu mnie spotkało to wszystko, a mój brat żyje sobie szczęśliwie? A teraz jest w jeszcze gorszym stanie niż ja. W końcu straciłem tylko nogę, a Carleton kogoś, kto był dla niego najważniejszy na świecie. Chętnie bym mu pomógł, tylko nie wiem jak.

— Może jeszcze się ożeni.

— Tak byłoby najlepiej. Potrzeba mu żony, inaczej sobie nie poradzi. Ale to oczywiście w dalekiej przyszłości. Trecorn Manor nie jest teraz szczęśliwym miejscem. Gdybyś wróciła, przynajmniej nie byłoby tak ponuro.

— A dzieci?

— Są za małe, żeby długo się smucić. Chyba wciąż jeszcze pytają o matkę, popłakują, z czasem jednak zapomną. Poczciwa niania Crockett cudownie się nimi zajmuje, ale nie wybaczę jej tego pomysłu z wysłaniem ciebie tutaj. Skąd jej to przyszło do głowy?

Patrzył mi prosto w oczy; poczułam, że się czerwienię.

— Musi być jakiś powód — rzekł z naciskiem.

Powiedz mu, w końcu jesteś mu to winna, przekonywałam się w myśli.

Nie potrafiłam się przemóc. To nie mój sekret...

— Chyba rozumiem — odezwał się po chwili. — Nigdy już nie będziemy tacy jak przedtem, co? Czasem wracam myślami do naszego pierwszego spotkania. Jak bardzo się zmieniliśmy! Pamiętasz mnie z tego okresu?

— Doskonale.

— Prawda, że byłem inny?

— Tak.

— Ty także byłaś inna. Kończyłaś dopiero szkołę... taka młoda, pełna entuzjazmu, niewinna... A potem ta podróż... Spacer po pokładzie, rozmowy... Pamiętasz Maderę? Nawet nam przez myśl nie przeszło, jaki koszmar nas czeka.

Lucas mówił, a ja przeżywałam to wszystko od nowa. Musiał coś zauważyć, bo się zreflektował.

— Przepraszam, nie powinienem ci przypominać. Jeśli mamy choć krztynę rozsądku, musimy jak najprędzej zapomnieć.

— Nie możemy, Lucasie. Nigdy tego nie zapomnimy.

— Owszem, możemy, jeśli tak postanowimy. Moglibyśmy razem rozpocząć nowe życie. Pamiętasz naszą rozmowę o inicjałach? Uznałem za znamienny fakt, że życie nas z sobą zetknęło, chociaż nie miałem pojęcia, co nas czeka. Jak bliscy staliśmy się sobie od tamtej pory! Powiedziałem, że moje inicjały tworzą słowo HELL, a ty, jako RC, możesz mnie sprowadzić na dobrą drogę, pamiętasz?

— Tak, świetnie pamiętam.

— No i to prawda. Mogłabyś mnie uratować. Prorocze słowa... Razem stawilibyśmy czoło wszystkiemu... Lepiej by się nam żyło...

— Ach, Lucasie...

— Moglibyśmy wyruszyć natychmiast. Gdziekolwiek zechcesz...

— Nie wolno ci opuścić Trecorn. Carleton cię potrzebuje.

— A czy to ważne, gdzie będziemy? Możemy pomagać mu razem.

— Lucasie, tak mi przykro... Naprawdę bym chciała...

Uśmiechnął się smutno.

— Rozumiem. Więc wykorzystajmy jak najlepiej to, co jest: bez względu na wszystko i tak pozostaniemy szczególnymi przyjaciółmi. Często myślę o tym Playerze. Chciałbym wiedzieć, co się z nim stało, a ty?

Kiwnęłam głową, bojąc się odezwać.

— Rozumiem, czemu tak postąpiłaś. Po prostu chciałaś uciec od poprzedniego życia. W pewnym stopniu masz rację. Wybrałaś zupełnie nowe miejsce, nowe otoczenie, nową pracę... A ta dziewczynka to dla ciebie wyzwanie. Zmieniłaś się, Rosetto. Trzeba przyznać, że ona ci w tym pomogła.

— O tak, na pewno.

— Bardzo dzielnie sobie poczynasz, a ja... chyba mam w sobie coś z tchórza.

— Ależ nie! Ucierpiałeś bardziej niż ja. I doprowadziłeś do swego uwolnienia.

— Tylko dlatego, że byłem beużytecznym kaleką.

— Nie jesteś beużyteczny. Bardzo cię kocham, podziwiam i doceniam twoją przyjaźń.

Wziął mnie za rękę i trzymał ją w mocnym uścisku.

— Czy zawsze będziesz o tym pamiętać?

— Zawsze. Tak się cieszę z tego spotkania! Czuję się bezpieczniejsza, kiedy wiem, że jesteś blisko.

— Cały czas tu będę. I może pewnego dnia mnie wezwiesz. Teraz... chodźmy już stąd. Pokażesz mi swoją Goldie? Pojedźmy w stronę morza i pogalopujmy po plaży. Powiedzmy sobie, że aniołowie uśmiechają się do nas i wszystkie nasze życzenia się spełniają. Sentymentalna mowa jak na starego cynika, co?

— Owszem i z przyjemnością jej słucham.

— W końcu kto wie, co nas czeka?

— Nigdy nie wiadomo.
Poszliśmy do koni.

* * *

Kiedy rano szłam na lekcje, zatrzymała mnie pani Ford.

— Niania Crockett dziś przyjeżdża. Jack Carter wybiera się do domu Turnera i przy okazji przywiezie ją na kilka godzin. Chce się z panią zobaczyć, więc zapraszam do mnie na herbatkę.

Odpowiedziałam, że z przyjemnością się zjawię. W trakcie tej rozmowy usłyszałam w holu głos głównego ogrodnika. Mówił coś o różach. Pani Ford uniosła brwi.

— Co ja mam z tym człowiekiem! Można by pomyśleć, że świat kończy się na jego kwiatach. Czemu robi tyle hałasu? Lepiej pójde tam i dowiem się, o co chodzi.

Z czystej ciekawości podążyłam za nią.

W holu stało kilku służących. Littleton, główny ogrodnik, nie posiadał się z gniewu.

— Co tu się dzieje? — spytała władcym tonem pani Ford.

— Dobrze pytanie! — prychnął. — Ktoś mi sprzątnął przed nosa cztery najpiękniejsze róże... dopiero co rozkwitły!

— Kto mianowicie?

— Ba, to właśnie chciałbym wiedzieć. Żebym go dostał w swoje ręce, to...

— Może spodobały się pani.

— Pani nigdy nie rusza kwiatów. Pielęgnowałam te róże, czekałam, aż rozkwitną do końca! Takie piękne, różowawoniebieskie... to bardzo rzadki kolor u róż. Nigdy dotąd takich nie widziałem. Były niezwykle, nie mogłem się doczekać kwiatów, trochę się spóźniały... I nagle ktoś przychodzi i zrywa je sobie bez słowa...

— No dobrze, panie Littleton. Przykro mi, ale nie tknęłam pańskich róż. Gdyby potrafił pan wskazać sprawcę, to co innego, ale nie pozwolę przeszkadzać moim ludziom. Mają swoją robotę.

Littleton zwrócił zboląłą twarz ku pani Ford.

— One były wyjątkowe... — powtarzał żałośnie. Wycofałam się stamtąd i poszłam do pokoju szkolnego. Trudno mi było zabrać się do lekcji tego ranka. Kate chciała, żebym jej opowiedziała o spotkaniu z Lucasem.

— Spędziłam jakiś czas u jego rodziny, jak wiesz, dlatego postanowił mnie odwiedzić.

— Prosił, żebyś stąd wyjechała?

Zawahałam się przez chwilę.

— Więc jednak! — wykrzyknęła. — A ty się zgodziłaś.

— Nie. Powiedziałam mu, że czytamy „Wyspę skarbów” i że jakoś z sobą wytrzymujemy. Bo to prawda, co?

Przytaknęła.

— No to zobaczmy, czy uda nam się policzyć te słupki. Jeśli tak, to zyskamy dodatkowy kwadrans na czytanie i być może skończymy książkę.

— Dobrze.

— Więc wyjmij tabliczkę i do roboty.

Simon nie opuszczał moich myśli przez cały ranek. Spotkanie z Lucasem skończyło się na niczym, a perspektywa wizyty niani Crockett przywołała z całą jaskrawością wszystkie wspomnienia.

Kiedy dotarłam do pokoju pani Ford, niani jeszcze nie było, zastałam tam jednak innego gościa — wielbego Arthura Jamesa, naszego pastora. Jak się okazało, pani Ford gorliwie pracowała na rzecz parafii, a pastor przyszedł, żeby poradzić się jej w sprawie kompozycji kwiatowej w kościele.

Gospodyni przedstawiła nas sobie.

— Witamy w Perrivale, panno Cranleigh — rzekł. — Słyszałem już od pani Ford, jak świetnie radzi sobie pani z Kate.

— Pani Ford okazała mi wiele uprzejmości.

— Pani Ford jest uprzejma dla każdego. Mam powody, żeby tak mówić, bo razem z żoną nieraz zastanawialiśmy się, co byśmy bez niej zrobili. Chodzi o kwiaty do kościoła, rozumie pani. Zresztą pod wieloma względami wykorzystujemy Perrivale; jest duży dom... festyny ogrodowe i tak dalej. To się ciągnie przez całe pokolenia. Sir Edward bardzo interesował się sprawami parafii.

— O tak — dodała pani Ford — był bardzo religijny. W niedzielę bywał w kościele dwa razy, podobnie jak reszta rodziny. Poza tym codziennie zbieraliśmy się na modlitwy w holu.

— Pozostawił nas w smutku... Niewielu jest dziś takich jak on. Młodsze pokolenie już się tak nie angażuje. Mam nadzieję, że zobaczą panią w kościele razem z wychowanką.

— Tak, oczywiście.

— Panienska Kate jest trochę niesforna, ale panna Cranleigh zdołała cuda. Milady jest bardzo zadowolona. To ja wpadłam na pomysł, żeby ściągnąć tu pannę Cranleigh, i teraz milady wprost nie wie, jak mi dziękować.

— Miło mi to słyszeć.

— Oto lista — ciągnęła pani Ford. — Pani Terris zawsze lubiła ozdabiać ołtarz, więc jej go przydzieliłam. A parapety można powierzyć pannie Cherry i jej siostrze... oczywiście z jednej strony, bo drugą wezmą panna Jenkins i pani Purvis. Pomyślałam, że jeśli dam im kwiaty, to obejdzie się bez kłótni.

Proboszcz wyjął okulary i pilnie studiował listę.

— Doskonale... Doskonale... Wiedziałem, że pani wszystko załatwi tak, aby nikogo nie urazić.

Wymienili figlarne spojrzenia. Nasuwało się przypuszczenie, że burza wśród parafianek wisiała w powietrzu, a dzięki talentom pani Ford udało się ją zażegnać.

W stosownym czasie pastor wstał i zaczął się żegnać. Ściskając mi rękę, ponownie wyraził nadzieję, że w niedzielę będziemy z Kate w kościele.

Niedługo potem zjawiła się niania Crockett. Ucieszyła się bardzo na mój widok, a pani Ford łaskawym okiem patrzyła na nasze serdeczne powitanie.

— Na mą duszę! — mówiła niania. — Ależ panienska świetnie wygląda! I co ja słyszę, że razem z panienką Kate postawiłyście na nogi cały dom?

— Panienska Kate wyraźnie się zmieniła — oświadczyła pani Ford. — Sir Tristan i milady są bardzo zadowoleni.

— Panna Cranleigh umie postępować z dziećmi. Jedni to potrafią, a inni nie. Widziałam od początku, jak się odnosi do naszych bliźniaków.

— Jak one się miewają? — zapytałam.

— Biedne maleństwa, niełatwo im się pogodzić ze stratą matki. Chociaż są jeszcze takie małe... Dzięki Bogu i za to, gdyby były o dwa lata starsze, więcej by rozumiały. Uważają, że mama poszła do nieba, a dla nich to tak, jakby wyjechała na przykład do Plymouth. Myślą, że wróci, i ciągle pytają, kiedy. O panienkę także pytają, musi panienska nas odwiedzić. Ucieszą się, chociaż nie obejdzie się bez łez przy pożegnaniu... Cóż, zrobię, co w mojej mocy.

— A jak się czuje pan Carleton? Potrząsnęła smutno głową.

— Czasem mi się wydaje, że nigdy się nie pozbiera. Biedaczysko! Snuje się jak we śnie. Pan Lucas... no, z nim to nigdy nic nie wiadomo. Chyba dużo rozmyśla. Krótko mówiąc, to smutny dom. Staram się rozweselić przynajmniej dzieci, ale...

Patrzyła mi znacząco w oczy, wyraźnie mając ochotę pogadać na osobności o moich ewentualnych sukcesach. Jakie tam sukcesy! Kiedy się dobrze zastanowić, nie zaszłam specjalnie

daleko. Poza tym, że udało mi się w pewnym stopniu z Kate, moje zabiegi okazały się zupełnie bezowocne.

Porozmawialiśmy trochę na neutralne tematy — o pogodzie, zbiorach, wymieniłyśmy ploteczki o sąsiadach. Potem pani Ford zostawiła nas same na około pół godziny. Oświadczyła, że musi pójść do kuchni, żeby dopilnować wieczornego posiłku i zamienić słówko z kucharką. Nie, ta sprawa absolutnie nie może poczekać, a my w tym czasie na pewno same damy sobie radę.

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, niania Crockett spytała gorączkowo:

— Wykryła panienka coś?

Pokręciłam przecząco głową.

— Czasem wydaje mi się, że to już nigdy nie nastąpi. Nie wiem, gdzie szukać klucza do zagadki.

— Na pewno coś się pojawi. Czuję to przez skórę. Bo inaczej ten biedak spędzi resztę życia za granicą, a to nie do pomyślenia!

— Ale nianiu... Nawet jeśli dowiemy się prawdy i oczyścimy go z zarzutów, nie będziemy wiedzieli, jak go zawiadomić.

— Przecież napiszą o tym w gazetach!

— On jest za granicą... może ich nie przeczytać.

— Znajdziemy sposób, ale najpierw musimy udowodnić, że jest niewinny.

— Często się zastanawiam, od czego zacząć.

— Przypuszczam, że ona może coś wiedzieć.

— Lady Perrivale?

Niania przytaknęła.

— Dlaczego właśnie ona?

— Tego panienka musi się dowiedzieć. On zresztą także tu pasuje, w końcu dostał wszystko... To mógł być motyw. Zawsze trzeba szukać motywu.

— Już to omawialiśmy.

— Chyba się panienka nie poddaje?

— Nie, nie. Gdybym jednak tak wreszcie coś znalazła...

— No cóż, najważniejsze, że jest panienka na miejscu. Gdybym mogła w czymkolwiek się przydać, to zawsze... o każdej porze...

— Niania jest naprawdę dobrym sojusznikiem.

— Na szczęście nie mieszkamy daleko. Na pewno panienka wpadnie kiedyś do Trecorn, a i ja zabiorę się czasem z Jackiem Carterem, więc będziemy w kontakcie. Nie wiem, co bym dała, żeby znów ujrzeć mojego chłopca.

— Wiem.

Wróciła pani Ford.

— Czasem mi się wydaje, że ten dom beze mnie zupełnie zszedłby na psy! Sto razy powtarzałam kucharce, że pani nie znosi czosnku, ale nie, musiała dodać go do gulaszu! Wszystko przez to, że kilka miesięcy spędziła we francuskiej rodzinie. Na szczęście tym razem powstrzymałam ją w porę, ale naprawdę nie można spuścić jej z oka. A wy? Pogadałyście sobie?

— Właśnie mówiłam, że jeśli Jack Carter mnie podwiezie, chętnie się znowu wybiorę.

— Kiedy tylko zechcesz, moja droga. Wiesz, że jesteś tu mile widziana. O, pastor zostawił okulary! Ten człowiek zapominałby nawet głowy, gdyby nie to, że mają przymocowaną do karku. Bez okularów jest ślepy, muszę mu je odesłać.

— Ja mu zaniosę — zaofiarowałam się. — I tak chciałam się przejść.

— Och, naprawdę? Nie wiem, czy już ich nie szuka. Ale jeśli nawet nie, to niebawem zacnie.

Wzięłam od niej okulary, a niania Crockett zaczęła się zbierać do wyjścia. Jack Carter miał nadjechać lada chwila, a bardzo nie lubił czekać.

— Skoro tak, to rzeczywiście już schodź — powiedziała pani Ford. — Do zobaczenia, nianiu, i pamiętaj, że zawsze czeka na ciebie filiżanka najlepszej herbaty Darjeeling.

Odprowadziłam nianię do bramy; po paru minutach podjechał Jack Carter. Niania wdrapała się na siedzenie obok niego i wóz ruszył, ja zaś podążyłam w stronę kościoła.

Wielebny Arthur James rozpromienił się na widok okularów. Przy okazji poznałam też jego żonę, która z udaną surowością stwierdziła, że mąż zawsze je gubi i będzie to dla niego nauczką na przyszłość.

Zapraszali mnie do siebie oboje, ale odpowiedziałam, że muszę wracać do Kate. Kiedy jednak wyszłam z plebanii, nogi same zaniósły mnie na cmentarz. Dziwne, jaką przyciągającą moc mają w sobie takie miejsca. Nie mogłam się oprzeć chęci przestudiowania kilku inskrypcji na nagrobkach. Dotyczyły ludzi zmarłych sto lat temu. Zastanawiałam się, jak wyglądało ich życie. Odnalazłam też kryptę Perrivale'ów, w której pochowano Cosma. Gdyby mógł opowiedzieć, co się naprawdę stało...

Nagle mój wzrok padł na słoik po dzemie z czterema przepięknymi różami — różowymi, o lekko błękitnawym odcieniu...

Nie wierzyłam własnym oczom. Podeszłam bliżej i wśród okazałych nagrobków zobaczyłam jeden niepozorny i tandetny. Od razu domyśliłam się, że mam przed sobą róże, nad których stratą tak bardzo ubolewał Littleton.

Stałam i patrzyłam na nie z namysłem.

Kto je tam ustawił? Przypomniały mi się gałązki tawuły, na pewno zerwane z żywopłotu. Nie te róże...

Kto zabrał róże z ogrodu Perrivale'ów, aby wstawić je do słoika po dzemie i zanieść na grób nieznanego człowieka?

Dlaczego Kate pokazała mi ten grób?

Pograżona w zadumie wracałam pieszo do dworu. Im dłużej o tym wszystkim myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że to Kate zabrała róże i postawiła je na grobie.

Wyraźnie na mnie czekała, bo natychmiast zjawiała się w moim pokoju.

Usiadła na łóżku i rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie.

— Znów wychodziłaś! Wczoraj spotkałaś się z tym człowiekiem, dziś byłaś u pani Ford, a teraz także gdzieś cię poniosło...

— Pastor zostawił okulary, więc mu je odniosłam.

— Stary dureń! Wiecznie coś gubi.

— Niektórzy ludzie bywają nieco roztargnieni. Często mają na głowie poważniejsze sprawy. Słyszałaś tę dzisiejszą awanturę o róże?

— Jakie róże? — spytała podejrzliwie i od razu wiedziałam, że jestem na właściwym tropie.

— Podobno to jakiś wyjątkowy gatunek. Littleton bardzo się o nie troszczył i był z nich bardzo dumny. Wpadł w furję, bo ktoś mu je pozrywał... A ja wiem, gdzie są.

Kate zerknęła na mnie z ukosa.

— Stoją na grobie człowieka, który utonął. Pamiętasz? Pokazywałaś mi niedawno ten nagrobek. Wtedy w słoiku były gałązki tawuły, a teraz... róże Littletona.

— Widziałam, że nie podobała ci się ta tawuła.

— Co masz na myśli?

— No... że to dzikie kwiaty. Zwykle na grobach stawia się róże albo lilie.

— Kate, to tyje wzięłaś.

Nie odpowiedziała. Dlaczego?

— Wzięłaś je, prawda?
— Wszyscy inni mają coś na grobach. Pomniki i takie tam. Co to jest parę kwiatków?
— Kate, dlaczego to zrobiłaś? Wierciła się niespokojnie.
— Poczytajmy.
— Nie mogłabym skupić się na książce, póki to nad nami wisi.
— Wisi! Co to znaczy? — Wojowniczy ton znamionował postawę obronną.
— Powiedz mi prawdę. Dlaczego stawiasz kwiaty na tym grobie?
— Bo nikt inny tego nie robi. Co to jest kilka głupich róż? Zresztą wcale nie należały do Littletona, tylko do Czymka albo mamy, a oniniec nie mówili. Nawet by nie wiedzieli, czy są w ogrodzie czy na grobie.
— Czemu tak przejmujesz się tym człowiekiem?
— Bo nikt mu nic nie przynosi!
— Pierwszy raz widzę, że masz dobre serce. To do ciebie całkiem niepodobne.
— I co z tego? — Odrzuciła buntowniczo głowę. — Tak mi się podobało.
— Więc ścięłaś te róże i zaniosałaś na grób?
— Tak. Wyrzuciłam zwiędłe gałązki, nalałam świeżej wody z pompy.
— Rozumiem. Ale dlaczego zrobiłaś to wszystko akurat dla niego? Czyżbyś go znała?
Pokiwała energicznie głową. Nagle zauważyłam na twarzy dziewczynki strach i zagubienie — coś zupełnie sprzecznego z jej naturą. Wyczułam, że jest zalekniona i potrzebuje pociechy, więc otoczyłam ją ramieniem. Ku memu zaskoczeniu, nie zaprotestowała.
— Jesteśmy przyjaciółkami, Kate, prawda? Wiesz, że możesz mi zaufać.
— Nie mówiłam nikomu. Oni... chybaby nie chcieli.
— Kto? Twoja mama?
— I Dada.
— Kim był ten człowiek, Kate?
— Myślę, że... to mój ojciec.
Byłam tak zaskoczona, że na chwilę odjęło mi mowę. Ten pijany marynarz...?
— Rozumiem — powiedziałam wreszcie. — To wszystko zmienia.
— Przecież kładzie się kwiaty na grobie ojca. Nikt inny tego nie zrobił, więc...
— Miło, że o nim pomyślałaś. Nikt nie może cię za to winić. Opowiedz mi o swoim ojcu.
— Wcale go nie lubiłam i rzadko widywałam. Bałyśmy się go z mamą. Mieszkaliśmy przy brudnej uliczce niedaleko paskudnego targu, na piętrze domu. Parter zajmowali inni lokatorzy. Mieliśmy trzy pokoje z drewnianymi schodami do tylnego ogrodu. Było inaczej niż tutaj, jeszcze gorzej niż w Seashell Cottage... po prostu koszmarnie.
— Mieszkałaś tam razem z rodzicami?
Próbowałam sobie wyobrazić piękną Mirabel w miejscu odpowiadającym lakonicznemu opisowi Kate, choć nie było mi łatwo.
— Ojciec rzadko się zjawiał. Wypływał na morze, ale kiedy wracał... był okropny, ciągle pijany, a my go nienawidziłyśmy. Zostawał na jakiś czas i znowu wypływał.
— Wtedy wyjechałyście stamtąd? Przytaknęła.
— Dada nas zabrał. Zamieszkaliśmy w Seashell Cottage i odtąd wszystko się zmieniło.
— Ale ten zmarły nazywał się Tom Parry, a ty jesteś Kate Blanchard.
— Nie znam się na nazwiskach. Wiem tylko, że to mój ojciec. Był marynarzem, przychodził do domu z białym workiem na ramieniu i mama go nienawidziła. Aż kiedyś przyjechał Dada i wszystko się zmieniło. Nie było już marynarza... on zresztą i tak pojawiał się na krótko. Wsiedliśmy z Dadą do pociągu i przyjechaliśmy do Seashell Cottage.
— Ile miałaś wtedy lat?

— Nie wiem dokładnie, trzy, może cztery. To było tak dawno... Pamiętam bardzo mało: jak siedzę u Dady na kolanach, a on pokazuje mi krowy i owce na łąkach. Ależ się cieszyłam, że nas zabrał i że nie muszę już widywać ojca...

— A jednak kładziesz kwiaty na jego grobie.

— Bo pomyślałam, że to mój ojciec.

— Ale nie jesteś tego pewna?

— I tak, i nie. Sama nie wiem, jednak to może być on. Nienawidziłam go, ale teraz nie żyje, więc jeśli naprawdę był moim ojcem, to powinnam przynosić mu kwiaty.

— To znaczy, że tu przyjechał? Milczała przez chwilę.

— Ja... ja go widziałam. Bardzo się przestraszyłam.

— Gdzie go widziałas?

— W Upbridge. Czasem bawiłam się z Lily Drake i ona przychodziła do Seashell Cottage. Dada wymyślał nam śliczne zabawki, więc lubiła do nas przychodzić i ja do niej także. Pani Drake zabierała nas z sobą, kiedy szła do miasta na zakupy, i właśnie wtedy go widziałam.

— Na pewno?

Kate spojrzała na mnie z pogardą.

— Znałam go przecież, prawda? Zawsze tak śmiesznie chodził... nawet jak nie był pijany. Pewnie dlatego, że tyle pił, zapomniał, jak się normalnie chodzi. No więc stałam z panią Drake i Lily przy jakimś straganie — było tam mnóstwo czerwonych jabłek i pięknych gruszek — i nagle go zobaczyłam. Nie widział mnie, bo się schowałam za panią Drake, ona jest bardzo duża i nosi tyle halek, że można się świetnie ukryć. Słyszałam, jak pytał jakiegoś handlarza, czy zna rudą kobietę z małą córeczką o nazwisku Parry. Handlarz odpowiedział, że nie zna nikogo takiego, i słusznie, przecież moja mama nazywała się Blanchard. Ale ten marynarz to chyba mój ojciec.

— Powiedziałaś o tym mamie? Pokręciła głową.

— Tylko Dadzie. — 1 co on na to?

— Że to niemożliwe. Mój ojciec nie żyje, utonął w morzu, a ten człowiek tylko go przypominał.

— Uwierzyłaś mu?

— Tak, oczywiście.

— A przedtem mówiłaś, że widziałas ojca.

— Bo czasem tak mi się wydaje. Czasem nie. Jeśli to mój ojciec, to powinien mieć kwiaty.

Trzymałam ją w mocnym uścisku i chyba jej to odpowiadało.

— Och, Kate! Jak dobrze, że mi to powiedziałaś!

— Też tak uważam. Przecież mamy rozejm, no nie?

— Tak. Chyba już go nie potrzebujemy, bo teraz jesteśmy przyjaciółkami. Opowiedz mi wszystko po kolei.

— No... potem ten człowiek utonął. Upił się i spadł z klifu. To bardzo w stylu mojego ojca... A może był bardzo do niego podobny. Łatwo się pomylić...

— Nazywał się Parry. A jak ty się nazywałaś, kiedy mieszkaliście razem? Zanim przyjechał dziadek?

— Nie pamiętam... Chociaż... tak, oczywiście: Blanchard. Tak mi się zdaje.

— A może jakoś inaczej? Pokręciła przecząco głową.

— Nie. Dada zawsze mówi, że jestem Kate Blanchard, że to nazwisko mojego ojca i że to nie jego widziałam w Upbridge, tylko kogoś podobnego. Ten człowiek był marynarzem, a wszyscy marynarze są do siebie podobni. Tylko ci w „Wyspie skarbów” wyglądali inaczej, prawda? Bo oni byli wyjątkowi... Och, Cranny, nie powinnam ci tego mówić!

— Dobrze postąpiłaś. Teraz znacznie lepiej się rozumiemy. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami i zawsze będziemy sobie pomagać. Opowiedz, co się stało, kiedy znaleziono tego człowieka na skałach.

— No... znaleźli go i tyle. Mówili, że był marynarzem i nie mieszkał w tych stronach. Pochodził z Londynu, szukał tu kogoś z rodziny... Tak pisali w gazetach.

— Ale ty powiedziałaś dziadkowi, że to twój ojciec.

— Dada zaprzeczył i kazał mi przestać o tym myśleć. Ojciec nie żyje, a ja nie mam już nic wspólnego z tamtym miejscem. Teraz nasz dom jest tutaj, w ślicznym Seashell Cottage.

— Po tym wypadku musiało być sporo zamieszania. Gdzie znaleziono ciało?

— Na skałach pod urwiskiem. Fala przyływu mogła znieść zwłoki na morze, ale jakoś nie zniosła.

— I co teraz zrobisz? Dalej będziesz przynosić kwiaty?

W jej oczach błysnął upór.

— Tak. I nic mnie nie obchodzi róże Littletona. — Na chwilę stała się dawną, skłonną do złośliwych figli Kate. — Jak zechcę, to zerwę jeszcze więcej. One nie są jego. Należą do Czymka... no i do mamy, bo skoro za niego wyszła, to wszystko, co jego, jest także jej.

Zrozumiałam. W głębi serca Kate nadal wierzyła, że w tym grobie leży jej ojciec. Ja zaś coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że dokonałam ważnego odkrycia.

Różne odkrycia

Głowa pękała mi od tego, czego dowiedziałam się od Kate. Byłam przekonana, że musi się to w jakiś sposób wiązać z zagadką, którą próbowałam wyświetlić.

Uznałam, że pijany marynarz musiał być pierwszym mężem Mirabel. Ponieważ jednak rudowłosa piękność widziała się już w roli pani na Perrivale, nie mogła dopuścić, aby ją odnalazł.

Mąż zniweczyłby kompletnie jej szanse, ale na szczęście okazało się, że leży martwy u podnóża klifu. Była jedyną osobą, która chciała się od niego uwolnić. A jeśli chciała się uwolnić także od Cosma? Dlaczego? Przecież mieli się pobrać. Lecz zaraz po jego śmierci wyszła za Tristana.

Oczywiście ofiara wypadku mogła nie mieć nic wspólnego z Mirabel. Taka sugestia wynikała tylko ze słów Kate, a przecież wiedziałam, jaka z niej fantastka. Ostatni raz widziała ojca jako małą dziewczynkę, a ten człowiek przypominał go wyglądem. Podobno rozpoznała go po sposobie chodzenia... ale wielu marynarzy porusza się takim rozkołysanym krokiem. Wynika to z ciągłej konieczności utrzymywania równowagi na niestabilnym statku.

Wszystko to było bardzo mgliste i zupełnie nie wiedziałam, w co wierzyć, z drugiej jednak strony czułam, że jakiś — wprawdzie niewielki — postęp został zrobiony.

Następnego dnia wezwała mnie do siebie lady Perrivale. Była nad wyraz uprzejma. Wyglądała tak bezbronne, że wydawało się niemożliwe, by mogła zwabić swego męża na klif i zepchnąć go w przepaść. To stanowczo szalony pomysł, a marynarz musiał być kimś obcym. Co wspólnego miał Thomas Parry z Mirabel Blanchard? Może zmieniła nazwisko... Głowa mi wprost pękała od natłoku myśli.

— Podobno spotkała się pani wczoraj z panem Lorimerem? — zagadnęła lady Perrivale.

— Owszem.

— Kate mi powiedziała. Bardzo jej pani brakowało. — Uśmiechnęła się łaskawie. — Nie musi pani umawiać się z nim w „Królu Żeglarzy”, bo i w naszym domu będzie mile widziany. Przecież może pani mieć własnych gości.

— To bardzo uprzejmie z pani strony.

— W rzeczy samej zamierzałam wkrótce zaprosić go razem z bratem na obiad.

— Myślę, że jego brat nie otrząsnął się jeszcze z szoku i raczej unika wizyt. To jednak był straszny cios.

— No tak, rzeczywiście. Mimo to zaproszę ich obu, może chociaż pan Lucas się zgodzi.

— Na pewno chętnie przyjedzie.

— Pani oczywiście także się do nas przyłączy. Nie będzie wielu gości, ot, zwykłe, nieformalne spotkanie.

— Będzie mi bardzo miło.

— Jeszcze dziś wyślę bilecik do Trecorn Manor.

Przyszło mi do głowy, że specjalnie urządza przyjęcie, żeby mi pokazać, iż nie traktuje mnie jak zwykłą guwernantkę. Dobrze pamiętałam, jak zachowywali się rodzice po przyjeździe Felicity. Też im zależało, aby nie czuła się jak płatna nauczycielka, ponieważ zarekomendował ją jeden z kolegów ojca.

Przyjemnie mi było, że lady Perrivale tak dba o moje uczucia, lecz przez cały czas tej rozmowy stały mi przed oczami obskurne trzy pokoiki, z których uciekła, kiedy Thomas Parry wypłynął na morze. Oczami wyobraźni widziałam, jak marynarz wraca do domu i przekonawszy się, że żona wraz z córeczką wyfrunęły z gniazdka, wyrusza na poszukiwania...

Tak bardzo chciałam porozmawiać z Lucasem i opowiedzieć mu o wszystkim, czego się dowiedziałam! Może tak zrobię... Jeśli Thomas Parry został zamordowany przez kogoś, kto mieszkał wówczas w tej okolicy, to czemu ta sama osoba nie miałaby zabić i Cosma? Potrzebowałam rady i pomocy, a Lucas był w pobliżu.

Tęskniłam za nim ogromnie. Tak bardzo mi zależało, aby przyjął zaproszenie, że kiedy zobaczyłam posłańca, wyruszającego z bilecikiem do Trecorn Manor, czatowałam z niecierpliwością na jego powrót. Udało mi się jakoś przyłapać go na dziedzińcu.

— O, dzień dobry, Morris — powiedziałam zdawkowym tonem. — Podobno jeździłeś do Trecorn Manor?

— Tak, proszę pani, ale nie miałem szczęścia. Obaj panowie gdzieś wyjechali.

— Więc nie doręczyłeś im listu?

— Ano nie. Musiałem go zostawić, później ktoś przywiezie odpowiedź. Szkoda, bo zawsze to dwie wyprawy zamiast jednej.

Odpowiedź przysłało dopiero następnego dnia. Zesłam na dół, ponieważ myślałam, że przywiezie ją Dick Duvane, ale okazało się, że przyjechał stajenny.

— Ach, spodziewałam się Dicka Duvane'a! Przecież to on zwykle załatwia takie sprawy.

— Dicka teraz nie ma, panienko.

— Jak to?

— Wyjechał za granicę.

— Bez pana Lucasa?

— Najwyraźniej. Bo pan Lucas jest w Manor, a Dicka nie ma.

— To panu Lucasowi będzie go brakowało.

— Co prawda, to prawda, panienko.

— Sama zaniósę list lady Perrivale.

— Jeśli pani, taka uprzejma.

Zabrałam list i zaniósłam adresatce.

— Pan Carleton odmawia — zawiadomiła mnie po chwili. — Nie czuje się na siłach. Biedak... Ale pan Lucas z przyjemnością przyjmuje zaproszenie.

To właśnie chciałam wiedzieć. Zaintrygowała mnie jednak sprawa Dicka, bo przecież on i Lucas zwykle się nie rozłączali. Chociaż na statku Dicka nie było, więc jednak...

Przyjęcie wyznaczono na koniec tygodnia. Ucieszyłam się, że nie kazano mi czekać zbyt długo.

Kate po tamtym wyznaniu trochę zamknęła się w sobie. Pewnie się zastanawiała, czy nie powiedziała za dużo. Lekcje szły nam jak po grudzie i nawet „Hrabia Monte Christo” nie przyciągnął całkowicie jej uwagi.

Przyjęcie także jej nie interesowało, ponieważ nie brała w nim udziału. Nie lubiła, jeśli robiłam coś bez niej. Może nawet żałowała swych zwierzeń, chociaż w pewnym stopniu zacieśniły więź między nami.

Wreszcie nadszedł oczekiwany wieczór. Ubrałam się starannie — w suknię koloru lapis-lazuli, przetykaną złotą nitką w taki sposób, że do złudzenia przypominała sam kamień. Zabrałam ją, kiedy wybierałam się do Felicity. Ciotka Maud uznała, że na pewno będą tam liczne przyjęcia i muszę mieć coś porządnego na wieczór.

Jasne włosy upięłam na czubku głowy i z zadowoleniem zauważyłam, że dzięki sukni moje oczy wydają się bardziej niebieskie. Mogłam śmiało powiedzieć, że nigdy nie wyglądałam tak ładnie.

Tuż przed przyjęciem Kate przyszła mnie obejrzeć.

— Całkiem nieźle — orzekła.

— Dziękuję za komplement.

— Ale to prawda. Czy prawda może być komplementem?

— Owszem. Fałszywe może być pochlebstwo.

— Mówisz jak guwernantka.

— Bo nią jestem.

Siedziała na łóżku i śmiała się ze mnie.

— Na pewno będzie strasznie nudno. Nie wiem, czemu uważasz, że to taka frajda. Może z powodu starego Lucasa?

— Nie jest taki stary.

— Właśnie że jest! Oboje jesteście starzy, a on jeszcze bardziej niż ty!

— Mówisz tak, bo jesteś jeszcze mała. To kwestia porównania.

— Naprawdę jest stary i w dodatku nie umie prosto chodzić.

— Skąd wiesz?

— Pokojówka mi powiedziała. Podobno o mała nie utonął i to dlatego.

— Rzeczywiście. Ja też o mała nie utonąłam.

— Ale z tobą teraz wszystko w porządku, a z nim nie. — Umilkła na chwilę. — Będzie jeszcze stary pastor ze swoją wstrętną żoną... i doktor... i w ogóle sami najwięksi nudziarze.

— Może ciebie oni nudzą, ale mnie nie. Bardzo się cieszę na ten wieczór.

— To dlatego oczy tak ci błyszczą i wydają się bardziej niebieskie. Potem mi wszystko opowiesz?

— Opowiem.

— Obiecuj, że wszystko.

— Opowiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć.

— Chcę wszystko!

— Wszystko, co jest dla ciebie stosowne.

Pokazała mi język.

— Guwernantka! — syknęła.

— To nie jest najładniejsza część twojej anatomii.

— Co to jest anatomia?

— Spróbuj wyszperać to sama. Ja już idę.

Kate się krzywiła.

— No dobrze, ale nie pozwól, żeby ten Lucas namówił cię do wyjazdu.

— Nie pozwolę.

— Obiecuj.

— To akurat obiecuję.

Nagle się uśmiechnęła.

— Wiesz co? Dada tam będzie, więc może jednak się nie zanudzisz.

Kiedy zesłam, goście zaczęli się już zbierać. Niebawem usiedliśmy do stołu i okazało się, że wyznaczono mi miejsce obok Lucasa.

— Jak to miło — powiedział.

— Tak się cieszę, że jesteś!

— Przecież ci obiecałem.

— Co się stało z Dickiem Duvane'em? Podobno wyjechał?

— Tylko na pewien czas.

— Zaskoczyło mnie to. Uważałam go za twojego wiernego sługę.

— Nigdy nie traktowałam go jak zwykłego służącego. On też się za takiego nie uważał.

— Dlatego tak się zdziwiłam.

— Dick i ja zjeździliśmy razem kawał świata. Przeżyliśmy mnóstwo przygód, ale teraz utknałem w domu i nie mogę już się włóczyć jak dawniej. A biedny Dick jest ruchliwy z natury, więc pojechał sam... na jakiś czas.

— Myślałam, że jest ci oddany.

— Owszem. Nadal potrzebujemy się nawzajem, tylko że teraz, kiedy zostałem kaleką, nie ma powodu, by go tu trzymać. A tobie jak się układa? No tak, nie możemy o tym dyskutować przy stole. Pewnie dobrze ich wszystkich poznałaś.

— Nie wszystkich. Starszą lady Perrivale widzę po raz pierwszy.

Spojrzał przez stół na staruszkę, która wyglądała na dość srogą.

Rzeczywiście widziałam ją po raz pierwszy. Wymagała pomocy przy schodzeniu ze schodów i chyba większość czasu spędzała w swoim pokoju. Siedzący obok major prowadził z nią ożywioną rozmowę, co sprawiało jej wyraźną przyjemność. Przy drugim końcu stołu Tristan zabawiał żonę doktora.

Lucas miał rację: nie powinniśmy rozmawiać o Perrivale'ach przy ich własnym stole.

Rozmowa toczyła się na tematy ogólne: królowa i jej coraz bardziej zaawansowany wiek, zasługi Gladstone'a i Salisbury'ego* i tym podobne. Nie słuchałam zbyt uważnie; marzyłam, by pogadać z Lucasem w cztery oczy i zapytać, co sądzi o pijanym marynarzu.

W tym momencie święcie wierzyłam, że gdyby nadarzyła się sposobność takiej rozmowy, wyznałabym mu wszystko.

Razem z innymi paniami przeszłam do salonu, zostawiając panów przy portu. Ku memu zdumieniu okazało się, że siedzę koło starszej pani Perrivale. Pomyślałam, że nie stało się to przypadkiem — na pewno chciała przyjrzeć się bliżej guwernantce Kate.

Należała do kobiet, które w młodości musiały budzić strach. Poznałam po jej twarzy, że przywykła stawiać na swoim. Przypomniałam sobie, co wcześniej mi o niej mówiono: że uratowała Perrivale Court, wnosząc w posagu swoje pieniądze, więc zapewne czuła jakiś sentyment do tego miejsca.

— Cieszę się, panno Cranleigh, że mam okazję chwilę z panią pogawędzić. Synowa opowiadała mi, jak świetnie radzi sobie pani z Kate. Mój Boże, to prawdziwy sukces! Ileż to dziecko miało już guwernantek! Żadna nie została dłużej niż miesiąc.

— Od mojego przyjazdu nie minął jeszcze miesiąc.

— Mam nadzieję, że wytrzyma pani nie tylko ten jeden, lecz i wiele następnych. Synowa jest taka szczęśliwa! Mówi, że Kate stała się zupełnie innym dzieckiem.

— Kate potrzebuje zrozumienia.

— Podobnie jak my wszyscy, panno Cranleigh.

— Niektórzy z nas bywają dość nieobliczalni.

— Spodziewam się, że pani do nich nie należy. Natomiast ja jestem zupełnie nieobliczalna. Przynajmniej tak o mnie mówiono za moich dobrych dni. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Pani zaś wygląda na osobę o bardzo uporządkowanym umyśle.

— Staram się, jak mogę.

— Skoro tak, to na pewno dopnie pani swego. Ja przestałam próbować... chociaż dawniej byłam taka sama. Nigdy nie mogłam znieść bałaganu i niejasności. Człowiek się starzeje, panno Cranleigh, rzeczy też się zmieniają. Jak się pani podoba Perrivale Court?

— To jeden z najbardziej interesujących domów, jakie widziałam.

* Premierzy Wielkiej Brytanii za panowania królowej Wiktorii.

— Więc się z sobą zgadzamy. Jestem nim zafascynowana dosłownie od pierwszej chwili. Tak się cieszę, że Tristan ożenił się i osiadł tutaj. Mam nadzieję, że doczekam się jeszcze wnuków... chciałabym kilkoro.

— Pani życzenie na pewno się spełni.

— Chcę, żeby ta posiadłość przeszła w ręce moich wnuków... żeby krew Arkwrightów zmieszała się z krwią Perrivale'ów. Wie pani, o co mi chodzi. Bo to pieniądze Arkwrightów doprowadziły ten dom do dzisiejszego stanu, więc tak będzie słusznie. W sam raz odpowiednie połączenie...

Rozmowa wydała mi się dość osobliwa. Zauważyłam, że starsza pani ma nieco szkliste oczy. Ciekawe, czy czasem nie zapomniała, do kogo mówi... Mirabel zerknęła na nas z niepokojem, co nie uszło uwagi jej teściowej. Staruszka uśmiechnęła się i pomachała jej ręką.

— Czyż ona nie jest urocza, panno Cranleigh? Mówię o mojej synowej. Widziała pani kiedy taką piękność?

— Nie, nie widziałam.

— Znałam jej matkę i ojca... drogiego majora. Tak miło mieć go za sąsiada! Matka Mirabel była moją najlepszą szkolną przyjaciółką. Dlatego kiedy umarła, major tu się osiedlił, oczywiście po wystąpieniu z wojska. Powiedziałam mu: „Przyjeżdżaj do Kornwalii”, i na szczęście mnie posłuchał. W ten sposób droga Mirabel trafiła do naszej rodziny.

— Straciła pierwszego męża, prawda? — spytałam oględnie.

— Biedaczka! To smutne zostać samej z małym dzieckiem. Na szczęście miała przy sobie wspaniałego ojca, który właśnie wtedy zrezygnował ze służby. Stał się opoką dla nas wszystkich. Cóż to za uroczy człowiek! Poznała go pani? To znaczy, przed dzisiejszym przyjęciem.

— Owszem, Kate zabrała mnie do Wdowiego Domku.

— Tak myślałam. Ona uwielbia dziadka. Major ma cudowny kontakt z dziećmi, zresztą z innymi także. Świata nie widzi za Mirabel. Ogromnie ucieszył się z jej małżeństwa, podobnie jak ja. Tego właśnie najbardziej sobie życzyłam. No i teraz mamy w majorze nie tylko przemiłego sąsiada, lecz prawdziwego członka rodziny.

— Bardzo ładny jest ten Wdowi Domek.

— Majorowi też się tam podoba. Chętnie bym go odwiedziła, niestety, nie mogę teraz wychodzić.

— Jaka szkoda!

— No tak... Ale mam dobrą pokojówkę. Służy u mnie od lat, to moja stała towarzyszka. Zajmuję pokoje tuż obok dawnej sypialni męża. Właściwie to oddzielna część domu. Mąż lubił samotność. Wie pani, był bardzo religijny. Zawsze powtarzałam, że powinien być zostać duchownym... No tośmy sobie miło pogawędziły. Musi pani kiedyś mnie odwiedzić. Maria, moja pokojówka, bardzo się ucieszy. Tak naprawdę to ona o wszystkim mnie informuje.

— Chyba jej jeszcze nie znam.

— Nie. Ona przebywa głównie w mojej części domu.

— Zdaje się, że mam okna naprzeciwko pani.

— Mieszka pani w części dziecięcej... tak, to po drugiej stronie dziedzińca. O, panowie wracają, pewnie nas zaraz rozdzielią. Miło mi było panią poznać. I dziękuję za to, co pani robi dla Kate. Ten dzieciak umie uprzykrzyć życie. Synowa mówi, że naprawdę odetchnęła.

— Absolutnie nie zasługuję na takie komplementy.

Mirabel, cała w uśmiechach, szła w naszą stronę.

— Panna Cranleigh powinna porozmawiać ze swoim przyjacielem — wyjaśniła staruszce, odciągając mnie na bok. — Mam nadzieję, że moja teściowa nie dała się pani we znaki. Jest nieco rozkojarzona, a od czasu tragedii w ogóle zachowuje się dziwnie. Rzadko wychodzi do gości,

wydawało mi się jednak, że dziś jest w lepszym stanie, no i bardzo chciała panią poznać. Niestety, często gada od rzeczy.

— Ależ nie, mówiła całkiem normalnie.

— No to świetnie. O, jest pan Lorimer.

Lucas rzeczywiście szedł do nas, ale był z nim ktoś jeszcze i dopiero pod koniec wieczoru znaleźliśmy okazję do rozmowy.

— Och, Lucasie, tak czekałam! Mam ci tyle do powiedzenia!

— Zamieniam się w słuch.

— Nie tutaj.

— Więc spotkajmy się jutro w „Królu Żeglarzy”.

— Postaram się przyjść.

— O wpół do trzeciej?

— Dobrze.

— Będę czekał.

Przyjęcie dobiegło końca. Kate przyszła do mojego pokoju, kiedy się rozbierałam.

— I jak? — spytała.

— Bardzo interesujący wieczór. Odbyłam długą rozmowę ze starszą lady Perrivale.

— Z matką Czymka? To stara jędza.

— Doprawdy, Kate...

— No, w każdym razie jest trochę stuknięta. Przesiaduje w pokoju, w którym umarł sir Edward. Razem ze starą Marią spędzają tam mnóstwo czasu. Nie przepadam za nią.

— Za to ona bardzo się o ciebie troszczy.

— Nie lubi mnie. Lubi tylko mamę i Dadę. Rozmawiałaś z Dadą?

— Nie, tylko wymieniliśmy pozdrowienia. Zabawne, jak mało naprawdę się rozmawia na przyjęciach.

— A ze starym Lucasem?

— Czemu dla ciebie wszyscy są starzy?

— Bo są.

— Cóż, rzeczywiście nie mają po dziesięć lat. Idź już, dobrze? Chcę się położyć.

— Rano mi wszystko opowiesz.

— Nie bardzo jest o czym.

— Przecież na pewno chodzisz na przyjęcia po to, żeby złapać bogatego męża.

— Większość obecnych tam panów ma już żony.

— Więc musisz je tylko...

— Co?

— Wymordować. Dobranoc, Cranny. Do zobaczenia rano.

I wyszła.

Poczułam niepokój. Co temu dziecku chodzi po głowie? Co ona wie? A jeśli czegoś nie wie, to ile sobie wymyśla? Nie mogłam zapomnieć o marynarzu. Tak, stanowczo muszę opowiedzieć o wszystkim Lucasowi.

* * *

Następnego dnia w „Królu Żeglarzy” wciąż jeszcze się wahałam, ale pierwsze słowa Lucasa brzmiały:

— No dalej, kawę na ławę. Co cię gnębi? Od dawna chcesz mi coś powiedzieć, a przynajmniej po to mnie tu dziś ściągnęłaś.

— Owszem, mam pewną sprawę. Lucasie... czy obiecasz, że nie zrobisz nic bez mojej zgody?
Spojrzał na mnie, wyraźnie zaintrygowany.

— Czy chodzi o coś, co wydarzyło się na wyspie?

— Tak... w pewnym stopniu.

— John Player?

— Tak. Tylko że on tak się nie nazywał.

— Wcale mnie to nie dziwi. Wiedziałem, że jest z nim związana jakaś tajemnica.

— Przyrzeknij mi, Lucasie. Muszę mieć twoje słowo, zanim ci opowiem.

— Jak mogę obiecywać, skoro nie wiem, o co chodzi?

— A jak mogę ci coś powiedzieć, skoro nie wiem, co zrobisz?

Uśmiechnął się chytrze.

— No dobrze, obiecuję.

— To Simon Perrivale.

— Co?!

— Opuścił Anglię na statku. Zajął miejsce jednego z marynarzy.

Patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem.

— Lucasie... Chcę udowodnić jego niewinność. Żeby mógł wrócić do domu.

— No tak, to wszystko wyjaśnia.

— Tak właśnie przypuszczałam. Tylko się bałam, że uznasz za swój obowiązek donieść władzom... czy komuś.

— Nie obawiaj się, przecież obiecałem. Opowiedz mi więcej. Pewnie wyznał ci wszystko na wyspie, kiedy ja byłem unieruchomiony?

— Tak, rzeczywiście. I jest coś jeszcze: on był w tym seraju, to znaczy na zewnątrz, pracował w ogrodzie. Opowiadałam ci, jak zaprzyjaźniłam się z Nicole, a ona z kolei była przyjaciółką głównego eunucha. No więc Simonowi udało się go zjednać i prawdopodobnie dlatego — a także dzięki Nicole — pomógł nam obojgu. Simon uciekł razem ze mną.

Lucasowi zdumienie odjęło mowę.

— Wywieźli nas razem i zostawili przed brytyjską ambasadą. Ja weszłam do środka i w swoim czasie wróciłam do kraju, ale Simon nie mógł ryzykować. Zostawił mnie tam. Zamierzał dostać się do Australii.

— I od tamtego czasu nic o nim nie słyszałaś?

Potrząsnęłam głową.

— Teraz rozumiem, skąd ten szalony pomysł, aby udowodnić jego niewinność.

— Wcale nie szalony. Ja wiem, że Simon jest niewinny.

— Bo tak ci powiedział?

— Nie tylko. Dobrze go poznałam. Umilkł na dłuższą chwilę, po czym rzekł:

— Nie lepiej byłoby, żeby wrócił i stawiał temu czoło? Skoro jest niewinny...

— Jest. Tylko jak mógłby to udowodnić? Wszyscy już go uznali za zbrodniarza.

— A ty uważasz, że nakłonisz ludzi do zmiany zdania?

— Lucasie, ja wiem, że istnieje jakiś sposób. Musi być, jestem tego pewna. Gdybym tylko znalazła rozwiązanie...

— To dla ciebie najważniejsza sprawa na świecie, co?

— Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek.

— Rozumiem. A co ci da odgrywanie guwernantki?

— Jestem tu, na miejscu, blisko ludzi uwikłanych w ten dramat. Zawsze to jakiś sposób...

— Posłuchaj, Rosetto, jesteś nielogiczna. Pozwalasz, żeby emocje zagłuszyły zdrowy rozsądek. Masz za sobą parę fantastycznych przygód, trafiłaś do zupełnie innego świata niż ten, w którym

wyrośłaś, i teraz nie potrafisz jasno myśleć. To, co wam się przydarzyło, to czysty melodramat, wykraczający poza granice twojej wyobraźni. Cudem udało ci się z tego wyrwać, to była jedna szansa na tysiąc i dlatego oczekujesz, że życie potoczy się dalej w taki sam sposób. Byłaś uwięziona w seraju, wszystko wyglądało tam inaczej... cóż, niesamowite rzeczy się zdarzają, ale teraz sama stworzyłaś sobie inny seraj. Stałaś się więźniem własnej wyobraźni. Chcesz rozwiązać zagadkę tego morderstwa, kiedy od początku wszystko jest jasne. Niewinni nie uciekają, zapamiętaj to sobie. Simon nie mógł wyraźniej powiedzieć: „Jestem winien”. Żyjesz w świecie fantazji, Rosetto.

— Niania Crockett też wierzy w jego niewinność.

— Niania Crockett! A co ona ma z tym wspólnego?

— Zajmowała się nim w dzieciństwie i zna go lepiej niż ktokolwiek inny. Mówi, że Simon nie jest zdolny do takiego czynu, ona to wie.

— I stąd wasza przyjaźń. To ona namówiła cię, żebyś została guwernantką?

— Wymyśliłyśmy to razem, ale dopiero wtedy, kiedy nadarzyła się okazja. Uznałyśmy, że w ten sposób mogę zamieszkać w Perrivale Court.

Patrzyłam na niego błagalnie.

— Chcesz znać moje zdanie?

Skinęłam głową.

— Proszę cię, Lucasie...

— Rzuć tę całą farsę i wracaj do Trecorn. A potem wyjdź za mnie i rób dobrą minę do złej gry.

— Co masz na myśli z tą złą grą?

— Pożegnaj się z Simonem Perrivale'em. Wyrzuć go z myśli. Spójrz na to tak: tuż przed aresztowaniem uciekł za granicę, to zbyt znamienne, by przejść nad tym do porządku dziennego. Jeśli wróci, skażą go za morderstwo i powieszają, więc niech sobie układa życie od nowa w Australii czy gdzie tam chce. Skoro jesteś taka pewna jego niewinności, daj mu tę szansę.

— Chcę udowodnić, że niesłusznie go oskarżono.

— Chcesz, żeby wrócił. — Spojrzał na mnie z żalem. — Doskonale rozumiem. — Po chwili wzruszył ramionami, jakby pogodzony z własnymi myślami. — Więc co do tej pory odkryłaś?

— Jest sprawa tego pijanego marynarza.

— Kogo?

— Nazywał się Thomas Parry. Spadł z klifu i utonął.

— Czekał, czekał. Coś sobie przypominam. Rzeczywiście było o tym głośno swego czasu. Przyjechał z Londynu, upił się i zleciał z klifu, tak?

— Tak. Pochowano go na tutejszym cmentarzu. Odkryłam, że Kate kładzie kwiaty na jego grobie. Kiedy ją zapytałam dlaczego, odpowiedziała, że to jej ojciec.

— Co? Małżonek pięknej Mirabel?

— Z Kate nigdy nie można być niczego pewnym, bo lubi fantazjować. Podobno widziała go na rynku w Upbridge. Pytał, czy ktoś zna rudowłosą kobietę nazwiskiem Parry z córeczką. Kate się wystraszyła i schowała za spódnicę matki swej koleżanki. Musiała zapamiętać ojca jako brutala.

— A potem znaleziono go pod klifem.

— Niby czysty przypadek. Skoro Mirabel zamierzała poślubić jednego z Perrivale'ów, niezręcznie by było, gdyby nagle pojawił się mąż, uważany za nieżyjącego.

— No tak, dla pięknej Mirabel na pewno był użyteczniejszy jako nieboszczyk niż jako sprawiający kłopoty awanturnik.

— Mam na to tylko słowo Kate. Pytałam ją, czy powiedziała matce, że widziała tego człowieka. Okazało się, że powiedziała nie jej, tylko „Dadzie”, tak nazywa dziadka, majora Durrella.

Zapewnił ją, że musiała się pomylić, a matce niech o tym nie wspomina, boby się martwiła. A jej ojciec nie żyje, utonął w morzu.

— Więc czemu dziewczynka myśli, że go widziała?

— To dziwne dziecko... dużo fantazjuje. Przyszło mi do głowy, że może tęskni za ojcem, więc go sobie wymyśliła.

— Ma przecież sir Tristana.

— On nie poświęca jej uwagi. Kate nazywa go drwiąco „Czymkiem”, ale ona kpi sobie z większości swych bliskich. Może widziała, jak ludzie stawiają kwiaty na grobach, a ponieważ spodobało się jej to, wymyśliła rzekomego ojca? Ten marynarz nie miał krewnych, więc go „zaadoptowała”.

— To całkiem prawdopodobne... tylko co to wszystko ma wspólnego z kłopotami Simona Perrivale’a?

— Nie wiem. Przypuśćmy jednak, że ktoś z tego domu popełnił morderstwo. Taki ktoś pewnie nie zawahałby się przed następnym. Może to jakiś element całego obrazka?

Lucas popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Wiedziałam, że możesz tak to przyjąć. Ale miałam nadzieję, że mi pomożesz.

— Pomogę, tylko nie myśl, że nas to gdzieś zaprowadzi. Wydaje się, że Simon był zazdrosny o pozostałych braci. Jednego zabił w gniewie, a drugi go przyłapał, i tyle. Natomiast co do marynarza, możesz mieć rację. Dziecko tak bardzo chciało mieć ojca, że uznało za niego pierwszego lepszego nieboszczyka.

— Wycięła ogrodnikowi kilka cennych róż.

— No proszę!

— A jednak...

— „A jednak” — powtórzył, uśmiechając się kpiąco. — Skoro mamy prowadzić śledztwo, zacznijmy od tego, co najbardziej prawdopodobne. Istnieje słaba możliwość, że coś się kryje za przedwczesną śmiercią marynarza. Możemy ją potraktować jako punkt wyjścia.

— To znaczy?

— Poszperać w jego życiu. Kim był, czy miał żonę? A jeśli przypadkiem się okaże, że była nią obecna lady Perrivale, to już będzie jakiś trop. Może ktoś rzeczywiście pozbył się marynarza, bo stał się kłopotliwy, a w takim razie... no cóż, możliwe, że ta osoba spróbuje popełnić następną zbrodnię.

— Wiedziałam, że mi pomożesz, Lucasie!

— Więc bierzmy się do rozplątywania kłęбка — powiedział z patosem.

— Jak?

— Pojadę do Londynu, przejrzę dokumenty. Szkoda, że nie ma Dicka Duvane’a, rzuciłby się na to z całym entuzjazmem.

— Ach, Lucasie, taka ci jestem wdzięczna!

— Ja tobie także. Przynajmniej uwolni mnie to od monotonii mijających dni.

Do Perrivale wracałam w nastroju euforii. Wiedziałam, że słusznie postąpiłam, dopuszczając Lucasa do tajemnicy.

* * *

Nie było go trzy tygodnie. Codziennie wyczekiwałam wiadomości, a jednocześnie pracowałam z Kate według stałego rozkładu. Zdarzały nam się trudne momenty, ale przynajmniej nie próbowała już wymigiwać się od lekcji. Czytałyśmy razem książki, dyskutowałyśmy o nich, nie

nawiązywałam natomiast ani słowem do grobu marynarza, który Kate nadal odwiedzała. Nie zabierała już jednak kwiatów z ogrodu, kontentując się polnymi.

Kilka dni po wyjeździe Lucasa do Londynu Maria, pokojówka starszej lady Perrivale, powiedziała mi, że pani chce ze mną porozmawiać.

Maria należała do tego rodzaju służących, którzy będąc przez wiele lat przy tej samej pani czy panu, uważają się z tego powodu za szczególnie uprzywilejowanych. Co więcej, są zwykle tak użyteczni dla swych chlebobawców, że ci nie potrafią im niczego odmówić. Tacy służący uważają się niejako za członków rodziny, co w wypadku Marii mogło mi wyjść na korzyść.

Po raz pierwszy znalazłam się w tej części domu, na którą zwykle patrzyłam tylko z okna swojego pokoju.

Przywitała mnie Maria, przykładając palec do ust.

— Śpi jak kamień. To całkiem w jej stylu: zaprasza kogoś, a kiedy gość przychodzi, ona jest martwa dla świata.

Otworzyła drzwi i kiwnęła na mnie palcem. Starsza pani spała w fotelu.

— Nie będziemy jej przeszkadzać. Miała fatalną noc, to się jej czasem zdarza. Śnią jej się koszmary o sir Edwardzie... Oj, miała z nim za swoje... ale przecież pani nic o tym nie wie. A z nią jest raz lepiej, raz gorzej. Czasem zachowuje się zupełnie po staremu, a czasem gdzieś odplywa.

— Może przyjdę później? Potrząsnęła głową.

— Pani tu siada i czeka. Kiedy się zbudzi, zaraz dzwoni albo wali laską w podłogę. Ach, to już nie to, co dawniej...

— Każdemu z nas się to zdarza.

— Oczywiście. Ale jej się tak pogorszyło po śmierci sir Edwarda.

— Cóż, pewnie długo byli małżeństwem. Skinęła głową.

— Przyjechałam razem z nią do Kornwalii, chociaż żał mi Yorkshire... Była tam pani kiedy?

— Nie.

— Te doliny! Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. A wrzosowiska... Po prostu raj na ziemi.

— Na pewno.

— A tu? Sama nie wiem. Nigdy nie mogłam przywyknąć do tych ludzi. Mają głowy nabite bujdami. Nam nie da się tego zarzucić. — Rzuciła mi wojownicze spojrzenie, na które chyba nie zasłużyłam, bo nie zamierzałam oskarżać jej o fantazjowanie. — Tam u nas nazywa się rzeczy po imieniu. Żadnych bajek o duchach, wychodzeniu z grobów, ludzikach w kopalniach, goblinach czy innych paskudztwach, które zatapiają statki. No, sama już nie wiem, ale to wszystko po prostu mnie śmieszy.

— Tak, rzeczywiście.

— Nawiasem mówiąc, w takim domu jak ten człowiekowi czasem cierpie skórą.

— Ale chyba nie kobiecie z Yorkshire.

Uśmiechnęła się szeroko. Widziałam, że pochodząc z Londynu, jestem dla niej... no, może niezupełnie pokrewną duszą, ale w każdym razie kimś lepszym od przesądnych Kornwalijczyków.

— Więc stara lady Perrivale zabrała cię z sobą, kiedy wychodziła za mąż?

— Byłam u niej i przedtem. Ale się porobiło! Wyszła za tytuł. Stary Arkwright miał forszę, prawdę rzekłszy, tarzał się w forsie. Tylko że to nie wszystko. A kiedy została „lady”, to jakby złapała Pana Boga za nogi. I co zrobiła z tym domem! Toż to była kupa gruzów, a teraz... Rezydencja, tytuł, proszę bardzo, tylko niestety razem z tym wszystkim sir Edward.

— To taki ciężki warunek?

— On był dziwny, ten sir Edward. Z takim nigdy nic nie wiadomo, musiał zawsze postawić na swoim. Stary Arkwright uwielbiał swoją córeczkę. Taka ładna, no i te pieniądze... Jedyne dziecko, dziedziczka! Wiadomo, o co chodziło sir Edwardowi.

— A dlaczego był dziwny?

— Niewiele mówił, zawsze przestrzegał zasad... Jejku, ależ był srogi!

— Słyszałam.

— Co niedzielę do kościoła, rano i wieczorem. Wszyscy musieli chodzić, nawet dzierżawcy, bo inaczej mieli krechę. Zarabiał sobie na miejsce w niebie... I nagle ten chłopak...

— Tak? — ponagliłam ją, bo umilkła.

— Normalnie przywiózł go do domu. Żeby to kto inny, ale on! Wie pani, co mam na myśli: mężczyźni są, jacy są, w życiu nie uwierzyłabym jednak, że sir Edward... Często zastanawiałam się, kim jest ten chłopiec. Pani nie mogła na niego patrzeć, cóż, to zrozumiała. Stara niania Crockett zawsze trzymała jego stronę... dziwne, że pani jej się nie pozbyła. Chociaż sir Edward nigdy by się nie zgodził. Tupnąłby nogą i... Ale zwykle nie wtrącał się za bardzo do domowych spraw, byle tylko wszyscy chodzili do kościoła i na wspólne modlitwy w holu. Słyszałam nieraz, jak pani miotała gromy, jak krzyczała, że nie chce w domu tego małego bękarta... tak, tak, posuwała się nawet do tego. Wszystko słyszałam, bo byłam jej osobistą pokojówką i tak dalej, jeszcze w Yorkshire. Chciała mieć kogoś zaufanego i padło na mnie. O tak, widziałam prawie wszystko. Zaraz, po co ja to opowiadam? Cóż, traktuję ją trochę jak swoje dziecko, więc to tak, jakbym mówiła o sobie samej. A pani właściwie należy do rodziny. Musiała pani przeżyć swoje z tą panią Kate...

Zacisnęła wargi. Miałam wrażenie, że robi sobie wyrzuty za nadmierną wylewność wobec prawie obcej osoby.

— Pewnie widziałaś wiele zmian w tym domu? Przytaknęła.

— Zawsze lubiłam trochę poplotkować — ciągnęła z tą samą pretensją do siebie w głosie. — A nie mam zbyt wiele okazji, więc czuję się nieco samotna. Pani ma takie dobre serce, panno Cranleigh, to widać gołym okiem. Rozumie pani innych.

— Mam nadzieję. Bardzo mnie tu wszystko interesuje... I dom, i ludzie.

— No właśnie. Jak słusznie pani zauważyła, widziałam parę zmian. Do tej części domu mało kto zagląda. Wie pani, co powiadają... że sir Edward tutaj umarł, a teraz chodzi po nocy i straszy. Ponoć ludzie widzieli światło. Mówią, że to sir Edward czegoś szuka, bo nie może zaznać spokoju.

— Widziałam raz światło. Myślałam, że to świeca, bo migotało. Więcej się nie pojawiło.

Szturchnęła mnie łokciem.

— Wiem, kto to mógł być. Ona! — Wskazała głową pokój swojej pani. — Czasem tak robi. Wstaje w nocy, zapala świecę. Tyle razy jej mówiłam: „Kiedyś podpali pani dom... albo własną koszulę nocną”, a ona na to: „Muszę szukać. Muszę to znaleźć”. „Co znaleźć?”, pytam. Ale wtedy ona tylko tak dziwnie patrzy i nie odpowiada.

— Myślisz, że naprawdę czegoś szuka?

— Ludzie na stare lata mają różne przywidzenia. Po prostu wbiła sobie coś do głowy. Wciąż jej powtarzam: „Jeśli pani coś zapodziała, wystarczy mi powiedzieć, a odnajdę tę rzecz”. Ale nie; po prostu coś sobie ubrdała i w nocy sobie o tym przypomina. Muszę jej pilnować, bo naprawdę zaproszy kiedyś ogień, a w takich domach jest mnóstwo drewna. Dlatego chowam przed nią zapalki, choć to nic nie pomaga. Nieraz słyszę, jak krąży po omacku.

— Po swoim pokoju?

— Nie, po pokoju sir Edwarda, Wie pani, oni mieli oddzielne sypialnie. Zawsze mi się zdaje, że to coś niewłaściwego.

— Pewnie masz przy niej mnóstwo pracy.

— O tak. Robię wszystko: sprzątam, gotuję... Nieczęsto bierze udział w takich przyjęciach jak tamto, ale ostatnio czuła się znacznie lepiej. Tamci państwo żyją własnym życiem, a ona bardzo lubi obecną lady Perrivale. Chciała, żeby pani Mirabel wyszła za któregoś z jej synów.

— Podobno знаła jej matkę.

— Zaprzyjaźniły się w szkole. Po jej śmierci lady Perrivale namówiła majora na przyjazd tutaj, wynalazła mu ten Seashell Cottage i wkrótce potem pani Mirabel zaręczyła się z panem Cosmem.

— A on zmarł?

— Został zamordowany, ot co! To ten chłopak, Simon. Zawsze skakali sobie do oczu.

— On potem uciekł, tak?

— Tak, tak. Już jako dzieciak był cwany. Nie miał innego wyjścia, boby go powiesili. I pewnie jeszcze zadynda, to taki typ.

— Jak myślisz, co się wtedy wydarzyło?

— To jasne jak słońce. Simon nie wytrzymał. Mirabel wpadła mu w oko, był jednak bez szans.

— Ściszyła głos. — Może nie wypada mi tego mówić, ale zawsze mi się zdawało, że jej chodziło o tytuł i dlatego wybrała Cosma. Simon zastrzelił go w gniewie.

— Skąd miał pod ręką broń?

— Mnie pani pyta? Wygląda, że zabrał ją specjalnie, prawda? A bo to kto wie? U nas w Yorkshire powiadają, że nie ma nic dziwniejszego jak człowiek, i słusznie. Każdy dawno uznał, że chodziło o zazdrość... a zazdrość to straszna rzecz, nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi.

— A potem lady Perrivale poślubiła Tristana.

— Tak. Cóż, oni zawsze mieli się ku sobie. Mam przecież oczy. Mało razy powtarzałam sobie: „Ho, ho, jeśli wyjdzie za Cosma, to będą kłopoty, bo tak naprawdę chce Tristana”. Widziałam to i owo, nie powiem. — Urwała raptownie i przyłożyła rękę do ust. — Znów plotę, co mi ślina na język przyniesie. Ale tak miło pogadać z kimś, kto chce słuchać.

— Mnie to naprawdę interesuje — przyznałam.

— Właściwie należy pani do rodziny. Zresztą to takie stare dzieje...

Widziałam, że wystarczy tylko trochę zachęty, żeby uspokoić jej sumienie, i postanowiłam drażnić dalej.

— Tak, oczywiście. W swoim czasie chyba wszyscy o tym mówili.

— Mój Boże, pewnie, że tak!

— A ty naprawdę coś widziałaś?

— Och... sama nie wiem. Takie tam drobiazgi... dlatego wcale się nie zdziwiłam, kiedy zwróciła się do Tristana. Ludzie gadali, że to w chwili słabości, że pocieszali się nawzajem. Cóż, wie pani, jacy są ludzie. — Zmarszczyła lekko brwi. Chyba chciała sobie przypomnieć, ile już wyjaśniła. — Pani i ja miałyśmy swoje sprawy... Mówiła mi wszystko, wie pani, jak to między dziewczynami, ale oczywiście to się zmieniło po śmierci Cosma. Nie uwierzyłyby pani, ile jej wtedy przybyło lat. Dawno już nie miałam okazji tak sobie pogadać. Cóż... chyba rzucę na nią okiem. Czasem utnie sobie drzemkę, bywa jednak, że nagle się budzi i nie wie, na jakim jest świecie.

Podeszła do drzwi. Miałam nadzieję, że starsza pani nie obudziła się jeszcze, bo rozmowa z Marią okazała się bardzo ciekawa. Zawsze uważałam, że służba doskonale orientuje się w rodzinnych sekretach, może nawet lepiej niż sami zainteresowani.

Usłyszałam wylękniony głos:

— Co się stało, Mario? Ktoś przyszedł?

— Tak, przecież chciała pani porozmawiać z guwernantką. Czeka tu obok, aż się pani obudzi.

— Przecież nie śpię.

— Teraz już nie. Panno Cranleigh...

Lady Perrivale powitała mnie uśmiechem.

— Przynies krzesło, Mario.

Pokojówka usłuchała.

— Trochę bliżej.

Pogawędziłyśmy trochę, lecz zauważyłam, że nie jest tak sprawna umysłowo jak na przyjęciu. Z początku nie wiedziała nawet, z którą guwernantką ma do czynienia, potem nagle uświadomiła sobie, że to ja — ta, co odniosła sukces.

Opowiadała o domu — w jakim stanie zastała go po ślubie, jak go remontowała, jak dzięki niej odzyskała dawną świetność.

Po paru minutach zauważyłam, że głowa znów jej opada i morzy ją sen.

Wstałam po cichu i rozejrzałam się za Marią.

— To nie jest jej dobry dzień — wyjaśniła. — Źle zniosła noc, założę się, że znów łąziła po ciemku, szukając czegoś, co nie istnieje.

— Cóż... muszę już iść. Miło mi się z tobą gawędziło.

— Mam nadzieję, że nie wypaplałam za dużo. Dawno nie było okazji, aby pogadać, i trochę mnie poniosło. Pani przyjdzie znowu, zawsze lubiłam ploteczki.

— Przyjdę.

Wróciłam do swego pokoju w przekonaniu, że nie zmarnowałam popołudnia.

* * *

Nadeszła wiadomość od Lucasa: wrócił i chciał się ze mną jak najszybciej zobaczyć.

Ja też nie mogłam się doczekać tego spotkania, więc niemal natychmiast udałam się do „Króla Żeglarzy”.

— Rzeczywiście dokonałem kilku odkryć — oświadczył Lucas. — Myślę, że panna Kate puszcza wodze fantazji.

— Ach, jak się cieszę! Nie chciałabym posądzać lady Perrivale o zamordowanie pierwszego męża.

— Zdaje się, że ten Thomas Parry istotnie był marynarzem.

— Owszem.

— Ożenił się z niejaką Mabel Tallon, chórzystką.

— Lady Perrivale chórzystką?!

— Mogła nią być... Zanim nauczyła się tych wielkopańskich min i póz. Ale zaraz... jej ojciec też tu jest?

— Tak, to major Durrell. A Mirabel Durrell brzmi nieco inaczej niż Mabel Tallon.

— Mabel mogła się zmienić w Mirabel.

— Tak, ale liczy się nazwisko.

— Też mogła je zmienić.

— Przecież jest jej ojciec...

— Posłuchaj. Sprawdziłem, że miała córeczkę o imieniu Katharine.

— Kate! Całkiem możliwe.

— To dość popularne imię.

— Tylko to jedno się zgadza.

— I chcesz się tego ucześcić?

— Nie. Przypuszczam, że Kate fantazjuje. Jest naprawdę osamotniona, widzę, jak szybko się do mnie przywiązała. Ten dzieciak ma w sobie coś dramatycznego. Rozpaczliwie potrzebuje ojca, dlatego dopatruje się go w tym marynarzu.

— Szkoda, że nie pomyślała o kimś bardziej wartościowym.

— Wzięła pierwszego lepszego. Leżał w grobie, nikt go nie znał... I pamiętaj, że widziała go wtedy na rynku.

- Naprawdę go widziała? A może to sobie wymyśliła?
- A jednak musiała go widzieć, bo on tam był, pytał o żonę i dziecko.
- Dowiedliśmy już, że miał córkę Katharine.
- To imię można zdrabniać na różne sposoby. Na przykład Cathy...
- Owszem. Wydaje mi się jednak, że Kate jest bardziej popularne. Tylko że trudno na tym coś budować. A ojciec Mirabel jest szanowanym majorem, raczej by go w to nie wciągała. Nie, lepiej zamknijmy tę księgę i rozejrzyjmy się za innym wątkiem.
- Wiesz, kiedy cię nie było, dokonałam pewnego odkrycia. Rozmawiałam z Marią, pokojówką starszej lady Perrivale.
- Ach tak? I co ci wyjawiała?
- Nic, czego bym już nie wiedziała. Ale jest bardzo gadatliwa.
- Tego właśnie nam trzeba.
- Pamięta, jak Simona przywieziono do tego domu. Zapanowała wielka konsternacja, bo nikt nie miał pojęcia, skąd chłopiec się wziął. Z pewnych względów mógł uchodzić za owoc grzechu pana domu, ale nie w tym wypadku. Sir Edward nie pozwalał sobie na skoki w bok, był bogobożnym człowiekiem, filarem Kościoła i pilnie przestrzegał zasad.
- Może od innych dużo wymagał, a sobie nieco pobłażał? Bywają tacy ludzie.
- Tak, ale nie sir Edward. A ten błąd musiał popełnić jeszcze przed ślubem.
- Cóż, to się niekiedy zdarza.
- Nawet takim jak sir Edward?
- Możliwe. I odpokutował swój czyn, zabierając chłopca do domu. Bo czy wyobrażasz sobie inny powód, dla którego Simon tam trafił?
- Może to jedna z rzeczy, które musimy wykryć.
- Mogło mu się zrobić żal chłopca. Widział, że Simon nie chciał zamieszkać z ciotką.
- Myślisz, że jego matka była jakąś ubogą krewną?
- To dlaczego sir Edward nic o tym nie mówił? Z tego, co wiem, po prostu przywiózł chłopca i pozwolił, by ludzie sami wyciągnęli wnioski. Nie, to bez sensu. Musiał przypadkiem pobłądzić, nawet najcnotliwszym zdarzają się potknięcia.
- Tylko że on przywiązywał taką wagę do moralności...
- Skruszeni grzesznicy często są nadgorliwi.
- Nie mogę w to uwierzyć.
- Posłuchaj, Rosetto. Uganiaś się za cieniami. Wierzysz w coś, bo chcesz wierzyć. Wypływasz na niebezpieczne wody. Ale załóżmy, że masz rację. Załóżmy, że w tym domu jest morderca i że przypadkiem odkryje, czym się zajmujesz. Nie podoba mi się ten pomysł. Bo skoro ten ktoś raz zabił, czemu nie miałby uderzyć po raz drugi?
- Więc uważasz, że w domu jest morderca?
- Tego nie powiedziałem. Myślę, że wersja policji jest najbliższa prawdy, a Simon swoją ucieczką tylko to potwierdził.
- Nie zgadzam się z tobą.
- Wiem... bo tego nie chcesz. Poznałaś tego człowieka w innych okolicznościach. Wszyscy walczyliśmy o przetrwanie, a on zachował się jak bohater. Żyjemy dzięki niemu, lecz to nie znaczy, że kiedy indziej nie zabił.
- Och, Lucasiu, nie możesz w to wierzyć!
- Nie poznałem go tak dobrze, jak ty — odparł z urazą w głosie.
- Przecież byłeś z nim cały czas. Wyciągnął cię z morza, okazał ci tyle troski...
- Wiem. Ale ludzie są skomplikowani. W napadzie zazdrości mógł stać się zupełnie inny.
- Nie chcesz mi pomóc, bo w niego nie wierzysz.

— Pomogę ci, Rosetto, ponieważ wierzę w ciebie.

— Nie rozumiem, co to znaczy.

— To znaczy, że ci pomogę, jak tylko umiem, chociaż uważam, iż postawiłaś sobie beznadziejne i niebezpieczne zadanie.

— Skoro uważasz je za niebezpieczne, to musisz wierzyć w niewinność Simona. Inaczej mieszkańcy Perrivale nie mieliby nic do ukrycia.

— Tak, to możliwe. Ale ty naprawdę uważaj. Możesz się przypadkiem zdradzić, a jeśli masz rację... znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Proszę, Rosetto, bądź ostrożna.

— Będę. Nawiasem mówiąc, Maria powiedziała mi coś ciekawego. Otóż Mirabel flirtowała z Tristanem jeszcze jako narzeczona Cosma.

— Ach tak?

— Według Marii, ona od początku wołała Tristana.

— Rzeczywiście ciekawe.

— To byłby jakiś motyw.

— Przecież mogła oddać rękę drugiemu bratu, nie zabijając pierwszego.

— I stracić tytuł i wszystko, co się z nim wiązało?

— Rozumiem, że na to liczyła, lecz czy posunęłaby się do morderstwa?

— Mogli to zaplanować razem z Tristanem... W końcu gra była warta świeczki.

— Cóż, jak dotąd, nic lepszego nie wymyśliłaś. Ale nie polegałbym tak bardzo na plotkach służby. Ach, jeszcze jedno: pewnie za parę dni znów wyjadę do Londynu.

— Tak szybko? Długo cię nie będzie?

— Nie wiem dokładnie. Właściwie... czeka mnie operacja. Myślałem o tym od pewnego czasu.

— Nic nie mówiłaś.

— Och, bo nie chciałem zwracać ci głowy.

— Jak możesz tak mówić! Wiesz, że mi to leży na sercu. Opowiedz mi coś więcej.

— Jest pewien lekarz w Londynie... Wymyślił nowy sposób, albo mu wyjdzie, albo nie.

Przynajmniej nic nie ukrywa.

— Lucas! Tak lekko o tym mówisz!

— Ale wcale się tak nie czuję. Widziałem się z nim przy okazji mojego śledztwa w sprawie pijanego marynarza. Można powiedzieć, że upiekłem dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— I nic mi do tej pory nie wspomniałaś!

— Teraz jednak pomyślałem, że powinienem wyjaśnić ci moją dłuższą nieobecność. Inaczej mogłabyś oczekiwać wiadomości w rodzaju: „Przyjeżdżaj natychmiast, morderca zdemaskowany”.

— Lucasie, proszę, nie bądź nonszalancki.

— Dobrze. Moja noga wygląda paskudnie i jest z nią coraz gorzej. Natomiast ów niezwykle sprytny specjalista od kości wprowadza jakąś nową metodę. Niestety, nie może podarować mi nowej nogi, lecz coś tam pokombinuje. Jeśli mu się uda... cóż, wprawdzie nie przestanę utykać, nastąpi jednak pewna poprawa. W każdym razie gotów jestem zaryzykować.

— Czy to niebezpieczne?

O sekundę za długo zwlekał z odpowiedzią.

— Ach, nie. Nie może zrobić ze mnie większego kuternogi niż teraz, chociaż...

— Powiedz mi prawdę.

— Szczerze mówiąc, sam błędę po omacku. Jest nadzieja, może słaba, ale zawsze...

— Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

— Nie byłem pewien, czy się zdecyduję. Nagle pomyślałem sobie: raz kozie śmierć. Gorzej już być nie może, a jest szansa, że będzie znacznie lepiej.

— A ja zawracam ci głowę, kiedy ty masz taki problem!
— Twoja troska bardzo mnie wzrusza, Rosetto — odrzekł poważnie.
— Oczywiście, że się o ciebie troszczę!
— Wiem. Cóż, za parę dni wyjeżdżam.
— Jak długo to potrwa?
— Nie wiem dokładnie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może miesiąc. Będę w klinice tego chirurga nieopodal Harley Street.
— Zżydam się na samą myśl o twoim wyjeździe.
— Przyrzeknij, że będziesz ostrożna.
— Oczywiście, że będę.
— Staraj się nie rzucać w oczy i nie przywiązuj zbyt dużej wagi do gadania służby.
— Przyrzekam. Czy możesz dać mi adres tej kliniki?
Wyjął z portfela karteczkę i zapisał mi go.
— Przyjadę cię odwiedzić — obiecałam.
— Będzie mi bardzo miło.
— Porozumiem się z Carletonem. Co on o tym myśli?
— Nie sądzę, żeby mój pobyt na miejscu miał dla niego znaczenie. Przecież nie przywrócę życia Theresie. Pozbiera się jakoś. Na razie rzucił się w wir pracy, to dla niego najlepsze.
Nowina położyła się cieniem na całym dniu. To typowe dla Lucasa, że mówił tak lekko o poważnych sprawach. Na czym polega operacja? Czy grozi mu niebezpieczeństwo? Jeśli nawet tak, to mi o tym nie powie.
Byłam bardzo niespokojna.
Kiedy wyszliśmy z „Króla Żeglarzy”, zaproponował, że pojedzie ze mną do Perrivale.
Wsiedliśmy na konie i w milczeniu ruszyliśmy w drogę. Wkrótce — stanowczo za szybko — ukazał się przed nami dwór.
— Ach, Lucasio, co za szkoda, że jedziesz! Będzie mi cię bardzo brakowało.
— Zapamiętam te słowa. To nie potrwa długo. Tylko patrzeć, jak przygalopuję do „Króla Żeglarzy” zupełnie odmieniony.
Popatrzyłam na niego ze smutkiem. Nagle Lucas powiedział z całą powagą:
— Ale to ja martwię się o ciebie, Rosetto. Uważaj. I w ogóle zostaw to całe śledztwo aż do mojego powrotu. Tak będzie najlepiej.
— Obiecuję, że będę bardzo ostrożna.
Pocałował mnie w rękę.
— *Au revoir*, Rosetto.

* * *

Popadłam w przygnębienie. Spotkania z Lucasem wiele dla mnie znaczyły, a teraz miałam być ich pozbawiona. W dodatku martwiłam się o jego zdrowie. Co to za operacja? Czemu zachowywał się tak tajemniczo?

Pewnego dnia zaproponowałam Kate, żebyśmy się przejechały do Trecorn Manor.
— To dość daleko. Nie damy rady w jedno popołudnie, ale może zrobimy sobie wolny dzień? Zapytam twoją mamę, czy nam pozwoli.
Kate zachwyciła się pomysłem, a z uzyskaniem pozwolenia nie powinno być trudności.
Moje jeździeckie umiejętności poprawiły się ostatnio i czułam się na siłach podjąć tak długą wyprawę, dla Kate tym bardziej nie stanowiło to problemu.
Cieszyło mnie, że widzę ją tak rozradowaną tą drobną przyjemnością.

— Całkiem niebrzydki dwór — oceniła Trecorn Manor. — Nie tak okazały jak nasz, oczywiście, ale ujdzie.

— Lorimerowie na pewno ucieszą się z twojej aprobaty.

— Zobaczymy się ze starym Lucasem?

— Nie, jego tu nie ma.

— A gdzie jest?

— W klinice.

— Co to jest klinika?

— Taki szpital.

— Co on tam robi?

— Wiesz, że ma chorą nogę.

— Tak, po tej katastrofie. Nie może normalnie chodzić.

— Więc w tej klinice spróbują mu pomóc. Zastanawiała się chwilę.

— To z kim się spotkamy?

— Pewnie z jego bratem. Poza tym z bliźniakami i nianią Crockett. Zostawiłyśmy konie w stajni i poszłyśmy do domu. Carleton był

gdzieś na terenie posiadłości, więc o naszej wizycie powiadomiono nianię Crockett.

Zeszła czym prędzej.

— Och, panna Cranleigh, jak miło! I panna Kate!

— Gdzie te bliźniaki? — spytała bez ogródek moja podopieczna.

— Na pewno się ucieszą. Pamiętają panią, panno Cranleigh.

— Mam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z panem Lorimerem?

— Niestety, wyjechał do Londynu.

— Miałam na myśli pana Carletona.

— Sądziłam, że przyjechała pani do pana Lucasa. Mają mu coś zrobić z nogą. Czego to dzisiaj nie wymyślą...

— Wiedziałam o jego wyjeździe. Właśnie o tym chcę porozmawiać z panem Carletonem.

— Pewnie niedługo wróci. Tymczasem zapraszam do dzieci. Jennifer zaraz do mnie podbiegła, Henry wahał się przez chwilę,

a potem ruszył za siostrzyczką.

— No co tam u was słyhać? — zapytałam. — To jest moja wychowanka Kate.

Kate przyglądała się dzieciom z lekką pogardą.

Wypytałam Jennifer, jak się miewa jednoooka Mabel i miś Reggie. Mała roześmiała się i odrzekła, że jak zawsze są niegrzeczne.

Pogawędziłam przez chwilę z bliźniakami, po czym niania zaproponowała, żeby dzieci pokazały Kate domek dla lalek.

Zerwały się z radością, a ja rzuciłam Kate niespokojne spojrzenie, obawiając się braku zainteresowania takimi dziecinnymi zabawami.

Musiałoby być w moim wzroku coś błagalnego, bo odpowiedziała:

— W porządku.

Domek lalek stał w kącie pokoju. Dzieci podeszły tam, a niania dała mi znak, żebym usiadła.

— Są jakieś wieści? — spytała szeptem. Pokręciłam głową.

— Mam trudności. Nie mogę się niczego dowiedzieć. Czasem myślę, że to beznadziejne.

— Na pewno panienka coś znajdzie. Wiem, że w tamtym domu kryje się jakiś sekret. Szkoda, że mnie tam nie ma.

— Zdobyłam jakieś strzępki informacji, ale chyba nigdzie nie prowadzą.

— Cóż, trzeba dalej próbować. A rozmawiała panienska z panią Ford? Już ona wie, co tam się dzieje.

— Lepiej niech niania z nią pogada. Jesteście w takich dobrych stosunkach.

— Próbowałam, tylko że niewiele to dało.

— Może ona nic nie wie? A jeśli wie, to nie chce rozmawiać o sprawach rodziny.

— Z obcymi tak, ale panienska teraz należy do domowników.

Zauważyłam, że Kate nadstawia uszu, i dałam niani znak. Zrozumiała od razu i zaczęłyśmy rozmawiać o dzieciach. Wkrótce będą potrzebowały guwernantki...

Kate natychmiast wykrzyknęła:

— Ale ty tu nie wrócisz, prawda, Cranny?

Co oznaczało, że słucha naszej rozmowy.

— Jeśli będziesz grzeczna, to nie.

Skrzywiła się w odpowiedzi. Oczywiście do poprzedniego tematu nie mogłyśmy już wrócić.

Niedługo przyszła pokojówka z wiadomością, że wrócił pan Lorimer.

Zostawiłam Kate z dziećmi i zesłam na dół. Carleton wyglądał marnie, ucieszył się jednak na mój widok.

— Martwię się o Lucasa — powiedziałam. — Co wiesz o tej operacji?

— Bardzo niewiele. Ostatnio był w Londynie na badaniach i stąd ta decyzja.

— Co spodziewają się uzyskać?

— Nie bardzo wiadomo. Podobno w tej dziedzinie dokonał się znaczny postęp. Mają ponownie zestawić to, co zostało zaniedbane zaraz po złamaniu.

— Cały czas żałuję, że nie wiedzieliśmy wtedy, co trzeba zrobić. Mogło się obejść bez tego wszystkiego.

— Nie masz się o co obwiniać, Rosetto. Zrobiliście, co w waszej mocy. Uratowaliście mu życie. Możesz mi wierzyć, że zawsze będzie wam wdzięczny. Wiem, że on lekko mówi o tych sprawach, ale odczuwa je głębiej, niż przypuszczasz.

— Tak, wiem.

— On wie najlepiej, jak ma postąpić. Widzisz, Rosetto, to jest jakaś szansa, a on chce ją wykorzystać. Może się wprawdzie okazać, że jego stan się pogorszy, lecz jeśli się uda, będzie dużo lepiej chodził.

— Według mnie to jednak ryzyko.

— Według mnie także.

— Pewnie dadzą ci znać zaraz po operacji?

— O tak.

— A mógłbyś mi przysłać wiadomość?

— Oczywiście.

Milczeliśmy przez chwilę, po czym Carleton odezwał się pierwszy:

— Dla niego to wielka tragedia. Nigdy nie mógł znieść najmniejszej dolegliwości, a taka deformacja... cóż, to straszny cios.

— Wiem.

— Tak bym chciał, żeby się ożenił. To by miało dla niego duże znaczenie.

— Pod warunkiem, że małżeństwo byłoby szczęśliwe.

— Szczęśliwy związek to ideał.

— Owszem. Inaczej trzeba iść na kompromis. Widziałam, że Carleton myśli o własnym małżeństwie.

— A jednak — odrzekł ze smutkiem — wszystko może się skończyć... nagle... i człowiek nigdy już się nie dowie, czy nie mogło być lepiej.

— Carletonie, doskonale cię rozumiem, ale powinieneś szukać radości w tym, co dane ci było przeżyć.

— Tak, masz rację. Tymczasem ciągle myślę o swoim bólu. Co sądzisz o bliźniakach?

— Wszystko z nimi w porządku. Niania Crockett jest wprost niezrównana, tylko że one rosną.

— I trzeba będzie pomyśleć o guwernantce. — Popatrzył na mnie z wahaniem.

— Wiesz przecież, że nie jestem prawdziwą nauczycielką — uprzedziłam ewentualne pytanie.

— Słyszałem, że z tamtą dziewczynką nieźle ci idzie.

— No proszę, jak moja sława rośnie — rzuciłam lekko.

— Musicie zjeść jakiś lunch przed odjazdem.

— Dziękuję, może masz rację. Do Perrivale mamy kawał drogi. Zawołam Kate.

— Dobrze, za parę minut powinni podawać.

Kate wielką radość sprawił lunch w jadalni Trecorn Manor. Carleton był uprzedzająco grzeczny i traktował ją jak dorosłą, co dziewczynce bardzo pochlebiało. Jadła chętnie, opowiadając z ożywieniem o Perrivale, a i Carleton nieco poweselał. Wizyta okazała się udana.

Odprowadził nas do stajen.

— Dziękuję za odwiedziny — powiedział do nas obu. — Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wpadniecie.

— Och, na pewno! — wykrzyknęła Kate, ku memu — a przypuszczam, że i Carletona — zadowoleniu.

W drodze powrotnej jednak stwierdziła:

— Lunch był przyjemny, ale te głupie bliźniaki ze swoim starym domkiem dla lalek są strasznie nudne.

— Naprawdę nie spodobał ci się ten śliczny domek?

— Cranny, nie jestem już dzieckiem. Nie bawię się zabawkami. On chce, żebyś wróciła, prawda?

— Kto?

— Stary Carleton.

— Chyba masz bardzo ograniczony zasób słów. Wszystkich określasz tym samym przymiotnikiem.

— Jakim znów przymiotnikiem?

— „Stary”.

— Bo on jest stary. Chce, żebyś wróciła i uczyła te głupie bliźniaki, tak?

— Przynajmniej one nie są stare. Czemu tak uważasz?

— Bo niania Crockett chce twojego powrotu.

— Nie „stara” niania Crockett?

— Ona jest już taka stara, że nie trzeba tego mówić. Powiedziała, że pozostaniecie w kontakcie, podobnie jak ten Carleton.

— Chodziło mu o brata. Ma dać mi znać po jego operacji.

— Może utną mu nogę.

— Oczywiście, że nie utną i nawet tak nie myśl. Zamierzają mu ją wyleczyć. To mój wielki przyjaciel, więc naturalnie chcę wiedzieć, jak się będzie czuł. Dlatego Carleton i niania Crockett obiecali, że mnie zawiadomią.

— Aha — mruknęła i nagle zaśpiewała:

Piętnastu ludzi na umrzyka skrzyni

Ju-hu-hu-hu i butelka rumu!

Wódka i czarci skończyli z innymi...

Chyba naprawdę jej na mnie zależy, pomyślałam.

* * *

Przez następne dni czułam się bardzo przygnębiona. Zrozumiałam, jak ważna jest dla mnie obecność Lucasa w pobliżu. Coraz bardziej martwiłam się operacją. Carleton wiedział tyle, co ja, bo jego brat był znany z powściągliwości w takich sprawach.

Zdałam sobie wreszcie sprawę z bezskuteczności mojego dochodzenia. Lucas od początku uważał je za absurdalne i miał rację.

Gdyby chociaż był pod ręką, gdybym mogła wysłać mu wiadomość do Trecorn i poprosić o spotkanie...

Zastanawiałam się, co mu da ta operacja, i strasznie się bałam.

Kate wyczuwała mój smutek i próbowała mnie rozweselić. Podczas czytania zdarzały mi się chwile nieuwagi, co ją intrygowało. To w tym właśnie okresie nabrałam pewności, że jej na mnie zależy. Kiedy indziej uznałabym to za znaczną pociechę, lecz teraz myślałam tylko o Lucasie.

Przymiliła się, próbując skłonić mnie do rozmowy, i ku swemu zdumieniu, zaczęłam opowiadać jej o moim dawnym życiu: o domu w Bloomsbury, o rodzicach i ich pracy w British Museum. Bardzo ją ubawiło, że nazwano mnie na pamiątkę kamienia z Rosetty.

— To tak jak ze mną — powiedziała. — Nie miałam ojca, a mama wciąż była zajęta... Nie pracą w muzeum, ale... innymi sprawami.

W innym czasie pewnie zapytałabym o jej uczucia, ale Lucas tak zawładnął moimi myślami, że nie wykorzystałam okazji.

Chciała usłyszeć jak najwięcej o panu Dollandzie. Opowiadałam więc o jego popisach i najbardziej zainteresowały ją „Dzwony”.

— Szkoda, że ich wszystkich tu nie ma... Ale by było przyjemnie, co?

Przyznałam, że owszem, tak samo jak za dawnych dni. Objęła mnie i uściskała z niezwykłą u niej serdecznością.

— Pewnie było ci smutno, że zajmują się tylko tym starym muzeum, co? To nie jest takie ważne, jeśli masz... coś innego.

Wzruszyły mnie te słowa. To dziecko chciało powiedzieć, że moja obecność wynagradza jej brak zainteresowania ze strony matki.

Kiedy opowiedziałam jej o przyjeździe Felicity, aż pisnęła z zachwyty. Wiedziałam, dlaczego: porównywała to z moim przybyciem do Perrivale.

— Pewnie się spodziewałaś jakiejś wstrętnej guwernantki.

— Starej, oczywiście.

— No bo one wszystkie są stare. Zastanawiałaś się, jak ją zmusić, żeby wyjechała?

— Nie, nie byłam takim potworem jak ty. Kołysała się w przód i w tył, bardzo rozbawiona.

— Nie wyjechałabyś teraz, co, Cranny?

— Gdybym wiedziała, że tego nie chcesz...

— Nie chcę.

— Zdawało mi się, że nie cierpisz wszystkich guwernantek?

— Wszystkich, z wyjątkiem ciebie.

— Pochlebiasz mi. Czuję się zaszczycona.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Wiesz? Nie będę cię już nazywać Cranny, tylko Rosettą. To takie śmieszne mieć imię na cześć kamienia.

— To wyjątkowy kamień.

— I stary!

- Tym razem przymiotnik pasuje.
- Te wszystkie zakrętasy... zupełnie jak robaki.
- Hieroglify ani trochę nie przypominają robaków.
- No dobrze. Jesteś Rosetta.

Pewnie dlatego, że mówiłam jej o swoim dzieciństwie, zapragnęła opowiedzieć mi o swoim. A to właśnie najbardziej chciałam usłyszeć.

— Daleko musi być to British Museum — zauważyła. — Nigdy o nim nie słyszałam. My tylko wciąż wyczekiwałyśmy powrotu...

— Twojego ojca?

Kiwnęła głową.

— To było ohydne. Mama się bała... chociaż nie tak bardzo jak ja, kiedy siedziałam sama w ciemności...

— Co się działo w nocy?

— Nie pamiętam, ale ten okropny pokój... Moje łóżko stało w rogu, mama spała na drugim. Lubiłam rano patrzeć na jej włosy, zupełnie jak czerwone złoto rozsypane na poduszce. Budziłam się wcześniej i nie wiedziałam, co robić. Ona tam była... a potem znowu zniknęła. Przychodziła jedna taka z dołu, żeby sprawdzić, czy nic mi nie trzeba.

— I cały czas byłaś sama?

— Chyba tak.

— Co robiła twoja mama?

— Nie wiem.

Chórzystka! Tom Parry poślubił chórzystkę!

— Ty przynajmniej miałas pana Dollanda i panią Harlow.

— Opowiedz mi, Kate — poprosiłam. — Opowiedz wszystko, co pamiętasz.

— Nie! Nie! — wykrzyknęła. — Nie chcę! Nie chcę pamiętać! — Nagle rzuciła mi się na szyję.

— Już dobrze — mówiłam, głaszcząc ją po włosach. — Zapomnijmy o tym, to skończona sprawa. Teraz masz mnie, będziemy razem robić różne miłe rzeczy, będziemy jeździły konno, rozmawiały...

Sporo się dowiadywałam. Nie o tym, po co przyjechałam, ale o Kate. Była samotnym dzieckiem, które zachowywało się niegrzecznie, ponieważ pragnęło miłości i zainteresowania. Próbowwała zwrócić na siebie uwagę w jedyny sposób, jaki знаła. Poczułam niechęć do Mirabel, która tego wszystkiego córkę pozbawiła. Wtedy może musiała pracować, ale teraz już nie.

Kate odsunęła się nagle, jakby zawstydzona swoim wybuchem.

— Ale kiedy przyjechał Dada, już było w porządku.

— Ach tak, twój dziadek. Bardzo cię kocha, prawda? Uśmiech rozjaśnił jej buzię.

— Przyjechał i zabrał nas tutaj... I wszystko już było dobrze. Opowiadał mi śliczne historie... o bitwach.

— To musiało być cudowne.

‘Tajemnica starej farmy

253

Przytaknęła.

— Pamiętam... To było w tamtym pokoju... siedział na łóżku. Powiedział coś o kontakcie...

— Kontakcie?

— O kontakcie w Kornwalii.

— Ach, pewnie miał na myśli jakiegoś przyjaciela.

Kiwnęła głową i nastroj jej się zmienił. Uśmiechała się do wspomnień.

— Jechaliśmy pociągiem. Było tak ślicznie... Siedziałam u Dady na kolanach, a potem zamieszkaliśmy w Seashell Cottage. Pokochałam to miejsce, bo Dada tam był. Cały czas, nawet w nocy. Morze też polubiłam. Uwielbiałam słuchać, jak fale biją o klify. Ich huk dobiegał aż do mojej sypialni.

— A potem — przerwałam jej — zobaczyłaś Perrivale. Pewnie szybko się zaprzyjaźniłaś ze wszystkimi?

— O tak. Dada znał ich przedtem i bardzo się lubili. Zresztą kto by nie lubił Dady? Mamę też polubili, bo była taka piękna. Potem miała wyjść za Cosma i zamieszkać z nim i ze mną w dużym domu. Bardzo się z tego cieszyła, Dada także, chociaż on miał zostać w Seashell Cottage. I nagle Cosmo umarł, jeszcze przed naszą przeprowadzką. Zastrzelili go w Bindon Boys, a jego morderca uciekł, więc wszyscy domyślili się, kto to zrobił.

— I co się stało potem? Zmarszczyła brwi.

— Mama wyjechała.

— Wyjechała? Myślałam, że wyszła za Tristana.

— Bo wyszła, najpierw jednak wyjechała.

— Dokąd?

— Nie wiem. Była chora.

— Chora? To czemu wybrała się w podróż?

— Bardzo źle się czuła. Wydawała się strasznie blada... Kiedyś usłyszałam, jak mówi do lusterka: „O Boże, i co teraz?”. Byłam wtedy bardzo mała i pomyślałam, że Bóg jej odpowie i wtedy się dowiem, o co chodzi. Teraz wiem, że tak się mówi, kiedy człowiek jest wystraszony albo zły. A mama się bała, bo źle się czuła. A potem Dada powiedział: „Twoja mama wyjedzie na pewien czas”. Zapytałam dlaczego i odrzekł, że dobrze jej to zrobi. No i wyjechała, Dada odwiózł ją na stację... Z początku zamierzał jechać także, a ja miałam zostać przez dwa dni u pani Drake. Wrócił jednak i zabrał mnie do Seashell Cottage. Zapytałam o mamę. Powiedział, że odwiedza przyjaciół. Zdziwiłam się, bo przecież nie miałyśmy żadnych przyjaciół. A Dada na to: „Masz mnie, kochanie. Ja jestem twoim przyjacielem”. Sam gotował, ja mu pomagałam i dużo się śmialiśmy.

Teraz też roześmiała się na samo wspomnienie.

— A później?

— Mama wróciła i czuła się lepiej. Ci przyjaciele chyba jej pomogli. A potem zaręczyła się z Czymkiem, wzięli ślub i przeniosłyśmy się do Perrivale Court. Żałowałam, że Dada nie przeprowadził się razem z nami, tylko zamieszkał we Wdowim Domku. Powiedział, że to całkiem niedaleko, sama się przekonam.

— I nigdy nie poznałaś tamtych przyjaciół mamy?

— Już nikt o nich nie wspominał. Wiedziałam tylko, że mieszkają w Londynie.

— Wiesz to od mamy albo dziadka?

— Nie, ale wyjechali londyńskim pociągiem, on zawsze jest o tej samej porze. Pani Drake zabrała mnie na dworzec, żebym ich mogła pożegnać. Dada odwiózł mnie do niej poprzedniego wieczora, a ja bardzo chciałam zobaczyć, jak wsiadają do pociągu, więc się zgodziła.

— Mogli wsiąść gdzieś po drodze.

— Nie, słyszałam, jak rozmawiali o wyjeździe do Londynu.

— I dziadek wrócił, a mama tam została?

— Nie było go tylko jedną noc, ale jej... myślałam, że to całe wieki. Może ze trzy tygodnie. Niewiele z tego pamiętam, tylko tyle że była bardzo chora i w ogóle się nie uśmiechała.

— Rzeczywiście musiała być bardzo chora.

Kiwnęła głową i zaraz zaczęła mi opowiadać o muszelkach, które zbierała z dziadkiem na plaży.

* * *

Jeszcze kilka razy wybrałam się z wizytą do starszej lady Perrivale, choć nasze pogawędki niewiele mi dały. Wciąż jednak miałam nadzieję, że znajdę coś ciekawego w jej paplaninie o dawnych czasach w Yorkshire.

Wyczekiwałam też okazji do rozmowy z Marią, a ponieważ i ona była nie od tego, wkrótce udało się nam spotkać.

Pewnego dnia powitała mnie na progu, przykładając palec do ust.

— Jaśnie pani przebywa w krainie snu — wyjaśniła z przymrużeniem oka. — Proszę wejść, panno Cranleigh, poczekamy, aż się sama ocknie, nigdy nie lubiłam jej budzić. Wie pani, znów miała złą noc, zawsze poznaję to po jej oczach. Pewnie też się snuła po ciemku i czegoś tam szukała. Przynajmniej nie wzięła zapalek, dopilnowałam tego.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie.

— No słowo daję — rzekła — coraz lepiej się pani układa z panią Kate. Prawdziwe z was przyjaciółki!

— Chyba rzeczywiście się rozumiemy. To nie jest złe dziecko.

— Eeee, tego bym nie powiedziała, choć na pewno jest lepsza niż przedtem.

— A jak się miewa lady Perrivale?

— Różnie. Jednego dnia jest zupełnie przytomna, a innego nie wie, na jakim świecie żyje. Cóż, starzeje się coraz bardziej, to nie potrwa już długo. Kiedy pomyślę, jaka była dawniej... pani całą gębą! A potem wystarczyła jedna noc, żeby ją całkowicie odmienić.

— Może bardzo kochała sir Edwarda i nie mogła otrząsnąć się z szoku po jego śmierci.

— Wręcz przeciwnie, powiedziałabym. Trudno było ich nazwać parą gołąbków... no skąd. Bardzo mocno się różnili. Nieraz słyszałam te kłótnie... coś okropnego! Ona płakała, on jej narzucał swą wolę. Nie wszystko chwytałam...

Pomyślałam, że to wielka szkoda. Maria chyba też tego żałowała.

— Umarł mniej więcej wtedy, kiedy zdarzył się ten straszny wypadek, prawda? Mam na myśli zabójstwo na farmie.

— A tak... to morderstwo. Sir Edward właśnie dogorywał, nie sądzę, żeby się orientował. Już był jedną nogą na tamtym świecie. Przecież nikt nie pójdzie do człowieka na łożu śmierci i nie powie mu: „Pański syn został zamordowany i to przez chłopaka, którego sam pan sprowadził do domu”. Nie, na pewno nic nie wiedział. Zresztą wkrótce potem umarł.

— Dziwna historia, nie sądzisz, Mario?

— Cóż... Morderstwo to morderstwo, jakkolwiek by na to patrzeć.

— Chodzi mi o tę całą zagadkę...

— Zazdrość, ot co! Był zazdrosny o Cosma. Gadali, że robił słodkie oczy do obecnej lady Perrivale. Trzeba przyznać, że przystojna z niej kobieta.

— Nawet bardzo. Mówiłaś, że podobała się sir Tristanowi jeszcze przed śmiercią jego brata? Puściła do mnie oko.

— Śmieszna sprawa... Wszystkim wydawało się, że tak jej dobrze z Cosmem. Bo czemu nie? Po mojemu jednak to wszystko było udawane. Dobrze widziałam, że coś iskrzy między nią a sir Tristanem. Takie rzeczy się wyczuwa... to znaczy, jeśli człowiek w ogóle coś wie na ten temat.

— Ktoś mówił, że podobno była chora i wyjechała na kilka tygodni, ale wróciła zdrowa.

— To chyba było tuż przed morderstwem... tak, tuż przedtem. Zauważyłam, że wygląda trochę... no, gdyby była mężatką, to powiedziałabym, że się spodziewa...

— A kiedy wróciła...?

— Gdy właśnie to się stało. Mniej więcej tydzień później.

— I potem wyszła za Tristana.

— Po kilku miesiącach. Nie mogli tak od razu po pogrzebie, ale i tak dość szybko.

— Myślisz, że jej ulżyło, kiedy zdobyła Tristana, tytuł i tak dalej? Maria się skrzywiła. Pomyślałam, że posuwam się za daleko. Muszę uważać, przecież Lucas mnie ostrzegął.

— Och, tego bym nie powiedziała. Nawiasem mówiąc, widziałam, że już wcześniej coś się kłóło między nią a Tristanem i ona go wołała. Cosmo za bardzo się panoszył, wiedział, że kiedyś zostanie dziedzicem, i wciąż to podkreślał, ale cóż... nie dożył. Okoliczni dzierżawcy nie lubili go specjalnie, oni także woleli Tristana. Ślub odbył się po cichu, no bo jakże inaczej? Moja pani była jednak uszczęśliwiona, tak bardzo podziwiała Mirabel i chciała ją na synową. Szkoda, że pani nie widziała jej i majora razem! Zawsze miała do niego słabość.

— Tak, już mi o tym mówiłaś.

— Wiem. Matka obecnej lady Perrivale była jej najlepszą przyjaciółką... choć może odrobinę jej zazdrościła. Chodziło o majora... zawsze był z niego galant, choć wtedy jeszcze nie dosłużył się stopnia. Moja pani nazywała się wówczas Jessie Arkwright. Lubiła ze mną gawędzić, kiedy szcztokowałam jej włosy. Robiła do niego słodkie oczy, tak samo jak jej przyjaciółka.

— Ta, którą później poślubił?

— Tak. Kiedyś myślałam, że to Jessie za niego wyjdzie. Ale stary pan Arkwright tupnął nogą, bo uważał, że młodemu fircykowi chodzi o majątek. Według mnie naprawdę podobała mu się ta druga, tylko jak oni wszyscy miał na względzie pieniądze starego. Cóż, Jessie zawsze umiała postawić na swoim, w kwestii pieniędzy jednak stary pan Arkwright miał własne zdanie. Oświadczył, że nie odda córki łowcy posagów, a jeśli ta go poślubi, nie dostanie ani pensa. Biedna Jessie miała złamane serce, ale wyszła za sir Edwarda, została lady Perrivale i tak wylądowała w tym domu. Major zaś ożenił się z jej szkolną koleżanką. A potem, po latach, kiedy został sam z córką — także wdową z małym dzieckiem — zapragnął odnowić przyjaźń z moją panią. Nie mógł jej sprawić większej radości; natychmiast zaproponowała mu przyjazd, znalazła mieszkanie w Seashell Cottage, a Mirabel traktowała jak własną córkę.

— A nie była zazdrosna o tę koleżankę?

— Jakoś to przetrzymała. Zresztą wtedy koleżanka już nie żyła, a major był na miejscu. Cieszyła się, że Mirabel zostanie jej synową, co da pretekst do ciągłych wizyt.

— A młoda lady Perrivale ją lubiła?

— O tak! Pamiętam, jak starsza pani martwiła się, kiedy Mirabel wyjechała... jeszcze przed ślubem. Widziałam nawet list, w którym nazywała ją „kochaną ciocią Jessie”, zresztą po ślubie to się nie zmieniło. Mam ten list przed oczami... Mirabel przebywała w... zaraz, zaraz, jak to się nazywało? Mam! Malton House w Bayswater w Londynie. Zapamiętałam słowo „Malton”, bo urodziłam się w pobliżu Malton koło Yorku. A zaraz potem wydarzyło się tamto morderstwo...

— To musiał być straszny szok dla lady Perrivale. Stracić syna w taki sposób...

— Oj, tak... i na dodatek sir Edward umierał w tym samym czasie. To dość, aby ją wykończyć. Wszyscyśmy się dziwili, że jakoś to zniosła, ale od tej pory coś się porobiło z jej umysłem i stąd to chodzenie po nocach.

Zaczęła się rozwodzić na temat kłopotów z chlebobawczynią. Podała mi przykłady jej dziwnego zachowania, podkreślając zmiany, jakie nastąpiły po tragedii.

Gawędziłyśmy w najlepsze, kiedy wszedł major.

— Dzień dobry, panie majorze — przywitała go Maria. — Pani śpi jak kamień. Chyba znów chodziła po nocy.

— Och, to niedobrze. Miło mi panią widzieć, panno Cranleigh. Jakoś mnie pani nie odwiedza ostatnio, muszę pomówić o tym z Kate. Prosiłem ją, żeby zachęcała panią do odwiedzin za każdym razem, kiedy przejeżdżacie w pobliżu. Zwykle bywam wtedy w ogrodzie.

— Dziękuję, panie majorze, z przyjemnością kiedyś wpadniemy.

— Maria tak troszczy się o swoją panią... Sam nie wiem, co byśmy bez niej zrobili.

— Ja też nie wiem, co bym zrobiła bez mojej pani — odparła Maria. — Jesteśmy razem od tylu lat...

Powiedziałam, że już pójdę, bo lady Perrivale po przebudzeniu na pewno ucieszy się z wizyty majora, i nie chciałabym im psuć miłego tête-à-tête.

Major grzecznie zaprotestował: jest przekonany, że lady Perrivale byłaby mocno zawiedziona, gdybym odeszła.

— Ach, przecież mogę zajrzeć do niej jutro! Ujął mnie za rękę.

— Proszę nie zapominać, że i ja na panią czekam. Do zobaczenia wkrótce.

Kiedy zesłam na dół, zastałam wiadomość od Carletona. Zawiadamiał mnie krótko, że operacja Lucasa odbędzie się w następną środę. Czyli już za pięć dni!

Wizyta w Londynie

Postanowiłam, że pojadę do Londynu; chciałam być na miejscu podczas operacji, a jeszcze teraz zobaczyć się z Lucasem. Musiałam go zapewnić, że cały czas będę mu towarzyszyć myślami i modlić się o pomyślny rezultat.

Mogłam zatrzymać się u ojca — to niedaleko od kliniki. Lucas powinien wiedzieć, że jestem w pobliżu.

Najpierw jednak czekała mnie rozmowa z lady Perrivale.

— Przykro mi — zaczęłam — ale muszę jechać do Londynu. Mój bliski przyjaciel ma być operowany, poza tym powinnam odwiedzić ojca. Nie widziałam go, odkąd wyjechałam z państwem Grafton do Kornwalii, i chcę wyjaśnić kilka spraw.

— O Boże, Kate na pewno bardzo się zmartwi. Ostatnio tak dobrze się wam układa...

— Tak, ale muszę jechać. Porozmawiam z Kate i dopilnuję, żeby zrozumiała.

No i porozmawiałam.

— Czemu nie mogę z tobą jechać? — spytała.

— Bo muszę jechać sama.

— Nie widzę powodu.

— A ja widzę.

— Co będzie ze mną?

— Przedtem jakoś sobie radziłaś.

— To co innego.

— Powiem ci, co zrobimy. Znajdę ci jakieś książki, a kiedy wrócę, opowiesz mi o nich. Zadam ci też kilka lekcji.

— I co mi z tego przyjdzie?

— Że czas ci jakoś upłynie.

— Nie chcę, żeby mi czas upływał. Chcę, żebyś została albo zabrała mnie z sobą,

— Niestety. To dla ciebie jeszcze jedna lekcja: nie zawsze sprawy układają się tak, jak sobie życzymy. Posłuchaj, Kate, ja naprawdę muszę jechać.

— Możesz nie wrócić.

— Wrócę, przysięgam.

Przyniosła Biblię i zmusiła mnie do przysięgi. To ją nieco pocieszyło, ja zaś wzruszyłam się do głębi, że tyle dla niej znaczę.

* * *

Ojciec ucieszył się na mój widok, natomiast ciotka Maud przywitała mnie chłodno, jak zresztą się spodziewałam.

— Dziwną decyzję podjęłaś, moja Rosetto — zauważył ojciec.

— Chciałam mieć jakieś zajęcie.

— Jest wiele stosowniej szych niż to — wtrąciła ciotka.

— Mógłbym znaleźć ci coś w muzeum — zaproponował ojciec.

— To byłoby znacznie lepsze niż posada guwernantki, i to w Kornwalii, na takim odludziu — wtórowała mu ciotka.

— Perrivale'owie to bardzo znana rodzina — broniłam się. — Sąsiedują z Lorimerami.

— Dobrze, że są w pobliżu. A czego uczysz? — zainteresował się ojciec.

— Wszystkiego. To nietrudne. Uśmiechnął się na te słowa.

— Bez względu na to, czego i kogo uczysz, postąpiłaś wyjątkowo głupio. — Ciotka nie ustępowała. — Guwernantka! Też coś!

— Felicity również nią była.

— Ty nie jesteś Felicity.

— Nie, jestem sobą. Chciałam powiedzieć, że ona sobie świetnie dała radę i ani trochę się nie wstydziła swojej pracy.

— To było ułożone między przyjaciółmi. W ramach przysługi.

— Ja też wyświadczam przysługę. Są ze mnie bardzo zadowoleni.

Ciotka Maud machnęła niecierpliwie ręką.

Za to w kuchni zgotowano mi serdeczne powitanie. Pan Dolland nieco się postarzał — na skroniach przybyło mu siwych włosów. Pani Harlow wydała mi się jeszcze potężniejszą niż dawniej i tylko dziewczęta nic się nie zmieniły.

— Więc została panienka guwernantką? — zagadnęła pani Harlow, wydymając nieznacznie usta.

— Tak, pani Harlow.

— Córka naszego pana!

— Mnie się to podoba. Mam pod opieką bardzo bystrą i oryginalną dziewczynkę. Przede mną nikt nie dawał sobie z nią rady.

— Nigdy bym w to nie uwierzyła. Pan Dolland także, prawda? Nie, pan Dolland w życiu by nie uwierzył.

— Tutaj też mieliśmy miłe rozrywki — przyznałam. — Czy nadal przedstawia pan fragmenty „Dzwonów”?

— Od czasu do czasu, panienko.

— Strasznie się wtedy bałam. Potem mi się śnił ten polski Żyd. Opowiadałam o panu Kate, mojej wychowance. Chętnie bym ją tu kiedyś przywiozła, żeby mogła was wszystkich poznać.

— Brakuje nam w domu jakiejś młodej osóбки — rzekła smętnie pani Harlow.

Objęłam ją ramieniem, a ona uściskała mnie mocno.

— No! — sapnęła, ocierając oczy. — Często tu sobie gawędzimy o dawnych czasach. Panienka była taka staroświecka...

— Zanim stąd wyjadę, muszę usłyszeć jeszcze raz „Dzwony”.

— Podobno pan Lorimer jest w Londynie.

— Tak, mam się z nim spotkać.

Nie umknęła mojej uwagi krótka wymiana spojrzeń między panią Harlow a panem Dollandem. Więc widzieli w nas parę!

Następnego dnia udałam się do kliniki. Lucas bardzo się ucieszył.

— Taki jestem wzruszony, że przyjechałaś!

— Pewnie, że przyjechałam. Chciałam być na miejscu w dniu operacji. Zapewniam cię, że cały czas będę o tobie myśleć, a jutro po południu przyjdę z ciotką albo z ojcem, żeby się dowiedzieć, jak poszło.

— Na to może być za wcześnie.

— Ale i tak przyjdę.

Miał mały pokój z pojedynczym łóżkiem i stolikiem nocnym. Był w szlafroku; podobno przez ostatnie dwa dni kazano mu leżeć i zajmować się głównie lekturą. Widocznie w ten sposób przygotowywano go do operacji.

— Tak się cieszę, że cię widzę, Rosetto! Muszę ci coś powiedzieć. Usiądź tam, przy oknie, żebym cię mógł zobaczyć.

— Czy hałas z ulicy ci nie przeszkadza?

— Nie, nawet go lubię. Przynajmniej czuję, że coś się tam dzieje.

— Co chciałeś mi powiedzieć?

— Podjąłem pewne działania. I to już jakiś czas temu, zanim powiedziałaś mi o Johnie Playerze.

— Jakie działania?

— Wysłałem Dicka Duvane'a na poszukiwania.

— Co takiego?!

— Niewiele mogłem zrobić. Dick pojechał do Stambułu. Myślałem, że John nadal pracuje u tamtego paszy i że da się kogoś przekupić, by go wypuścili. Wiem co nieco o tych ludziach, a Dick świetnie się nadaje do takich spraw. Jeśli ktokolwiek mógł sprowadzić Johna do kraju, to tylko on.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Bo wiedziałem, że ci na nim zależy. Wciąż sobie powtarzałem, że między naszą trójką istnieje specjalna więź. Tyle przeszliśmy razem... Takie doświadczenia mają pewien wpływ na ludzi. Choć z drugiej strony czułem, że stoję z boku... szczególnie na wyspie.

— To dlatego, że nie mogłeś chodzić, a my musieliśmy szukać czegoś do jedzenia. Nigdy nie byłeś na boku, Lucasie.

— Ależ byłem. To tobie wyznał swój sekret, a teraz także robisz wszystko, żeby odzyskał dobre imię.

Milczałam.

— Kiedyś myślałem, że ty i ja... no cóż, tego właśnie chciałem. Odkąd przyjechałaś do Kornwalii, moje życie się odmieniło. W przyływie optymizmu pomyślałem, że cuda się zdarzają.

— Widzieliśmy już jeden cud... nawet więcej niż jeden. Zupełnie jakbyśmy byli pod opieką opatrności... losu czy jak tam to nazwać. Przeżyliśmy katastrofę, potem trafiliśmy na wyspę... i nawet w seraju nie doznałam żadnej krzywdy. Czasem naprawdę czułam obecność mojego anioła stróża. Z tobą zresztą było podobnie. Sposób, w jaki wróciłeś do domu, także graniczył z cudem.

— A to? — spytał, zerkając na nogę.

— Nie mówię, że wyszliśmy z tego zupełnie bez szwanku. A jednak zrobiłeś to dla mnie! Próbowałeś go odszukać, żeby mógł do mnie wrócić...

— Przyznaję, że czasem uważałem się za wariata. A niechby tam sobie siedział do końca życia! Natomiast ty i ja moglibyśmy rozpocząć nowe życie... razem. Tak właśnie lubiłem myśleć, zaraz jednak przychodziło mi do głowy coś innego: że zawsze będziesz do niego wzdychać, i nigdy go nie zapomnisz. Dlatego zdecydowałem się szukać Johna i sprowadzić do kraju, jeśli to możliwe.

— Nigdy ci tego nie zapomnę! Kiedyś powiedziałaś, że kochasz mnie na drugim miejscu po sobie i że wszyscy ludzie są tacy sami, a jeśli mówią coś innego, to tylko aby sprawić przyjemność tej bliskiej osobie. Pamiętasz? Otóż nie sądzę, aby to była prawda... przynajmniej w odniesieniu do ciebie.

Lucas się roześmiał.

— Tylko nie rób ze mnie bohatera! Bo się okropnie rozczarujesz...

— Och, Lucasie!

— Dobrze już, dobrze. Nie popadajmy w sentymenty. Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedziała, i tyle. Kiedy wyznałaś mi, kim on naprawdę jest i że chciał się przedostać do Australii, napisałem do Dicka. Pewnie już jest na miejscu. To rzadko zaludniony kraj, więc będzie miał trochę ułatwione zadanie. Ale przecież Simon i tak nie może tu wrócić, prawda?

— Dopóki nie oczyścimy go z zarzutów. Popatrzył na mnie smutno.

— Myślisz, że nigdy nam się nie uda, co? — zapytałam.

— Raczej że postawiłaś sobie bardzo trudne zadanie.

— Ale mi pomożesz?

- A co może taki połamaniec?
- Przecież to się zmieni. Wiesz, że tak będzie, jesteś tego pewien.
- No... w końcu o to chodzi.
- Nie mogę się doczekać jutra!
- Dziękuję ci, Rosetto.
- Uda się! Zobaczysz, że się uda.

Pokiwał głową. Ucałowałam go w czoło i wyszłam. Nie potrafiłam ukryć emocji, a nie chciałam, żeby widział mój strach.

Kiedy znalazłam się na korytarzu, zapytałam, czy mogę porozmawiać z chirurgiem, i ostatecznie zaprowadzono mnie do jego gabinetu. Powiedziałam mu, że będę wdzięczna za wyjaśnienie, czy operacja Lucasa wiąże się z jakimś niebezpieczeństwem.

Lekarz wahał się przez kilka sekund, podczas których zamierałam z przerażenia.

— Rozumiem, że jest pani jego narzeczoną...

Nie zaprzeczyłam. Uznałam, że w tej roli mogę liczyć na większą szczerłość.

— To długa i delikatna operacja — wyjaśnił. — Jeśli się powiedzie, pacjent zacznie lepiej chodzić i ustaną bóle, chociaż będzie trochę utykał. Główne niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że tak długi zabieg stanowi znaczne obciążenie dla serca. Pan Lorimer jest silny i zdrowy, więc ma szansę na pomyślny rezultat, ale cały czas musimy sprawdzać pracę serca.

— Dziękuję.

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Jestem pewien, że wszystko się uda.

Opuściłam klinikę w stanie silnego wzburzenia. Miałam ochotę wrócić do Lucasa, powiedzieć mu, jak bardzo mi na nim zależy... Teraz najważniejszą sprawą na świecie stał się dla mnie pomyślny przebieg operacji.

* * *

Następny dzień zdawał się nie mieć końca. Późnym popołudniem razem z ojcem i ciotką udałam się do kliniki. Widzieliśmy się z tym samym lekarzem, z którym rozmawiałam poprzedniego dnia.

— Operację zniósł dobrze — poinformował nas. — Jeszcze za wcześnie, by mówić o rezultatach, chociaż czuje się nieźle. Panna Cranleigh — tylko ona — może zajrzeć do niego na parę minut.

Weszłam. Lucas leżał na łóżku z unieruchomioną nogą. Wyglądał zupełnie inaczej niż dotąd — taki bezbronny, wrażliwy, słaby...

— Witaj, Lucasio.

— Rosetta...

— Podobno czujesz się dobrze.

Skinął głową i wskazał mi wzrokiem krzesło przy łóżku. Usiadłam.

— Dobrze cię widzieć...

— Nic nie mów. Wpuścili mnie tylko na parę minut.

Uśmiechnął się słabo.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że cały czas o tobie myślę. Przyjdę znowu, gdy tylko pozwolą mi na wizytę.

Ponowny uśmiech.

— Na pewno prędko cię wypuszczą.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Wstałam.

— Pamiętaj, nie jesteś sam — powiedziałam, całując go na pożegnanie.
Potem wróciliśmy do Bloomsbury.

* * *

Stan Lucasa poprawiał się o tyle, o ile można było tego oczekiwać. Nadal leżał w łóżku, a skutki operacji pozostawały niewiadome. Ewentualny sukces mógł być widoczny dopiero, kiedy pacjent postawi nogi na ziemi. Pozwalano mi tylko na krótkie odwiedziny, przez co dni dłużyły się nieznośnie. Postanowiłam więc rzucić okiem na miejsce, w którym swego czasu zatrzymała się cierpiąca na tajemniczą chorobę Mirabel.

Nie mogłam zapomnieć słów Marii: „Gdyby była mężatką, pomyślałabym, że się spodziewa...”. Stara służąca musiała się jednak mylić. Nie było żadnego dziecka, chociaż zastanawiało mnie, czy za tą podróżą nie kryje się jakiś ważny dowód.

Malton House w Bayswater — tyle tylko wiedziałam, ale miałam nadzieję, że jakoś trafię.

Zdecydowałam, że wsiądę do dorożki i udam się na poszukiwania.

Znałam nazwę domu i dzielnicy, resztę powinien wiedzieć dorożkarz. Dorożkarze londyńscy doskonale znają miasto, to w ich zawodzie bardzo istotne.

Było wczesne popołudnie. Mój ojciec pracował w gabinecie, a ciotka drzemała. Wysłam z domu i zgodnie z planem wsiadłam do dorożki.

Woźnica skrzywił się lekko, kiedy podałam adres.

— Malton House? Gdzie to jest?

— W Bayswater.

— I to już cały adres?

Przytaknęłam.

— No dobra, jedziemy. Zaraz... chyba wiem, gdzie to jest. W porządku, panienko. Zobaczymy, co się da zrobić.

Kiedy dotarliśmy do Malton Square, ściągnął wodze i zaczął przyglądać się budynkom.

Po chwili zobaczyliśmy kobietę z torbą na zakupy. Szła dość rażnym krokiem.

Dorożkarz dotknął batem czapki.

— Przepraszam, paniusiu. Gdzie tu jest Malton House?

— O tam! Zaraz za rogiem.

— Dziękuję pani.

Dorożka stanęła przed wskazanym domem.

— Poczekam w sąsiedniej uliczce, dobra? Niewygodnie tak stać na samym rogu.

— Mnie też tak lepiej pasuje.

I rzeczywiście, bo przyszło mi do głowy, że mógłby się zdziwić: młoda kobieta wybiera się tak daleko tylko po to, aby rzucić okiem na jakiś budynek?

Dom był nieco cofnięty w stosunku do ulicy. Do drzwi prowadziły schodki, a przez dość zaniedbane krzewy przeświecała tabliczka z napisem: „Malton House. Dom Opieki dla Matek”. W rogu umieszczono nazwisko „Pani B.A. Campden” z kilkoma dalszymi literkami, których znaczenia nie rozumiałam.

Stałam przez kilka sekund, zapatrzona w ten napis, kiedy nagle podeszła do mnie jakaś nieznajoma. Rozpoznałam w niej kobietę, którą dorożkarz pytał o drogę.

— Może w czym pomóc? — zapytała przymilnie.

— Och... nie, nie, dziękuję.

— To ja jestem panią Campden. Widziałam, jak wysiadała pani z dorożki.

Zrobiło mi się nieswojo. Musiała wiedzieć, że się tu wybieram, skoro dorożkarz pytał ją o ten właśnie dom. Jak mogłabym jej powiedzieć, że chciałam tylko popatrzeć?

— Może wejdziemy do środka? — zaproponowała. — Trudno rozmawiać na ulicy.

— Ja... ja tylko chciałam...

Uśmiechnęła się ciepło.

— Rozumiem — rzekła, ogarniając mnie wzrokiem. Bezwiednie ruszyłam za nią po schodkach. Drzwi były otwarte.

Weszłyśmy do holu z wydzieloną recepcją.

— Proszę dalej — zachęcała mnie pani Campden.

— Ależ ja tylko...

Jak mogłam jej wyjaśnić, że chciałam tylko sprawdzić, co to za miejsce? Teraz zdążyła już wysnuć własne wnioski co do celu mojej wizyty.

— Doprawdy szkoda pani czasu... — zaprotestowałam nieśmiało.

Wzięła mnie za ramię i pociągnęła za sobą do pokoju.

— No, tu nam będzie wygodnie. — Popchnęła mnie na fotel. — Proszę się nie krępować. Tyle dziewcząt ma opory... ja świetnie rozumiem, jesteśmy tu po to, żeby wam pomóc.

Czułam, że brnę coraz głębiej. Powinam się jak najszybciej wycofać z tej śmiesznej sytuacji. Co powiedzieć? Jak się wytłumaczyć? Kobieta wiedziała, że przyjechałam tu celowo. Tak niefortunnie się złożyło, że dorożkarz ją akurat zaczeplił... Próbowałam wymyślić jakiś powód, który mnie skłonił do tej wizyty, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

— Oczywiście muszę zadać pani kilka pytań — ciągnęła pani Campden, podczas gdy ja desperacko szukałam jakiegoś pretekstu. — Tylko proszę się nie denerwować, jestem przyzwyczajona do takich problemów. Wszystko da się naprawić. Czy orientuje się pani, kiedy mniej więcej nastąpiło poczęcie?

Zamarłam ze zgrozy. Chciałam jak najprędzej stąd uciec.

— To pomyłka — wykrztusiłam. — Ja... ja chciałam tylko dowiedzieć się czegoś o mojej przyjaciółce...

— O przyjaciółce? To znaczy o kim?

— Wydaje mi się, że tu była... jakiś czas temu. Straciłam z nią kontakt i pomyślałam, że pani mi pomoże... Nazywała się Blanchard.

— Pani Blanchard? — Patrzyła na mnie bez wyrazu.

Przecież musiała ją pamiętać. Każdy by zapamiętał Mirabel. Przy takiej niezwyklej urodzie to nieuniknione. Nagle coś mnie tknęło.

— Mogła też występować jako pani Parry — dodałam.

Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Pewnie intuicja mi podpowiedziała, że Mirabel przybyła tu w sekrecie, więc raczej nie posłużyła się nazwiskiem Blanchard. Widocznie nie wyzbyłam się tak do końca podejrzania, że była jednak żoną tamtego marynarza i naprawdę nazywała się Parry.

Gubiłam się już w tym wszystkim. Po prostu chciałam wyjść.

— Pomyślałam, że może pani ma jej adres.

— Więc powiem pani od razu, że nigdy nie przechowujemy adresów naszych pacjentek.

— No cóż, mogłam się tego spodziewać. Bardzo dziękuję i przepraszam, że zabrałam pani tyle czasu.

— Jak pani się nazywa?

— Ach, to nieważne. Po prostu tędy przechodziłam i...

Po prostu przechodziłam! Przecież dorożka specjalnie mnie tu przywiozła! Co ja wygaduję...

— Nie jest pani z prasy, co? — spytała groźnie.

— Nie, nie, zapewniam panią. Po prostu myślałam o tej przyjaciółce i próbowałam ją odnaleźć. Przepraszam, że panią fatygowałam, nie wchodziłabym, gdyby...

— Gdybym akurat pani nie zaczepiła. Na pewno nie potrzebuje pani naszych usług?

— Na pewno. Proszę mi wybaczyć, pójdę już. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję.

Kiedy szłam do drzwi, czułam, jak obserwuje mnie zmrużonymi oczami.

Trzęsłam się cała. W tej kobiecie, w tym domu było coś, co mnie przerażało.

Z wielką ulgą znalazłam się wreszcie na ulicy. Co za katastrofa! Skąd mogłam wiedzieć, że natknę się na właścicielkę? Prawdziwy pech, że akurat w tym momencie przechodziła. A ja byłam zupełnie nieprzygotowana. Plątałam się bezradnie w roli, jaką sobie narzuciłam. Tylko dlatego, że poradziłam sobie jako guwernantka, wyobraziłam sobie, że jestem detektywem. Czułam się upokorzona i wstrząśnięta. Marzyłam jedynie o tym, by jak najprędzej stąd uciec.

Dostałam niezłą nauczkę. Moje metody śledcze okazały się prymitywne i amatorskie.

Pobiegłam za róg, gdzie czekała dorożka.

— Szybko się pani uwinęła — pochwalił mnie woźnica.

— O tak.

— Wszystko w porządku?

— Ależ tak... oczywiście.

Wiedziałam, co myśli: dziewczyna ma kłopoty i szuka tego rodzaju miejsca. Dom Opieki dla Matek... tak, ale nie mają też nic przeciwko innemu rodzajowi pomocy...

Usiadłam z tyłu i zaczęłam przebiegać myślą całe wydarzenie, minuta po minucie. Po co wspomniałam o pani Parry? Po prostu przyszło mi do głowy, że mogła użyć tego nazwiska. Jaka jestem głupia! Wiedziałam jedno: Mirabel przybyła tu w ciąży, ale odjeżdżała już bez dziecka w łonie. Co to znaczy? Czyje to było dziecko? Cosma? Przecież miała za niego wyjść. Więc Tristana?

Czyżbym natrafiła na coś ważnego?

* * *

Następnego dnia wybrałam się do Lucasa. Kiedy zapukałam do drzwi, sam mi otworzył. Mógł stać!

— Lucas!

— Popatrz tylko!

Zrobił kilka kroków. Od razu dostrzegłam różnicę.

— Udało się! — wykrzyknęłam.

Pokiwał głową, uśmiechając się triumfalnie.

— Och, Lucasie, jak to cudownie!

Rzuciłam mu się na szyję. Trzymał mnie przez chwilę w uścisku.

— Bardzo mi pomogłaś.

— Ja?!

— Przychodziłaś codziennie, troszczyłaś się o mnie...

— Pewnie, że tak. Opowiedz mi o wszystkim.

— No cóż, nadal jestem obolałym biedaczkiem...

— Nie wyglądasz na to.

— Powiedzieli, że wszystko się udało. Muszę teraz ćwiczyć i tak dalej, ale jest poprawa. Sam to czuję. Łatwiej mi się poruszać, nie będę już takim niezdara.

— Wspaniale! Warto było się pomęczyć.

— Muszę tu spędzić jeszcze ze dwa tygodnie. Będą mnie od nowa uczyli chodzić... jak dziecko.

Mogłam się tylko uśmiechać. Czułam, że łzy cisną mi się do oczu. Byłam taka szczęśliwa...

— Zostaniesz jeszcze trochę w Londynie?

— Tak. Zamierzam codziennie przychodzić i obserwować twoje postępy.

— Mam przed sobą długą drogę.

— Ale już jest lepiej.

— Nadal będę trochę kulał. Nie wszystko udało się im naprawić, lecz i tak sporo mi pomogli. Ten chirurg jest genialny. Chyba posłużyłem mu jako coś w rodzaju królika doświadczalnego. Jest ze mnie zadowolony. Chociaż nawet nie w połowie tak jak z samego siebie.

— Jestem taka szczęśliwa...

— Dawno już tak się nie czułem.

— To dobrze... och, jak dobrze.

Idąc do wyjścia, wpadłam na chirurga. Promieniał z zadowolenia.

— Pan Lorimer jest znakomitym pacjentem — rzekł. — Jego determinacja bardzo nam pomaga.

— Nie wiemy, jak panu dziękować.

— Najlepsza nagroda to sukces operacji.

Kiedy opowiedziałam o wszystkim w domu, ojciec zaczął się rozpyływać nad postęпами współczesnej medycyny. Ciotka też okazała radość, choć w sposób, który nasunął mi podejrzenie, że rozważa możliwość skojarzenia mnie z Lucasem. Prawdę rzekłszy, dopiero w kuchni mogłam bez skrępowania dać wyraz swemu szczęściu.

Pan Dolland — mędrzec jak zawsze — oparł łokcie na stole i wygłosił przemówienie o cudach dzisiejszej medycyny, znacznie bardziej płomienne niż ojciec. Pani Harlow wzdychała tylko i doskonale wiedziałam, że jej myśli biegną w tym samym kierunku, co myśli ciotki Maud, ale u niej mnie to tak nie irytowało.

Potem pani Harlow opowiedziała o operacji wyrostka robaczkowego, jaką przeszła ostatnio jej kuzynka; podobno dosłownie uciekła grabarzowi spod łopaty. Pan Dolland przypomniał sobie sztukę o człowieku, który udawał kalekę, a potem się okazało, że świetnie chodzi i w dodatku jest mordercą.

Było zupełnie jak za dawnych czasów i dawno nie czułam się taka szczęśliwa.

Dopiero po paru dniach powiedziałam Lucasowi o mojej nieprzyjemnej przygodzie w Domu Opieki dla Matek.

— Przynajmniej odkryłam, że Mirabel spodziewała się dziecka jeszcze przed śmiercią Cosma i najwyraźniej pojechała tam, żeby pozbyć się kłopotu.

— Co za niezwykły zbieg okoliczności! A według ciebie, jak to się ma do morderstwa?

— Nie mam pojęcia.

— Jeśli to dziecko było Cosma, mogli spokojnie udać, że poród nastąpił przedwcześnie... chyba że było na to za późno.

— Sir Edwardowi by się to nie spodobało.

— Przecież on umierał.

— A jeśli ojcem był Tristan? Skoro miała wyjść za Cosma, pewnie chciała coś z tym zrobić.

— To całkiem prawdopodobne. Ileż tu komplikacji! Jest jeszcze taka możliwość, że to pomyłka.

W końcu opierałaś się tylko na słowach Marii...

— Cóż, daleko nas to nie doprowadziło. I ten dom... czuje się w nim coś podejrzanego. Pani Campden wyraźnie się zaniepokoiła moimi pytaniami.

— No chyba. Pewnie z początku myślała, że ma do czynienia z klientką.

— Przestraszyła się, że mogę być z prasy.

— Co sugeruje, że interes jest nielegalny. Posłuchaj, Rosetto, lepiej zostaw tę sprawę.

— Muszę wykryć prawdę.

- Nie wiesz, w co się pakujesz.
- A Simon?
- Niech wraca do kraju i sam rozwiązuje swoje problemy.
- Nie może. Przecież go aresztują.
- Mam wrażenie, że to się staje dla ciebie bardziej niż trochę nieprzyjemne.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- W dodatku możesz mieć do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi. Przecież tu chodzi o morderstwo. Jeśli rzeczywiście Simon jest niewinny, to znaczy, że ktoś inny zabił. I jak ten prawdziwy morderca patrzy na twoje śledztwo?
- Nie wie, co robię.
- A ta kobieta? Nie wyglądała na zadowoloną. Jeśli rzeczywiście wykonuje zabiegi... i pewnie słono sobie liczy... może mieć teraz kłopoty.
- Ma na domu tabliczkę. To legalny interes.
- To może być tylko przykrywka. Czuję, że powinnaś się wycofać.
- Muszę oczyścić Simona.
- W porządku — odparł, wzruszając ramionami. — Ale przynajmniej mów mi o wszystkim.
- Dobrze, Lucasie.

* * *

Nazajutrz przyjechała Felicity. Nie mogła mi sprawić większej radości.

— Musiałam zobaczyć Lucasa — oznajmiła. — Domyśliłam się, że i ciebie tu zastanę. Jak on się czuje?

— Coraz lepiej. Operacja się udała. Na pewno ucieszy się z twojej wizyty tak samo jak ja.

— Jadę prosto z dworca. Pomyślałam, że za jednym zamachem dowiem się o Lucasa i spotkam z tobą.

Weszła ciotka Maud i przywitała się serdecznie z naszym gościem.

— Zaraz dopilnuję, żeby przygotowano pokój. Felicity powiedziała, że myślała raczej o hotelu.

— Nonsens — ucięła ciotka. — Musi pani zostać u nas. Teraz proszę mi wybaczyć, idę wszystkiego dopilnować.

Felicity uśmiechnęła się do mnie.

— Nieoceniona ciotka Maud!

— O tak! Pani Harlow powiada, że służba chodzi jak w zegarku.

— A ty? Podobno wstąpiłaś w moje ślady?

— Można to tak nazwać. Wyglądała na zaintrygowaną.

— Mamy tyle do omówienia!

— Najpierw musisz się rozpakować.

Powędrowaliśmy na górę, gdzie Meg kończyła właśnie przygotowywać pokój. Felicity zamieniła z nią kilka miłych słów, po czym zostałyśmy same. Usiadłam na łóżku, a ona zajęła się układaniem rzeczy w szufladach i szafkach.

— Powiedz mi szczerze. Z Lucasem naprawdę jest lepiej?

— Och, tak. Nie ma cienia wątpliwości.

— Cieszę się, że przyjechałaś.

— Ja także.

— Opowiedz mi o swojej podopiecznej.

— Cóż... to dziwna dziewczynka, z którą nikt nie dawał sobie rady. Swego rodzaju wyzwanie.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Nagle mi zaświtało, że już dawno mogłam się jej zwierzyć. Ufałam jej przecież całkowicie i miała tyle świetnych pomysłów. Niania Crockett i Lucas już wiedzieli, więc nie powinnam dłużej zwlekać.

Wymógłszy obietnicę absolutnej dyskrecji, opowiedziałam Felicity wszystko.

Słuchała ze zdumieniem.

— Myślałam, że twój pobyt w seraju to fantazja. A teraz jeszcze...

— Rozbitkowie bywali już sprzedawani do haremów. Nicole też się to przydarzyło. Po prostu teraz rzadko się o tym słyszy,

— Ale ten Simon... To naprawdę Simon Perrivale?

— Pamiętasz tę sprawę?

— Słabo. Kiedyś wywołała istną burzę, a potem wszystko ucichło. A ty jesteś przekonana o jego niewinności.

— Tak. Ty także nabrałaś pewności, gdybyś go знаła.

— Byliście na tej wyspie sami...

— Z Lucasem, ale on nie mógł chodzić. Leżał w łodzi i wypatrywał żagli.

— Zupełnie jak Robinson Crusoe.

— Cóż, tak bywa ze wszystkimi rozbitkami.

— Czy... jesteś zakochana w Simonie?

— Istnieje między nami bardzo silna więź.

— A rozmawialiście o waszych wzajemnych uczuciach?

Pokręciłam głową.

— Nie, tak naprawdę to nie. Byliśmy wszyscy skoncentrowani na tym, aby przetrwać. Kiedy trafiliśmy na wyspę, myśleliśmy, że to już koniec: nie mieliśmy co jeść ani pić... I nagle nas stamtąd zabrano, a potem brakowało okazji.

— Zostawił cię przed ambasadą, a sam odszedł.

— Inaczej by go aresztowano.

— Tak, oczywiście. A Lucas w tym wszystkim uczestniczył... do pewnego stopnia.

Przytaknęłam.

— Zawsze bardzo lubiłam Lucasa — wyznała. — Tak mi było przykro, kiedy zobaczyłam go po powrocie. Zawsze taki pełen życia... James też go lubił, ciągle powtarzał, że Lucas wie, jak żyć. On cię chyba kocha, Rosetto.

— Tak.

— Poprosił cię o rękę?

— Owszem... choć niezbyt serio. Tak jakby mimochodem.

— Myślę, że to taka poza. Lucas zawsze z nonszalancją mówi o swych najgłębszych uczuciach. Mogłabyś wiele dla niego zrobić, a myślę, że on dla ciebie także. Och, wiem, uważasz, że go nie potrzebujesz tak jak on ciebie, ale się mylisz, Rosetto. To wszystko, co przeżyłaś... cóż, nigdy już nie będziesz taka jak przedtem, to po prostu niemożliwe.

— No tak.

— Lucas w tym uczestniczył. Tyle mógłby zrozumieć... Milczałam, a ona ciągnęła swój wywód:

— Wiem, myślisz, że Simon także tam był. I że między wami istnieje owa szczególna więź.

— To zaczęło się wcześniej. Jeszcze kiedy sprzątał pokład.

— Tak, mówiłaś mi. I teraz się poświęcasz, żeby udowodnić jego niewinność.

— Muszę, Felicity.

— A gdyby wrócił... Gdybyś go zobaczyła obok Lucasa... Wtedy mogłabyś zdecydować. Lucas to naprawdę wspaniały człowiek.

— Wiem, Felicity, też to zrozumiałam. Ta operacja... kiedy istniała obawa, że mógłby jej nie przetrwać, pojęłam, jak ważna jest dla mnie jego przyjaźń. Zwierzyłam mu się z tego, co robię, a on mi pomaga. Wysłał Dicka Duvane'a na poszukiwania, chciał, żeby Dick umożliwił Simonowi powrót do kraju, a w razie potrzeby nawet zapłacił okup. Wtedy Lucas jeszcze nie wiedział, że Simon nie może wrócić.

— Ty zaś nie zaznasz spokoju, póki go znowu nie zobaczysz. Będzie cię ciągle prześladował, nigdy go nie zapomnisz i, być może, uroisz sobie coś, co nigdy nie istniało.

— On nie wróci, póki nie udowodni swojej niewinności.

— Jak tego dokona z takiej odległości?

— A jak dokonałby tego z celi śmierci?

— I dlatego ty zamierzasz odkryć prawdę.

— Chcę to zrobić. I nie spocznę, póki mi się nie uda.

— Wiem. Pamiętam, że od dziecka byłaś uparta. — Roześmiała się. — Niektórzy nazywają to determinacją.

I tak trwała ta rozmowa. Być może dreptałam w kółko po tym samym gruncie, ale Felicity chciała mieć pełny obraz sytuacji. Zawsze całym sercem oddawała się moim sprawom.

— Warto by się dowiedzieć — rzekła w pewnym momencie — dlaczego sir Edward przyjął go do domu.

— Wniosek narzuca się sam: bo Simon był jego synem.

— Na to wygląda.

— Zagadka polega na tym, że sir Edward zawsze bardzo przestrzegał zasad moralności.

— Takim ludziom też zdarzają się potknięcia.

— To samo mówi Lucas. Ale słyszałam, że w tej kwestii sir Edward był szczególnie surowy.

— Cóż, jak mówiłam, to często się zdarza. Kto wie, czy klucz do zagadki nie kryje się w tajemnicy pochodzenia Simona. A kiedy bada się tego rodzaju przypadek, trzeba dowiedzieć się jak najwięcej o osobach dramatu. Pamiętasz coś więcej na temat dzieciństwa Simona?

— Opowiadałam ci o Aniele. Widzisz, on nigdy nie nazywał tej osoby matką. Dla niego była po prostu Aniołem.

— To zrozumiałe. Pewnie mówiła do niego „mój aniołku”, jak to matka, i to było jego pierwszym wspomnieniem. A potem sam ją tak nazwał. Dzieci często tak robią. Czy to jednak była jego matka? Może adoptowała go jako niemowlę? To całkiem niewykluczone.

— Co za różnica?

— Może żadna. Ale nie wiemy tego na pewno, a liczy się każdy szczegół. Co jeszcze wiesz o nim z tego okresu?

— Miał jakąś niedobrą ciotkę. Nazywał ją ciotką Adą. Bał się jej, kiedy po śmierci Anioła chciała go zabrać do siebie. Sir Edward wyczuł jakoś ten strach i postanowił wziąć dziecko. Przynajmniej tak to rozumiałam.

— Wiesz jeszcze coś o tej ciotce? Nie podałaś nawet jej nazwiska, tylko imię.

— Bo nic więcej nie wiem. Simon uważał ją za czarownicę, bo mieszkała w Witches' Home. Kiedyś byli u niej z Aniołem w odwiedzinach.

— Opowiadał ci o tym miejscu?

— Podobno na tyłach ogrodu była woda. Może rzeka?

— I to wszystko?

— Tak. Musiał mieć wtedy mniej niż pięć lat, bo właśnie jako pięciolatek trafił do Perrivale.

— Dobrze, mamy więc Witches' Home, ciotkę Adę i w domyśle rzekę.

— Co sugerujesz?

— Żebyśmy spróbowały odszukać ciotkę Adę. Krótka rozmowa mogłaby wiele wyjaśnić.

— Felicity, ty naprawdę...

— Mam pomysł. Może zanim wrócisz do Kornwalii, przyjedziesz do mnie na parę dni? James i dzieci z radością cię powitają.

— A moje obowiązki? Już i tak za długo tu siedzę.

— Ach, to *enfant terrible*? Jak ona sobie bez ciebie radzi?

— Chyba dobrze, ale muszę wracać. Nie mogę nadużywać cierpliwości Perrivale'ów, i tak na wiele mi pozwalają.

— Parę dni nie robi różnicy. Zresztą i tak cię nie zwolnią. Będą tacy szczęśliwi, że w ogóle przyjechałaś...

— Kate może wrócić do dawnych nawyków, które udało mi się wykorzenić.

— To sprawi, że zaczną cię jeszcze bardziej cenić. Mam pewien plan. Sprawdzimy, czy w ogóle istnieje miejscowość Witches' Home... albo coś w tym rodzaju. Musi tam być rzeka czy inna woda... To się może przydać.

— Może chodziło o sadzawkę na tyłach ogrodu? Jedyne, co wiemy, to ciotka Ada i Witches' Home. Zupełnie jak z matką Tomasza Becketa, która po przybyciu do Anglii знаła tylko dwa słowa: Londyn i Gilbert, i krążyła po ulicach stolicy, wykrzykując imię Gilbert.

— Cieszę się, że pamiętasz, czego cię uczyłam.

— Cóż, Londyn nieco się różni od Witches' Home.

— Przejrzymy mapy.

— Małych miejscowości tam nie ma.

Zachmurzyła się, ale tylko na chwilę. Nagle oczy jej rozbliły.

— Wiem! Profesor Hapgood.

— Kto to taki?

— Moja droga Rosetto, przecież mieszkam w Oksfordzie. Profesor Hapgood to największy autorytet w dziedzinie brytyjskich osad. To jego pasja, dzieło życia. Poszpera w księdze katastralnej i w innych dokumentach, a jeśli istnieje w Anglii miejscowość o nazwie Witches' Home, to w mgnieniu oka nam o niej opowie. Ach, widzę, że twój sceptycyzm szybko znika. Zaufaj mi, Rosetto. Mnie i profesorowi Hapgoodowi.

Jak dobrze, że powiedziałam jej o wszystkim! Miałam wyrzuty sumienia, że tak długo z tym zwlekałam.

* * *

Pojechaliśmy razem do kliniki. Lucas szybko wracał do zdrowia i chodził z coraz większą łatwością. Nie czuł już bólu przy każdym kroku, a lekarze też byli zadowoleni z jego postępów. Musiał jednak dużo wypoczywać, do domu miał wyjść za mniej więcej tydzień.

Powiedziałam mu, że dopuściłam Felicity do sekretu i że mamy zamiar odszukać ciotkę Adę. Ubawił go ten pomysł; uznał, że nasze informacje są bardzo wątpliwe, dopiero wzmianka o profesorze Hapgoodzie wywarła na nim pewne wrażenie, gdyż wiedział o jego osiągnięciach.

Dodałam, że ponieważ Oksford wypada mi po drodze, zamierzam wprost stamtąd jechać do Kornwalii. W ten sposób nie opóźnię za bardzo mego powrotu, a do Perrivale dotrę na kilka dni przed przyjazdem Lucasa do Trecorn Manor.

— Na waszym miejscu nie spodziewałbym się zbyt wiele po tym przedsięwzięciu. Nawet jeśli z pomocą profesora znajdziecie tę miejscowość, będziecie musiały dalej szukać ciotki Ady.

— Wiem — odrzekłam. — Mimo to chcemy spróbować.

— Więc życzę wam szczęścia.

Następnego dnia wyjechałyśmy do Oksfordu. James i dzieci powitali mnie z wielką serdecznością. Felicity wyjaśniła, że wybieramy się jeszcze w krótką podróż i że chce ze mną odbyć część drogi do Kornwalii, ale najwyżej za dwa dni będzie z powrotem.

James zawsze odnosił się bardzo wyrozumiale do przyjaźni Felicity ze mną i nigdy nie miał pretensji o nasz wspólnie spędzany czas. Wszystko zostało uzgodnione. Nasze pierwsze zadanie polegało na nawiązaniu kontaktu z profesorem Hapgoodem, który z radością zaoferował nam pomoc.

Zaprosił nas do swego gabinetu z półkami pełnymi masywnych tomów i widać było, że poszukiwania sprawiają mu prawdziwą przyjemność.

Nie mógł jednak znaleźć Witches' Home, czego zresztą oczekiwaliśmy.

— Powiadają panie, że tę nazwę wymieniło niespełna pięcioletnie dziecko... Zaraz sprawdzimy. Jest Witching Hill, Willinham... Willin-under-Lime, Wodenham... A co z Witchenholme? Dla pięciolatka mogło brzmieć jak Witches' Home, bardziej niż inne nazwy... Jest jeszcze Willenhelme... Tak, te dwie ostatnie są najbardziej prawdopodobne.

— „Holme” bardziej przypomina „Home” niż „Helme”.

— Tak — zgodził się ze mną profesor. — Chwileczkę... Witchenholme leży nad rzeką Witchen... właściwie to dopływ rzeki...

— To całkiem możliwe. Chłopiec zapamiętał wodę w końcu ogrodu.

— A przyjrzyjmy się jeszcze Willenhelme. Nie, tam nie ma rzeki. To miejscowość na północy Anglii.

— Więc nie wchodzi w rachubę. Gdzie jest Witchenholme?

— Niedaleko Bath.

Popatrzyłam na Felicity.

— Na zachodzie! To znacznie bardziej prawdopodobne.

— Zatem jedziemy do Witchenholme — zdecydowała moja przyjaciółka. — A jeśli okaże się, że to nie tam, pozwolimy sobie znów pana fatygować.

— To dla mnie wielka przyjemność. Pochlebiam sobie, że potrafię wskazać najmniejszą wioseczkę w Anglii od czasów podboju Normanów i zawsze się cieszę, mogąc to udowodnić. Zaraz zobaczymy... Najbliższym miastem jest Rippleston.

— Dochodzi tam kolej?

— Tak, jest stacja. Do Witchenholme będzie jeszcze około dwóch mil.

— Jesteśmy panu bardzo wdzięczne.

— Życzę owocnych poszukiwań. I w razie czego proszę się nie krepować, chętnie pomogę znowu.

Po wyjściu od niego wpadłam w dziwnie optymistyczny nastrój.

— A więc — oznajmiła Felicity — przemierzmy całe Witchenholme, jak pani Beckett Londyn, z tym że nie będziemy wołać Gilberta, tylko Adę.

* * *

Zamówiliśmy sobie pokój na nocleg w Rippleston — małym targowym miasteczku.

— Możemy mieć trudności z odszukaniem tej Ady — zauważyła Felicity. — Kto wie, czy nie będziemy musiały zostać tu dłużej niż dwa dni.

Dobrze było mieć ją przy sobie. Zawsze wkładała całe serce w każdy pomysł i ta właśnie cecha czyniła z niej znakomitą towarzyszkę.

W pociągu przez cały czas rozprawialiśmy o tym, jak zabierzemy się do poszukiwań, co powinniśmy powiedzieć ciotce Adzie, jeśli ją odnajdziemy, i tak dalej. Może to nieco naiwne z

naszej strony, ale tak bardzo cieszyła nas ta wspólna podróż! Wydało nam się, że znów jest jak za dawnych dni, kiedy to niemal wszystko nas ekscytowało.

W Rippleston udałyśmy się do naszego hotelu i zapytałyśmy o transport. Okazało się, że hotel dysponuje dwukółką z woźnicą, który jest na usługi gości, więc szybko doszliśmy do porozumienia.

Zdecydowałyśmy, że nie warto tracić czasu, i wkrótce znalazłyśmy się na drodze do Witchenholme.

Nieopodal wioski była gospoda o nazwie Witchenholme Arms. Postanowiłyśmy zrobić sobie postój i zapytać, czy ktoś tu słyszał o jakiejś pannie Adzie.

Za kontuarem kobieta w średnim wieku podawała piwo i jabłecznik. Kiedy zapytałyśmy ją o Adę, zrobiła dziwną minę, do czego zresztą miała prawo.

— Ada? Jaka znów Ada?

— Tego właśnie nie wiemy — tłumaczyła Felicity. — Poznałyśmy ją dawno temu i nie pamiętamy nazwiska. Zawsze myślałyśmy o niej po prostu jako o Adzie.

Kobieta kręciła głową.

— A często tu przychodzi?

— Nie wiemy — odrzekłam.

— Ada... Tu bywają głównie mężczyźni.

— Tak się spodziewałam — odparła Felicity. — Cóż, dziękujemy. Dalej poszłyśmy pieszo. Woźnicę poprosiłyśmy, żeby na nas zaczekał.

— Chyba nie liczyłaś, że ciotka Ada będzie stałą klientką lokalnej karczmy — zauważyła Felicity.

Wioska, zgodnie z zapowiedzią profesora, okazała się bardzo mała. Była tam rzeka i ustawione tyłem do niej domki.

Czułam, że jesteśmy we właściwym miejscu.

Minął nas mężczyzna na rowerze. Już miałam go zaczepić, ale doszłam do wniosku, że gotów uznać nas za wariatki, jeśli spytamy po prostu o jakąś Adę. Gdybyśmy chociaż znały jej nazwisko...

Nagle Felicity wykrzyknęła:

— Ach, spójrz, jest sklep! Jeśli w ogóle ktoś coś o niej wie, to tylko tam. W końcu do sklepu każdy kiedyś chodzi.

Weszłyśmy do środka. Przy otwieraniu drzwi zabręczał dzwonek. W sklepie unosił się intensywny zapach oleju parafinowego, a każdy skrawek powierzchni wypełniały towary różnych rodzajów — owoce, ciasta, herbatniki, chleb, cukierki w szklanych słojach, jarzyny, szynka, drób, papier listowy, koperty, lepy na muchy i wiele innych rzeczy.

— Słucham? — zapytał ktoś.

Zaniemówiłyśmy. Zza słoików z cukierkami wystawała twarz najwyżej czternastoletniej dziewczynki. Felicity pierwsza odzyskała głos.

— Chciałyśmy zapytać, czy znasz kogoś imieniem Ada. Dziewczynka wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

— Próbujemy odszukać starą znajomą — ciągnęła Felicity. — Pamiętamy tylko, że na imię miała Ada. Zastanawiałyśmy się, czy czasem nie mieszka gdzieś w tej okolicy. Może zachodzi do tego sklepu?

— C — co?... — wyjąkała dziewczynka.

— A w ogóle znasz tu kogoś?

— Nie. Ja nie jestem stąd... Przyjechałam tylko na krótko i... pomagam cioci.

— A możemy się z nią zobaczyć?

— Ciociu! Ciociu Ado! Wymieniłyśmy zdumione spojrzenia.

— Ciocia Ada... — mruknęła Felicity.

— Ktoś do ciebie! — krzyknęła dziewczynka.

— Chwileczkę, już schodzę — odezwał się z góry kobiecy głos. Czy to możliwe? To naprawdę koniec poszukiwań? Niestety, gdy tylko zobaczyłyśmy tę Adę, zrozumiłyśmy, że tak nie jest. Na pewno nikomu nie kojarzyłaby się z czarownicą. Nie mogła być ciotką Simona: bardzo tęga, o sylwetce przypominającej bochen wiejskiego chleba, miała pocziwą twarz o różowych policzkach, niestarczanie uczesane siwe włosy i bystre niebieskie oczy.

— Słucham, czym mogę paniom służyć? — zapytała z promiennym uśmiechem.

— Mamy bardzo dziwną prośbę — odezwała się Felicity. — Szukamy osoby, która według nas tu mieszka, ale nie pamiętamy jej nazwiska. Wiemy tylko, że na imię jej Ada.

— No, w każdym razie to nie ja. Ja jestem Ada MacGee.

— Nasza Ada miała siostrę imieniem Alice.

— Alice... Alice... a dalej?

— Jej nazwiska także nie znamy, lecz Alice już nie żyje. Po prostu zastanawiamy się, czy wśród mieszkanków wioski... pani pewnie większość z nich zna... jest jakaś Ada.

Domyślałam się, że ta kobieta uwielbia plotki. Naturalnie musiały ją zainteresować dwie nieznajome, które przyszły do jej sklepu nie po jabłka, gruszki czy olej parafinowy, tylko w poszukiwaniu jakiejś tam Ady.

— Na pewno zna pani wszystkich w Witchenholme — dodałam niemal błagalnie.

— Cóż... każdy tu zagląda od czasu do czasu. Do Rippleston jest kawał drogi.

— No właśnie.

— Ada... Jest Ada Parker z Greengates, tylko już się tak nie nazywa, wyszła znowu za męża. To jej trzeci, ale my dalej nazywamy ją między sobą Adą Parker, bo jej pierwszym mężem był Jim Parker. Tu nazwiska trzymają się ludzi.

— Może do niej zajdziemy. A jest ktoś jeszcze?

— No... panna Ferrers ponoć jest Ada. Pamiętam Ady, bo sama tak się nazywam, choć nie słyszałam, żeby do niej ktoś mówił po imieniu.

— Tak, rozumiem, czemu pani pamięta. Chyba miałyśmy szczęście, że trafiłyśmy do pani.

— Cóż, gdybym mogła paniom się przydać... Tak, jestem pewna, że panna Ferrers nazywa się Ada, gdzieś mi się to obilo o uszy. Bo ona trzyma się oddzielnie, stoi trochę wyżej od nas, a przynajmniej tak o sobie myśli.

— Nie wie pani, czy miała siostrę?

— Trudno powiedzieć. Mieszka tu od lat. Ma śliczny domek i wszystko tam jest jak z obrazka. Nazywa się Jarzębinowa Chatka, bo obok rosną jarzębiny.

— Bardzo nam pani pomogła — rzekła Felicity. — Serdecznie dziękujemy.

— Mam nadzieję, że znajdą panie tę, której szukają.

— Do widzenia.

Kiedy wychodziłyśmy, dzwonek przy drzwiach znów się odezwał.

— Może powinnyśmy coś kupić? — zreflektowałam się. — Była taka życzliwa...

— Wcale tego nie oczekiwała. Cieszyła się, że może pogadać. Chyba na razie darujemy sobie tę trzykrotną mężatkę. Pójdziemy do niej, gdyby zawiodła nas pani na Jarzębinowej Chatce. Coś mi mówi, że ciotka Ada nie miała trzech mężów.

— Spójrz! Te domy stoją tyłem do rzeki.

Przemierzyłyśmy ulicę, która wydawała się jedyną w Witchenholme, Jarzębinowej Chatki jednak nie znalazłyśmy. Przystanęłyśmy, rozglądając się bezradnie dookoła. Nagle zobaczyłyśmy,

że w pewnej odległości od innych stoi jeszcze jeden dom. Ku naszej radości rosła przy nim jarzębina.

— Cóż... Słyszałaś, że „trzyma się oddzielnie” i jest „wyżej postawiona” — przypomniała Felicity. — Podejrzewam, że musi być groźna.

— Simon też tak uważał.

— No to chodźmy zmierzyć się z lwicą w jej jamie.

— Co u licha jej powiemy? „Czy pani jest ciotką Adą?” Jak się zaczyna takie rozmowy?

— Ze sklepową jakoś nam poszło.

— Z nią może być inaczej.

Mimo tych wątpliwości śmiało ujęłam kołatkę i zastukałam energicznie, co pewnie dało się słyszeć w całym domu. Przez chwilę panowała cisza i nagle drzwi się otworzyły.

Stała przed nami — wysoka i szczupła, z siwiejącymi włosami ściągniętymi na karku w ciasny węzeł. Oczy za grubymi szklami zdawały się przewiercać nas na wylot. Śnieżnobiała bluzka dochodziła aż do podbródka, usztywniona dodatkowo fiszbinami. Z szyi zwisał złoty łańcuszek prawdopodobnie z zegarkiem, ukrytym przy pasku.

— Prosimy wybaczyć nam to najście — powiedziałam. — Skierowała nas tu pani MacGee ze sklepu.

— Słucham — odezwała się chłodno. Felicity przejęła inicjatywę.

— Próbuje odnaleźć pewną damę o imieniu Ada, niestety nie znamy jej nazwiska. Pani MacGee powiedziała nam, że nazywa się pani Ada Ferrers, więc chcieliśmy sprawdzić, czy nie jest pani osobą, której szukamy.

— Obawiam się, że nie znam pań.

— Rzeczywiście. Ale może miała pani siostrę imieniem Alice i siostrzeńca Simona?

Zauważyłam, że drgnęła, a jej twarz lekko pobladła. Najwyraźniej znalazłyśmy ciotkę Adę! Od razu nabrała podejrzeń.

— Panie są z prasy? Znaleźli go, tak? Och... więc wszystko zacznie się od początku?

— Nie jesteśmy z prasy, panno Ferrers. Możemy wejść i wszystko wyjaśnić? Staramy się udowodnić niewinność Simona.

Zawahała się lekko, w końcu jednak zrobiła krok do tyłu, przytrzymując nam drzwi.

Znalazłyśmy się w małym, schludnym holu. Na wieszaku zauważyłam tweedowy płaszcz i filcowy kapelusz — wyraźnie należące do gospodyni. Obok, na stoliku, stał wazon z kwiatami.

Wprowadziła nas do pachnącej politurą bawialni.

— Proszę, niech panie usiądą.

Zajęła miejsce naprzeciwko.

— Gdzie on jest? — spytała bez wstępu.

— Nie wiemy — odrzekłam. — Muszę wyjaśnić, że dostał się na statek. Ja też tam byłam. Statek zatonął podczas burzy, lecz Simon i ja przeżyliśmy. Uratował życie mnie i jeszcze jednemu pasażerowi. Potem zabrano nas do Turcji i tam straciłam z nim kontakt, ale przedtem spędziłyśmy razem sporo czasu i Simon wszystko mi opowiedział. Jestem przekonana o jego niewinności i próbuję tego dowieść. Chcę dotrzeć do wszystkich, którzy mogą mi udzielić o nim jakiejś informacji... czegokolwiek, co może się przydać.

— Jak pani udowodni, że nie popełnił tej strasznej zbrodni?

— Nie wiem. Staram się...

— Czego pani chce ode mnie? Na pewno nie jest pani z gazety?

— Na pewno. Nazywam się Rosetta Cranleigh, może czytała pani o moim ocaleniu. Pisano o tym w gazetach, kiedy wróciłam do domu.

— Był tam, zdaje się, jeszcze jakiś kaleka?

— Tak, razem z nami.

Zmarszczyła brwi, nadal nie dowierzając.

— Sama nie wiem... To wszystko brzmi bardzo dziwnie. Poza tym mam dosyć tej sprawy i nie chcę już słyszeć ani słowa. Od początku wiedziałam, że to się źle skończy.

— Mówi pani o... jego dzieciństwie?

Przytaknęła.

— Powinien trafić do mnie. Wzięłabym go... nie, żebym tego pragnęła, bo nigdy nie miałam do czynienia z dziećmi, ale to syn mojej siostry. Było nas tylko dwie. Jak ona mogła wpłatać się w coś takiego?

— Właśnie tego chcemy się dowiedzieć — odpowiedziałam ostrożnie. — Czy mogłybyśmy się cofnąć do samego początku?

— A czy to pomoże oczyścić go z zarzutów?

— Mamy taką nadzieję. Czuję, że nie wolno nam pominąć żadnego szczegółu. Poznałam Simona dość dobrze. Znaleźliśmy się razem w zupełnie niezwykłych warunkach. Dryfowaliśmy po morzu w szalupie, aż dotarliśmy na wyspę... bezludną wyspę. Przeżyliśmy razem koszmar, a przy takiej okazji można się naprawdę dobrze poznać. Jestem przekonana, że nie mógłby nikogo zabić.

— Złapano go na gorącym uczynku.

— Uważam, że to było ukartowane.

— Kto by coś takiego zaplanował?

— Właśnie to chcemy wykryć. Potrzebuję pani pomocy. Proszę, panno Ferrers, przecież to pani siostrzeniec. Chce pani mu pomóc, prawda?

— Nie wiem jak. Nie widziałam go na oczy, odkąd mi go zabrał...

— Sir Edward, tak?

Skinęła głową.

— Dlaczego go zabrał?

Milczała przez chwilę.

— No dobrze — zdecydowała się wreszcie. — Opowiem wszystko od początku. Alice była piękna, każdy tak uważał. Do pewnego stopnia okazało się to jej przekleństwem. Gdyby nie uroda, nie spotkałoby jej to. Była głupia... zbyt miękka. Łagodna, kochająca i tak dalej, ale zdrowego rozsądku nie miała za grosz. Nasz ojciec prowadził przyjemną małą gospodę koło Bath. Przynosiła niezły dochód, a my z siostrą pomagałyśmy obsługiwać gości. I nagle pewnego wieczoru zjawił się Edward Perrivale. Zobaczył Alice... i odtąd zaczął przyjeżdżać. Ostrzegałam ją, mówiłam: „On się dla ciebie nie nadaje”. Mogła wyjść za Johna Hurrella, który miał wielką farmę i chciał się żenić, ale nie, musiała się uprzeć na tego Edwarda...

Popatrzyłam na Felicity. Historia wyglądała tak, jak się spodziewałyśmy. Porządny człowiek popełnił błąd, uległ pokusie i jak zwykle w takich wypadkach, nadszedł czas pokuty.

— Wciąż jej powtarzałam: „Nic dobrego cię od niego nie spotka. Dostanie to, co chce, i do widzenia, z takimi tak zawsze. On nie dla ciebie, wielcy panowie nie żenią się z karczmareczkami”. Wiedzą panie, jaki on był. Prawdziwy dżentelmen, tacy u nas prawie nie bywali. Trafił do gospody przypadkiem, koń mu okulał czy coś, inaczej nigdy by nie przekroczył naszego progu. Potem już ciągle wracał... z powodu Alice.

Upierała się, że jest inny, że się z nią ożeni. „Nie ma mowy — odpowiadałam. — Zwodzi cię, i tyle”. Nie wierzyła mi i okazało się, że jednak miała rację, bo wzięli ślub. W kościele, jak trzeba, chociaż raczej skromnie. Inaczej nie dopiąłby swego...

— Więc był ślub? Ale...

— Tak, pobrali się. Nas wychowano przyzwoicie, Alice nie wyjechałaby z nim bez obrączki, on zresztą też by się na to nie zgodził. Był bardzo pobożny, dzięki niemu i Alice zwróciła się ku religii. Och, nasz ojciec pilnował, żeby wszyscy chodzili w niedzielę do kościoła, ale ów Edward miał pod tym względem jeszcze większe wymagania.

— I naprawdę się z nią ożenił...

— Jak najbardziej. Potem umieścił ją w przyjemnym domku, a sam tylko przyjeżdżał i wyjeżdżał. Kiedy pytałam, dokąd, odpowiadała, że wszystko jej wytłumaczył: ma w Kornwalii duży dom, który od wieków należy do jego rodziny. Alice ten dom nie przypadłby do gustu, on też woli jej tam nie zabierać. Tu jest jej o wiele lepiej. Nigdy nie zadawała wielu pytań, żyła sobie spokojnie i o nic więcej nie prosiła. Nie chciała wiedzieć o żadnych kłopotach... i tak to trwało. On przyjeżdżał w odwiedziny i wtedy zachowywali się jak każde inne małżeństwo, a potem znowu znikał. Potem urodził się chłopiec...

— Rozumiem. A gdy skończył pięć lat, Alice umarła. Pokiwała głową.

— Pojawiło się pytanie, co zrobić z Simonem. Domyślałam się, że chłopiec przypadnie mnie, w końcu był synem mojej siostry. Nie wiem, jak bym sobie poradziła; ojciec zmarł rok przedtem, a tego małżeństwa nigdy nie pochwalał. Chociaż do kościoła przyszedł i widział, że wszystko odbyło się, jak trzeba, a ten Edward nigdy jej niczego nie skąpił. Świata za nią nie widział, powodziło się jej lepiej niż nam. Po śmierci ojca ja też byłam dobrze zabezpieczona, bo cały majątek przypadł mnie. Ojciec uznał, że Alice ma zapewniony byt. Stąd ten domek; kiedyś Alice odwiedziła mnie tu z chłopcem.

— Tak, wspominał mi o tej wizycie. Dzięki temu udało nam się panią odszukać.

— No cóż, okazało się, że ten zamordowany był synem sir Edwarda. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, że Edward ma tytuł szlachecki. Z początku myślałam, że oszukał naszą Alice i kiedy się pobierali, miał już żonę. Potem jednak, kiedy o Perrivale'ach zrobiło się głośno w prasie, przeczytałam o jego małżeństwie z panną Jessicą Arkwright, zawartym już po ślubie z Alice. Ten zamordowany syn był jakieś dwa lata młodszy od Simona. Wszystko razem wyglądało dość podejrzanie, lecz przynajmniej jedno stało się jasne: to nasza Alice była jego żoną i prawdziwą lady Perrivale. Tamta kobieta nie miała prawa do tytułu, a jej synowie pochodzili z nieprawego łoża... w przeciwieństwie do Simona. Tajemnicza sprawa, ale nie zagłębiałam się w to więcej i nie chciałam o niczym słuchać. Panie mi pewnie nie wierzą?

— Ależ wierzymy.

— Ja nawet mam dowód: akt ślubu. Powiedziałam kiedyś do Alice: „Nie wolno ci nigdy tego zgubić”. Bo ona bywała dość lekkomyślna w takich sprawach, ja natomiast od początku uważałam, że w tym małżeństwie jest coś dziwnego. Normalni mężowie zwykle nie kursują tam i z powrotem... No więc kazałam siostrze pilnować dokumentu, chociaż Edward wcale nie chciał go zabierać. I naprawdę był zmartwiony, kiedy umarła. Schowałam jednak ten papier i chętnie go pokażę.

— Naprawdę możemy zobaczyć?

— Oczywiście. Alice była zameżna i nikt nie ma prawa słowa powiedzieć. Mam to na górze, zaraz przyniosę.

— No, tego się nie spodziewałyśmy — powiedziała Felicity, kiedy zostałyśmy same.

— Nie.

— Po prostu nie do wiary. Filar Kościoła popełnił bigamię!

— Jeśli ten dokument jest prawdziwy.

— Na pewno jest prawdziwy. Poza tym panna Ferrers uczestniczyła w ceremonii, a nie wygląda, żeby kłamała.

— Może wpadła na ten pomysł w obronie czci siostry?

W tym momencie wróciła panna Ferrers, dumnie wymachując dokumentem.

Obejrzałyśmy go starannie — nie budził najmniejszych wątpliwości.

— Myślę — powiedziałam — że ktoś mógł się dowiedzieć, że prawdziwym dziedzicem tytułu i posiadłości jest Simon. To całkiem niezły motyw.

— Ale to nie jego zabito.

— Nie... tylko wplątano go w zbrodnię.

— Myśli pani, że ktoś chciał się pozbyć za jednym zamachem starszego brata i Simona?

— Niewykluczone. Ten akt ślubu bardzo by się nam przydał.

Od razu zauważyłam, że panna Ferrers pod żadnym pozorem nie wypuści dokumentu z ręki.

— Można obejrzyć zapis w księgach kościelnych. Ślub odbył się w St Botolph's w Headingly koło Bath. Pani naprawdę wierzy w niewinność Simona?

— Naprawdę — odrzekłam zdecydowanie.

— Alice złamałoby to serce... cieszę się, że nie dożyła tej chwili. Z drugiej strony, gdyby nie umarła, Simon nigdy by tam nie trafił. Ona go tak kochała...

— Bardzo nam pani pomogła. Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna.

— Jeśli oczyści pani jego imię...

— Spróbuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Zmusiła nas do pozostania na herbacie. Kiedy piłyśmy, usta jej nadal się nie zamykały; opowiadała w kółko to samo. Odniosłyśmy jednak wrażenie, że w jej — na pewno prawdziwym — uczuciu do zmarłej siostry kryła się lekka domieszka pogardy. Alice była miękka... za bardzo ufała ludziom... wierzyła we wszystko, co jej opowiadano. A jednocześnie pozostała kochaną siostrą, bliższą niż ktokolwiek przedtem czy potem.

Byłam zadowolona, że udało się nam przekonać ją o naszej szczerości.

Tak więc opuszczając domek panny Ady, wiedziałyśmy, że sir Edward Perrivale poślubił Alice Ferrers, a data na dokumencie wskazywała jasno, że małżeństwo zostało zawarte wcześniej niż następną, z obecną owdowiałą lady Perrivale.

Spotkanie w zagajniku

Przez cały wieczór omawialiśmy z Felicity odkrycie, które przeszło nasze najśmielsze oczekiwania.

— Wciąż nie mogę uwierzyć! Jak to się stało, że sir Edward, człowiek o tak rygorystycznej moralności, popełnił bigamię i uznał za legalnych synów z drugiego związku, podczas gdy prawowity dziedzic był w jego domu traktowany jak przybłęda?

— Musimy pamiętać — odparła Felicity — że chciał dać chłopcu wszelkie szanse.

— Biedny Simon!

— Cóż, miał chociaż tę twoją nianię Crockett.

— Bez niej byłoby mu naprawdę źle.

— Dlaczego jednak sir Edward nie tylko złamał prawo, ale postąpił wbrew swym, tak mocnym, zasadom moralnym?

— Chyba się domyślam. Widzisz, to rodzina o wielkiej tradycji, w której zasadniczą rolę odgrywała ta stara rezydencja. Tymczasem dwór popadał w ruinę, a sir Edward miał kłopoty finansowe. Mimo że kochał Alice, nigdy nie zabrał jej do Perrivale. Po prostu nie wyobrażał jej sobie jako pani tego domu, właśnie z powodu tej rodzinnej tradycji. Na pewno od dziecka wmawiano mu, jakim to wspaniałym rodem są Perrivale'owie. Od wieków było oczywiste, że każdy kolejny dziedzic miał określone obowiązki, więc i sir Edward musiał się z nich wywiązać, ratując od upadku siedzibę rodziny. Akurat pojawił się na horyzoncie przedsiębiorca z Yorkshire, właściciel kopalni rudy czy węgla. Zgodził się dać środki na remont i rozwiązać finansowe problemy sir Edwarda... za pewną cenę. Tą ceną miało być małżeństwo z jego córką.

— Przecież sir Edward nie mógł przyjąć tych warunków, bo już miał żonę.

— A kto o tym wiedział? Tylko tamci ludzie na wsi. Alice była cicha i uległa. Zgodziłaby się na wszystko, co jej zaproponował. Nie sprawiałaby kłopotów, nawet gdyby wiedziała, co się dzieje... ale nie wiedziała. On zaś myślał, że potrafi temu podołać, i tak się stało. Przypuszczam, że owa sytuacja bardzo go dręczyła. Niestety, tylko w ten sposób mógł uratować Perrivale. Od dziecka słyszał, że jego pierwszym obowiązkiem jest utrzymanie ciągłości tradycji i rodu. Sama widzisz, jaki był rozdarty. Musiał utrzymać poziom życia, do jakiego od lat przywykli Perrivale'owie, a Alice nie sprostałaby takim obowiązkom. Kochał ją jednak... i dlatego uległ pokusie poślubienia dziewczyny, chociaż nie nadawała się na żonę Perrivale'a. Teraz rozumiem, jak wszystko się potoczyło.

— W twoich ustach brzmi to bardzo przekonywająco.

— Myślę, że sir Edward nie mógł umrzeć z takim sekretem na sumieniu. Na pewno wyznał go komuś, kiedy czuł, że zbliża się koniec. A komu miał się zwierzyć, jak nie kobiecie, która uważała się za jego żonę? Wyobraź sobie tę scenę: „Nie mogę już dłużej, muszę wyznać ci prawdę. Moim dziedzicem jest Simon, chłopiec, którego sprowadziłem do domu. Ożeniłem się z jego matką, a to znaczy, że ty nie jesteś moją prawowitą małżonką”. Tak to pewnie wyglądało. Maria mówiła, że słyszała jakąś gwałtowną kłótnię i że lady Perrivale od śmierci męża zachowuje się bardzo dziwnie. Prawdopodobnie z tego powodu...

— Chcesz powiedzieć, że była wplątana w morderstwo? Przecież nie zabiła własnego syna tylko po to, żeby oskarżyć Simona.

— Nie, nie. Opowiedziała jednak wszystko synom... albo uczynił to sam sir Edward. Tak, to możliwe, w końcu zaraz po żonie sprawa ich dotyczyła najbardziej.

— Ale to Cosma zamordowano.

— Zawsze miałam wrażenie, że zabił go Tristan, ponieważ chciał zdobyć tytuł, posiadłość... i Mirabel. Wyobraź sobie, jak musiał się czuć jako ten drugi, którego ominą wszystkie dochody.

— Lucas jest w tej samej sytuacji.

— Ale przed wypadkiem nie chciał mieszkać w domu.

— I dlatego na jakiś czas wstąpił do wojska.

— Potem się jednak wycofał i zaczął jeździć po świecie. Nie umiał usiedzieć na jednym miejscu. Teraz zaczyna mi się przejaśniać w głowie: zawsze uważałam, że Tristan jest w to wszystko wmieszany. Miał wiele do wygrania, a poza tym była Mirabel. Ożenił się z nią przecież zaraz po śmierci Cosma.

— A co z dzieckiem, którego się ewentualnie pozbyła?

— Tego nie rozumiem, to zbyt skomplikowane. Jeśli jednak Tristan zdawał sobie sprawę, że Simon jest prawdziwym dziedzicem, mógł chcieć usunąć go z drogi. Dlatego zabił Cosma i zaaranżował wszystko tak, żeby wina spadła na Simona. W ten sposób usunął obie przeszkody. Sir Edward umarł i nikt nie mógł powiedzieć, że Tristanowi nic się nie należy.

— To zaczyna nabierać sensu — przyznała Felicity. — Tylko skąd weźmiesz dowody?

— Nie wiem... na razie. Zrobiliśmy jednak spory krok naprzód i to dzięki tobie. Myślę, że w odpowiednim czasie będę wiedziała, jak postąpić.

— A teraz?

— Opowiem Lucasowi o naszym odkryciu. Jest taki bystry, na pewno coś zaproponuje. Uświadomiłam sobie jeszcze jedno: lady Perrivale, to znaczy wdowa, systematycznie przeszukuje pokój sir Edwarda. Palila po nocach świece, a teraz, kiedy Maria zaczęła je chować z obawy przed pożarem, krąży po omacku i wciąż czegoś szuka. Jak myślisz, czego?

— Logika podpowiada, że testamentu.

— Właśnie. Ostatniej woli sir Edwarda, w której ten oświadcza, że Simon jest synem z legalnego związku, a więc prawnym dziedzicem. Nie mógł pójść do grobu z taką tajemnicą.

— Więc żeby oczyścić własną duszę, pogrążył tych, którzy przez całe lata uważali się za jego jedyną rodzinę.

Kiwnęłam głową.

— Wiedział, że kiedy straci świadomość, a ktoś z rodziny w tym czasie natknie się na testament, to go zniszczy. Dlatego dobrze schował dokument, zamierzając w stosownej chwili pokazać go adwokatowi lub innej zaufanej osobie. Lady Perrivale, chociaż nie potrafi już jasno myśleć, wie, że testament istnieje. Chce go znaleźć i zniszczyć — jeśli nie z innych przyczyn, to przynajmniej ze względu na synów. Dlatego błąka się po nocach i ciągle go szuka.

— Hmm. Całkiem możliwe.

— Często ją odwiedzam. Może nadarzy się sposobność...

— Tylko bądź ostrożna.

— To samo mówi Lucas.

— Jeśli Tristan naprawdę zabił, to nie zawaha się przed kolejnym morderstwem. Ktoś, kto wie za dużo, może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

— Będę uważać.

— Mówię na serio, Rosetto: martwię się o ciebie.

— Niepotrzebnie. Bardzo uważam i nikt mnie o nic nie podejrzewa. Jestem tylko guwernantką.

— Nie taką zwykłą.

— Ależ niezwykle! To czysty przypadek, że udało mi się znaleźć wspólny język z Kate.

— W każdym razie nie ryzykuj.

— Obiecuję.

— A teraz lepiej już śpijmy.

- Felicity; nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc.
- Daj spokój, to była przyjemność. Po prostu lubię zagadki, jak zresztą każdy.
- Jedną z najmielszych rzeczy, jakie mi się przydarzyły, było twoje pojawienie się w naszym domu.
- Po tak miłym akcencie można powiedzieć tylko „dobranoc”.

* * *

Kiedy wróciłam do Kornwalii, Kate przywitała mnie z naburmuszoną miną.

— Długo cię nie było.

— Nie tak bardzo. Spotkałam się z przyjaciółką, która kiedyś była moją guwernantką.

Opowiedziałam jej, jak Felicity do nas przyjechała, jak wyobrażałam ją sobie jako potwora, a potem wszyscy w kuchni ją polubili i jadała razem z nami posiłki.

Trochę się rozchmurzyła. W gruncie rzeczy bardzo ucieszył ją mój powrót.

— Czy pan Dolland odgrywał „Dzwony”?

— Tak.

— Szkoda, że mnie nie zabrałaś.

— Może kiedyś...

— Kiedyś, kiedyś — przedrzeźniała mnie ze złością. — Nie chcę kiedyś, tylko teraz. Powinnaś mnie z sobą zabrać.

Byłam szczęśliwa, gdy wreszcie mogłam schronić się w moim pokoju. Chciałam jeszcze raz przemyśleć to, co się wydarzyło. Na pewno nasze teorie miały sens. Wszystko stało mi jasno przed oczami: sir Edward na łożu śmierci nieoczekiwanie wyjawiał swój postępek. Gdyby Tristan zabił Cosma i posłał za to Simona na szubienicę, nikt nigdy nie dowiedziałby się o poprzednim małżeństwie ojca. Sekret pozostałby między Tristanem a jego matką, ta zaś z pewnością siedziałaby cicho. Nie chciałaby, aby się wydało, że chociaż urodziła sir Edwardowi dwóch synów, nie była jego legalną żoną.

Czy prawda może wyjść na jaw? Jak oczyścić Simona z zarzutów? Istniał akt ślubu, przechowywany przez pannę Adę Ferrers. Istniał też zapis w księdze parafialnej kościoła St Botolph. Ale nawet jeśli Simon udowodni swoje prawa do majątku i tytułu, nie oczyści go to z zarzutu popełnienia morderstwa. Odnalezienie testamentu także nie wystarczy.

Czułam, że jesteśmy w impasie. Odkryłyśmy mroczne sekrety i motywy zbrodni, lecz nie znałyśmy tożsamości mordercy.

A gdybym odnalazła testament...

Sir Edward poruszał się z trudem, więc musiał go ukryć w swoim pokoju. Gdzie może być ta skrytka?

Nabierałam coraz większej pewności, że starsza lady Perrivale rzeczywiście szukała dokumentu. Zamierzałam ją ubiec; oto moje następne zadanie. Trzeba poczekać na okazję i wśliznąć się do tamtego pokoju... na przykład kiedy starszka zaśnie, a Maria nie będzie się kręcić w pobliżu. Jeśli znajdę testament, znajdę przynajmniej potwierdzenie motywu.

Następnego popołudnia wybrałam się do starszej pani. Spała, ale Maria była na miejscu.

— Miło panią znów widzieć — powitała mnie. — Milady przesypia teraz całe dni. Tak to już z nią jest... Często przychodzi do niej pan major i wtedy pani się ożywia. — Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. — Cóż, zawsze miała do niego słabość.

— Nawet gdy się ożenił z jej najlepszą przyjaciółką.

— A tak. Mogła go mieć dla siebie, niestety stary Joe Arkwright trzymał kasę żelazną ręką. Szybko położył kres tej znajomości, a ona, chociaż ze złamanym sercem, poślubiła sir Edwarda, bo

tak chciał jej ojciec. To zrozumiałe. Sir Edward miał tytuł, a Jessie gotówkę. Czego ludzie nie zrobią dla pieniędzy!

Kiedy stamtąd wychodziłam, nadal brzmiały mi w uszach te słowa.

Dwa dni później nadarzyła się wreszcie okazja. Kiedy wybrałam się do starszej lady Perrivale, zastałam ją pochrapującą w fotelu, a Marii nie było.

Z bijącym mocno sercem wśliznęłam się do dawnego pokoju sir Edwarda.

Zobaczyłam duże łóżko z kolumienkami, a przy nim stolik z wielką Biblią w skórzanej oprawie z mosiężnymi klamerkami.

Rozejrzałam się szybko. Gdzie on mógł ukryć testament? I dlaczego w ogóle musiał go chować? Bo nie ufał kobiecie, która latami uważała się za jego żonę...

Przy oknie stała szafka. Kiedy ją otworzyłam, okazało się, że jest tam trochę ubrań i blaszane pudełko. Wyjęłam je, niestety, było zamknięte na klucz.

Choć bardzo mnie ciekawiło, co zawiera, nie mogłam go otworzyć. Zresztą każdy, kto szukał testamentu, na pewno zajrzał tam zaraz po śmierci sir Edwarda.

Zatrzymałam się na chwilę przy oknie, żeby rzucić okiem na swój pokój w przeciwległym skrzydle, i w tej właśnie chwili na dziedzińcu wszedł major. Zerknął w górę, a ja czym prędzej się cofnęłam. Nie wiem, czy mnie zobaczył, potraktowałam to jednak jak ostrzeżenie. Musiałam natychmiast wyjść; major wyraźnie zamierzał odwiedzić starą przyjaciółkę.

Maria wciąż się nie pokazywała, a jej pani jeszcze się nie obudziła. Zeszłam na dół i w holu wpadłam na majora.

— Dzień dobry, panno Cranleigh. Co za przyjemne popołudnie! Zgodziłam się z jego zdaniem.

— Ufam, że podróż do Londynu się udała.

— O tak, dziękuję. Już dość długo nie widziałam się z rodziną.

— Słyszałem, że kuracja pana Lorimera przebiega pomyślnie.

— Owszem.

— No to wszystko w porządku.

Uśmiechnął się dobrotliwie i wszedł na schody.

* * *

To było następnego dnia. Do południa siedziałyśmy z Kate nad lekcjami, co okazało się nawet dość przyjemne. Wciąż zastanawiałam się nad ostatnimi odkryciami, nie wiedziałam tylko, co dalej. Przywiązywałam dużą wagę do odnalezienia testamentu, ale z drugiej strony, czy mógł zawierać coś, o czym bym dotąd nie wiedziała?

Chciałam zostać sama, żeby spokojnie zebrać myśli. Lucas lada dzień miał wrócić do domu i musiałam jak najprędzej się z nim spotkać. Na pewno z początku będzie bardzo osłabiony, nie mogłam się jednak doczekać, kiedy opowiem mu, co odkryłyśmy z Felicity.

Konieczność musiałam wyrwać się z domu. Wymknęłam się po cichu, niezauważona przez Kate, która na pewno uparłaby się, by mi towarzyszyć. Szłam dziarskim krokiem, byle dalej od dworu, gdy nagle koło Wdowiego Domku zobaczyłam majora.

— O, panna Cranleigh! — wykrzyknął radośnie. — Jak miło znów panią widzieć. Dobrze pani wygląda.

— Dziękuję.

— Podróż do Londynu musiała być niezwykle udana.

— Tak, chyba tak.

— Co tam słyhać u Kate?

— Wszystko w porządku.

— Trochę się o nią martwiłem. Już od dawna zamierzałem porozmawiać z panią na ten temat.

— Co pana trapi?

— Może pani wejdzie? W tym miejscu trudno mówić. Poprowadził mnie ścieżką do frontowych drzwi, które stały otworem. Zauważyłam, że ogród wygląda pięknie.

— To moja duma. Przynajmniej mam jakieś zajęcie po wystąpieniu z wojska.

— Pewnie niełatwo panu przystosować się do życia w cywilu. Pan już dość długo jest na emeryturze?

— Tak, ale w gruncie rzeczy człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczaja.

— Potrafię to sobie wyobrazić.

Weszliśmy do dość dużego salonu z dębowym belkowaniem pod sufitem, wielkim kominkiem i oknami o małych szybkach.

— Śliczny dom...

— Tak, Tudorom wprawdzie daleko do elegancji ich następców, ale przynajmniej udało im się stworzyć pewną atmosferę. Proszę usiąść.

Usiadłam na kanapce blisko okna.

— Wygodnie tam pani? Zapewniłam go, że bardzo wygodnie.

— Co pana martwi u Kate?

— Najpierw przyniosę pani kieliszek wina. Przy winie zawsze przyjemniej się rozmawia.

— Dziękuję... Wolalabym nie...

— Ależ nalegam! Musi pani spróbować, jest bardzo dobre. Chowam je na specjalne okazje.

— I to jedna z nich?

— Tak, bo od dawna chciałem z panią porozmawiać i podziękować za wszystko, co robi pani dla Kate.

— Widzę, że bardzo ją pan kocha. W końcu to pana krew... Pokiwał głową i dalej mnie namawiał:

— Chociaż mały kieliszek...

— Dobrze... ale naprawdę mały.

Przyniósł mi wino, a potem nalał także sobie.

— Pani zdrowie, panno Cranleigh. Z moim najszczerzym podziękowaniem.

— Och, pan robi z tego taką wielką sprawę. A dziecko wymaga tylko nieco zrozumienia...

— Tyle osób próbowało i dopiero pani zdjęła nam ten kłopot z głowy. Właśnie za to jestem pani taki wdzięczny. Mirabel, moja córka, powiedziała mi niedawno: „Odkąd pojawiła się panna Cranleigh, Kate jest jak odmieniona”.

— Więc czym się pan martwi?

— O tym właśnie chcę pogadać. Co pani sądzi o winie? Wypiłam kolejny łyk.

— Bardzo przyjemne w smaku.

— No to proszę wypić do dna. I skusić się na drugi kieliszek. Mówiłem, że jest wyjątkowe.

W tym momencie przed domem rozległy się kroki. Major wyglądał na zaskoczonego.

— Dada, to ja! — usłyszałam dobrze znany głos. — Jest u ciebie Rosetta, widziałam, jak wchodziła.

Odstawiłam kieliszek na stolik.

— Co tu robisz? — zawołała. — Śledziłam cię, choć mnie nie widziałas. Prawda, że nie widziałas? Trzymałam się z tyłu i skradałam się za tobą. Potem zobaczyłam, jak rozmawiasz z Dada i wchodzisz... Pijecie wino.

— Tak — odrzekł major i chociaż się uśmiechał do wnuczki, zauważyłam na jego twarzy cień zniecierpliwienia.

To całkiem zrozumiałe, chciał porozmawiać ze mną na osobności i w dodatku o niej, co w tej sytuacji okazało się niemożliwe.

— Cóż... wejdź i usiądź przy panie Cranleigh.

Ujął ją za ramię i doprowadził do kanapki. Nie jestem pewna, co stało się potem, gdyż patrzyłam na Kate, bardzo uszczęśliwioną, że mnie przyłapała. A kiedy usiadła, kieliszek był stłuczony i wino ściekało na dywan.

— Do diabła! — wyrwało się majorowi.

— Och! — wykrzyknęła dziewczynka. — Ty klniesz?!

— Musicie mi wybaczyć. To było bardzo specjalne wino i zależało mi na zdaniu panny Cranleigh.

— Dla mnie to nie takie ważne — powiedziałam pojednawczym tonem. — Nie znam się na winach.

— A ty, Dada, nie powinieneś kłąć. Twój anioł stróż zapisze wszystko w swojej książeczce i kiedyś za to odpowiesz.

— Jeśli tylko za to odpowiem, to nie mam powodu do zmartwienia. Zresztą ty i tak się za mną wstawisz.

Kate roześmiała się i spojrzała na potłuczone szkło. Pochyliłam się, żeby je pozbiierać, ale major mnie powstrzymał.

— Proszę tego nie ruszać. Te drobne kawałeczki mogą być niebezpieczne. Potem każę posprzątać, a tymczasem podam pani inny kieliszek.

Przeniosłyśmy się z Kate na podokienną ławeczkę, z daleka od okruchów szkła. Dziewczynka zaczęła się przymilać, żeby jej także nalać wina.

— Wino nie jest dla dzieci — odrzekł major.

— Och, Dada, nie bądź taki surowy!

— No dobrze, tylko jeden łyk. Widzi pani, jak mnie bierze pod włos?

— A ty nie umiesz mi się oprzeć, prawda, Dada?

— Jesteśmy jak wosk w rączkach takich czarodziejek. Kate była w siódmym niebie.

Pół godziny później wyszłyśmy. Kiedy wracałyśmy do Perrivale Court, nie mogłam powstrzymać ziewania.

— Co z tobą? — spytała Kate. — Wyglądasz, jakbyś zaraz miała zasnąć.

— To dlatego, że tak się trudzę, żeby utrzymać cię w karbach.

— Wcale nie. To przez wino. Zawsze mówiłaś, że po winie robisz się śpiąca.

— Masz rację. Tak właśnie na mnie działa.

— Więc po co piłaś?

— Twój dziadek bardzo nalegał.

— Wiem — odparła ze śmiechem.

* * *

Zbliżało się południe. Właśnie zakończyłyśmy lekcje i wybierałyśmy się z Kate do ogrodu. Byłyśmy już w holu, kiedy nadszedł major.

— Dzień dobry, moje drogie. Miło was widzieć. Akurat wychodzicie, tak?

— A ty do starszej lady Perrivale? — zapytała Kate.

— Owszem, ale cieszę się, że i was spotkałem. Wasza wizyta sprawiła mi wielką przyjemność. Musicie odwiedzić mnie znowu.

— Jasne — zapewniła go Kate.

— Razem z panną Cranleigh.

— Oczywiście — odrzekłam. — Dziękuję.

W tym momencie w drzwiach stanął stajenny z Trecorn Manor.

— O, panna Cranleigh! Mam dla pani wiadomość. Pan Lucas wrócił i pyta, czy pani może dziś się z nim spotkać. O wpół do trzeciej w „Królu Żeglarzy”.

— Tak, przyjadę. Jak on się czuje?

— Kuruje się jeszcze.

— Och, to dobrze.

Kiedy posłaniec odszedł, Kate rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie.

— Znowu cię nie będzie! Ciągłe jeździsz do tego „Króla Żeglarzy”.

— Tylko w wolnym czasie, moja droga.

— Istna poganiaczka niewolników — zaśmiał się major. — Kate, nie możesz więzić panny Cranleigh. Nie chciałabyś przecież, żeby ciebie tak traktowano. Jeszcze gotowa stąd uciec... No, na mnie już czas. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Au revoir.

I poszedł na górę.

— Ale ty naprawdę wciąż chodzisz do gospody — burknęła Kate.

— Muszę się czasem spotkać z przyjaciółmi.

— A dlaczego beze mnie?

— Bo nie jesteś zaproszona.

— To żaden powód.

— Przeciwnie, to najlepszy z możliwych powodów.

Dąsała się przez cały spacer, ale niewiele mnie to obeszło. Mogłam myśleć tylko o spotkaniu z Lucasem.

* * *

Wyszłam z domu tuż przed drugą. Do gospody miałam najwyżej dwadzieścia minut jazdy. Mogłam iść pieszo, ale chciałam przegonić Goldie, a jazda konna sprawiała mi przyjemność. W dodatku dzięki temu zyskiwałam na czasie, no i Lucas mógł mnie potem odprowadzić.

Było pogodne popołudnie, leciutki wiaterek muskał korony drzew. W pobliżu, jak zwykle o tej porze, nie widać było żywego ducha. Wybrałam drogę wzdłuż wybrzeża i dopiero po pewnym czasie skręciłam w głąb łądu. Musiałam przejechać przez niewielki zagajnik; choć drzewa rosły tam dość gęsto, nie zasługiwał na miano lasu. Zawsze bardzo lubiłam przeciskać się przez jego kręte i wąskie ścieżki.

Czasu miałam w sam raz; powinnam być na miejscu dziesięć minut przed wpół do trzeciej.

Nie wiem, czy można to nazwać przecuciem niebezpieczeństwa, ale zaledwie wjechałam między drzewa, zrobiło mi się dziwnie nieswojo. Miałam wrażenie, że dzieje się coś złego, że ktoś mnie śledzi. Tajemnicza sprawa, bo zwykle przejeżdżałam tędy bez zastanowienia.

Nagle trzasnęła gałązka, a w gęstwinie coś zaszeleściło. Pewnie jakieś zwierzątko... takie odgłosy to przecież nic nowego, dotąd nie zwracałam na nie uwagi, dziś jednak byłam w jakimś wyjątkowym nastroju.

Wiedziałam, w czym rzecz. Felicity mnie ostrzegała: „To, co robisz, jest niebezpieczne”. Lucas powtarzał to samo. A jeśli Tristan się domyśla? Może mnie obserwuje tak samo, jak ja jego?

Kto ma nieczyste sumienie, zawsze musi mieć się na baczności.

— Dalej, Goldie! — poganiałam klacz. — Szybciej!

Nagle uświadomiłam sobie, że w lasku jest ktoś jeszcze... i to bardzo blisko. Z tyłu dobiegł mnie tętent kopyt. W pierwszym odruchu chciałam spiąć Goldie do galopu, w takim gąszczu nie było to jednak możliwe.

— Dzień dobry — odezwał się tuż za mną znajomy głos. — Czyżby panna Cranleigh?
To był major.

— Ależ mam szczęście! Tak chciałem panią spotkać, i proszę!

— Och... — odetchnęłam z ulgą. — Właśnie się zastanawiałam, kto to może być. Zwykle o tej porze nikogo się tu nie spotyka.

— Wszyscy odbywają poobiednią drzemkę... czy sjęstę, jak to teraz nazywają.

— Pewnie tak.

— Właśnie na spotkaniu z panią najbardziej mi zależało. Naprawdę musimy pogawędzić.

— O Kate?

— Tak. Ostatnio nam przeszkodziła, akurat kiedy miałem zacząć...

— Coś pana gnębi, prawda? — Tak.

— Ale co? Uważam, że dobrze jej idzie...

— Trudno mi krzyczeć z daleka. Może usiądziemy na chwilę na tamtym zwałonym pniu?

— Mam mało czasu.

— Wiem, słyszałem, jak pani się umawiała. Ale to zajmie najwyżej pięć minut.

Zsiedliśmy z koni.

Podszedł do mnie blisko i ująwszy mnie za ramię, poprowadził w stronę pnia.

— Więc co pana tak martwi?

Jego twarz znalazła się tuż przy mojej.

— Pani.

— Co to ma znaczyć?

— Po cóż to się jeździło do pani Campden?

— Do pani Campden...

— Z Malton House w Bayswater.

Zrobiło mi się zimno ze strachu. Nie odpowiedziałam.

— Nie ma sensu zaprzeczać. Ma pani bardzo piękne włosy. Taki niezwykły kolor bardzo rzuca się w oczy. Od razu się domyśliłem. I co naprawdę robi pani w Perrivale? Bo nie jest pani żadną guwernantką, tylko wścibską młodą kobietą.

Jedną ręką wyjął z kieszeni postronek, a drugą przycisnął mnie twarzą do drzewa. Przez chwilę zastanawiałam się, po co, aż nagle zaświtała mi straszliwa prawda.

Szukałam mordercy i oto go znalazłam. Znalazłam, ale po to, aby zostać jego następną ofiarą.

Marynarz... Cosmo... Simon... Teraz nadeszła moja kolej.

— Sama pani jest sobie winna — ciągnął major. — Nie chciałem tego, naprawdę. Robię to z wielką przykrością. Kate będzie zrozpaczona... I po co było wywoływać wilka z lasu?

Niezrozumiała nadzieja wstąpiła w moje serce. Skoro zamierzał mnie zabić, czemu tego dotąd nie zrobił? Po co te wyjaśnienia? Zupełnie jakby starał się odwlec swój czyn. Mówił prawdę — rzeczywiście nie chciał tego, uważał jednak, że tak trzeba, gdyż był już wplątany w łańcuch zbrodni.

— Zrobi pan ze mną to samo, co z marynarzem... Zabije mnie pan, a potem zrzuci z klifu, tak? Kate mi opowiedziała o tym człowieku. Teraz wszystko rozumiem.

— Rozumie pani, rozumie... o wiele za dużo. Wiem, co się wydarzyło: to Harry Tench, prawda? On wszystko wyklepał. Och, panno Cranleigh, dlaczego musiała się pani w to wtrącać?

Nagle usłyszałam, że Goldie uciekła, i poczułam okropny strach. Mój prześladowca zaczynał sobie uświadamiać, że traci czas. Pewnie przypomniał mu się Lucas, który na próżno czekał na mnie w gospodzie.

Zręcznym ruchem uwolnił rękę. Potrzebował obojgu, żeby mnie udusić. Próbowałam odskoczyć w bok, ale okazał się silniejszy.

Już za chwilę...

Nie, to niemożliwe. Przecież mi się udało, znalazłam mordercę! Nie zamierzałam pozwolić, aby mój sekret poszedł wraz ze mną do grobu. Muszę się wyrwać i dotrzeć do gospody.

Modliłam się w duchu do Lucasa... do Simona... do Boga.

Muszę im powiedzieć. Muszę ratować Simona...

Lucas na mnie czeka...

Określił mi szyję postronkiem. Jakimś cudem udało mi się wetknąć pod niego oba kciuki i osłabić w ten sposób ucisk. Podniosłam nogę i wierzgnęłam do tyłu...

Miałam szczęście; morderca się tego nie spodziewał. Wydał okrzyk bólu i postronek wypadł mu z rąk. Dzięki temu zyskałam dwie sekundy i wykorzystałam je — udało mi się wyrwać; byłam zwinna z natury, a teraz walczyłam o życie.

Najważniejsze to wydostać się z lasku. Instynktownie wiedziałam, że major nie ośmieli się zaatakować mnie na otwartej przestrzeni. Ktoś mógłby go zauważyć.

Dalej więc! Morderca ruszył za mną, w pełni świadom, że musi mnie dopaść, zanim wybiegnę z zagajnika.

Słyszałam za sobą jego kroki. Wciąż zaczępiałam o gałęzie, ale mimo to wyprzedzałam go trochę. Gdybym tylko odnalazła Goldie... Gdybym mogła wskoczyć na siodło...

Drzew było coraz mniej — już niedaleko. Uda mi się!

Nadał słyszałam za sobą ciężki oddech mordercy. Nie jest już młody, pomyślałam z radością, mam nad nim przewagę!

Lucasie, miałeś rację! Powinnaś bardziej uważać. Przygoda z winem była pierwszą przestrożą. Oczywiście, że major chciał mnie uspić, a potem zrzucić z klifu, tak jak to zrobił z mężem Mirabel. Otrzymałam ostrzeżenie, okazałam się jednak zbyt ślepa... Mimo to znalazłam mordercę, chociaż omal nie przyplącałam życiem swego sukcesu.

Wypadłam z zagajnika, ale nie odważyłam się zatrzymać. Pędziłam dalej, co sił w nogach. Kiedy wreszcie zerknęłam do tyłu, okazało się, że nikt mnie nie goni.

Uciekłam! A z naprzeciwka nadjeżdżał galopem Lucas.

— Lucas... — wysapałam z wysiłkiem. — Lucas...

Zeskoczył z siodła, porwał mnie w ramiona i trzymał w ciasnym uścisku.

— Rosetto... ukochana... Co się stało?

— Znalazłam go, Lucasie... Znalazłam... Chciał mnie zabić.

— Co takiego?

— Śledził mnie w zagajniku. Chciał mnie udusić... a potem zrzucić z klifu tak jak marynarza.

— Lepiej opowiedz mi całą historię. Myślałem, że miałaś wypadek, bo Goldie przybiegła sama do gospody.

— Goldie... No tak, uciekła.

— Właśnie się za tobą rozglądałem, kiedy ją zobaczyłem. Zmierzała prosto do stajni.

— Pocziwa, stara Goldie.

— Pojadę z tobą do domu.

— Nie, nie, muszę ci najpierw powiedzieć. Jest tak mało czasu... a może w ogóle go już nie ma.

— Jesteś półprzytomna. Co się właściwie stało? I kto...

— Jedźmy do gospody. Powiemy, że spadłam z konia, na razie nie chcę, żeby wiedzieli.

— Kto to był, Rosetto?

— Major Durrell.

— Co?!

Przyłożyłam rękę do szyi.

— Miał postronek... Chciał mnie nim udusić, owinął mi szyję. Myślałam, że już po mnie, ale... jakoś mi się udało wyrwać i uciekłam. Nie mógł mnie dogonić... biegam znacznie szybciej.

Lucas patrzył na moją szyję.

— Masz siniaki. Rosetto, na Boga, o co tu chodzi?

— Wszystko ci opowiem. Znalazłam odpowiedź... tak myślę. Moje wysiłki nie poszły na marne.

Usiadłam za nim i ruszyliśmy do gospody. W głowie miałam taki mętlik, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Trzęsłam się cała, ale coś trzeba było zrobić, i to szybko. Potrzebowałam pomocy Lucasa.

— Nic nie mów, póki nie dojedziemy na miejsce. Przyda ci się kieliszek mocnej brandy. Cała drżysz, Rosetto.

— Wiesz, nie każdego dnia ktoś mnie morduje.

Z gospody wybiegła żona właściciela, a za nią jej mąż.

— Odchodziłam już od zmysłów! — wołała. — Kiedy zobaczyłam tego konia bez pani...

— Dziękuję za troskliwość — odrzekłam. — Nie bardzo się potłukłam.

— Zabierzmy pannę Cranleigh do środka. I prosimy o brandy, to jej powinno dobrze zrobić — powiedział Lucas.

— Z pewnością — poparł go właściciel gospody.

— Cieszę się, że widzę panią w jednym kawalku — trajkotała jego żona. — Ale ta Goldie... Nigdy bym nie powiedziała, że wytnie taki numer. A potem przychodzi jak gdyby nigdy nic...

— Dobrze, że tu trafiła — przerwał jej Lucas.

— Po prostu łut szczęścia.

Podano brandy i nareszcie zostaliśmy sami.

— Zacznę od początku. Byłam nieostrożna... powinnam się czegoś domyślić. — Opowiedziałam mu o winie. — Zamierzał mnie uśpić, a potem zrzucić z klifu jak tego marynarza, który niewątpliwie był mężem Mirabel i mógł zniweczyć jej szanse na Perrivale. Ale pojawiła się Kate i wszystko mu popsuka. Dziś rano zaś przyjechał twój posłaniec i major słyszał, jak przekazuję wiadomość dla ciebie.

— Dużo ryzykował.

— Tak, z winem poszłoby mu łatwiej, chyba uznał jednak, że musi się śpieszyć. Pamiętam, że wczoraj, kiedy przyszła Kate, był wyraźnie niezadowolony. — Następnie zdałam mu relację z naszej wizyty u Ady Ferrers i z tego, cośmy dzięki niej odkryły. — Ale to wizyta w Malton House omal mnie nie zgubiła. Niestety napomknęłam tam coś o pani Parry...

Lucas wstrzymał oddech.

— Od razu wiedziałam, że palnęłam głupstwo. Ta kobieta mnie zaskoczyła... więc byłam w kłopotcie. Przecież chciałam tylko rzucić okiem na ten dom, a tymczasem wpadłam po same uszy. Major musiał dobrze znać właścicielkę, dlatego wysłał do niej Mirabel. Domyślił się, że wpadłam na jego trop, i postanowił się mnie pozbyć.

— Więc uważasz, że to on zabił Cosma?

— Tak.

— Zdawało mi się, że wcześniej typowałaś Tristana?

— Nie wiem, czy i on nie maczał w tym palców. Och... przecież major wspomniał coś o Harrym Tenchu. To jego z początku podejrzewano... ale policja szybko go uwolniła. Nienawidził Cosma, bo ten wyrzucił go z domu na farmie. Oczywiście ów Tench mógł być świadkiem morderstwa.

— Jak to?

— Bo zbrodnię popełniono w Bindon Boys, a Harry Tench tam sypiał. Odkąd utracił swój dom, zamieszkał w opuszczonej ruderze. Lucasie... musimy jak najszybciej do niego dotrzeć.

— Najpierw odwiozę cię do Trecorn. Nie wrócisz już do Perrivale, to po pierwsze.

— Nie, Lucasie. Nie miałabym chwili spokoju. Muszę porozmawiać z Tenchem i chcę, żebyś ze mną pojechał.

— Kiedy?

— Zaraz... w tej chwili. Kto wie, czy nie jest za późno.

— Moja droga Rosetto! Przed chwilą omal nie straciłaś życia. Jesteś w głębokim szoku.

— Później się tym zajmę. Teraz muszę pomówić z Tenchem i wiem, że to sprawa największej wagi.

— Myślisz, że nic ci nie będzie...?

— Będzie, jeśli tego nie zrobię. Zadręczyłabym się na myśl, co się może stać. Może major już go dopadł.

— Sam tam pojedę.

— Nie, Lucasie, to moja sprawa. Jaja rozpoczęłam i chcę być przy zakończeniu. Mam nadzieję, że to już koniec.

Widział moją determinację, więc wreszcie ustąpił i ruszyliśmy razem do Bindon Boys.

* * *

Wsiadałam na Goldie jeszcze nieco roztrzęsiona, ale perspektywa dalszych odkryć pomogła mi się pozbierać.

Rudera na farmie wyglądała jeszcze gorzej niż przedtem. Zsiadłszy z koni, zobaczyliśmy, że drzwi są uchylone. Zasuwa zniknęła już dawno. Czułam na plecach zimny dreszcz; wciąż miałam przed oczami Cosma, który przyjechał tu po własną śmierć. Sama przed chwilą poznałam, co to znaczy. Owszem, wtedy na morzu także, ale walka z żywiołem to coś całkiem innego niż z mordercą.

Przez brudną szybę błysnął promień słońca, oświetlając pajęczyny i kupkę śmieci na podłodze.

— Jest tam kto? — krzyknął Lucas.

Głos odbił się echem, lecz odpowiedzi nie było.

Wskazałam na schody i Lucas skinął głową.

Na górze zobaczyliśmy troje drzwi. Pierwsze prowadziły do pustego pomieszczenia. Dopiero za następnymi znaleźliśmy Tencha: leżał na stercie łachmanów, osłaniając ręką twarz, jakby przed ciosem.

— Witaj, Harry — odezwał się Lucas. — Nie bój się, chcemy tylko porozmawiać.

Podniósł głowę i oparł się na łokciu. Był brudny, rozczochrany i bardzo wychudzony. Zrobiło mi się go żal.

— Czego chcecie? — burknął.

— Tylko kilka słów.

Milczał, wyraźnie oszołomiony.

— Chodzi o dzień, w którym zginął pan Cosmo Perrivale.

Teraz Harry wystraszył się na dobre.

— Nic nie wiem. Nie było mnie tutaj. Ja tego nie zrobiłem. Mówiłem im, że nie zrobiłem.

— Wiemy, Harry — odrzekłam. — Wiemy, że to major.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

— Tak — dodał Lucas. — Nie musisz już dłużej go kryć.

— Harry, co o tym wiesz? — spytałam łagodnie.

— Zabrali mi dom, nie? A tu nikomu tu przeszkadzam, to miejsce stało puste od trzech miesięcy...

— Postąpili okrutnie. I dlatego zamieszkałeś tutaj.

— Bo nie miałem gdzie, a tu... przynajmniej dach nad głową. Nagle postanowili to odbudować. Ale zostałem... na razie.

— Oczywiście. Tamtego dnia także tu byłeś?

Nie odpowiedział.

— Wszystko w porządku, teraz już możesz mówić — przekonywałam go. — Major sam się przyznał, więc to nie ma znaczenia.

— Był dla mnie dobry. Gdyby nie on, nie dałbym rady...

— Zapłacił ci za milczenie?

— Kazał trzymać gębę na kłódkę, to nic mi się nie stanie. Bo inaczej mnie zabije... oczywiście, żartował, jak to on... — Uśmiechnął się; najwyraźniej major nawet jego zdołał oczarować.

— Harry, opowiedz nam, co się zdarzyło tamtego dnia — poprosiłam.

— Ale...

— Tak. Major wie, że ja wiem, więc możesz swobodnie mówić.

— Na pewno? — powtórzył jeszcze raz.

— Na pewno.

— Chcę zostać sam.

— I zostaniesz, kiedy nam powiesz.

— Ja tego nie zrobiłem.

— Wiem. Nikt nie mówi, że zrobiłeś.

— Wypytywali mnie.

— Przecież cię uwolnili. Wiedzieli, że jesteś niewinny.

— Nie powiedziałem im, co widziałem.

— Ale nam powiesz.

Harry podrapał się w głowę.

— Pamiętam ten dzień. Nigdy go nie zapomnę. Czasem mi się śni... Byłem tu, kiedy to się stało. Nie umiem wypchnąć tego z głowy.

— Tak, oczywiście.

— Byłem tu. Nie wiedziałem, kiedy mają przyjść mierzyć i tak dalej. Ale zawsze miałem dość czasu, żeby się wymknąć tylnymi schodami.

— Usłyszałeś, jak wchodził pan Cosmo, tak?

— Nie, pierwszy przyszedł major. Dlatego nie uciekłem od razu. Myślałem, że to jeden z tych, co mierzą, majora się nie spodziewałem.

— Co on zrobił?

— No... poszedł prosto do piwnicznych drzwi. Otworzył je i wszedł... Zastanawiałem się, po co. Nie zszedł do piwnicy, tylko zaczął się za drzwiami. Nagle zjawił się pan Cosmo. Nie padło ani jedno słowo. Zobaczyłem otwarte drzwi do piwnicy i majora. Podniósł strzelbę i wypalił do pana Cosma.

— A potem?

— Pan Cosmo upadł, a major położył obok niego broń. Stałem na górze i zastanawiałem się, co robić, kiedy wszedł pan Simon. Majora już wtedy nie było. Pan Simon podniósł broń... i tak zastał go pan Tristan. Był bardzo zdenerwowany, pan Simon zresztą także. Pan Tristan zaczął krzyczeć, że zabił mu brata, ale pan Simon powiedział, że znalazł go już martwego. Pomyślałem, że czas na mnie... no i uciekłem tylnymi schodami.

— Więc byłeś świadkiem zbrodni — podsumował Lucas.

— A major? — spytałam. — Jak się dowiedział, że wszystko widziałeś?

— Bo mnie zauważył, jak stałem na podeście. Nie dał mi tego poznać... przynajmniej nie od razu, dopiero później. Nie byłem wtedy w Bindon, tylko u Chiversów. Stary Chivers pozwolił mi spać w szopie, a major dał mi pieniądze i powiedział, że mnie zabije, jak pisnę słówko policji. Stary Chivers był dla mnie dobry. Wiedziałem, że muszę sobie coś znaleźć, już wtedy, kiedy zaczęli roboty w Bindon... ale potem przerwali.

— Harry — odezwał się Lucas — powtórzysz to wszystko policji?

Tench cofnął się gwałtownie.

— Nie chcę z nimi gadać.

— Ale będziesz. Musisz.

Potrząsnął głową.

— To twój obowiązek.

Twarz mu się skurczyła.

— Nic złego ci nie zrobią — przekonywał go Lucas. — Posłuchaj no, zeznasz wszystko na policji, a ja zapytam mojego brata, czy nie znalazłby dla ciebie pracy w swojej posiadłości. Może mógłbyś od czasu do czasu pomagać okolicznym farmerom. Na pewno jakaś robota się znajdzie, no i dach nad głową.

Harry popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Tylko nie myśl — ciągnął Lucas — że to ma coś wspólnego z tamtym. Przykro mi, że straciłeś dom. Tak czy inaczej pomówię z bratem, ale proszę... bardzo proszę, żebyś teraz poszedł z nami na policję.

— Bo jak nie, to nici z tego nowego miejsca?

— Nic takiego nie powiedziałem. Spróbuję je dla ciebie znaleźć, bez względu na to, co postanowisz. Kiedy mój brat usłyszy, jak dobrze postąpiłeś, to zrobi, co w jego mocy. Obiecuję ci to, ale naprawdę powinieneś pójść na policję.

— Musimy im powiedzieć o tym, co nam wyznałeś — dodałam. — To nasz obowiązek. Widzisz, o tę zbrodnię oskarżono niewinnego człowieka, więc to oczywiste. Policja cię przesłucha, powiesz im prawdę... Inaczej sam stałbyś się przestępcą.

— Nie jestem żadnym przestępcą! — zdenerwował się Tench. — Nie zrobiłem nic złego, to major, major strzelał.

— Tak, wiemy. I gdy cię zapytają, powiesz im całą prawdę.

— Kiedy mam iść?

— Najlepiej zaraz — odrzekł Lucas.

— Nie mogę.

— Owszem, możesz. Pojedziesz ze mną na koniu, i to natychmiast.

Miał rację! Musimy tam dotrzeć, zanim major dopadnie Harry'ego. Ciekawe, co też zamierzał teraz, po nieudanym zamachu na moje życie?

— No dobrze — zdecydował się Harry.

Powrót

Miesiące, które nastąpiły później, wspominam jako jedne z najkoszarniejszych w moim życiu. W Perrivale Court spotkało mnie wiele przykrych chwil, lecz wiedziałam, że w dużej mierze zawdzięczam to sobie samej, choć kierowała mną chęć oczyszczenia z zarzutów niewinnego człowieka.

Zaraz po nieudanym ataku na moje życie major wrócił do Wdowiego Domku i popełnił samobójstwo.

Kiedy uciekłam z zagajnika, zniszczyłam to życie, które z takim trudem budował sobie przez wiele lat. Był nawet gotów popełnić kolejne morderstwo, aby to utrzymać. Patrząc wstecz i widząc wszystkie kawałeczki łamigłówek na swoich miejscach, rozumiem całe wyrafinowanie jego pierwotnego planu, według którego miał mnie uspić i zrzucić z klifu. Ironia losu polegała na tym, że ów zamiar zniweczyła właśnie ukochana wnuczka. Wszystko spaliło na panewce przez czysty zbieg okoliczności. Kate widziała, jak wychodziłam z domu, i postanowiła mnie śledzić. Gdyby tego nie zrobiła, moja śmierć stanowiłaby kolejną niewyjaśnioną zagadkę.

Drugie podejście nie było już tak sprytnie, ale musiał się śpieszyć. Nie mógł zostawić mnie przy życiu, obawiał się, że wszystko opowiem Lucasowi. Ze swymi intencjami zdradziłam się ostatecznie, odwiedzając Malton House. Morderca wpadł w panikę i postanowił się mnie pozbyć, zanim dotrę do „Króla Żeglarzy”. Był przekonany, że to Harry Tench go wydał.

Często się zastanawiałam, co by major zrobił, gdyby mu się udało. Ukryłby moje ciało w zagajniku... pozwolił koniowi uciec? A może zrzuciłby Goldie ze skały, żeby upozorować wypadek? Miał pecha, bo klacz uciekła do gospody, którą tyle razy odwiedzała wraz ze mną.

Przy okazji wyszło na jaw wiele ciemnych spraw z życia majora, co dla rodziny z Perrivale Court okazało się nadzwyczaj przykre, gdyż zarówno córka, jak wnuczka darzyły go ogromną miłością. Był zresztą powszechnie lubiany, co tylko dowodzi złożoności natury człowieka, który potrafił mordować z zimną krwią, a jednocześnie opiekował się czule bliskimi. Całe jego życie opierało się na fantazji; wbrew temu, co wszystkim sugerował, nigdy nie uzyskał stopnia majora. Służył w korpusie aprowizacyjnym jako starszy sierżant i został zwolniony z powodu podejrzanych transakcji w magazynach. Ledwie wtedy uniknął więzienia. Był nieprzeciętnym człowiekiem o wielkiej charyzmie i powinien odnieść sukces. Ten oddany mąż i ojciec tak wielką wagę przykładał do zapewnienia dobrobytu swej córce, że dla osiągnięcia celu zdecydował się nawet na morderstwo.

Sporo informacji drukowała prasa, o niektórych sprawach dowiedziałam się później. Major zostawił we Wdowim Domku list. Bardzo mu zależało, aby w żaden sposób nie obciążano jego córki ani nikogo z jej rodziny. Przyznał się do wszystkiego.

Wiedząc, że w tamtym dniu Cosmo wybierał się do Bindon Boys, postanowił się na niego zacząć. Cosmo musiał zginąć, gdyż odkrył zdradę Mirabel, co groziło zniweczeniem tak starannie obmyślanych planów. Poza tym lady Perrivale, która uważała Durrella za swego największego przyjaciela, wyznała mu, że sir Edward przyznał się do popełnienia bigamii. Możliwość obciążenia Simona winą za morderstwo przyrodniego brata wydała się majorowi wręcz cudowną okazją do usunięcia ze sceny prawowitego dziedzica, który mógłby zagrozić przyszłości Mirabel.

To dzięki samej Mirabel zrozumiałam większość tych spraw, ponieważ w ciągu następnych miesięcy bardzo się do mnie zbliżyła. Starsza lady Perrivale, wstrząśnięta śmiercią przyjaciela, kilka dni później dostała ataku serca i zmarła. W tej sytuacji Maria wróciła do Yorkshire i w domu nastąpiły duże zmiany. Zresztą nie tylko starszą panią zasmuciła śmierć majora; Kate była

kompletnie załamana i tylko ja mogłam jej pomóc. Znalazłam się w ścisłym kręgu rodziny, a kiedy prasa podała do publicznej wiadomości prawdę, Mirabel w rozmowie ze mną zdawała się szukać pociechy.

Niczego już nie udawała, stała się bardzo pokorna. To wszystko jej wina. Tak strasznie pogmatwała swoje życie... Ojciec pragnął dla niej tak wiele... Wszystko by dla niej zrobił.

Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy wyszła za Steve'a Tallona. Wcześniej, jeszcze podczas swej służby wojskowej, ojciec oddał ją na naukę zawodu do modystki, uważając widocznie, że zapewni córce w ten sposób przyzwoity status. Ale ona nie mogła znieść takiego życia.

— Zupełnie jak w klatce — opowiadała. — Razem z trzema innymi dziewczynami przez długie godziny przy robocie... Żadnej swobody. Boże, jak ja nienawidziłam samego widoku kapeluszy! I pewnego dnia, kiedy odnosiłam zamówienie, poznałam Steve'a. Prawie nie miałyśmy innej okazji do widywania ludzi. Wymykałam się nocami na spotkania, dziewczyny mi pomagały... Zawsze to jakiś sposób na nudę. Byłam uparta i strasznie głupia. Myślałam, że jeśli za niego wyjdę, to będę wolna... Steve miał tylko rok więcej niż ja, więc ojciec był strasznie niezadowolony. Miał rację... Biedny Steve. A przecież się starał. Pracował w odlewni, mieliśmy mało pieniędzy... szybko się przekonałam, jak wielki błąd popełniłam. Rok po naszym ślubie w odlewni zdarzył się straszny wypadek i Steve zginął. Musiałam być bardzo nieczuła, bo w pierwszej chwili pomyślałam tylko: „Nareszcie wolna!”

A potem... zatrudniłam się w trupie tanecznej. Występowaliśmy w londyńskich teatrzykach. Raz na wozie, raz pod wozem... Marzyłam, że w końcu kogoś poznam... bogatego mężczyznę, który zapewni mi życie w luksusie. To stało się moim głównym celem. No i trafił się taki jeden... uwierzyłam mu. Obiecał się ze mną ożenić, ale kiedy okazało się, że jestem w ciąży z Kate, dał drapakę i tyle go widziałam. Wszystko się pogmatwało. Wtedy pojawił się Tom Parry. Ten akurat palił się do żeniaczki, a ja uznałam to za jakieś wyjście... ze względu na dziecko. Zdaje się, że mam prawdziwy talent do wpadania z deszczu pod rynnę. Po pewnym czasie znienawidziłam męża. — Przymknęła oczy, jakby chciała odciąć się od wspomnień. — Rosetto, to był koszmar. Te obskurne pokoje... Cierpłam cała, kiedy wracał z morza. Strasznie dużo pił. Po urodzeniu Kate wróciłam do trupy. Wymyśliłam sobie, że jeśli dam radę się utrzymać, to uciekniemy. Często zostawiałam Kate samą i nie wracałam do późnych godzin. Nagle pojawił się ojciec... wyrzucili go z wojska. Trochę się nam poprawiło, bo miał jakieś oszczędności. Poczułam się spokojniejsza, ale kiedy wracał Tom... na szczęście rzadko go puszczała. Kate rosła i w końcu dłużej nie mogłam tego znieść. Ojciec powiedział, że musimy znaleźć jakiś sposób, żeby zapewnić jej lepsze życie... albo i nam wszystkim.

Wpadł mu do głowy pomysł wyjazdu do Kornwalii. Przypomniał sobie Jessicę Arkwright, która została lady Perrivale. Kiedyś przyjaźniła się z moją matką i podobno bardzo lubiła ojca.

Powiedział, że moglibyśmy wyruszyć od razu, ale lepiej wszystko starannie zaplanować. Musimy zyskać pewność, że Tom Parry nas nie odnajdzie. Miałam zmienić nazwisko na Blanchard. Czemu nie: zamiast Mirabel Parry będę Mirabel Blanchard... No i tak znaleźliśmy się tutaj.

Wszystko się zmieniło. Lady Perrivale okazała nam tyle życzliwości! Dogadzała mi na każdym kroku, a obaj jej synowie też mnie polubili. Ojciec koniecznie chciał mnie wydać za Cosma. To było dla niego jak fantastyczny sen: zostałabym panią na Perrivale, po śmierci sir Edwarda otrzymałabym tytuł... Po prostu bajka. Ale oczywiście był jeszcze Tom Parry. Ojciec powiedział, że musimy o nim zapomnieć. Tak jakby nigdy nie istniał.

— I ty się zgodziłaś? Skinęła głową.

— Byłam zdesperowana. Zrobiłabym wszystko, by od niego uciec... I nagle przyjechał nas szukać. Naprawdę wierzyłam, że przez przypadek spadł ze skał. Zawsze za dużo pił, więc

wydawało się to prawdopodobne. Nigdy by mi przez myśl nie przeszło, że mój ojciec mógł coś takiego zrobić. Był taki dobry i łagodny... każdy to potwierdzi.

— Wiem.

— Nawet wtedy wszystko zepsułam. Bo widzisz, Rosetto, ja od początku kochałam Tristana. Tylko jego. On czuł to samo i nic nie mogliśmy poradzić. Kochaliśmy się i zaszłam w ciążę. Musiałam pojechać do tego koszmarnego domu... Mój ojciec wszystko załatwił, znał właścicielkę. Ale Cosmo się dowiedział, a że był z natury mściwy i gwałtowny, nie mógł darować takiej zdrady. Zagroził, że nas zrujnuje. Chciał puścić Tristana z torbami. Oświadczył, że możemy się pobrać, skoro chcemy, potem jednak fora ze dwora. I wtedy... to się stało.

Było mi jej żal. Dość już wycierpiała. Miałam nadzieję, że będzie szczęśliwa z Tristanem.

— Nie mogę uwierzyć, że mój ojciec popełnił tyle strasznych rzeczy. Kradzież, oszustwa... to jeszcze rozumiem, ale podwójne morderstwo? Wiem przecież, że był najlepszym ojcem na świecie. Zaczynał od zera i zawsze próbował znaleźć to, co nazywał „swoim miejscem pod słońcem”. I to właśnie robił: szukał miejsca pod słońcem dla mnie, dla Kate i dla siebie. A kiedy już je znalazł, okazało się, że za chwilę może je stracić. Teraz rozumiesz, prawda? Rozumiesz, jak do tego doszło?

— Tak, rozumiem.

Nasza przyjaźń umacniała się coraz bardziej. Dużo rozmawialiśmy o Kate. Uświadomiłam lady Perrivale, że dziewczynka czuła się samotna. Zachowywała się niegrzecznie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Chciała być zauważona... i kochana.

— No tak — zgodziła się Mirabel. — Byłam za bardzo zajęta własnymi sprawami i w rezultacie zaniedbałam dziecko.

— Ona cię podziwia. Ale wiesz, we wczesnym dzieciństwie zostawała na długie godziny sama. Bała się ciemności... myślała, że nikt jej nie chce.

— Trudno wyjaśnić to dziecku.

— Musiała być przerażona, kiedy Tom Parry wracał do domu. Potrzebowała pociechy, bezpieczeństwa.

— Mój ojciec jej to dał.

Zgodziłam się z tym.

— Teraz go straciła — dodałam. — Musimy o tym pamiętać i obchodzić się z nią bardzo łagodnie.

— Dziękuję ci za wszystko, co dla niej zrobiłaś — powiedziała serdecznie.

Co ja takiego zrobiłam? Odkryłam jedynie prawdę. To moje śledztwo doprowadziło do obecnej sytuacji.

Kate nie wspominała przy mnie o dziadku. Zastanawiałam się, co ona z tego wszystkiego rozumie. Kontynuowałyśmy lekcje, dużo czytałyśmy. Psoty wywietrzały jej z głowy — stała się potulna. Ot, mała, smutna dziewczynka.

Odczytano testament sir Edwarda. Znalezione go w Biblii, którą trzymał przy łóżku... ciekawe, czemu nikt wcześniej tam nie zajrzał? Było tak, jak przypuszczaliśmy: zmarły wyznał prawdę o swym poprzednim małżeństwie i mianował Simona dziedzicem. Pozostałym zapewnił dostatek, ale tytuł i dom przypadły pierworodnemu.

Z Lucasem spotykałam się dość często w „Królu Żeglarzy”. Nie wiem, jak inaczej przetrwałabym te smutne miesiące.

Wyczuwałam między nami pewne napięcie. Czekaliśmy... wiedzieliśmy, że niedługo wydarzy się coś ważnego.

Dick Duvane przebywał w Australii i podobno wpadł na jakiś ślad. Teraz jednak sprawą zajęli się prawnicy. Zależało im, by Simon Perrivale jak najszybciej wrócił do kraju, żeby rozstrzygnąć

sprawę posiadłości. Zamieścili ogłoszenia w całej australijskiej prasie, postarali się, by wiadomość dotarła nawet do najmniejszej, najbardziej oddalonej od cywilizacji osady.

Zastanawiałam się, czy on w ogóle jeszcze wróci. Może wcale nie pojechał do Australii? Coś mogło mu się przydarzyć. Niania Crockett jednak była pewna swego; modliła się co wieczór o jego rychły powrót.

I nagle... pół roku od wydarzenia w zagajniku przyszedł list. Dick Duvane odnalazł Simona w posiadłości niedaleko Melbourne. Zapowiadał jego powrót do domu.

Był także drugi list: do mnie.

Droga Rosetto,

Dick opowiedział mi o wszystkim, co zrobiłaś. Nigdy Ci tego nie zapomnę, Lucasowi także. Tyle Wam obojgu zawdzięczam! Często o Was myślałem, a teraz wracam do kraju. Wkrótce będziemy razem.

Simon

* * *

Tristan i Mirabel wyjechali po niego na stację. Mirabel proponowała nawet, żebym wybrała się także, ale odmówiłam. Nie chciałam, aby nasze pierwsze spotkanie odbyło się w publicznym miejscu. Przypuszczałam, że na dworcu będą tłumy, przecież wszyscy wiedzieli o powrocie dziedzica.

Poszłam do swojego pokoju i czekałam. Byłam pewna, że wkrótce się pojawi, bo i on będzie wolał spotkać się ze mną na osobności.

Wreszcie stanął w drzwiach. Zmienił się... jakby jeszcze wyrósł? Zbrązował od południowego słońca, przez co jego oczy wydawały się bardziej niebieskie.

Wyciągnął do mnie ręce.

— Rosetto... — szepnął, przyglądając mi się badawczo. — Dziękuję ci za wszystko.

— Musiałam to zrobić, Simonie.

— Myślałem o tobie cały czas.

Zapadła cisza, pełna jakiegoś dziwnego napięcia. Cóż... tyle się wydarzyło... Pewnie oboje się zmieniliśmy.

— Czy... dobrze się czujesz? — zapytałam po chwili. Zabrzmiało to banalnie. Przecież stał przede mną... Widziałam, że tryska zdrowiem. Oboje przeżyliśmy prawdziwy koszmar, a ja go pytam, jak się czuje!

— Tak — odrzekł. — A ty?

Znowu cisza.

— Tyle się wydarzyło — dodał. — Muszę ci opowiedzieć...

— Teraz, kiedy wróciłeś, twoje życie zupełnie się odmieni.

— Na początku wszystko wydaje się takie nierealne.

— Ale jest, Simonie. Odzyskałeś wolność.

I ja też jestem wolna. Dawniej byłam uwięziona w seraju, a kiedy udało mi się uciec, sama wybudowałam wokół siebie mur... własny seraj, w którym rolę paszy odegrała moja obsesja. Nie widziałam tego, co oczywiste, ponieważ potrafiłam skupić się tylko na jednym — na marzeniu, jakie dopasowałam do swoich fantazji... ślepych na prawdę.

— Ty tego dokonałaś, Rosetto — mówił Simon.

— Pomagali mi niania Crockett, Felicity, a przede wszystkim Lucas. On zrobił najwięcej.

— To cudownie, że już po wszystkim. Że się udało. A teraz tu jesteś... wolna.

To naprawdę coś cudownego, że moje marzenie się spełniło. Tak długo czekałam na to spotkanie... Śniłam o nim po nocach, żyłam nim, więc skąd ten posmak smutku? Oczywiście — z nadmiaru podniecenia, z emocji. To zupełnie naturalne.

— Porozmawiamy... później — ciągnął Simon. — Mamy sobie tyle do powiedzenia.

— Tak, później. Teraz... za wiele tego. I inni na ciebie czekają... Oni także chcą porozmawiać. Zrozumiał.

* * *

To prawda, że mnóstwo ludzi na niego czekało. Wszyscy rozpisywali się o oczyszczeniu Simona Perrivale'a z zarzutów, był bohaterem dnia. I chociaż od ogłoszenia jego niewinności upłynęło trochę czasu, powrót Simona do Anglii rozbudził na nowo zainteresowanie tamtą sprawą. Dlatego tak wielu ludzi chciało z nim porozmawiać, pogratulować mu, wyrazić współczucie z powodu tego, co wycierpiał. Cieszyłam się, że tak go rozrywano. Był teraz zupełnie inny — prawdziwy sir Simon Perrivale, nie żaden majtek pokładowy, wyrzutek społeczeństwa, zbieg.

Tego pierwszego wieczoru jadłam obiad z całą rodziną.

— Pomyśleliśmy sobie, że potrzebny ci teraz spokój — zwrócił się do brata Tristan. — Dlatego jesteśmy tu tylko we własnym gronie. Na pewno później sąsiedzi zasypią cię zaproszeniami i trudno ci będzie odmawiać. My też będziemy musieli przyjmować gości.

— To przejdzie — odparł Simon — i to prędko. Stanę się gwiazdą dziewięciu wieczorów.

Rozmowa przy stole dotyczyła głównie Australii. Simon był pełen entuzjazmu, dobrze to widziałam. Nabył małą posiadłość.

— Ziemia jest tam bardzo tania — mówił. — I w ogóle bardzo mi się podoba.

Wyobrażałam sobie, z jakim zapałem zabierał się do pracy, planował nowe życie... myśląc, że nigdy tu nie wróci. Ale i tak musiałby się zawsze pilnować, nigdy nie mając pewności, czy przeszłość go nie dopadnie. A teraz był wolny. Nic dziwnego, że czuł się trochę nieswojo — podobnie jak ja. Jakież to wielkie emocje — wrócić do domu, w którym jako dziecko żył w strachu i w którym też oskarżono go o morderstwo...

Następnego dnia przyjechał Lucas. On także się zmienił. Znów bardziej przypominał tamtego uroczego mężczyznę, którego poznałam u Felicity i Jamesa. Oczywiście utykał jeszcze, ale prawie niezauważalnie. Odzyskał dawną nonszalancję, a także cyniczny stosunek do życia.

Kiedy Simon dziękował mu za wszystko, Lucas odrzekł lekkim tonem:

— To i tak mała odpłata za życie. Przecież dawno bym się z nim pożegnał, gdybyś nie wciągnął mnie wtedy do łodzi, a potem nie niańczył, choć byłem wam tylko ciężarem. Zresztą i tak wszystko to robiłem na rozkaz Rosetty.

— Nieprawda, Lucasie — zaprotestowałam. — Staraleś się ze wszystkich sił, żeby nam pomóc.

— Dziękuję ci — powtórzył Simon.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie, więc lepiej zapomnijmy już o tym. Nadmiar wdzięczności jest krepujący dla obu stron.

— Ale nie da się jej zaprzeczyć — wtrąciłam. Lucas nie został długo.

— Stary, poczciwy Lucas — mruknął Simon. — W gruncie rzeczy prawie się nie zmienił.

— Owszem — odrzekłam z wymuszonym uśmiechem.

Wciąż o nim myślałam. Nie mogłam przestać. Naprawdę mnie kochał... Pomógł mi sprowadzić Simona... oddał mi go. To właśnie jest prawdziwa miłość.

* * *

Minęło kilka dni. Ciągle ktoś przyjeżdżał albo wyjeżdżał, w domu panował ruch. Kate przycichła. Nie zadawała pytań, ale widziałam, że bacznie obserwuje Simona i mnie.

Od śmierci dziadka mocno się zmieniła. Kochała go przecież i podziwiała, patrzyła w niego jak w obraz. Jako major gwardii był dla niej najdzielniejszym człowiekiem na świecie, bohaterem każdej bitwy. Musiała przeżyć okropny wstrząs, kiedy dowiedziała się prawdy, chociaż nigdy o tym nie wspominała. Ufała mi jeszcze bardziej niż dotąd i niecierpliwie czekała, co przyniesie przyszłość.

Simon rozmawiał ze mną z coraz większą swobodą. Oboje otrząsnęliśmy się już ze skrepowania, jakie paraliżowało nas pierwszego dnia.

— Tristan jest jak stworzony do tego miejsca — zauważył. — I on, i Cosmo dorastali w przekonaniu, że kiedyś to wszystko będzie ich. Ja nigdy tego nie czułem. Myślę, że biednemu Tristanowi pękłoby serce, gdyby musiał się stąd wynieść.

— A nie może zostać? Tu jest tyle do zrobienia...

— Ale on uważa się za właściciela. Ma pełną kontrolę nad wszystkim. To trudna sytuacja. Wiesz, ja chyba wrócę do Australii. Mógłbym tam teraz kupić sporą posiadłość, mieć własnych pracowników. Zastanawiam się, czy... Co ty o tym sądzisz?

Teraz, pomyślałam. Nareszcie mnie zapyta. Lecz natychmiast pojawiła się druga myśl: Australia? Nigdy już nie zobaczyć Lucasa? Zauważył błysk w moich oczach.

— Marzyłem o tym... przez cały czas. Może bym nawet spróbował przesłać ci wiadomość, poprosić, żebyś do mnie przyjechała... Niestety, zapominamy, że ludzie się zmieniają. Wolimy myśleć, że są wciąż tacy sami. Ja też myśląc o tobie, widziałem cię taką jak wtedy na wyspie albo kiedy rozstawaliśmy się pod ambasadą. Ale jesteś inna...

— Ty też jesteś inny, Simonie. To życie tak nas zmieniło. Tyle się wydarzyło po naszym rozstaniu... i u mnie, i u ciebie.

— Nie mogłabyś opuścić Anglii. Nie teraz. Może gdybyśmy wtedy wyjechali razem, byłoby inaczej. To, na czym ci zależy, jest tutaj. Musisz wybrać to, co uważasz za najlepsze. Nie możemy ulegać naszym mrzonkom z burzliwej przeszłości. Oboje snuliśmy marzenia, zapominając, że życie idzie naprzód, zmienia nas samych i nasze otoczenie. Nie jesteśmy już tymi ludźmi, którzy pod ambasadą powiedzieli sobie „do zobaczenia”.

— Wtedy niczego tak nie pragnęłaś jak powrotu do Anglii.

Pokiwał smętnie głową.

— Widzisz... musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

— Wyjaśniłeś mi już wszystko: zmieniliśmy się oboje.

— Przeżyłaś niebezpieczne chwile, Rosetto. Teraz musimy się upewnić, czy obraliśmy właściwy kurs. Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym. Nigdy cię nie zapomnę.

— Ani ja ciebie, Simonie.

* * *

Poczułam się tak, jakby wielki ciężar spadł mi nagle z serca. Wybrałam się konno do Trecorn Manor. Lucas usłyszał, że nadjeżdżam, i wyszedł mi na spotkanie.

— Chciałam z tobą pomówić. Przedyskutowaliśmy z Simonem pewne sprawy. Doskonale się rozumiemy.

— Tak, oczywiście.

- Chce wracać do Australii.
- Ach, tak? Właściwie spodziewałem się tego. Jedziesz z nim, prawda?
- Nie, Lucasie, to nie wchodzi w rachubę. Jak mogłabym cię zostawić? Odwrócił się do mnie twarzą. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam.
- Jesteś pewna?
- Absolutnie pewna, że tego jednego nigdy w życiu nie zrobię.